

# Stacja arktyczna Zebra

Alistair MacLean



calibre 0.9.27

Alistair Maclean

Stacja arktyczna "Zebra"

Przedruk z wydawnictwa:

"Amber", Poznań 1990

## Rozdział 1

James D. Swanson, komandor podporucznik amerykańskiej Marynarki Wojennej był pulchny, niewysoki i zbliżał się do czterdziestki. Różowa twarz cherubina, kruczoczarne włosy i zmarszczki, promieniujące od oczu i okalające usta, efekt skłonności do śmiechu, wszystko to tworzyło obraz człowieka, który zawsze jest duszą towarzystwa. Tak go przynajmniej oceniałem na pierwszy rzut oka. Jednak rozsądek podpowiadał, że u kogoś wyznaczonego na stanowisko dowódcy najnowocześniejszego atomowego okrętu podwodnego powinienem zauważyć także inne cechy. Przyjrzawszy się więc uważniej dostrzegłem to, co przeoczyłem na początku z powodu zimowego zmrzchu i wilgotnej szarej mgły nad zatoką Clyde. Jego oczy. W niczym nie przypominające oczu dowcipnego bon vivanta. Najzimniejsze, najbystrzejsze szare oczy, jakie zdarzyło mi się spotkać. Świdrowały na wskroś, cięły niczym chirurg lancetem, dokładne jak elektronowy mikroskop. Taksujące. Swanson zmierzył najpierw mnie, potem dokument, który trzymał w dłoni, wyników po sobie nie dał poznać.

■ Przykro mi, doktorze Carpenter. ■ Głos miał cichy i uprzejmy, ale żalu w nim nie wyczułem. Schował telegram z powrotem do koperty i wręczył mi ją ze słowami:

■ Nie mogę zaakceptować ani tego telegramu jako upoważnienia, ani pana jako pasażera. Nie ma w tym nic osobistego, rozumie pan. Mam jednak swoje rozkazy.

■ Niewystarczające upoważnienie? ■ Wyjąłem telegram wskazując na podpis: ■ To według pana sygnatura czyszciciela szyb w Admiralicji?

To nie było zabawne i gdy spojrzałem na niego w półmroku, pomyślałem, że chyba przeceniłem jego poczucie humoru.

Sprecyzował:

■ Admirał Hewson jest dowódcą Wschodnich Dywizji NATO. Pod jego komendę przechodzę podczas manewrów. W każdej innej sytuacji odpowiadam przed Waszyngtonem. I to jest ta inna sytuacja, a zresztą mógł pan, doktorze Carpenter, zaaranżować wysłanie telegramu przez kogo bądź w Londynie. Nie jest on zresztą na odpowiednim formularzu.

Przeoczył niewiele, ale niepotrzebnie był tak podejrzliwy. Powiedziałem:

■ Mógłby pan rozmawiać z admirałem przez radiotelefon, komandorze.

■ Owszem, ale tylko akredytowani obywatele amerykańscy mają prawo wstępu na okręt, a upoważnienie musi wyjść z Waszyngtonu.

■ Od szefa Sekcji Podwodnych Działań Bojowych lub głównodowodzącego Atlantycką Flotą Podwodną?

Przytaknął powoli i z rozmysłem, a ja mówiłem dalej:

■ To proszę zatelefonować do nich, żeby się skontaktowali z admirałem Hewsonem. Mamy mało czasu, komandorze.

Mógłbym jeszcze dodać, że zaczyna padać śnieg i że jest mi coraz zimniej, ale powstrzymałem się.

Po chwili namysłu kiwnął głową, podszedł do telefonu na nabrzeżu i przemówił do słuchawki krótko, niskim głosem. Aparat był połączony kablem telefonicznym z długim ciemnym kształtem leżącym niemal u naszych stóp. Ledwo znów do mnie podszedł, już trzy opatulone w grube wojskowe płaszcze postaci wbiegły po trapie, skierowały się do nas i w końcu zatrzymały się obok. Najwyższy z trzech mężczyzn ■ szczupły osobnik o włosach koloru pszenicy i wyglądzie człowieka, którego właściwe miejsce jest w siodle, wysunął się lekko do przodu.

Komandor Swanson wskazał w jego kierunku:

■ Porucznik Hansen, mój pierwszy oficer. Zaopiekuje się panem, dopóki nie wrócę.

■ Nie potrzebuję opieki ■ powiedziałem uprzejmie. ■ Jestem dorosły i wcale nie czuję się samotny.

■ Postaram się załatwić to tak szybko, jak to tylko możliwe, doktorze Carpenter ■ odparł Swanson.

Zbiegł po trapie, a ja popatrzyłem na niego w zamyśleniu. Porzuciłem już myśl, że szef floty podwodnej USA wybiera sobie oficerów dowodzących spośród bywalców Parku Centralnego. Próbowałem wejść na okręt Swansona i jeżeli nie byłem do tego upoważniony, on nie zamierzał pozwolić mi odejść, dopóki nie wyjaśni, dlaczego chciałem to zrobić. Przypuszczałem, że Hansen i jego dwaj ludzie to trzech najtęższych marynarzy na okręcie.

Okręt. Spojrzałem na ogromny czarny kształt leżący prawie u moich stóp. Było to moje pierwsze spotkanie z łodzią podwodną o napędzie atomowym. "Delfin", bo taka była jej nazwa, w niczym nie przypominał żadnego znanego mi dotąd okrętu podwodnego. Miał mniej więcej tę samą długość, co dalekiego zasięgu łodzie podwodne z okresu II wojny światowej, ale i na tym kończyły się wszelkie podobieństwa. Jego średnica była co najmniej dwukrotnie większa niż w każdej innej łodzi konwencjonalnej. "Delfin" miał niemal cylindryczny kształt w przeciwieństwie do swoich poprzedniczek, których linie przypominały nieokreślone opływowe burty łodzi, a dziób literę V; oraz półkulisty dziób zamiast dotychczasowego. Nie było tu pokładu ■ strome zaokrąglone burty i także rufa, i dziób okrętu zostawiały tylko niewielkie przestrzenie do pracy. Przestrzenie tak niebezpieczne w swojej śliskiej wypukłości, że podczas postoju w porcie musiały być zaopatrzone w relingi. Około trzydziestu trzech metrów od dziobu wznosiła się na wysokość sześciu metrów wysmukła, ale i masywna wieżyczka, o wyglądzie płetwy grzbietowej jakiegoś monstrualnego rekina. W połowie wysokości wieżyczki sterczały prostopadle pomocnicze stateczniki okrętu. Próbowałem dostrzec, co znajdowało się bliżej rufy, ale mgła i wirujący, coraz bardziej gęstniejący śnieg pokonały mnie. Zresztą i tak coraz mniej mnie to interesowało. Miałem na sobie tylko cienki płaszcz i czułem, jak pod wpływem mroźnych powiewów zimowego wiatru zaczynam dostawać gęsiej skórki.

■ Nikt nie kazał nam tutaj zamarznąć ■ zwróciłem się do Hansena. ■ Tam znajduje się kantyna. Czy pańskie zasady zabraniają panu przyjęcia filiżanki kawy od doktora Carpentera, dobrze znanego agenta wywiadu?

Uśmiechnął się i odparł:

■ Jeśli chodzi o kawę, przyjacielu, nie mam żadnych zasad. Szczególnie dzisiejszego wieczora. Ktoś powinien był ostrzec nas przed szkocką zimą.

Nie tylko wyglądał na kowboja, podobnie się też wyrażał. A wiem, co mówię, bo często zbyt zmęczony, by wyłączyć telewizor, oglądam westerny.

■ Rawlings, idź i powiedz komandorowi, że chronimy się przed zawieją w kantynie.

Podczas gdy Rawlings podszedł do telefonu, Hansen poprowadził mnie w kierunku kantyny. Przepuścił mnie pierwszego poprzez oświetlone jaskrawym neonem drzwi i skierował się ku ladzie. Jednocześnie drugi marynarz, osobnik o czerwonej twarzy oraz wzroście i kształtach polarnego niedźwiedzia, pchnął mnie delikatnie w stronę stolika stojącego w rogu. Nie dawali mi wielkich szans na swobodę ruchu. Hansen usiadł z mojej drugiej strony, a Rawlings, gdy tylko wrócił, zasiadł na wprost mnie.

■ Czysta robota, to zaganianie do zagrody, dawno takiej nie widziałem ■ powiedziałem z aprobatą. ■ Jesteście paskudnie podejrzliwi, nieprawda?

■ Myli się pan ■ odrzekł ze smutną miną Hansen. ■ Jesteśmy tylko trzema przyjacielsko nastawionymi chłopcami, wykonującymi rozkazy. To komandor Swanson ma brzydkie myśli, no nie tak, Rawlings?

■ Zgadza się, poruczniku ■ odparł Rawlings ponuro. ■ Dowódca jest bardzo czuły na punkcie bezpieczeństwa.

Spróbowałem jeszcze raz:

■ A czy to nie jest kłopotliwe? Myślę o tym, że każdy z was jest teraz bardzo potrzebny na pokładzie, jeśli macie ponownie odpłynąć w ciągu dwóch godzin.

■ Niech pan mówi dalej, doktoru ■ powiedział Hansen zachęcająco, ale nic zachęcającego w jego zimnych, niebieskich oczach nie zauważyłem. ■ Proszę, słucham uważnie.

Zapytałem miłym głosem:

■ Podróż w kierunku dryfującej kry?

Pracowali na tej samej długości fali, to pewne. Nawet nie spojrzeli na siebie. Było widać, jak zgodnym ruchem przysunęli się do mnie o kilka centymetrów. Hansen odczekał z uśmiechem na zrelaksowanym obliczu, póki kelnerka nie ustawiła na stole trzech filiżanek parującej kawy i rzekł tym samym zachęcającym tonem:

■ Prosimy dalej, przyjacielu. Nic nie cieszy nas bardziej od wysłuchiwania ściśle tajnych informacji w kantinach. Skąd, do diabła, wie pan, dokąd zamierzamy odpłynąć?

Sięgnąłem pod klapę płaszcza i moja ręka pozostała tam unieruchomiona w nadgarstku przez dłoń

Hansena.

■ Nie jesteśmy podejrzliwi ani nic w tym rodzaju ■ powiedział przeprasza­jąco. ■ Po prostu my, marynarze służący w łodziach podwodnych, jesteśmy bardzo nerwowi, co jest związane z niebezpiecznym trybem życia, jakie prowadzimy. Mamy na pokładzie sporo filmów, a za każdym razem, gdy ktoś w którymś z nich sięga pod płaszcz, robi to zawsze z jednego powodu i to nie dlatego, że chce sprawdzić, czy nie zapomniał portfela.

Wolną ręką chwyciłem go za przegub, uniosłem jego ramię w górę i położyłem na stole. Nie chcę powiedzieć, że to było łatwe. Marynarka Wojenna USA z pewnością nie żałuje marynarzom protein. Udało mi się jednak tego dokonać bez nadrywania sobie mięśni. Wyciągnąłem z kieszeni płaszcza zwiniętą gazetę i rozłożyłem ją na stole.

■ Chcieliście wiedzieć, skąd ja, do diabła, wiem, dokąd płyniecie. Ponieważ umiem czytać, stąd wiem. To jest popołudniówka z Glasgow, którą kupiłem na lotnisku w Renfrew pół godziny temu.

Hansen w zamyśleniu pomasaował swój przegub i uśmiechnął się.

■ W jakiej dziedzinie się pan doktoryzował? Podnoszenie ciężarów? A jeśli chodzi o gazetę, to jak mógł ją pan kupić pół godziny temu?

■ Przyleciałem tu helikopterem.

■ Skrzydlaty ptaszek? Słyszałem, jak jeden nadlatywał pół godziny temu. Ale był to jeden z naszych śmigłowców.

■ Miał na kadłubie oznakowania Marynarki Wojennej USA wymalowane metrowej wielkości literami ■ przyznałem. ■ A pilot cały czas żuł gumę i głośno się modlił o jak najszybszy powrót do Kalifornii.

■ Szefowi pan to powiedział? ■ zapytał Hansen.

■ Nie dał mi szansy.

■ Ma tyle na głowie i wielu rzeczy musi dojrzeć ■ wziął go w obronę Hansen i spojrzał na pierwszą stronę gazety. Nie musiał długo patrzeć, aby znaleźć to, czego szukał ■ nagłówek pięciocentymetrowej wielkości biegł przez siedem kolumn pisma.

■ Dobra, spójrzcie na to. ■ Porucznik Hansen nawet nie próbował ukryć irytacji i zmartwienia. ■ Siedzimy tutaj stąpając na palcach wokół tego zapomnianego przez Boga śmietnika, trzymając gębę na kłódkę, zaprzysiężeni do zachowania tajemnicy otaczającej naszą misję, a tu wszystkie ściśle tajne szczegóły rozstrzelone grubym drukiem na pierwszej stronie gazety. ■ Żartuje pan, poruczniku ■ powiedział mężczyzna o czerwonej twarzy i wyglądzie polarnego niedźwiedzia. Jego głos zdawał się wydobywać z butów.

■ Wcale nie żartuję, Zabrinky ■ odrzekł Hansen chłodnym głosem. ■ Zauważyłbyś to, gdybyś umiał czytać.

! "Atomowa łódź podwodna w misji ratowniczej" tak tu napisano. "Dramatyczna wyprawa w kierunku bieguna północnego". Boże dopomóż! biegun północny... I zdjęcie "Delfina". I szefa. Dobry Boże! i moje.

! Rawlings wyciągnął owłosioną łapę i przekręcił gazetę, aby lepiej przyjrzeć się zdjęciu Hansena.

! Rzeczywiście. Niezbyt schlebiające, prawda, poruczniku? Ale jeśli chodzi o moje zdanie, to uderzające podobieństwo, naprawdę uderzające. Fotograf uchwycił zasadnicze pana rysy z dużą precyzją. ! Jesteście całkowitym ignorantem w dziedzinie fotografii ! odparł Hansen miażdżąc go wzrokiem. ! Posłuchajcie tego: "Następujący wspólny komunikat został ogłoszony na kilka minut przed południem, jednocześnie w Londynie i Waszyngtonie: W związku z krytycznym położeniem pozostałych przy życiu ludzi z załogi Dryfującej Stacji Arktycznej "Zebra" oraz zakończonymi fiaskiem próbami zarówno ratunku, jak i skontaktowania się z nimi, Marynarka Wojenna USA z własnej woli zaproponowała, aby "Delfin" ! łódź podwodna o napędzie atomowym, wyruszył pełną parą w celu odszukania rozbitków.

"Delfin" właśnie powrócił do swojej bazy w Holy Loch w Szkocji po zakończeniu ćwiczeń w ramach manewrów floty NATO w rejonie wschodniego Atlantyku. Wyrażana jest nadzieja, że okręt ten (pod dowództwem komandora podporucznika Jamesa D. Swansona) wyruszy około godziny dziewiętnastej dzisiejszego wieczoru. Lakoniczny skrót tego komunikatu zwiastuje desperacką i niebezpieczną akcją ratowniczą, bez precedensu w historii morza i Arktyki. W tej chwili już sześćdziesiąt godzin..."

! Desperacką. Pan powiedział: desperacką, poruczniku? ! Rawlings skrzywił się mocno. ! Niebezpieczną? Komandor będzie szukał ochotników?

! Nie ma potrzeby. Oznajmiłem dowódcy, że rozmawiałem ze wszystkimi członkami załogi i że zgłosili się wszyscy, osiemdziesięciu ośmiu, co do jednego.

! Ze mną pan nie rozmawiał.

! Musiałem was przeoczyć. I proszę grzecznie milczeć, kiedy wasz zwierzchnik mówi.

"W tej chwili już sześćdziesiąt godzin minęło od momentu, w którym świat zelektryzowała wiadomość o nieszczęściu jakie wydarzyło się na stacji arktycznej "Zebra", jedynej brytyjskiej stacji meteorologicznej za kręgiem polarnym. Wiadomość przechwycił radiooperator w Bodo w Norwegii, odbierając słaby sygnał SOS. Późniejsze informacje, przejęte około dwudziestu czterech godzin temu przez brytyjski trawler rybacki "Morning Star" na Morzu Barentsa wskazują niezbicie, że sytuacja pozostałych przy życiu po pożarze, który zniszczył większość zabudowań stacji we wczesnych godzinach rannych we wtorek, jest rozpaczliwa.

Można się obawiać, że przy całkowicie zniszczonych zapasach żywności i paliwa ci, którzy przeżyli, nie mają większych szans na przetrwanie w temperaturze 50 stopni mrozu, jaka obecnie panuje w tych okolicach.

Nie wiadomo dokładnie, czy wszystkie baraki z prefabrykatów, w których mieszkali członkowie

ekspedycji, uległy zniszczeniu. Dryfująca stacja arktyczna "Zebra", która została założona późnym latem tego roku, znajduje się obecnie w przybliżeniu na 85/0#40/9 szerokości geograficznej północnej i 20/0#30/9 długości geograficznej wschodniej, co oznacza miejsce odległe zaledwie o pięćset kilometrów od bieguna północnego. Pozycja ta nie jest znana dokładnie ze względu na wyjątkowo powolny dryf pokrywy lodowej w kierunku odwrotnym do ruchu wskazówek zegara w tym roku.

Przez ostatnie trzydzieści godzin samoloty bombowe sił powietrznych Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii i Związku Radzieckiego przeczesywały lodową pustynię w poszukiwaniu Stacji. Jednak ze względu na nieznajomość dokładnej jej pozycji, panującą właśnie noc polarną, a także wyjątkowo złe, jak na tę porę roku, warunki atmosferyczne, zmuszone były do powrotu nie lokalizując położenia stacji meteorologicznej."

■ Nie musieli ich słuchać ■ zaprotestował Rawlings. ■ Za pomocą instrumentów obecnie używanych na pokładach tych bombowców można zlokalizować kolibra z odległości ponad stu pięćdziesięciu kilometrów. Wystarczyłoby, żeby operator radionadajnika w "Zebrze" nadawał nieprzerwanie, a dolecieliby jak po sznurku.

■ Być może operator nie żyje ■ ciężko westchnął Hansen. ■ Możliwe, że radio uległo zniszczeniu, a może paliwo, które spłonęło, miało zasadnicze znaczenie dla uruchomienia radia. Wszystko zależy od tego, jakie mieli źródło zasilania.

■ Elektryczny generator dieslowski ■ powiedziałem ■ oprócz tego pomocnicze akumulatory. Być może oszczędzają akumulatory lub też używają ich tylko z konieczności. Mają również małą prądnicę o stosunkowo niewielkiej mocy.

■ Skąd pan to wie? ■ Spokojnie zapytał Hansen. ■ Skąd pan zna rodzaj zasilania, jakiego używali?

■ Musiałem gdzieś o tym czytać.

■ Musiał pan gdzieś o tym czytać ■ spojrzał na mnie bez wyrazu i ponownie pochylił się nad gazetą.

Przeczytał:

■ "Depesza z Moskwy podaje do wiadomości, że największy w świecie atomowy lodołamacz "Dźwina" około dwudziestu godzin temu wyruszył z Murmańska i podąża z maksymalną, na jaką go stać, prędkością w stronę pływającego pola lodowego. Eksperci nie mają jednak większej nadziei co do pomyślnego wyniku tej wyprawy, jako że w tym okresie zimy pokrywa lodowa zdążyła już pogrubieć i zbić się w zwartą masę, która prawie na pewno powstrzyma próbę przebicia się każdego statku, nawet tak potężnego jak "Dźwina".

Użycie łodzi podwodnej zdaje się jedyną, choć wątplą nadzieją na uratowanie właściwie skazanej już teraz na zagładę załogi stacji. Szanse sukcesu muszą być oceniane jako wyjątkowo małe. Niewątpliwie jednak jedynym statkiem, który ma możliwość dokonania tego, jest łódź podwodna. "Delfin" nie tylko musi przebyć kilkaset mil w zanurzeniu pod lodem, ale i przebić w odpowiednim miejscu lód i odnaleźć rozbitków, a prawdopodobieństwo tego, że pokrywa lodowa będzie miała w



takim miejscu odpowiednią grubość, jest niewielkie. Mimo to tylko "Delfin" ─ duma podmorskiej floty Stanów Zjednoczonych..." Hansen przerwał i dalej czytał w milczeniu. Wreszcie powiedział wzruszając ramionami:

─ To już wszystko. Artykuł dodaje jeszcze wszystkie znane szczegóły na temat "Delfina" oraz trochę bzdur o tym, że załoga okrętu to elita śmietanki amerykańskiej Marynarki Wojennej.

Rawlings wyglądał na urażonego. Zabirsky ─ polarny niedźwiedź, uśmiechnął się, wygrzebał z kieszeni zmiętą paczkę papierosów i poczęstował wszystkich. Po paru sekundach twarz mu spoważniała i powiedział:

─ A właściwie to co ci wariaci robili tam na czubku świata?

─ Prowadzili badania meteorologiczne, ty półgłówku ─ poinformował go Rawlings. ─ Nie słyszałeś, co mówił porucznik? Meteorologia to jednak trudne słowo ─ dodał wspaniałomyślnie ─ a oznacza badania atmosfery, Zabirsky.

─ Nadal twierdzą, że to wariaci ─ zamruczał Zabirsky. ─ Po co oni to robią?

─ Proponuję, abys zapytał doktora Carpentera – rzekł Hansen sucho. Spoglądał nieobecny wzrokiem przez okno na szaro wirujący w mroku śnieg. Prawdopodobnie wyobrażał sobie skazanych na zagładę ludzi, dryfujących w stronę śmierci, pośród mroźnej pustki lodów polarnych. ─ Myślę, że wie o tym o wiele więcej niż ja.

─ Odrobinę ─ przyznałem. ─ W tym, co wiem, nie ma nic zagadkowego ani groźnego. Meteorologowie uważają obecną Arktykę i Antarktydę za dwie wielkie światowe fabryki pogody, obszary odpowiedzialne za prądy atmosferyczne wpływające na całą resztę atmosfery. Wiemy już dość dużo na temat warunków panujących na Antarktydzie, ale praktycznie nic o Arktyce. Wybiera się więc odpowiednią krę, ustawia się tam baraki dla personelu technicznego i różnego rodzaju instrumentów, a następnie pozwala się jej dryfować wokół bieguna przez mniej więcej sześć miesięcy. Wasi rodacy założyli dotychczas dwie lub trzy takie stacje. Rosjanie, zgodnie z tym, co wiem, przynajmniej dziesięć, głównie na Morzu Wshodniosyberyjskim.

─ W jaki sposób uruchamia się takie stacje? ─ zapytał Rawlings.

─ Są różne sposoby. Amerykanie preferują do tego celu okres zimowy, gdy kra jest dostatecznie wytrzymała, by nie załamała się pod lądującym samolotem. Samolot zwiadowczy odlatuje przeważnie z cypla Barrow na Alasce i przeszukuje obszar czapy polarnej, dopóki nie znajdzie odpowiedniej do tego celu kry. Nawet gdy lód jest zwarty i zamarznięty w jedną, solidną masę, tylko eksperci mogą określić, jakie obszary pozostaną dostatecznej wielkości krą, gdy nastąpi okres roztopów i pękania lodów. Po wyszukaniu takiego miejsca przesyła się drogą powietrzną, za pomocą samolotów na płozach, baraki, wyposażenie, zapasy oraz ludzi i stopniowo zabudowuje się teren stacji. Rosjanie wolą używać statków w okresie letnim. Głównie używają do tego celu "Lenina" ─ lodołamacz o napędzie jądrowym. Statek po prostu przebija się przez cieńszy latem lód, zostawia ludzi i sprzęt, no i odplywa, zanim rozpocznie się okres zamarzania kry. Użyliśmy tej samej techniki dla "Zebry". Rosjanie zgodzili się udostępnić nam "Lenina". Wszystkie kraje chętnie kooperują ze

sobą w zakresie badań meteorologicznych, ponieważ wszystkie odnoszą z tego korzyści. Wywieźli naszą ekspedycję dość głęboko w obręb kręgu arktycznego na północ od Ziemi Franciszka Józefa. "Zebra" zdążyła przesunąć się już na spory kawałek od swojej pozycji wyjściowej. Czapa polarna, znajdująca się na Morzu Arktycznym, nie dotrzymuje kroku obrotowi Ziemi dookoła osi i dlatego przesuwa się w kierunku zachodnim wolniej niż pozostała część kuli ziemskiej. W chwili obecnej stacja znajduje się około sześciuset kilometrów na północ od Spitzbergenu.

─ Nadal uważam, że to wariaci ─ powtórzył Zabrinky. Siedział przez chwilę w milczeniu, a następnie spojrzał na mnie nieufnie.

─ Pan służy w marynarce angielskiej, doktorku?

─ Musi pan wybaczyć Zabrinky'emu maniery, doktorze Carpenter ─ chłodno powiedział Rawlings. ─ Nie ma on wykształcenia, jakie reszta z nas uważa za oczywiste. Rozumiem, że wychował się w dzielnicy Bronx.

─ Bez urazy ─ głos Zabrinky'ego był bardzo spokojny ─ miałem na myśli Królewską Marynarkę Wojenną. Czy tak, doktorze?

─ Można powiedzieć, że jestem z nią związany.

─ Dość luźno, bez wątpienia ─ potaknął Rawlings. ─ Dlaczego tak panu zależy na urlopie w Arktyce? Mogę pana zapewnić, że jest tam bardzo chłodno.

─ Dlatego, że ludzie ze stacji będą z pewnością potrzebowali pomocy medycznej. Oczywiście jeśli pozostali przy życiu.

─ My mamy własnego medyka na pokładzie i wcale nie jest niezdarą, o czym słyshałem od kilku osób, którym udało się przeżyć jego kurację. Dobrze mówią o naszym znachorze.

─ Doktorze, ty nieobyty prostaku ─ wtrącił surowo Zabrinky.

─ To właśnie miałem na myśli ─ odparł Rawlings. ─ Niezbyt często mam okazję rozmawiać z kimś tak dobrze wychowanym i wykształconym i tak mi się wymknęło. Chodzi o to, że "Delfin" jest zapięty na ostatni guzik, biorąc pod uwagę stronę medyczną.

─ Na pewno ─ uśmiechnąłem się. ─ Jednak ci, których odnajdziemy, będą z pewnością cierpieć na skutek długotrwałego pobytu na mrozie od odmrożeń i być może gangreny. Leczenie takich przypadków jest moją specjalnością.

─ Dziwne. ─ Rawlings przyglądał się fusom na dnie filiżanki. ─ Zastanawiam się, w jaki sposób człowiek zostaje specjalistą od tych rzeczy.

Hansen poruszył się, oderwał wzrok od ciemnobiałego światła za oknami kantyny i powiedział miękko:

─ Doktor Carpenter nie siedzi tu przed nami jako oskarżony przed sądem. Niech oskarżający wezmą to

łaskawie pod uwagę.

Wzięli. Tę familiarną atmosferę między oficerem a załogą, wzajemną tolerancję na kpiny i błazeńską komedię spotykałem bardzo rzadko, ale widywałem coś takiego już wcześniej wśród załóg bombowców RAF-u. Był to stosunek spotykany tylko wśród mocno zżytych, blisko siebie żyjących grup doskonale wyszkolonych specjalistów, z których każdy jest całkowicie świadom swego uzależnienia od innych. Tu familiarność i bezceremonialność nie była wynikiem braku dyscypliny, wręcz odwrotnie, był to rezultat bardzo wysokiego stopnia samodyscypliny, a także traktowania innych nie tylko jako wysoko kwalifikowanych fachowców, ale też jako ludzi. Jasne było również, że pewne niepisane prawa rządzą ich zachowaniem. Mimo bezceremonialności i, zdawać by się mogło, braku respektu, okazywanego Hansenowi zarówno przez Rawlingsa, jak i Zabirsky'ego, istniała jakaś nieuchwytna linia przyzwoitości i nieprawdopodobieństwem było, by ją przekroczyli. U Hansena natomiast dało się zauważyć, że nie nadużywał swojej władzy, czyniąc uszczypliwe uwagi podkomendnym. Jasne jednak było, kto tu jest szefem.

Rawlings i Zabirsky przestali mnie egzaminować i gdy entuzjastycznie przeszli do dyskusji na temat braków Holy Loch w szczególności, a Szkocji generalnie, jako bazy okrętów podwodnych, za oknami kantyny przejechał dżip, jasno oświetlając reflektorami białe wirujące tumany śniegu.

Rawlings skoczył na nogi w połowie zdania, a następnie powoli z rozmysłem opuścił się z powrotem na krzesło.

■ Zawieja wzmaga się ■ stwierdził.

■ Zauważyłeś, kto to był? ■ Zapytał Hansen.

■ Owszem. Krzywonogi Jaś, nikt inny.

■ Nie słyszałem tego, Rawlings ■ powiedział zimno Hansen. ■ Wiceadmirał John Gravier z Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych, poruczniku.

■ Krzywonogi Jaś, co? ■ Powiedział Hansen w zamyśleniu. Uśmiechnął się krzywo w moją stronę. ■ Admirał Gravier. Głównodowodzący flotą amerykańską w siłach NATO. Muszę przyznać, że to bardzo interesujące. Zastanawiam się, co on tutaj robi?

■ Właśnie wybuchła III wojna światowa ■ zaanonsował Rawlings ■ i właśnie nadeszła pora dla admirała na popołudniową szklaneczkę martini, i żadna mniej ważna sprawa...

■ Nie przyleciał przypadkiem razem z panem tym helikopterem z Renfrew po południu? ■ Hansen przerwał mu bezceremonialnie.

■ Nie.

■ Przypadkiem pan go nie zna?

■ Nic mi o tym nie wiadomo.

■ Coraz dziwniejsze ■ zamruczał Hansen.

Przez kilka minut Hansen i jego ludzie chaotycznie rozprawiali o przyczynach przybycia admirała. Nagle do kantyny wraz z tumanem świeżego śniegu wtargnął powiew mroźnego powietrza w wyniku otwarcia drzwi przez okutanego w niebieski płaszcz marynarza, który skierował się do naszego stolika.

■ Wyrazy szacunku od dowódcy, poruczniku. Czy nie zechciałby pan zaprowadzić doktora Carpentera do jego kajuty?

Hansen kiwnął głową, wstał i poprowadził nas do wyjścia. śnieg rozpadał się na dobre. Było coraz ciemniej, a północny wiatr przenikliwie chłodny. Hansen skierował się ku najbliższemu trapowi, zatrzymał na chwilę widząc marynarzy i pracowników portowych ■ niewyraźne i jakby niematerialne postaci, nietrwałe w wirującym śniegu sylwetki, ostrożnie opuszczające zawieszoną na linach torpedę do otwartego przedniego luku ■ odwrócił się i podszedł do drugiego trapu.

Zszedłszy na pokład powiedział.

■ Proszę uważać, doktorze, jest tu trochę ślisko.

Wszystko tu było trochę śliskie, ale wyobrażając sobie lodowate wody Holy Loch czekające na mnie, gdybym tylko źle postawił nogę, nie zrobiłem żadnego błędu. Przeszliśmy koło brezentowej osłony chroniącej tylny luk i zeszliliśmy po stromej, metalowej drabince do cieplej, pedantycznie czystej i lśniącej maszynowni, wypełnionej po brzegi szaro lakierowaną skomplikowaną maszyną i mnóstwem tablic kontrolnych. Wszystko było oświetlone bezcieniowym światłem fluorescencyjnym.

■ Nie zamierza mi pan założyć opaski na oczy, poruczniku? ■ Zapytałem.

■ Nie ma potrzeby ■ wykrzywił twarz w uśmiechu. ■ Jeśli jest pan w porządku, nie jest to konieczne, a jeśli nie, to też, bo nie będzie pan mógł powiedzieć nikomu o tym, co tu jest, siedząc kilka następnych lat za kratkami.

Rozumiałem jego punkt widzenia. Podążyłem za nim w kierunku dziobu. Szliśmy bezszelestnie, podłoga pokryta była czarną, grubą gumą. Minęliśmy dwie duże maszyny, łatwo rozpoznawalne jako turbogeneratory energii elektrycznej, następnie ciężkie bloki innych urządzeń i bardzo wąski, dziewięciometrowej długości korytarz. Idąc tym korytarzem zarejestrowałem głęboki, wibrujący dźwięk, dochodzący spod moich stóp. Reaktor atomowy "Delfina" musiał się tu gdzieś mieścić, chyba tu właśnie, tuż pod stopami. W korytarzu tym znajdowały się okrągłe włazy i to mogły być tylko pokrywy, wykonanych ze specjalnego grubego szkła ■ punktów kontrolnych, okien stanowiących najkrótszą i jedyną drogę do nuklearnego piekła poniżej.

Koniec korytarza, jeszcze jedne opancerzone drzwi i znaleźliśmy się w centrum kontrolnym "Delfina". Po lewej stronie wydzielono kabinę radiooperatora, na prawo maszyny i wyskalowane urządzenia o niezrozumiałym przeznaczeniu, a na wprost wielki stół z rozłożoną na nim morską mapą. Dalej wznosiły się masywne podpory wieżyczki, a poza nimi stanowisko obserwacyjne z dwoma bliźniaczymi peryskopami. Cała sterownia była przynajmniej dwukrotnie większa niż te, które

widziałem na okrętach podwodnych o napędzie konwencjonalnym, a jednak każdy centymetr kwadratowy powierzchni zdawał się tu wypełniony różnorodnymi maszynami i urządzeniami, wyglądającymi na bardzo skomplikowane. Nawet sufit przesłonięty grubo poskręcany węzłami przewodów, kabli i rur najrozmaitszego typu był mało widoczny.

Od dziobu z lewej burty sterownia była prawie dokładną repliką kabiny nowoczesnego, dwusilnikowego odrzutowca. Znajdowały się tu dwa, wyglądające na lotnicze, urządzenia sterownicze ─ tak zwane orczyki, a na wprost nich całe rzędy wyskalowanych urządzeń pomiarowych i kontrolnych. Za orczykami mieściły się dwa skórzane fotele, oba, jak zauważyłem, wyposażone w pasy bezpieczeństwa. Zastanawiałem się, do jakiego rodzaju gwałtownych manewrów zdolny jest "Delfin", jeśli do unieruchomienia ludzi w fotelach potrzebne były pasy bezpieczeństwa.

Naprzeciwko platformy kontrolnej, po drugiej stronie korytarza biegnącego na dziób, mieściło się drugie oddzielone od sterowni przegrodą pomieszczenie. Nie widziałem tu nic, co mogłoby wskazywać na jego przeznaczenie i nie dano mi czasu do myślenia nad tym faktem. Hansen pośpiesznie przebył korytarz, zatrzymał się przy pierwszych drzwiach na lewo i zapukał. Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich komandor Swanson.

─ Aha, jesteście. Przykro mi, że musiał pan czekać, doktorze Carpenter. Odplywamy rano o szóstej trzydzieści, John ─ to było skierowane do Hansena ─ uda ci się do tego czasu zapiąć wszystko na ostatni guzik?

─ Zależy od tego, jak szybko będzie przebiegać załadunek torped, komandorze.

─ Zabieramy na pokład tylko sześć.

Hansen uniósł brwi, ale nie uczynił żadnego komentarza. Zapytał tylko:

─ Ładujemy je na wyrzutnie? ─ Na stojaki. Trzeba nad nimi popracować.

─ Nie bierzemy zapasowych?

─ Nie.

Hansen kiwnął głową i odszedł. Swanson zaprosił mnie do środka i zamknął drzwi.

No cóż, kabina dowódcy była większa od budki telefonicznej, ale nie na tyle, by się nad tym rozwodzić. Wbudowana w ścianę koja, składana umywalka, małe biurko i krzesło, składany stół, szafka, trochę wyskalowanych tarcz instrumentów nad koją i to wszystko. Gdyby ktoś spróbował tu tańczyć twista, to nawet nie przesuając stóp doznałby wielu obrażeń.

─ Doktorze Carpenter ─ rzekł Swanson ─ pragnę przedstawić panu admirała Gravie'ego, dowódcę Sił Morskich Stanów Zjednoczonych wchodzących w skład NATO.

Admirał odstawił szklankę, podniósł się z jedynej w tym pomieszczeniu krzesła i wyciągnął rękę. Gdy tak stał ze złączonymi nogami, daleka od niedostrzegalnej przestrzeni między jego kolanami pozwalała łatwo zrozumieć nadane mu przezwisko. Krzywonogi Jaś podobnie jak Hansen na pewno

czułyby się na ranczo jak u siebie w domu. Był wysokim mężczyzną o rumianej twarzy, białych włosach i równie białych brwiach, pod którymi iskrzyły się niebieskie oczy. W sposobie bycia miał to "coś", co znamionuje wyższych oficerów, niezależnie od rasy czy narodowości.

■ Miło mi pana poznać, doktorze. Proszę wybaczyć nam, hm, lekko chłodne przyjęcie, ale komandor Swanson miał całkowite prawo postępować właśnie w ten sposób. Czy jego ludzie zaopiekowali się panem?

■ Zgodzili się na to, abym postawił im kawę w kantynie.

Uśmiechnął się:

■ Oportuniści, wszyscy ci atomowi chłopcy. Czuję, że dobre imię amerykańskiej gościnności zostało narażone na szwank. Napije się pan whisky, doktorze?

■ Sądziłem, że amerykańskie okręty wojenne nie mają trunków na pokładzie.

■ Zgadza się, mój chłopcze, zgadza. Oprócz oczywiście odrobiny alkoholu dla celów medycznych. Mój prywatny zapas. ■ Wskazał na piersiówkę wielkości menażki i sięgnął po szklaneczkę do płukania zębów. ■ Wybierając się do najodleglejszych zakątków Szkocji, rozważny człowiek powinien odpowiednio się zabezpieczyć. Winien jestem panu przeprosiny, doktorze Carpenter. Widziałem pańskiego admirała Hewsona zeszłej nocy w Londynie i zamierzałem dzisiejszego ranka przekonać komandora, aby wziął pana na pokład. Zostałem jednak nieco zatrzymany.

■ Przekonać, panie admirale?

■ Przekonać. ■ Zawahał się. ■ Dowódcy naszych łodzi podwodnych o napędzie atomowym, doktorze Carpenter, to drażliwa i trudna grupa ludzi. Z gospodarskiego stosunku, jaki mają do swoich okrętów, można by wnioskować, że każdy z nich jest głównym udziałowcem spółki akcyjnej "Electric Boat Company" w Groton, gdzie większość z tych łodzi jest budowana. ■ Podniósł swoją szklanę. ■ Za powodzenie komandora i pańskie. Mam nadzieję, że uda się wam odnaleźć tych biedaków. Nie daję wam jednak nawet jednej szansy na tysiąc.

■ Myślę, że ich znajdziemy, panie admirale, a raczej, że komandor Swanson ich znajdzie.

■ Co panu daje tę pewność? ■ Zapytał powoli. ■ Przeczucie?

■ Może pan to tak nazwać.

Postawił szklanę i jego oczy przestały się iskrzyć.

■ Muszę przyznać, że admirał Hewson mówił o panu bardzo wymijająco. Kim pan właściwie jest, doktorze Carpenter? Czym się pan zajmuje?

■ Z pewnością Hewson powiedział to panu, admirale. Po prostu jestem lekarzem przydzielonym marynarce w celu...

■ Wojskowym lekarzem? ■ Przerwał mi.

■ Taaak. Niezupełnie. Ja...

■ Cywil, czyż nie tak?

Przytaknąłem, a admirał i Swanson wymienili spojrzenia, których nawet nie usiłowali przede mną ukryć. Jeśli byli szczęśliwi, mając przed sobą perspektywę posiadania na pokładzie najnowszego i strzeżonego najściślejszą tajemnicą amerykańskiego okrętu podwodnego człowieka, który nie tylko był obcokrajowcem, ale także cywilem od stóp do głowy, to ukrywali to bardzo dobrze. Admirał Gravie powiedział:

■ No więc, proszę kontynuować.

■ To wszystko, przeprowadzam służbowe badania nad wpływem otoczenia na zdrowie ludzkie. Interesuje mnie sposób, w jaki organizm ludzki reaguje na ekstremalne warunki środowiska, np. w Arktyce czy tropikach, jaka jest jego reakcja na nieważkość podczas symulowanych lotów kosmicznych czy też na wysokie ciśnienie występujące w przypadku opuszczania łodzi podwodnej. Głównie...

■ Łodzi podwodnej. ■ Admirał Gravie uczepił się tych słów. ■ Pływał pan kiedyś na okręcie podwodnym?

■ Musiałem. Dowiedziono, że symulowane opuszczanie podwodnych zbiorników nie może zastąpić rzeczywistości.

Admirał i Swanson wyglądali na coraz bardziej zmartwionych. Obcokrajowiec to źle. Cywil obcokrajowiec to jeszcze gorzej. Ale cywil obcokrajowiec, który choć trochę zna się na łodziach podwodnych, to już okropność. Czułbym się równie nieszczęśliwym będąc w ich skórze. Nie musiałem się zbytnio wysilać, aby zrozumieć ich punkt widzenia.

■ Dlaczego jest pan zainteresowany Dryfującą Stacją Arktyczną "Zebra"? ■ Zapytał Gravie bez osłonek.

■ Otrzymałem z Admiralicji rozkaz udania się tam, panie admirale.

■ Tak też to zrozumiałem ■ odparł zmęczonym głosem. ■ Admirał Hewson już mi to wyjawiał. Ale dlaczego pan, doktorze?

■ Posiadam sporą wiedzę o Arktyce, panie admirale. Jestem uważany za eksperta od leczenia tych, którzy poddani byli długotrwałemu działaniu zimna, odmrożeń i gangreny. Być może będę w stanie uratować życie lub kończyny ludziom, którym wasz własny doktor pokładowy nie byłby w stanie pomóc.

■ Mógłbym sprowadzić tu w ciągu kilku godzin przynajmniej sześciu takich ekspertów jak pan ■ powiedział w końcu Gravie. ■ I mam tu na myśli oficerów służących we flocie Marynarki Wojennej Stanów Zjednoczonych. To, co pan powiedział, nie wystarcza nam, Carpenter.

Zaczynały się kłopoty. Spróbowałem inaczej.

■ Znam "Zebrę". Pomagałem przy wyborze tej lokalizacji. Pomagałem również założyć obóz. Jej komendant ■ major ■ Halliwell jest od wielu lat moim najbliższym przyjacielem. ■ To ostatnie zdanie było tylko w połowie prawdą, ale czułem, że nie czas i miejsce na drobiazgi.

■ No, no ■ powiedział admirał z namysłem. ■ I nadal pan twierdzi, że jest tylko zwykłym lekarzem?

■ Moje obowiązki zależą od sytuacji, panie admirale.

■ Też bym tak powiedział. No więc Carpenter, jeśli jest pan tylko chirurgiem, to jak pan wyjaśni to? ■ Wręczył mi podniesioną ze stołu depeszę radiową. ■ Otrzymaliśmy ją w odpowiedzi na wysłane przez komandora do Waszyngtonu żądanie informacji o panu.

Spojrzałem na depeszę. Oto jej treść:

"Doktor Neil Carpenter jest poza wszelkim podejrzeniem. Może być traktowany przez was z całkowitym, powtarzam, całkowitym zaufaniem. Należy udostępnić mu korzystanie z wszelkich urządzeń, a także zapewnić pomoc w działaniu, chyba że zagrażałoby to bezpieczeństwu okrętu i załogi." Depesza podpisana była przez dyrektora odpowiedzialnego za operacje morskie.

■ Muszę przyznać, że to bardzo uprzejmie ze strony dyrektora. ■ Oddałem depeszę. ■ Takie referencje powinny panów satysfakcjonować, cóż was więc nadal we mnie niepokoi?

■ Mnie to nie satysfakcjonuje ■ powiedział admirał. ■ Ostateczna odpowiedzialność za bezpieczeństwo "Delfina" należy do mnie. Ta depesza daje panu, w mniejszym lub większym stopniu, carte blanche do zachowania się tak, jak się panu podoba i do żądania od komandora Swansona działań, które mogłyby być sprzeczne z jego oceną sytuacji. Nie mogę do tego dopuścić.

■ Czy to, co pan może, a czego nie, ma jakieś znaczenie? Ma pan swoje rozkazy. Dlaczego ich pan nie wykonuje?

Nie uderzył mnie. Nie mrugnął nawet okiem. Nie wzruszył go mój przytyk do faktu, że nie jest wtajemniczony w przyczynę mojej dość zagadkowej tutaj obecności. Interesowało go tylko bezpieczeństwo okrętu.

Powiedział: ■ Jeśli będę uważał, że ważniejsze jest pozostanie "Delfina" na miejscu w pogotowiu bojowym, niż wypuszczenie się w niepewną podróż, albo jeśli uznam, że zagraża pan bezpieczeństwu okrętu, mogę rozkaz zignorować. Ja jestem tutaj oficerem dowodzącym. I ja nie jestem usatysfakcjonowany.

Powstała diabelnie trudna sytuacja. Traktował poważnie każde swoje słowo i nie wyglądał na kogoś, kto wycofa się z obawy przed konsekwencjami, w sytuacji gdy był przekonany, że ma rację. Spojrzałem na obu mężczyzn. Przyjrzałem się im powoli i z namysłem wzrokiem, który, taką miałem nadzieję, wskazywał wyraźnie to, że zastanawiam się nad wtajemniczeniem ich w sprawę. W rzeczywistości obmyślałem właśnie historyjkę, która zadowoliłaby obu. Po czasie, jaki uznałem za stosowny, ściszyłem głos o kilka decybeli i zapytałem:



■ Czy te drzwi są dźwiękoszczelne?

■ Mniej więcej. ■ Ku mojej satysfakcji admirał również ściszył głos.

■ Nie będę panów obrażał żądając zaprzysiężenia tajemnicy albo czegoś w tym rodzaju ■ powiedziałem spokojnie. ■ Zamierzam umieścić w swoim sprawozdaniu fakt, że to, co mam zamiar panom wyjawić, powiedziałem pod przymusem, wobec groźby odmowy, gdybym nie zaspokoił żądań admirała.

■ Nie będzie żadnych konsekwencji ■ odrzekł Gravie.

■ Skąd pan wie? Zresztą to teraz nieważne. Otóż panowie, fakty są takie. Dryfująca stacja arktyczna "Zebra" oficjalnie jest stacją meteorologiczną. I to prawda, ale wśród personelu nie znajduje się więcej niż dwóch wykwalifikowanych meteorologów.

Admirał Gravie napełnił ponownie szklaneczkę i podał mi ją bez słowa. Nie zmienił również ani odrobinę wyrazu twarzy. Z pewnością wiedział, jak zachowywać się chłodno.

■ Znajdą tam panowie natomiast ■ ciągnąłem dalej ■ doskonałych fachowców od radiopelengacji, radiooperacji, promieniowania infraczerwonego, elektroniki komputerowej. Ludzi obsługujących najnowocześniejszy aktualnie sprzęt w tym zakresie. Znamy obecnie, nieważne skąd, sekwencje sygnałów, których Rosjanie używają w ostatnich minutach przed odpaleniem międzykontynentalnego pocisku jądrowego. Na stacji "Zebra" znajduje się duża antena, która jest w stanie przechwycić i wzmacnić taki sygnał już w kilka sekund po jego nadaniu. Następnie radar dalekiego zasięgu i promienie podczerwone określają miejsce nadania sygnału i w ciągu trzech minut od startu rakiety dostarczają nam wiadomości co do wysokości lotu pocisku, jego szybkości i kursu z błędem tak minimalnym, że można go nie brać pod uwagę. Jest to oczywiście zasługa komputera. Minutę później informacja ta znajduje się we wszystkich antyrakietowych stanowiskach pomiędzy Alaską a Grenlandią. Po upływie następnej minuty nasze antyrakiety kierujące się namiarem w podczerwieni są już w drodze. Następnie rakiety przeciwnika zostają przechwycone i zniszczone jeszcze nad obszarem Arktyki. Jeśli spojrzycie panowie na mapę, przekonacie się, że Stacja "Zebra" znajduje się praktycznie u wrót radzieckich wyrzutni rakietowych. Setki kilometrów poza aktualną linią SODZ ■ Systemu Ostrzegania Dalekiego Zasięgu. W każdym razie czyni to linię SODZ zupełnie przestarzałą i zdezaktualizowaną.

■ Jestem tylko chłopcem na posyłki w tej dziedzinie ■ powiedział cicho Gravie. ■ Nigdy jeszcze o czymś takim nie słyszałem.

Nie byłem zdziwiony. Ja również dotychczas o tym nie słyszałem, a to dlatego, że wymyśliłem tę bajeczkę przed chwilą. Zachowanie się komandora Swansona, jeżeli dotrzemy do Stacji, będzie na pewno bardzo interesujące. Pomyślałem, że będę martwił się tym w odpowiednim czasie. Teraz interesowało mnie wyłącznie dostanie się na Stację.

■ Nie licząc samej stacji arktycznej ■ powiedziałem ■ wątpię, czy choć dwunastu ludzi na całym świecie wie, co się tam naprawdę dzieje. Teraz już wiecie, panowie. I musicie sobie również

zdawać sprawę z tego, jak bardzo ważne jest, aby Stacja nie uległa zniszczeniu. Cokolwiek się tam wydarzyło, chcemy wiedzieć, co to było, tak szybko, jak to tylko możliwe, i uruchomić Stację od nowa.

■ Nadal utrzymuję, że nie jest pan zwykłym lekarzem ■ admirał uśmiechnął się. ■ Komandorze Swanson, jak szybko pan może wyruszyć?

■ Trzeba zakończyć ładunek torped, podpłynąć do "Hanleya", pobrać zapasy żywności oraz odzież ochronną przystosowaną do warunków arktycznych. I to by było wszystko.

■ Tylko tyle? Mówił pan, że zamierza przeprowadzić powolne zanurzenie w zatoce w celu sprawdzenia pławności okrętu. Brak torped na dziobie wydaje się wpływać na równowagę.

■ Tak mówiłem, zanim usłyszałem to, co ma do powiedzenia doktor Carpenter. Obecnie pragnę dopłynąć tam tak szybko jak on. Zaraz sprawdzę, czy natychmiastowe wybalansowanie okrętu jest konieczne. Jeśli nie, możemy to zrobić na pełnym morzu.

■ To pański okręt ■ przyznał Gravier. ■ Przy okazji, gdzie zamierza pan zakwaterować doktora?

■ Mamy miejsce na koję między kajutami pierwszego oficera i głównego mechanika. ■ Uśmiechnął się do mnie. ■ Już kazałem zanieść tam pańską walizkę.

■ Dużo mieliście kłopotów z jej otwarciem? ■ Zapytałem niewinnie. Swanson lekko poczerwieniał i odparł:

■ Po raz pierwszy w życiu widziałem na walizce zamek cyfrowy. To właśnie i trudności z jego otwarciem były powodem aż takiej podejrzliwości admirała i mojej. Mam jeszcze jedną czy dwie sprawy do przedyskutowania z admirałem, więc zaprowadzę pana do kabiny. Obiad będzie o ósmej.

■ Dziękuję, myślę, że raczej zrezygnuję z obiadu.

■ Mogę pana zapewnić, że na "Delfinie" nie można dostać choroby morskiej. ■ Uśmiechnął się.

■ Jednak wybieram sen. Przez trzy dni prawie nie zmrużyłem oka. Ostatnie pięćdziesiąt godzin byłem w podróży. Jestem po prostu zmęczony, to wszystko.

■ To naprawdę długa podróż. ■ Swanson znowu się uśmiechnął. Wydawał się ciągle uśmiechać i pomyślałem, że na pewno sporo ludzi jest dość głupich, by brać ten uśmiech za dobrą monetę.

■ Gdzie pan był pięćdziesiąt godzin temu, doktorze?

■ Na Antarktydzie.

Admirał Gravier rzucił mi staromodne spojrzenie, ale zaniechał komentarza.

## Rozdział 2

Gdy się obudziłem, byłem jeszcze ociężały, jak człowiek, który spał długo. Mój zegarek wskazywał dziewiątą trzydzieści i wiedziałem, że to już rano, a nie ciągle ten sam wieczór. Spałem piętnaście godzin. W kabinie było całkiem ciemno. Wstałem, znalazłem kontakt i rozejrzałem się. Ani Hansena, ani pierwszego mechanika nie było w kabinie, musieli przyjść już po tym, jak zapadłem w sen, a wyszli, zanim się obudziłem. Rozejrzałem się wokół i zacząłem nasłuchiwać. Zaskoczyła mnie kompletna cisza, brak jakiegokolwiek dźwięku. Było to takie uczucie, jakbym znajdował się w sypialni własnego domu. Co złego mogło się stać? Czemu ten przestój? Dlaczego, na Boga, nie byliśmy w drodze? A dałbym głowę, że wczoraj wieczór komandorowi zależało na pośpiechu tak jak i mnie.

Umyłem się szybko nad składaną umywalką pulmanowskiego typu, zaniechałem golenia, zarzuciłem koszulę na grzbiet, włożyłem spodnie, buty i wyszedłem na korytarz. Kilka kroków dalej, po lewej stronie znajdowały się drzwi. Wszedłem. Była to bez wątpienia mesa starszych oficerów, z jednym z nich jeszcze przy śniadaniu. Niespiesznie przeżuwał ogromny stek, jaja i frytki po francusku, przeglądając jednocześnie powoli jakiś ilustrowany magazyn. Sprawiał wrażenie człowieka całkowicie zadowolonego z życia i jego luksusów. Był mniej więcej w moim wieku. Wysoki, ze skłonnością do tycia ■ obrazek typowy dla tej tu załogi, która jadła tak dobrze, a ruchu miała tak niewiele. Miał wesołą, inteligentną twarz, nad którą widniały czarne, gładko przyczesane, siwiejące już na skroniach włosy. Zauważył mnie, wstał i wyciągnął rękę.

■ Pan musi być doktorem Carpenterem. Witam w mesie oficerskiej. Nazywam się Benson. Proszę usiąść.

Odparłem coś stosownego, byle szybciej, i zapytałem:

■ Co się stało? Co jest przyczyną postoju? Dlaczego nie jesteśmy w drodze?

■ To właśnie kłopot z dzisiejszym światem ■ rzekł ponuro Benson. ■ Pośpiech, pośpiech, pośpiech. I gdzie to nas zaprowadzi? Powiem panu, że...

■ Proszę mi wybaczyć. Muszę widzieć się z dowódcą. ■ Odwróciłem się, by odejść, ale położył mi rękę na ramieniu. ■ Niech się pan uspokoi, doktorze. Jesteśmy na morzu. Niech pan siada.

■ Na morzu, naprawdę? Nie czuję.

■ Nie może pan. Płyniemy w zanurzeniu. Dziewięćdziesiąt, może sto metrów. Nie troszczę się o te drobiazgi ■ dodał wylewnie. ■ Zostawiam to mechanikom.

■ Mechanikom?

■ Dowódcy, pierwszemu mechanikowi, ludziom takim jak oni. ■ Machnął ręką, aby zobrazować zakres pojęcia mechanicy. ■ Jest pan głodny?

■ Czy wypłynęliśmy z Clyde?

! Odpowiedź brzmi "tak", chyba że Clyde rozciąga się daleko poza północną Szkocją.

! Proszę powtórzyć.

! Gdy ostatni raz sprawdzałem, byliśmy daleko na Morzu Norweskim. Mniej więcej na wysokości Bergen.

! Czy dziś jest wtorek rano? ! Nie wiem, czy wyglądałem głupio, ale z pewnością tak się czułem.

! Tak, to jeszcze wtorek rano. ! Roześmiał się. ! I jeśli potrafi pan z tego wyciągnąć wniosek co do prędkości, jaką rozwijaliśmy przez ostatnie piętnaście godzin, bylibyśmy zobowiązani, gdyby zatrzymał pan to dla siebie.

Wyciągnął się w fotelu i podniósł głos:

! Henry!

Z pomieszczenia, w którym, jak sądziłem, znajdowała się spiżarnia, wynurzył się steward w białej kurtce. Był to wysoki i chudy osobnik o ciemnej cerze i długiej, ponurej twarzy przypominającej cierpiącego na niestrawność spaniela. Spojrzał na Bensaona i zapytał zmęczonym głosem:

! Jeszcze jeden talerz francuskich frytek, doktorze?

! Wiesz dobrze, że nie jadam więcej niż jedną porcję tego węglowodanowego świństwa ! rzekł Benson wyniośle. ! Przynajmniej na śniadanie. Henry, to jest doktor Carpenter.

! Dzień dobry ! odparł uprzejmie Henry.

! Śniadanie, Henry ! powiedział Benson. ! I pamiętaj, doktor Carpenter jest Anglikiem. Nie chcemy, aby miał złą opinię o potrawach podawanych na amerykańskich okrętach.

! Jeśli ktoś na tym okręcie ma złą opinię o jedzeniu ! odparł Henry ponuro ! to starannie ją ukrywa. śniadanie. Frytki. Już się robi.

! Nie frytki, na Boga ! powiedziałem. ! Jest kilka rzeczy, których my, przyzwoici Brytyjczycy, nie tkniemy rano. Jedną z tych rzeczy to właśnie frytki.

Kiwnął z aprobatą głową i wyszedł. Rzekłem:

! Rozumiem, że jest pan doktorem Bensaonem.

! Tylko lekarzem okrętowym na "Delfinie". Kimś, czyje kompetencje podano w wątpliwość przez wezwanie pana.

! Jestem tylko na przejażdżce. Zapewniam pana, że nie mam zamiaru z nikim współzawodniczyć.

! Wiem, że nie ! odparł natychmiast. Zbyt szybko. Dość szybko, abym mógł domyślić się, że Swanson

maczał w tym palce. Potrafiłem go sobie wyobrazić, jak mówi oficerom, aby zbytnio nie wypytywali Carpentera. I znów zastanowiłem się nad tym, co może zrobić komandor, gdy dotrzemy do Stacji, a on przekona się, jakim gładkim jestem kłamcą.

Benson mówił dalej z uśmiechem na twarzy:

■ Na tym okręcie nie potrzebują nawet jednego medyka, a co dopiero mówić o dwóch.

■ Nie jest pan przepracowany?

Sądząc po powolnym sposobie jazdy, nie wydawało mi się to prawdopodobne.

■ Przepracowany! Codziennie wzywam ludzi do ambulatorium pokładowego, ale nikt się nie pokazuje. Nie mówię tu o wypadkach, które przytrafiają się po dniu, gdy zawiniemy do portu kończąc dłuższy rejs. Wtedy zdarzają się lekko potłuczone głowy. Moje główne zadanie, a także i specjalność, to sprawdzanie poziomu promieniowania i rozmaitych zanieczyszczeń powietrza. Dawniej powietrze w łodziach podwodnych stawało się bardzo nieprzyjemne już po kilku godzinach zanurzenia, a my, jeżeli to konieczne, możemy pozostać na dole nawet kilka miesięcy. ■ Wyszczrzył zęby. ■ Nie, nic tu nie ma męczącego. Wyposażamy każdego członka załogi we wkładkę z błoną filmową i okresowo sprawdzamy ją, by określić dawkę promieniowania, jaką dany osobnik otrzymał. Dawka ta jest zresztą znacznie mniejsza od tej, jaką łapiemy siedząc na plaży w średnio upalny dzień. Problem zanieczyszczenia powietrza jest jeszcze prostszy i dotyczy dwutlenku i tlenku węgla. Mamy maszynę oczyszczającą, która absorbuje wydychany dwutlenek węgla z powietrza i wypompowuje go w morze. Tlenek węgla, który moglibyśmy w mniejszym lub większym stopniu wyeliminować poprzez zakaz palenia i nie robimy tego tylko dlatego, że nie chcemy spowodować buntu załogi sto metrów pod poziomem morza, jest spalany na dwutlenek przez specjalny grzejnik, a następnie usuwany w sposób, o którym przed chwilą wspominałem. I to też niezbyt mnie absorbuje, bo zwykle kompetentny mechanik utrzymuje wszystko w doskonałej formie. ■ Zawahał się. ■ Posiadam tutaj salę operacyjną, która z całą pewnością uraduje pańskie serce, doktorze Carpenter. Stół operacyjny, krzesło dentystyczne i oprzyrządowanie, a najpoważniejszy wypadek, jaki tu się zdarzył, to oparzenie między palcami od papierosa. Przydarzyło się to kucharzowi, który zasnął podczas jednego z moich wykładów.

■ Wykładów?

■ Muszę przecież coś robić, żeby nie zwariować. Dwie godziny dziennie poświęcam na lekturę nowości medycznych, ale jaki tego sens, gdy nie ma możliwości praktyki? Wykładam więc. Czytam ludziom o miejscach, w które płyniemy, i wszyscy tego słuchają. Prowadzę wykłady na temat zdrowia oraz higieny, takie ogólne, słucha tego tylko kilka osób. Mówię o niebezpieczeństwie przejadania się i braku gimnastyki, a tego nie słucha już nikt. Sam zresztą tego nie słucham. Właśnie podczas jednego z takich wykładów oparzył się kucharz. To właśnie dlatego nasz przyjaciel Henry ma tak krytyczny stosunek do nawyków żywieniowych tych, którzy powinni bez wątplenia zastanowić się nad sobą. Sam żre za dwóch, ale mając jakąś wadę metabolizmu, pozostaje chudy jak szczapa. Twierdzi, że to dzięki diecie, jaką stosuje.

■ Wszystko to brzmi mniej surowo niż trudy życia przeciętnego lekarza.

■ Tak jest ■ rozjaśnił się ■ ale mam jeszcze jedno zajęcie, dla mnie to hobby, niedostępne przeciętnemu lekarzowi. To "lodówka". W tej dziedzinie jestem ekspertem.

■ Co o tym myśli Henry?

■ Kto? Henry? ■ Roześmiał się. ■ To nie o taką "lodówkę" chodzi. Pokażę panu później.

Henry przyniósł jedzenie i chciałem, aby któryś maitres d'hotel z jakiegoś pięciogwiazdkowego hotelu w Londynie mógł zobaczyć, jak powinno wyglądać śniadanie. Kiedy skończyłem jedzenie i powiedziałem Bensonowi, że nie widzę możliwości, aby jego wykłady dotyczące nadwagi coś działały wśród załogi, rzekł:

■ Komandor Swanson powiedział, że pewnie będzie pan chciał obejrzeć okręt. Jestem do pańskiej dyspozycji.

■ To bardzo miło ze strony panów. Najpierw jednak chciałem ogolić się, ubrać i zamienić słowo z komandorem.

■ Proszę się ogolić, jeśli pan chce. Nikt tutaj tego nie wymaga. Jeśli chodzi o ubranie, to koszula i spodnie wystarczą. A dowódca polecił mi przekazać panu, że da nam znać, gdy tylko zdarzy się coś, co mogłoby pana zainteresować.

Ogoliłem się więc i poszedłem na wycieczkę po tym podmorskim mieście, pod fachowym przewodnictwem Bena. No cóż, przy "Delfinie" każda angielska łódź podwodna wyglądała na przedpotopową.

Już sam rozmiar okrętu przyprawiał o zawrót głowy; aby pomieścić potężny reaktor jądrowy, kadłub miał pojemność okrętu o nośności 3000 ton oraz trzy pokłady zamiast jednego i dolnej ładowni, jak to bywa w łodziach konwencjonalnych. Toteż rozmiar w połączeniu z przemyślaną pastelową kolorystyką dla wszystkich przestrzeni użytkowych dawał nieprzeparłe wrażenie lekkości, świeżości, no i przede wszystkim przestronności.

Benson najpierw oczywiście zaprowadził mnie do swojego ambulatorium. Była to najmniejsza i najlepiej wyposażona sala chirurgiczna, jaką kiedykolwiek widziałem. I dla tego, kto musiałby tu przejść poważną operację, i dla tego, kto chciał tylko zaplombować ząb, znalazłoby się wszystko, co trzeba. Natomiast motyw, który Benson wybrał dla ozdobienia wolnych miejsc, w niczym nie przypominał kliniki. Były to serie kolorowych fotosów filmowych, z oglądanych przeze mnie filmów rysunkowych nie zabrakło żadnej postaci, od Pixi i Dixi do Pinokia. Największy z nich przedstawiał misia Yogi pracowicie piłującego tabliczkę z napisem: "Nie karmić niedźwiedzi".

■ Trochę to się różni od zdjęć, które mężczyźni zwykle przypinają na ścianach ■ zaobserwowałem.

■ Byłem zasypywany prośbami również o takie ■ powiedział z ubolewaniem. ■ Nie pozwolono mi jednak. Uważa się, że mają zły wpływ na dyscyplinę. Te tutaj jednak rozjaśniają nieco atmosferę przywodzącą na myśl kostnicę. Rozweselają chorych i cierpiących ■ przynajmniej tak myślę ■ i odwracają ich uwagę, podczas gdy ja przewracam dwieście siedemnastą stronę starego podręcznika,

aby zorientować się, co im dolega.

Z sali operacyjnej przeszliśmy przez mesę i kabiny oficerskie, a następnie zeszliśmy na niższy pokład, do kabin załogi. Benson przeprowadził mnie przez błyszczące łazienki oraz schludną sypialnię, aż dotarliśmy do mesy.

■ Serce okrętu ■ powiedział. ■ Nie reaktor, ale to. Proszę spojrzeć: hi-fi, szafa grająca, adapter, automat do kawy, automat do lodów, kino, biblioteka i schronienie dla wszystkich karciarzy na statku. Jaką szansę ma w porównaniu z tym reaktor? Dawni podwodniacy na widok tego wszystkiego poprzewracaliby się w grobach ■ w porównaniu do prehistorycznych warunków, w jakich żyli, musielibyśmy wydać się im kompletnie zepsuci i rozpieszczeni. I może tacy jesteśmy, a może nie. Dawniej chłopcy nie musieli miesiącami pozostawać w zanurzeniu. Tutaj właśnie usypiam ich swoimi wykładami o skutkach przejedzenia.

Podniósł głos, aby mogło go usłyszeć siedmiu czy ośmiu mężczyzn siedzących wokół stołów, pijących kawę, palących papierosy i czytających.

■ Może pan sam zaobserwować, doktorze, jakie są efekty moich wykładów na temat diety i utrzymywania się w formie. Czy widział pan kiedykolwiek w życiu gromadę bardziej rozleniwionych i brzuchatych jełopów?

Marynarze uśmiechali się pogodnie. Byli widać do tego przyzwyczajeni. Benson przesadzał i oni o tym wiedzieli. Każdy wprawdzie wyglądał na takiego, który wie, co robić z nożem i widelcem, ale tylko tyle. Było między nimi ciekawe podobieństwo, wysocy czy niscy mieli wspólną właściwość, zaobserwowałem ją już u Rawlingsa i Zabirsky'ego, niewzruszoną aurę spokoju, odprężenia możliwego u fachowców, co czyniło z nich osobną kategorię mężczyzn, jakimi bez wątpienia byli.

Benson przedstawił mnie wszystkim, mówiąc mi, jakie funkcje spełniali na okręcie, a ich poinformował o tym, że jestem lekarzem Królewskiej Marynarki Wielkiej Brytanii w podróży aklimatyzacyjnej. Swanson musiał kazać mu tak właśnie powiedzieć. Było to dość bliskie prawdy i kładło kres spekulacjom na temat przyczyny mojej tu obecności.

Benson skręcił do małego pomieszczenia obok mesy.

■ Stacja odświeżania powietrza ■ powiedział. ■ A to mechanik Harrison. Jak twoje magiczne pudełko, Harrison?

■ Wszystko gra, doktoru. Wszystko gra. Odczyt tlenku węgla stały. Trzydzieści na milion. ■ Wpisał kilka liczb do dziennika. Benson podpisał się zamaszyście, zamienił z nim jeszcze kilka słów i wyszedł.

■ Połowa moich dziennych obowiązków załatwiona za jednym pociągnięciem pióra. Przypuszczam, że nie jest pan zainteresowany widokiem worków ze zbożem i ziemniakami, półci mięsa i setką innych konserw?

■ Nieszczególnie. Dlaczego pan pyta?

■ Cały dziobowy pokład pod naszymi stopami to magazyn żywności. Wydaje się, że to dużo, ale stu ludzi potrafi mnóstwo zjeść przez trzy miesiące, czyli minimum, jakie spędzimy w morzu, gdy zajdzie taka potrzeba. Darujmy sobie tę inspekcję, widok nagromadzonych zapasów sprawia, że czuję się, jakbym toczył z góry przegrany bój. Rzućmy natomiast okiem tam, gdzie jedzenie jest przygotowywane.

Poprowadził mnie na dziób, w stronę kuchni ■ niewielkiego, kwadratowego pomieszczenia, całego w kafelkach i połyskującej nierdzewnej stali. Wysoki, kędzierzawy, ubrany na biało kucharz pojawił się u wejścia i wyszczerzył do Bensaona zęby. ■ Przyszedł pan po próbki dzisiejszego lunchu, doktorku?

■ Nie. ■ Zimno odrzekł Benson. ■ Doktorze Carpenter, to szef kuchni, a jednocześnie mój arcywrog. ■ Sam MacCurie. Jaki nadmiar kalorii zamierzacie dziś wcisnąć w gardła załogi?

■ Wciskanie nie będzie potrzebne ■ odparł MacCurie radośnie. – Zupa-krem, polędwica wołowa, smażone ziemniaki i tyle szarlotki, ile kto potrafi zjeść. Dobrze, pożywne jedzonko.

Bensaon wzdrygnął się. Zrobił ruch, jakby chciał opuścić kuchnię, ale zatrzymał się i wskazał ciężką tubę, wystającą ponad metr nad podłogą kuchni.

■ To może pana zainteresować, doktorze Carpenter. Domyśla się pan, co to jest?

■ Kuchenka ciśnieniowa?

■ Tak wygląda, prawda? Jest to nasz punkt pozbywania się odpadów. Dawniej, gdy okręty podwodne musiały wynurzać się co kilka godzin, pozbywanie się śmieci nie było problemem. Ale gdy spędza się tygodnie pod wodą, na trzystumetrowej głębokości, nie można po prostu pójść na górny pokład i wyrzucić resztki za burtę. Pozbycie się ich staje się problemem. Ta rura ciągnie wprost do samego dna "Delfina". Po drugiej stronie znajduje się ciężki, wodoszczelny właz, którego otwarcie jest zsynchronizowane z tym tutaj. Włazy są tak wzajemnie sprzężone, że niemożliwe jest jednoczesne ich otwarcie. Tu Sam albo jeden z jego ludzi pakuje odpadki w nylonowe lub polietylenowe torby, obciąża je cegłami...

■ Cegłami, powiedział pan?

■ Cegłami. Sam, ile cegieł znajduje się obecnie na pokładzie?

■ Trochę ponad tysiąc, przy ostatniej kontroli, doktorku.

■ Prawdziwa budowa, prawda? ■ Benson uśmiechnął się. ■ Te cegły dają pewność, że śmieci opadają na dno i nie wypływają na powierzchnię. Nawet w czasie pokoju nie chcemy informować wszystkich wokół o naszej pozycji. Po wrzuceniu trzech lub czterech toreb górny właz jest zamykany, a torby wypompowane na zewnątrz pod ciśnieniem. Wtedy zewnętrzny właz zamykany jest również. Proste.

■ Tak. ■ Z jakiejś nieznannej przyczyny urządzenie to dziwnie mnie zafascynowało. Kilka dni później miałem przypomnieć sobie moje niezrozumiałe zainteresowanie i zastanawiać się nad tym, czy wraz z upływem lat nie wyrabiam w sobie zdolności parazmysłowych.



■ Nie jest to warte aż takiej uwagi ■ rzekł Benson z humorem. ■ Po prostu nowoczesna wersja zsypu na śmieci. Chodźmy. Mamy jeszcze kawał drogi.

Skierował się w stronę ciężkich, stalowych drzwi, umieszczonych w poprzecznej grodzi. Osiem zacisków do odblokowania i zamknięcia po przejściu drzwi.

■ Dziobowy magazyn torped. ■ Głos Bensaona ucichł o pół tonu, jako że co najmniej połowa z szesnastu koi, umieszczonych wzdłuż grodzi czy też wciśniętych między torpedy i stelaże, była zajęta przez śpiących, jak zabici, mężczyzn.

■ Tylko sześć torped, jak pan widzi. Normalnie magazynuje się ich dwanaście plus sześć. Są stale załadowane na wyrzutnie. Ale te sześć to wszystkie, jakie mamy obecnie. Mielśmy awarię z dwiema nie dość dobrze przetestowanymi torpedami nowego typu, kontrolowanymi sygnałami radiowymi, podczas ćwiczeń NATO, które właśnie się zakończyły. Admirał Gravier nakazał ich rozładunek w celu kontroli, gdy wróciliśmy do Holy Loch. "Hanley" ■ nasz okręt zaopatrzeniowy ma na swoim pokładzie ekspertów od takich prac. Ale zabrano je wczoraj rano i gdy wypadła ta sprawa z "Zebłą", dowódca zdecydował, że co najmniej sześć musi natychmiast wrócić na pokład. Jeśli jest coś, czego dowódca łodzi podwodnej nienawidzi, to właśnie wyjścia w morze bez torped. Ma wówczas uczucie, że równie dobrze mógłby pozostać w domu.

■ Te torpedy nadal są uszkodzone?

■ Nie wiem, czy są uszkodzone, czy nie. Nasi śpiący tu wojownicy zrobią wszystko, co tylko można, aby to sprawdzić.

■ Dlaczego nie pracują nad nimi teraz?

■ Ponieważ przed naszym powrotem do Clyde pracowali nad nimi szesnaście godzin bez przerwy, szukając przyczyny awarii i próbując ustalić, czy mogła zaistnieć i w innych torpedach. Powiedziałem dowódcy, że jeśli chce wysadzić "Delfina" w powietrze, to bardzo dobrym sposobem jest pozwolenie tym chłopcom pracować dalej. Zaczynali już się potykać niczym zombie, a zombie jest ostatnią osobą, którą chciałoby się widzieć, pracującą nad skomplikowanymi mechanizmami torpedy. Wysłano ich więc na odpoczynek.

Przeszedł wzdłuż lśniących torped i zatrzymał się u następnych stalowych drzwi w poprzecznej grodzi. Otworzył je, a poza nimi w odległości ponad metra znajdowała się identyczna para drzwi umieszczona w takiejż grodzi. Progi znajdowały się około dwudziestu centymetrów nad poziomem pokładu.

■ Nie ryzykujecie zbyt dużo, budując te łodzie, co? ■ Zapytałem. ■ Opancerzone niczym Bank Anglii.

■ Na nuklearnym okręcie podwodnym możemy być w równym stopniu, jak na starszych łodziach, narażeni na niebezpieczeństwa. Poprzednie łodzie tracono z powodu niewytrzymałości grodzi przeciwkolidyjnych. Kadłub "Delfina" może wytrzymać ogromne ciśnienie, lecz stosunkowo niezbyt mocne uderzenie obiektu o ostrych kształtach jest w stanie rozpruć nas jak elektryczny otwieracz do puszek. Największym niebezpieczeństwem jest zderzenie na powierzchni, które prawie zawsze

zdarza się na dziobie. Toteż, aby zabezpieczyć się podwójnie na wypadek takiego zderzenia, mamy podwójne grodzie przeciwwkolidacyjne. Jest to zresztą jedyna jak dotąd łódź podwodna, która je ma. Utrudnia to wprawdzie nieco poruszanie się w środku, ale nie ma pan pojęcia, jak dobrze wszyscy nocą śpią, wiedząc o tym zabezpieczeniu.

Zamknął za sobą tylne drzwi i otworzył dziobowe. Znaleźliśmy się na dziobowym pokładzie torpedowym, ciasnym, zabudowanym pomieszczeniu, długim zaledwie na tyle, aby można było załadować lub rozładować torpedy z wyrzutni. Rury wyrzutni, z masywnymi tylnymi zamkami, były umieszczone blisko siebie w dwóch równoległych rzędach po trzy w jednym. Pod nimi znajdowały się szyny ładownicze z umocowanymi do nich grubymi łańcuchami wyciągowymi. I to było wszystko. Żadnych koi i wcale się temu nie dziwiłem. Nie chciałbym być tym, kto miałby tu spać nie mając przegród zabezpieczających przed sobą.

Rozpoczęliśmy drogę powrotną i właśnie dotarliśmy do mesy, gdy podszedł do nas marynarz mówiąc, że dowódca chce mnie widzieć. Podążyłem za nim do sterowni. Benson, by okazać, że nie jest wścibski, trzymał się kilka kroków w tyle.

Komandor Swanson czekał na mnie przy drzwiach kabiny radiowej.

■ Dzień dobry, doktorze. Jak się spało? ■ Piętnaście godzin. A jak pan myśli? śniadanie jeszcze lepsze. Czy coś nie w porządku? ■ Było pewne, że coś wisiało w powietrzu, bo Swanson się nie uśmiechał.

■ Dostaliśmy wiadomość dotyczącą Stacji. Trzeba ją wpierw rozszyfrować, ale to nie powinno zająć więcej niż kilka minut.

Rozszyfrowana czy nie, miałem wrażenie, że Swanson był już dobrze zorientowany w jej treści.

■ Kiedy się wynurzyliśmy? ■ Zapytałem. Wiedziałem, że okręt podwodny traci wszelki kontakt ze światem w momencie zanurzenia.

■ Ani razu od momentu opuszczenia Clyde. Jesteśmy w tej chwili około dziewięćdziesięciu metrów pod powierzchnią.

■ To była depesza radiowa?

■ A cóż innego? Czasy się zmieniły. Musimy wprawdzie wynurzać się, aby nadawać, ale odbiór mamy zapewniony nawet na największej głębokości. Gdzieś w Connecticut znajduje się najpotężniejszy na świecie nadajnik radiowy, który, używając maksymalnie niskiej częstotliwości, może nawiązać z nami kontakt nawet wówczas, gdy jesteśmy na dużej głębokości, i to znacznie łatwiej niż inna stacja radiowa ze statkiem znajdującym się na powierzchni. Oczekując rozszyfrowania depeszy zapoznam pana z naszymi "kierowcami".

Przedstawił mnie kilku ludziom z centrum kontrolnego, a podobnie jak Benson nie przywiązywał wagi do stopnia prezentowanego marynarza. Zatrzymał się w końcu przy oficerze siedzącym z tyłu za stanowiskiem peryskopowym, młodzieńcu, który, z wyglądu sądząc, powinien być jeszcze w szkole.

■ Will Raeburn ■ powiedział Swanson. ■ Zwykle nie zwracamy na niego uwagi, ale gdy płyniemy pod

lodem, staje się on najważniejszym człowiekiem na okręcie. Oficer nawigacyjny. Nie zblądziłyśmy, Will?

■ Jesteśmy tu, komandorze ■ wskazał na mikroskopijny, świetlny punkcik na mapie Morza Norweskiego, umieszczonej na stole nakresowym.

■ Żyro i SINS zgadzają się co do joty.

■ SINS? (ang. ■ grzechy. Tu: Ship's Inertial Navigational System.) ■ zapytałem ze zdumieniem.

■ Ma pan prawo być zdziwiony, doktorze ■ odparł Swanson. ■ Will jest zbyt młody, aby mieć na sumieniu jakieś grzechy. SINS oznacza System Nawigacji Inercyjnej okrętu, używany niegdyś do sterowania pociskami międzykontynentalnymi, zaadaptowany do użytku w łodziach podwodnych. Szczególnie w jądrowych łodziach podwodnych. Nie widzę sensu we wdawaniu się teraz w szczegóły. Will gotów jest zamęczyć nimi pana, jeśli tylko da się pan przyprzeć do muru. ■ Spojrzał na mapę. ■ Czy odpowiada panu szybkość, z jaką się poruszamy, doktorze?

■ Nadal w to nie wierzę ■ odparłem.

■ Opuściliśmy Holy Loch trochę wcześniej, niż oczekiwałem ■ przyznał. ■ Zamierzałem przeprowadzić kilka powolnych zanurzeń, aby wybalastować okręt, ale okazało się, że nie trzeba. Nawet brak dwunastu torped na dziobie nie spowodował takiej przewagi ciężkości rufy, jakiej się spodziewałem. Ciężar okrętu jest taki, że kilka ton mniej czy więcej, tu czy tam, nie wywołuje na nim wrażenia. Więc po prostu ruszyliśmy... ■ Przerwał, aby wziąć od marynarza kartkę z depeszą. Przeczytał ją powoli. Gwałtownie szarpnął głową, przeszedł w spokojniejsze miejsce i odwrócił się do mnie, gdy tylko doń dołączyłem. Nadal się nie uśmiechał. ■ Przykro mi ■ powiedział. ■ Major Halliwell, komendant Stacji Arktycznej. Mówił pan, że był pańskim przyjacielem?

Poczułem suchość w ustach. Przytaknąłem i wziąłem od niego depeszę. Brzmiała następująco:

"Następna wiadomość ze stacji arktycznej Zebra bardzo poprzerywana i trudna do zrozumienia, została odebrana o godzinie #/10#45 czasu Greenwich przez brytyjski trawler "Morning Star", ten sam, który przechwycił poprzednią transmisję. Wiadomość ta przekazywała, że major Halliwell oraz trzech innych nie wymienionych z nazwiska znajduje się wśród ciężko rannych i martwych. Brak wiadomości, ilu z tej czwórki nie żyje, i którzy to z nich. Reszta cierpi od odmrożeń i oparzeń. Wiadomości o żywności czy warunkach meteorologicznych, ze względu na złą jakość transmisji, nie udało się odcyfrować. Zrozumiane zostało, że ci, którzy przeżyli, znajdują się w jednym baraku, którego nie są w stanie opuścić, ze względu na pogodę. Wyraźnie odczytano słowa: "burza śnieżna". "Morning Star" kilkakrotnie usiłował skontaktować się ze stacją zaraz po odebraniu transmisji. Bez powodzenia. Na polecenie Admiralicji trawler porzucił łowisko i płynie na północ, aby służyć jako stacja nasłuchowa. Koniec depeszy."

Zwinąłem papier i oddałem Swansonowi.

Powiedział jeszcze raz:

■ Przykro mi, Carpenter.

■ Ciężko ranni lub martwi ■ rzekłem ■ w wypalonych ruinach Stacji, w zimie na kawałku kry. Co za różnica? ■ Mój własny głos zabrzmiał mi w uszach jak głos innego człowieka, głos głuchy, bez życia, pozbawiony jakichkolwiek emocji.

■ Johny Halliwell i trzech jego ludzi. Johny Halliwell. Nieczęsto spotyka się kogoś takiego, komandorze. Niezwykły człowiek. PO śmierci rodziców, mając piętnaście lat opuścił szkołę i poświęcił się wychowywaniu młodszego osiem lat brata, stworzył mu nawet możliwość studiów na uniwersytecie, sześcioletnich studiów. Dopóki się nie ożenił, nie myślał o sobie. Teraz opuszcza uroczą żonę i trójkę wspaniałych dzieci, dwie bratanice i bratanka, a żadne z nich nie ma jeszcze sześciu lat.

■ Dwie bratanice... ■ urwał i spojrzał na mnie. ■ Dobry Boże, pański brat? Pański brat?

Na razie zdawał się nie zauważać nic szczególnego w różnicy między naszymi nazwiskami. Potaknąłem milcząco.

Młody porucznik Raeburn podszedł do nas z wyrazem dziwnego niepokoju na twarzy, ale Swanson machnął nań ręką, aby się nie zbliżał, nie patrzył w jego stronę. Pokręcił powoli głową.

Powiedziałem nagle:

■ Jest twardy. Może być jednym z tych, co przeżyli. Może żyje. Musimy mieć koordynaty Stacji, musimy je dostać.

■ Może być, że sami ich nie mają ■ odparł. Widać było, że jest wdzięczny za temat do rozmowy. ■ Proszę pamiętać, że to dryfująca stacja. Przy pogodzie takiej, jaka się tam teraz utrzymuje, możliwe, że ostatnie pomiary robili kilka dni temu, a z tego, co wiemy, wszystkie ich sekstansy, zegary i radiowy sprzęt pomiarowy zniszczył ogień.

■ Muszę znać ich ostatnią pozycję, nawet sprzed tygodnia. Powinni mieć całkiem dokładne odczyty co do prędkości i kierunku dryfu kry. Będą w stanie dostarczyć odpowiednich danych. "Morning Star" musi być powiadomiony, aby transmitował non stop żądanie podania pozycji. Czy jest pan w stanie nawiązać łączność z trawlerem, jeśli wynurzymy się teraz?

■ Wątpię. "Morning Star" musi być ponad tysiąc mil na północ od nas. Jego odbiornik nie jest dostatecznie duży, aby nas odebrać, co znaczy też, że nasz jest zbyt słaby.

■ BBC ma wiele nadajników, które są wystarczająco duże. Tak samo Admiralicja. Proszę skontaktować się z jednym albo drugim i przekazać, aby nawiązali kontakt z trawlerem i polecili ciągle nadawanie pytania o pozycję.

■ Mogą to zrobić sami.

■ Oczywiście, ale nie są w stanie usłyszeć odpowiedzi. "Morning Star" może, jeżeli taka odpowiedź nadejdzie. Zbliża się przecież do nich z każdą chwilą.

■ Wynurzymy się ■ przytaknął Swanson. Odwrócił się od mapy, nad którą staliśmy i skierował do stanowiska zanurzenia. Przechodząc koło stołu nakresowego zapytał: ■ Co chciałeś, Will?

Porucznik Raeburn odwrócił się do mnie tyłem i zniżył głos, ale słuch miałem lepszy niż przeciętny. Usłyszałem, jak wyszeptał:

■ Czy widział pan jego twarz, komandorze? Myślałem, że zamierza pana uderzyć.

■ Też mi to przeszło przez myśl ■ zamruczał Swanson. ■ Sądzę jednak, że byłem tylko na linii jego wzroku. To wszystko.

Poszedłem do swojej kabiny i położyłem się na koi.

### Rozdział 3

■ To właśnie to ■ powiedział Swanson. ■ To jest Bariera.

Wielki, cylindryczny kadłub "Delfina", w jednym momencie całkowicie zanurzony, w drugim całkowicie widoczny na powierzchni, taranując wzburzone fale, robił nie więcej niż trzy węzły. Ogromne, atomowe silniki dostarczały zaledwie tyle mocy, aby potężne, bliźniacze dwuipółmetrowe śruby utrzymywały okręt na kursie.

Dziewięć metrów poniżej, na mostku, gdzie staliśmy, najdoskonalszy sonar świata bezustannie badał wody wokół nas. Swanson nie ryzykował zderzenia z górą lodową. Było południe. Arktyczne niebo było jednak tak zachmurzone, że widoczność była nie lepsza od późnej wieczornej. Termometr na mostku wskazywał temperaturę wody: 28/0 w skali Fahrenheita, temperaturę powietrza: 16/0 na tej samej skali. Sztormowy wiatr wiejący z północnego wschodu załamywał i rozpryskiwał wierzchołki stalowoszarych fal poddając prostopadły kadłub kiosku bezustannemu dudnieniu bryzgów wody, które w momencie uderzenia zdążyły już zamienić się w kawałki lodu. Było przenikliwie zimno.

Trzęsąc się nieustannie, otulony w ciężki wełniany płaszcz i sztormiak, skulony za iluzoryczną osłoną brezentowego parawanu, spoglądałem w kierunku wskazującego palca Swansona. Nawet przejmujące wycie wiatru i nieustanne dudnienie kadłuba pod uderzeniami bryzgów lodu nie były w stanie zagłuszyć gwałtownego szczękania jego zębów. Mniej niż dwie mile z przodu długa, cienka, szarawobiała linia, z tej odległości wydająca się gładką i regularną, zdawała się rozciągać przez całą szerokość horyzontu. Widziałem to już wcześniej i nie było specjalnie na co patrzeć. Jednak do tego obrazu człowiek nigdy nie przywyknie. Nie ze względu na sam widok, ale na to, co reprezentował ■ początek czapy polarnej, która pokrywa wierzchołek świata. Stałą zwartą masę lodu, która o tej porze roku rozciąga się od miejsca, w którym byliśmy, aż po Alaskę na drugiej stronie kuli ziemskiej. Mieliśmy płynąć pod tę masę. Musieliśmy, aby kilkaset mil dalej odnaleźć ludzi, być może w tej chwili umierających, może już martwych. Prawdopodobnie nie żyli. Musieliśmy, przy Bożej pomocy, odszukać tych ludzi w bezmiarze lodu, rozciągającym się przed nami w nieskończoność. Na ślepo, bo nie wiedzieliśmy nawet, gdzie się znajdują. Radiodepesza, którą otrzymaliśmy czterdzieści dziewięć godzin wcześniej, była ostatnia. Od tej pory cisza. Trawler "Morning Star" nadawał prawie

bez przerwy, próbując nawiązać kontakt z "Zebra". Jednak z lodowej pustyni na północy nie nadchodziło nic. Ani słowa, żadnego sygnału, nawet najmniejszy szmer nie dochodził z obszaru wiecznych lodów.

Osiemnaście godzin wcześniej radziecki lodołamacz "Dźwina" dotarł do Bariery i rozpoczął desperacką próbę przebicia się do serca śnieżnej tafli. W obecnym, początkowym stadium zimy lód nie był tak gruby ani tak zwarty jak w marcu, a opancerzony lodołamacz o potężnych silnikach uważany był za zdolny do przebicia się przez pokrywę grubą ponad pięć metrów. Wierzono, że przy sprzyjających warunkach "Dźwina" jest w stanie dotrzeć nawet do bieguna. Niestety, warunki okazały się anormalne, a próba beznadziejna. "Dźwinie" udało się dotrzeć około pięćdziesięciu mil w głąb czapy polarnej, zanim została zatrzymana przez grubą ścianę lodu o wysokości sześciu metrów i prawdopodobnie trzydziści metrów szeroką. Zgodnie z doniesieniami radiowymi, okręt został poważnie uszkodzony w części rufowej i cały czas z wielką trudnością przebija się z powrotem w stronę otwartego morza. Ogromny wysiłek, który nie przyniósł nic, prócz poprawy stosunków Wschód-Zachód, o jakiej od lat nie marzono.

Radzieckie próby na tym się skończyły. Zarówno Rosjanie, jak i Amerykanie wykonali wiele lotów nad tym obszarem na bombowcach dalekiego zasięgu. Przy głębokim zachmurzeniu i opadach śnieżnych samoloty te przeleciały nad podejrzanym obszarem setki razy, używając fantastycznie dokładnych radarów. Bez rezultatu. Podawano różne przyczyny, próbując wyjaśnić niepowodzenie, szczególnie niepowodzenie strategicznego bombowca sił powietrznych USA, B52, którego radar uważany był za zdolny do namierzenia baraku z wysokości trzystu metrów w całkowitych ciemnościach. Sugerowano, że baraków tam już nie ma, że radar nie był w stanie odróżnić pokrytego śniegiem i lodem baraku od tysięcy innych wzniesień, które pokrywały w zimie Arktykę, a nawet to, że poszukiwania toczyły się od początku nad niewłaściwym obszarem. Najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie brzmiało: fale radaru zostały zdeformowane i zaburzone przez tumany igieł lodowych, przesuwających się nad tym terenem. A ze Stacji Arktycznej "Zebra" nie dochodził żaden znak, jakby nigdy nie było tam żadnego życia.

■ Nie ma pożytku ze stania tutaj i zamarzania na śmierć. ■ Głos dowódcy był półkrzykiem, musiał takim być, aby był słyszalny. ■ Jeśli mamy zejść pod lód, równie dobrze możemy zrobić to teraz. ■ Odwrócił się tyłem do wiatru i spojrzał na zachód, gdzie około czterystu metrów dalej wielki, szerokokadłubowy trawler przebijał się z wysiłkiem przez fale. "Morning Star", który dotarł aż do krańca pływającej kry, po dwóch dniach bezskutecznego nasłuchiwania i oczekiwania miał właśnie zawrócić do Hull. Kończyły mu się rezerwy paliwa. ■ Nadajcie sygnał ■ rzekł Swanson do marynarza u swego boku. ■ Zanurzamy się i posuwamy naprzód pod lodem. Nie oczekujemy wynurzenia przed upływem minimum czterech dni. Jesteśmy przygotowani na pozostanie pod wodą przez czternaście dni. ■ Odwrócił się do mnie. ■ Jeśli nie znajdziemy ich w tym czasie... ■ Nie dokończył zdania. Skinąłem głową, a on mówił dalej:

■ Wielkie dzięki za waszą wspaniałą współpracę. Powodzenia i bezpiecznej drogi do domu.

Gdy migacz zaczął wskazywać wiadomość, zapytał z zastanowieniem:

■ Czy ci rybacy łowią w Arktyce całą zimę?

■ Tak.

■ Całą zimę. Piętnaście minut, a jestem bliski śmierci. Po prostu banda zdegenerowanych Anglików. Oto czym są.

Reflektor na pokładzie trawlera zabłyśł kilkakrotnie. Swanson zapytał:

■ Jaka odpowiedź?

■ Uważajcie na głowy pod lodem. Powodzenia i do widzenia.

■ Wszyscy na pokład ■ zakomenderował Swanson.

Sygnałowy zaczął zwijać brezentowy parawan, a ja zbiegłem po drabince do małego pomieszczenia poniżej, precyzyjnie się przez właz i po następnej drabince zszedłem do komory ciśnieniowej. Po pokonaniu jeszcze jednego włazu i kolejnej drabinki znalazłem się na pokładzie kontrolnym "Delfina". Swanson i sygnałowy podążali za mną. Na końcu schodził Hansen, który musiał zamknąć za sobą dwie pary ciężkich wodoszczelnych drzwi. Technika zanurzenia stosowana przez Swansona byłaby wielkim rozczarowaniem dla ludzi wychowanych na filmach o łodziach podwodnych. Bez gorączkowego pośpiechu i napięcia u ludzi pochylonych nad przyrządami kontrolnymi, żadnych okrzyków: "Zanurzenie" i sygnałów klaksonem.

Swanson sięgnął po mikrofon i powiedział spokojnie:

■ Mówi dowódca. Za chwilę schodzimy pod lód. Zanurzenie. Dziewięćdziesiąt metrów.

Szef techniki elektronicznej leniwym wzrokiem sprawdził rzędy światełek oznaczających wszystkie włazy, luki i zawory, zamknięte dla dostępu wody. Wybrzuszone światełka były zgaszone, natomiast jasnym światłem promieniały płaskie.

■ Wszystkie włazy zamknięte, panie komandorze.

Swanson kiwnął głową. Głośno zasyczało powietrze wypuszczane ze zbiorników balastowych i to było wszystko. Znajdowaliśmy się pod wodą. Było to równie ekscytujące, co przyglądanie się człowiekowi, pchającemu taczki. Wszystko to jednak w jakiś dziwny sposób dodawało otuchy. Dziesięć minut później Swanson podszedł do mnie. W ciągu ostatnich dwóch dni zdążyłem dość dobrze go poznać i polubić. Jednocześnie zacząłem odczuwać dlań ogromny szacunek. Załoga wierzyła mu milcząco i całkowicie. Zaczynałem mu ufać w taki sam sposób. Był swego rodzaju geniuszem o ogromnej wiedzy na temat wszystkich aspektów pracy pod wodą. Miał nadzwyczajne oko do szczegółów, a jeszcze bardziej bystry umysł oraz niewzruszony spokój w każdej sytuacji. Hansen ■ jego pierwszy oficer, który rzadko z kim się liczył ■ stanowczo oświadczył, że Swanson to najlepszy oficer, jaki służy w całej Marynarce Wojennej. Miałem nadzieję, że ma rację, bo kogoś takiego właśnie potrzebowałem.

■ Niedługo wpłyniemy pod lód, doktorze Carpenter ■ odezwał się. ■ Co pan w związku z tym odczuwa?

■ Czułbym się lepiej, gdybym wiedział, dokąd płyniemy. ■ Może pan wiedzieć ■ odparł. ■ Mamy tu najlepsze oczy świata, patrzą w dół, pod siebie i w górę. Dolne oko to głębokościomierz, czyli echosonda, która mówi nam, jak wiele mamy wody pod kilem, a ponieważ mamy jej teraz tysiąc pięćset metrów, uderzenia w jakąś przeszkodę nie musimy się obawiać. Tak więc choć używanie echosondy w tym momencie jest zwykłą formalnością, żaden odpowiedzialny nawigator nie wyłączyłby jej. Dwoje oczu hydrolokatora bada wodę wokół łodzi i przed nią, jedno stale omiata cały statek, drugie zatacza łuk o kącie piętnastu stopni w przód od dziobu. Widzą wszystko i wszystko słyszą. Niechby na statku, znajdującym się dwadzieścia mil stąd, upadł panu na podłogę klucz francuski, natychmiast byśmy o tym wiedzieli. Tak to jest. I znów to może wydać się czystą formalnością. Sonar poszukuje podwodnych stalaktytów lodowych, wciśniętych w głąb przez warstwy sprasowanego lodu powyżej, ale podczas żadnego z pięciu rejsów, jakie odbyłem pod lodem, w tym dwóch do bieguna, ani razu nie widziałem stalaktytów ani krawędzi lodowych na głębokości poniżej sześćdziesięciu metrów, a płyniemy obecnie na dziewięćdziesięciu. Mimo to sonary mamy cały czas włączone.

■ Możecie zderzyć się z wielorybem? ■ Zasugerowałem.

■ Możemy zderzyć się z inną łodzią podwodną. ■ Nie uśmiechał się. ■ A to oznaczałoby koniec i dla nas, i dla nich. Rosyjskie i nasze atomowe okręty podwodne, kursujące w tę i nazad pod wierzchołkiem świata, z każdym dniem coraz bardziej upodabniają ten obszar do Times Square.

■ Ale z pewnością szanse...

■ A czy są szanse zderzenia w powietrzu dwóch samolotów na obszarze dziesięciu tysięcy mil kwadratowych nieba? Teoretycznie nie. Ale tylko w tym roku były już trzy takie zderzenia, dlatego sonar pracuje. Najważniejszym jednak okiem, kiedy jesteśmy pod lodem, jest to, które patrzy do góry. Niech pan pójdzie ze mną i zobaczy.

Poprowadził mnie do końca burty sterowni, gdzie doktor Benson i jeszcze jakiś człowiek zajęci byli wpatrywaniem się w maszynę oszkloną na wysokości oczu człowieka. Pod szkłem widać było tylko przesuwającą się wstęgę papieru o siedemnastocentymetrowej szerokości oraz pokrytą tuszem igłę, która znaczyła na niej wąską, czarną linię, biegnącą prosto. Benson zajęty był dostrajaniem kilku wyskalowanych urządzeń kontrolnych.

■ Głębokościomierz powierzchniowy ■ wyjaśnił Swanson. ■ Nazywamy go "lodówką". Nie jest to wcale urządzenie, którym powinien zajmować się doktor Benson. Mamy dwóch wyszkolonych do tego celu specjalistów. Nie widząc jednak sposobu oderwania doktora Bensa od tego urządzenia, bez jednoczesnego postawienia go pod sąd wojenny, przymykamy oko.

Benson wykrzywił się w uśmiechu, ale nie oderwał wzroku od prostej linii zostawianej przez igłę na papierze.

■ Działa na takiej samej zasadzie co echosonda. Po prostu echo odbija się od lodu, oczywiście, jeżeli takowy jest. Ta cienka, czarna linia, którą pan widzi, oznacza nie zamrożoną wodę na powierzchni. Gdy wpłyniemy pod lód, igła poruszać się będzie również w pionie, co wskazuje nie tylko na obecność lodu, ale pozwala również na ocenę jego grubości.



■ Genialne ■ powiedziałem.

■ Nawet więcej. Pod lodem to może zadecydować o życiu lub śmierci, a już na pewno od tego urządzenia zależeć będzie życie lub śmierć ludzi ze Stacji. Tylko "lodówka" wskaże najcieńszą pokrywę lodu, bo nawet znając pozycję Stacji, nie przebijając pokrywy nie dostaniemy się tam.

■ Żadnych miejsc nie zamarzniętych teraz tu nie ma?

■ Nie. Prawdę mówiąc, kra nigdy nie jest w całkowitym bezruchu, nawet w zimie, a napięcie powierzchniowe może od czasu do czasu rozerwać lód ukazując czystą wodę. Jednak przy panującej tu zimą temperaturze może się pan domyślić, jak długo woda nie zamarza. Cienka skorupa lodu tworzy się już po pięciu minutach. Po godzinie skorupa ma już ze dwa centymetry, a w ciągu dwóch dni trzydzieści. Jeśli trafimy na taki zamarzający obszar, mamy szansę przebicia się.

■ Za pomocą wieżyczki?

■ Tak. Mówimy na to kiosk. Wszystkie nasze łodzie podwodne mają specjalnie wzmocnione kioski, skonstruowane w jednym tylko celu ■ przebicia się przez lód. Pomimo to podnosić musimy się niezwykle ostrożnie, bo wstrząs przenosi się drganiami na cały kadłub.

Pomyślałem nad tym chwilę i zapytałem:

■ Co stanie się z kadłubem, jeśli podniesiemy się zbyt szybko, co jak rozumiem może się zdarzyć przy nagłej zmianie zasolenia i temperatury wody, a jednocześnie wykryjemy w ostatniej minucie, że zdryfowaliśmy z obszaru cienkiego lodu i mamy nad sobą solidną trzymetrową warstwę?

■ Otóż to ■ odparł. ■ Tak jak pan powiedział, byłaby to ostatnia minuta. Lepiej nie myśleć i nie mówić o tym. Nie mogę dopuścić do tego, aby załoga miewała koszmary.

Przyjrzałem mu się uważnie, ale nie było mu do śmiechu.

Dodał ciszej:

■ Uczciwie mówiąc, nie sądzę, aby znalazła się na pokładzie choć jedna osoba wolna od niepokoju podczas rejsu pod lodem. Nawet ja, choć uważam, że jest to najlepszy okręt na świecie, wiem, że sto rozmaitych rzeczy może się tu przytrafić, jakakolwiek awaria reaktora, turbin parowych czy generatorów i jesteśmy w trumnie z przykręconym wiekiem. Lód jest tu wiekiem trumny. Na otwartym morzu awarie tego typu nie są groźne, po prostu wynurzamy się i płyniemy dalej na silnikach dieslowskich, ale diesel potrzebuje powietrza, a pod lodem go nie ma. Gdyby więc coś się nam przytrafiło, to albo znajdziemy cienki lód i wynurzymy się, co o tej porze roku jest jedną szansą na dziesięć tysięcy, albo... to by było na tyle.

■ Bardzo krzepiące ■ powiedziałem.

■ Prawda? ■ Uśmiechnął się, ale jak dla mnie za późno. ■ To się nigdy nie przytrafi. Dlaczego Benson robi tyle hałasu?

! Jest! ! Zawołał Benson. ! Pierwszy dryfujący blok. Drugi! I jeszcze jeden. Proszę podejść i zerknąć, doktorze.

Spojrzałem. Igła wydając słaby, syczący dźwięk nie rysowała już ciągłej, poziomej linii, ale przesuwała się gwałtownie w górę i w dół wstęgi papieru, wyznaczając zarys lodowego bloku, przesuwanego się nad nami. Znowu cienka, prosta linia. Potem jeszcze bardziej gwałtowne pionowe ruchy rysika ! minęliśmy następny blok. W trakcie mego patrzenia ruchy igły w poziomie stawały się coraz rzadsze i krótsze, aby wreszcie zniknąć zupełnie.

! A więc ! Swanson kiwnął głową ! zejdziemy teraz głęboko. Naprawdę głęboko i zwiększymy prędkość.

Gdy komandor Swanson powiedział, że zamierza się spieszyć, to właśnie to miał na myśli, co do słowa. U schyłku nocy przed kolejnym dniem przebudziłem się z głębokiego snu, poczuwszy na ramieniu ciężką rękę. Otworzyłem oczy, zamrugałem oślepiiony światłem i dopiero wtedy zobaczyłem porucznika Hansena.

! Przykro mi z powodu przerwania pięknego snu ! powiedział wesoło. ! Ale to już.

! Co już? ! Spytałem z irytacją.

! 85/0#35/9 północnej i 21/0#20/9 wschodniej. Ostatnia pozycja stacji "Zebra".

! Już? ! Spojrzałem niedowierzająco na zegarek. ! Już jesteście?

! Nie byliśmy beczynni ! powiedział Hansen skromnie. ! Szef sugeruje, żeby pan wstał i przyjrzał się nam przy pracy.

! Zaraz będę. ! Chciałem być obecny, gdy "Delfin" będzie przebijał się przez lód i próbował swojej jednej na milion szansy nawiązania łączności ze stacją.

Opuściliśmy kabinę i prawie dotarliśmy do sterowni, gdy wychyliłem się do przodu, zachwiałem i byłbym upadł, gdyby nie linka relingu, której się uchwyciłem. Trzymałem się jej z determinacją, podczas gdy "Delfin" kołysał się gwałtownie na boki niczym samolot myśliwski w czasie ostrego skrętu. Żadna znana mi dotąd łódź podwodna, nawet w przybliżeniu, nie zachowywała się w ten sposób. Rozumiałem teraz powody, dla których fotele przy stanowiskach zanurzeniowych wyposażone były w pasy bezpieczeństwa.

! Co się, u diabła, dzieje?! Zapytałem Hansena. ! Próbujemy wyminąć jakąś podwodną przeszkodę?

! Prawdopodobnie cienki lód. Gdy tylko zauważymy takie miejsce, natychmiast, niczym pies usiłujący schwytać własny ogon, zawracamy, aby nie przegapić szansy. To nam przysparza popularności wśród załogi, zwłaszcza jeżeli w takim momencie piją akurat kawę czy jedzą zupę.

Weszliśmy do sterowni. Komandor Swanson wraz z asystującym mu nawigatorem i jeszcze jednym mężczyzną, pochylony nad stołem nakresowym, przyglądał się czemuś w napięciu. Nieco dalej w

przodzie człowiek przy głębokościomierzu powierzchniowym spokojnym, beznamiętnym głosem odczytywał cyfry oznaczające grubość lodu. Swanson spojrzął znad mapy.

■ Uszanowanie, doktorze. John, myślę, że na coś trafiliśmy.

Hansen podszedł do wykresu i przyjrzał mu się. Wydawało mi się, że nie ma na co patrzeć. Mizerny, świetlny punkcik i kwadrat mapy pocięty seriami czarnych, falistych linii wyrysowanych przez człowieka, podążającego ołówkiem za przesuwanym się światełkiem. Znajdowały się tam też trzy czerwone krzyżyki, dwa z nich bardzo blisko siebie. Podczas gdy Hansen przyglądał się wykresowi, człowiek obserwujący "lodówkę" ■ entuzjazm doktora Bensona do tego urządzenia, nie rozciągał się, jak widać na godziny nocne ■ zawołał:

■ Znak!

Natychmiast czarny ołówek został zastąpiony czerwonym i na wykresie pojawił się czwarty krzyżyk.

■ W porządku, komandorze ■ rzekł Hansen. ■ Wyglądają na bardzo wąskie.

■ Też mi się tak wydaje ■ przyznał Swanson ■ ale to pierwszy wyłom w grubej pokrywie lodowej od niemalże godziny! I jeśli posuwać się będziemy dalej na północ, marne nasze szanse. Teraz! Prędkość!

■ Węzeł ■ powiedział Raeburn.

■ Jedna trzecia w tył ■ wydał komendę Swanson. Żadnym tam rozkazującym tonem, nawet nie w taki sposób, w jaki wydaje się rozkazy. Wyglądało to raczej na cichą sugestię, ale nie można było nie zauważyć szybkości, z jaką jeden z ludzi schylił się nad tubą głosową, by przekazać rozkaz do maszynowni.

■ Ster w lewo.

Komandor pochylił się, aby sprawdzić wykres pozycji. Obserwował światełko i sunął ołówkiem wstecz do centralnego punktu w kwadracie utworzonym przez czerwone krzyżyki.

■ Maszyny stop ■ dodał. ■ Ster na osi.

Po chwili:

■ Jedna trzecia naprzód. Tak. Maszyny stop.

■ Prędkość zero ■ powiedział Raeburn.

■ Trzydzieści sześć metrów ■ Swanson rzekł do oficera na stanowisku zanurzeniowym. ■ Ale ostrożnie, ostrożnie.

Głośny jednostajny brzęk zabrzmiał echem w sterowni.

■ Wyrzucamy balast? ■ Zapytałem.

Potrząsnął głową.

■ Po prostu wypompowujemy wodę. Ułatwia to bardziej precyzyjną kontrolę szybkości wynurzenia i utrzymuje łódź w poziomie. Podnoszenie unieruchomionej łodzi na poziomym kilu to manewr nie dla początkujących. Konwencjonalne łodzie nigdy nie próbują takich sztuczek.

Pompy zatrzymały się. Rozległ się odgłos wody napływającej z powrotem do zbiorników. Zwalniało to prędkość wznoszenia.

■ Zamknąć dopływ ■ powiedział oficer od zanurzenia. ■ Tak trzymać. Trzydzieści sześć metrów.

■ Peryskop w górę. ■ Głos Swansona skierowany był do członka załogi, stojącego obok.

Ponad naszymi głowami włączył się podnośnik i można było słyszeć syk sprężanego pod wysokim ciśnieniem oleju, podczas gdy hydrauliczny tłok zaczął podnosić z łożyska peryskop z prawej burty. Błyszczący cylinder wznosił się powoli, pokonując opór wody nad nami, aż w końcu wierzchołek peryskopu wyjrzał ponad kanał peryskopowy. Swanson otworzył uchwyty i spojrział w wizjer.

■ Na co on zamierza patrzeć w środku nocy na tej głębokości? ■ Spytałem Hansena.

■ Trudno powiedzieć, na zewnątrz rzadko bywa zupełnie ciemno, przecież pan wie. światło księżyca, a nawet gwiazd dociera, jako słaba poświata, poprzez lód, oczywiście, jeżeli lód jest dostatecznie cienki.

■ Jaka jest tu grubość pokrywy lodowej?

■ Pytanie za sześćdziesiąt cztery tysiące dolarów ■ przyznał Hansen. ■ A odpowiedź brzmi: nie wiemy. Aby nasza "lodówka" nie zajmowała zbyt wiele miejsca, skala grafu musi być bardzo mała. Od dziesięciu centymetrów do stu. Przy dziesięciu przechodzimy przez lód jak przez masło, przy stu ■ nabijamy sobie całkiem zdrowego guza. ■ Kiwnął głową do Swansona. ■ Nie wygląda to dobrze. Uchwyt, którym kręci, kieruje soczewki peryskopu w górę, gałka dostraja ostrość. Oznacza to, że ma kłopoty ze znalezieniem czegokolwiek.

Swanson wyprostował się.

■ Czarno jak w piekle ■ powiedział. ■ Oświetlić kadłub i kiosk. ■ Pochylił się znów na moment. ■ Grochówka, gęsta i żółta. Nic tu nie zobaczymy. Włączamy kamerę.

Spojrziałem na Hansena, który wskazał głową na biały ekran na przeciwległej grodzi.

■ Sama nowoczesność, doktorku. Zamknięty obwód telewizyjny. Kamera jest zamontowana na pokładzie pod pancernym szkłem, a stąd zdalnie kierowana.

■ Przydałaby się wam nowa, co? ■ Ekran telewizyjny był szary i zamglony, brak było jakichkolwiek konturów.

─ Mamy najlepszą z dostępnych ─ odparł. ─ To woda. Przy pewnej temperaturze i zasoleniu, oświetlona, staje się całkowicie przejrzysta. To tak, jak w czasie jazdy samochodem we mgle z włączonymi długimi światłami.

─ Wyłączyć reflektory ─ powiedział Swanson. Ekran stał się zupełnie czarny. ─ Włączyć. ─ Ta sama, kłębiąca się szarość jak poprzednio. ─ Co o tym sądzisz, John?

─ Gdyby płacono mi za wyobrażanie pewnych rzeczy ─ powiedział ostrożnie Hansen ─ mógłbym wyobrazić sobie czubek kiosku w lewym rogu ekranu. W tym miejscu jest całkiem ciemno, komandorze. Podnosimy się po omacku?

─ Duże ryzyko, rosyjska ruletka, powiedziałbym ─ Swanson miał pogodną twarz człowieka kontemplującego niedzielne popołudnie na leżaku.

─ Czy utrzymujemy pozycję? Raeburn spojrzął znad wykresu:

─ Nie wiem. Nie mam pewności.

─ Sanders? ─ To do człowieka przy "lodówce".

─ Cienki lód, panie komandorze. Ciągłe cienki lód.

─ Proszę cały czas przekazywać odczyt. Peryskop w dół. ─ Odwrócił się do oficera zanurzeniowego. ─ Podnieś nas w górę, ale tak, jakbyśmy mieli na czubku kiosku pojemnik z jajkami, z których żadne nie ma prawa pęknąć.

Znowu zaszumiały pompy. Rozejrzałem się po sterowni. Nie licząc Swansona, wszyscy siedzieli cicho, nieruchomi i napięci. Twarz Raeburna zrosił pot, a głos Sandersa był zbyt spokojny i bezosobowy, aby to było naturalne.

─ Cienki lód, cienki lód ─ powtarzał monotannie.

Napięcie niemal wisiało w powietrzu, tylko ręką dotknąć.

Powiedziałem cicho do Hansena:

─ Nikt nie wygląda na uszczęśliwionego. A mamy przecież jeszcze do podejścia około trzydziestu metrów.

─ Dwanaście ─ odparł krótko Hansen. ─ Odczyty są brane od poziomu kilu, a między kilem a wierzchołkiem kiosku jest osiemnaście metrów. Dwanaście metrów minus grubość lodu i być może ostrego jak brzytwa stalaktytu, który gotów jest przebić "Delfina". Wie pan, co to znaczy?

─ Czyżby już był czas, żebym i ja zaczął się niepokoić?

Hansen uśmiechnął się bez przekonania. I mnie nie było do śmiechu.

! Dwadzieścia siedem metrów.

! Cienki lód, cienki lód ! intonował Sanders.

! Wyłączyć reflektor pokładowy, zostawić reflektor na kiosku ! powiedział Swanson. ! Kamera niech chodzi. Sonar?

! Wszędzie czysto ! zameldował obsługujący sonar. ! Czysto wokół okrętu. ! A po chwili: ! Stop! Kontakt ze statkiem.

! Jak blisko? ! Zapytał szybko dowódca.

! Zbyt blisko na dokładną ocenę. Bardzo blisko.

! Okręt podskakuje ! zawołał oficer zanurzeniowy. ! Dwadzieścia cztery metry, dwadzieścia dwa. "Delfin" musiał wejść w obszar zimniejszej wody o większym zasoleniu.

! Zanurzenie awaryjne! ! Poleciał Swanson i teraz zabrzmiało to naprawdę jak rozkaz.

Odczułem nagłą zmianę ciśnienia, gdy oficer zanurzeniowy otworzył wentyl zbiornika i wlały się weń tony morskiej wody. Było jednak już za późno. "Delfin" zadygotał i zgrzytliwie, z ogromną siłą zderzył się z lodem. Pogasły światła i okręt zaczął opadać jak kamień.

! Opróżnić zbiorniki! ! Zawołał oficer zanurzeniowy.

Powietrze pod wysokim ciśnieniem zaczęło napływać do zbiornika balastowego. Przy naszej szybkości opadania ciśnienie powinno było zmiażdżyć nas, zanim jeszcze pompy zaczną radzić sobie z dodatkowym balastem, którego nabraliśmy w ciągu kilku sekund. Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt pięć metrów. Nadal opadaliśmy. Panowała cisza i bezruch, nikt nie spuszczał oczu ze wskaźnika głębokościomierza. Nie trzeba daru telepatii, by znać myśli, jakie kłębiły się pod czaszkami tu obecnych. Było jasne, że "Delfin" uderzył w jakąś podwodną przeszkodę, w chwili gdy kioski dotknął grubej warstwy lodu nad nami. Jeśli okręt został przedziurawiony na rufie, to nie zatrzyma spadku dotąd, póki ciśnienie milionów ton wody nie zgniecie i nie spłaszczy kadłuba tak, że w jednym momencie cała załoga poniesie śmierć.

! Dziewięćdziesiąt metrów ! zawołał oficer zanurzeniowy. ! Sto pięć. Zwalnia! Zwalnia!

"Delfin" opadał nadal i powoli przekraczał głębokość stu dwudziestu metrów, gdy w sterowni pojawił się Rawlings z torbą i narzędziami w jednej ręce i pojemnikiem z lampami w drugiej.

! To nie jest naturalne ! powiedział. Zdawał się przemawiać do strzaskanej lampy, umieszczonej nad wykresem pozycji okrętu, którą zaczął natychmiast wymieniać. ! Sprzeczne z prawami natury. Zawsze tak twierdziłem. Ludzkość nie została stworzona do niuchania w głębinach oceanów. Zapamiętajcie moje słowa, to wszystko źle się skończy.

! To i was dotyczy, o ile się nie zamkniecie ! powiedział kwaśno komandor, ale widać było, że nie utożsamia się z tymi słowami. ! Tak samo jak my, aprobował ożywcze tchnienie, wniesione przez

Rawlingsa do naładowanej napięciem atmosfery sterowni. ■ Utrzymujemy się? ■ Zapytał oficera zanurzeniowego.

Ten uniósł w górę kciuk i uśmiechnął się.

Swanson skinął głową i przemówił spokojnie do mikrofonu:

■ Mówi dowódca. Przepraszam za ten wstrząs. Przekazywać natychmiast raporty o awariach.

Na tablicy rozdzielczej przed nim zamigotało zielone światelko. Przekręcił przełącznik i nad naszymi głowami odezwał się głośnik:

■ Tu manewrownia. ■ Znajdowała się ona w rufowej części górnego pokładu maszynowni. ■ Wstrząs odczuliśmy dokładnie pod nami. Przydałoby się nam kilka świeczek. Parę wskaźników nie działa, ale dalej mamy dach nad głową.

■ Dziękuję, poruczniku. Poradzicie sobie?

■ Oczywiście.

Swanson przekręcił inny przełącznik:

■ Rufa?

■ Nadal jesteśmy przyłączeni do okrętu? ■ Zapytał jakiś ciekawski.

■ Tak, jesteście ■ zapewnił Swanson. ■ Macie coś do zameldowania?

■ Tylko tyle, że do czasu powrotu do Szkocji uzbiera nam się masa brudnej bielizny. Zacięła się pralka.

Kapitan uśmiechnął się pod nosem i wyłączył przełącznik. Twarz miał zupełnie spokojną. Musiał mieć jakiś specjalny mechanizm absorbujący pot na twarzy. Ja czułem, że przydałby mi się ręcznik kąpielowy. Swanson zwrócił się do Hansena:

■ To był pech. Prądy tam, gdzie ich być nie powinno, bezzasadne zmiany temperatury, wybrzuszenie lodu w miejscu najmniej oczekiwanym. Nie mówię już o cholernie mętnej wodzie. Teraz należy zatoczyć kilka kręgów, aż będziemy znali ten obszar cienkiego lodu jak własną dłoń, cofnąć się dla uwzględnienia dryfu i spróbować jeszcze raz.

Swój honor miałem, nie wytarłem więc czoła.

Spróbowali jeszcze raz. Przez piętnaście minut na głębokości sześćdziesięciu metrów Swanson manipulował sterami tak długo, aż miał na wykresie dokładny obraz obszaru nad naszymi głowami. Następnie ustawił "Delfina" na zewnątrz jednej z granicznych linii i dał rozkaz powolnego wynurzenia się.

! Trzydzieści sześć metrów ! powiedział Sanders. ! Ciągłe gruby lód.

"Delfin" powoli się wznosił. Następnym razem, gdy będę udawał się do sterowni, na pewno nie zapomnę o ręczniku kąpielowym, obiecywałem sobie w duchu.

Swanson rzekł:

! Jeśli przeceniliśmy szybkość dryfu, obawiam się, że potrząsie nami jeszcze raz. ! Odwrócił się do Rawlingsa, który ciągle zajęty był wymianą żarówek. ! Na pańskim miejscu zaczekałbym z tym przez chwilę. Być może za chwilę trzeba będzie zaczynać wszystko od początku. A nie mamy przecież na pokładzie tylu zapasowych części.

! Trzydzieści metrów ! głos oficera zanurzeniowego był mniej żaloszny niż wygląd jego twarzy.

! Woda czystsza ! powiedział nagle Hansen. ! Patrzcie.

Woda zrobiła się bardzo przejrzysta. Nie bardzo, lecz wystarczająco. Można było dostrzec wierzchołek kiosku na ekranie telewizyjnym. I nagle coś jeszcze ! najeżony ostrymi krawędziami lód, niecałe cztery metry nad kioskiem. Woda zaczęła napływać do zbiorników. Nie trzeba było mówić oficerowi zanurzeniowemu, co ma robić. Podskoczylibyśmy niczym ekspresowa winda w momencie zetknięcia się z inną temperaturą wody. Jeden przypadek tego rodzaju w zupełności wystarczył.

! Dwadzieścia siedem metrów ! zaraportował. ! Ciągłe wznosimy się.

Więcej wody napłynęło do zbiornika i pompy ucichły.

! Utrzymujemy się na jednakowej głębokości, trochę poniżej dwudziestu siedmiu metrów.

! Tak trzymać. ! Swanson spojrzał na ekran. ! Mam nadzieję, że dryfujemy prosto na szczelinę.

! Ja również ! powiedział Hansen. ! Nie może być więcej niż półtora metra między wieżyczką i przeklętym lodem.

! Niezbyt wiele miejsca ! przytaknął Swanson. ! Sanders?

! Chwileczkę, panie komandorze. Wykres wygląda nieco dziwnie, nie, jesteśmy na miejscu! ! Zdradzał głosem swoje podekscytowanie. ! Cienki lód!

Spojrzałem na ekran. Miał rację. Mogłem zobaczyć krawędź lodowej ściany, wolno sunącej po ekranie, odsłaniającej przejrzystą wodę.

! Teraz ostrożnie, ostrożnie ! powiedział Swanson. ! I utrzymać kamerę tak, aby pokazywała obraz ściany lodu, a następnie w górę.

Znowu zaczęły pulsować pompy. ściana lodu, nie więcej niż dziewięć metrów od naszego boku, zaczęła wolno przesuwać się w dół.



Dwadzieścia pięć metrów, dwadzieścia cztery.

■ Bez pośpiechu ■ rzekł dowódca. ■ Jesteśmy w tej chwili zasłonięci przed tym prądem.

■ Dwadzieścia dwa. ■ Pompy zatrzymały się i woda znów zaczęła napływać do zbiorników. ■ Dwadzieścia jeden metrów.

"Delfin" niemalże się nie ruszał, podnosząc się delikatnie niczym puch. Kamera skierowała się do góry i wyraźnie widzieliśmy zarys kiosku zbliżającego się do lodowego stropu. Więcej wody napłynęło do zbiorników i wierzchołek kiosku spotkał się z lodem przy ledwo wyczuwalnym dla nas wstrząsie. Okręt znieruchomiał.

■ Piękna robota ■ powiedział Swanson. ■ Spróbujemy się przebić. Czy obracamy się?

■ Odczyt stały.

Komandor skinął głową. Pompy zamruczały, wypompowując wodę i zwiększając powoli nacisk wieżyczki kiosku na lód. Upłynęło trochę czasu i nadal się nic nie działo. Miętko spytałem Hansena:

■ Dlaczego nie pozbedziemy się balastu? Moglibyśmy zyskać kilkaset ton wyporności w kilka sekund i nawet gdyby ten lód był na metr gruby, takiego nacisku nie wytrzymałby w jednym miejscu.

■ "Delfin" też. ■ Uśmiechnął się krzywo. ■ Wraz z gwałtownym zwiększeniem wyporności wystrzelilibyśmy w górę niczym korek od шамpana. Być może kadłub by wytrzymał, ale już ster zostałby zgnieciony niczym cienka blaszka. Czy chciałby pan spędzić resztę życia krążąc w kółko pod lodem?

Nie miałem na to ochoty, zmilczałem więc. Przyglądałem się, jak Swanson podszedł do stanowiska zanurzeniowego i milcząco, przez chwilę studiował wskaźniki. Już wiedziałem, że nie jest osobą, która łatwo daje za wygraną, i zacząłem odczuwać lekki niepokój na myśl o jego kolejnym kroku.

■ Wystarczy tego dobrego ■ powiedział w końcu. ■ Jeśli przebijemy się teraz, z tym ciśnieniem pod kadłubem, wystartujemy niczym samolot. Próbowaliśmy stałego nacisku i nie zdało to egzaminu. Ostre uderzenie jest bez wątpienia tym, czego nam potrzeba. Zanurzymy się powoli do dwudziestu metrów, wpuścimy powietrze do zbiorników balastowych i uderzymy niczym byk atakujący czerwoną płachtę. Ktokolwiek zainstalował na pokładzie "Delfina" dwustuczerdziesiątotonowe urządzenie klimatyczne, powinien zostać postawiony przed sądem, bo przyrząd ten po prostu nie działał. Powietrze było gorące i duszne, to znaczy ta odrobina powietrza, która jeszcze została. Spojrzałem uważnie dookoła i stwierdziłem, że każdy z tego powodu cierpiał. Każdy, ale nie Swanson ■ on wyglądał bowiem na kogoś, kto ma wbudowany zbiornik z tlenem. Miałem nadzieję, że Swanson bierze pod uwagę fakt, iż wybudowanie "Delfina" kosztowało sto dwadzieścia milionów dolarów. Zwięźzone oczy Hansena wyraźnie wskazywały zaniepokojenie. Nawet niewzruszony Rawlings przecierał niebieskawą od zarostu policzek ręką wielką jak łopata. W głębokiej ciszy, jaka nastąpiła po słowach dowódcy, odgłos tego pocierania zabrzmiał niezwykle głośno. Po chwili został przytłumiony szumem wody wypełniającej zbiorniki.

Patrzyliśmy na ekran. Woda płynęła do zbiorników aż do chwili, gdy na obrazie telewizyjnym pojawiła się widoczna przerwa między wierzchołkiem kiosku a lodem. Włączyły się pompy, aby kontrolować prędkość zanurzenia. Na ekranie krąg światła rzucający na lód przez reflektor stawał się coraz mniej widoczny i coraz mniejszy. W końcu jego obraz przestał się zmieniać. Zatrzymaliśmy się.

■ Teraz ■ powiedział Swanson. ■ Zanim znów zniesie nas prąd.

Dobiegł naszych uszu huk sprężonego powietrza, wypełniającego zbiorniki. Okręt zaczął powoli iść w górę, podczas gdy my obserwowaliśmy, jak krąg światła staje się coraz większy i wyraźniejszy.

■ Więcej powietrza ■ rzekł Swanson. Przytrzymałem się jedną ręką stołu nakresowego, drugą uchwytu nad głową. Na ekranie lód dosłownie biegł nam na spotkanie. Nagle obraz zafalował, zatańczył, okręt zadrżał, zazgrzytał i zahuczał głuchym echem wzdłuż całego kadłuba. Wysiadło jeszcze kilka lamp. Obraz na ekranie powrócił, wieżyczka nadal była przylepiona do lodu. Wtem "Delfin" zadygotał powtórnie, a pokład pod naszymi stopami naparł na nas niczym wznosząca się winda. Kiosk na ekranie znikł. Oficer zanurzeniowy cienkim z napięcia, które jeszcze nie znalazło ujścia, głosem zawołał:

■ Przebiliśmy się!

■ No, jesteśmy ■ powiedział spokojnie Swanson. ■ Wszystko, czego nam było potrzeba, to trochę wytrzymałości.

Spojrzałem na jego niewysoką, pulchną sylwetkę, okrągłą wesołą twarz i po raz setny zastanowiłem się, dlaczego mężczyźni o nerwach ze stali rzadko na takich wyglądają. Schowałem swą dumę do kieszeni, wyjąłem chusteczkę, wytarłem twarz i zapytałem komandora:

■ Czy tego typu zderzenia są tu na porządku dziennym?

■ Na szczęście nie. ■ Wykrzywił twarz w uśmiechu i odwrócił się do oficera zanurzeniowego. ■ Zdobyliśmy przyczółek, trzeba się na nim umocnić.

W ciągu kilku sekund do zbiornika napłynęło więcej powietrza i oficer rzekł:

■ Teraz nie ma mowy o tym, abyśmy opadali, komandorze.

■ Peryskop w górę. ■ Znowu długa, połyskująca srebrno tuba zasyczała w łożysku. Swanson nawet nie próbował rozłożyć uchwytów. Spojrzał krótko we wznięk i wyprostował się. ■ Peryskop w dół.

■ Zimno na górze? ■ Zapytał Hansen.

Komandor potaknął. ■ Woda w soczewkach musiała zamrznąć w momencie zetknięcia się z powietrzem. Nic nie widać. ■ Odwrócił się do oficera zanurzeniowego. ■ Stoimy na dwunastu?

■ Oczywiście.

■ W porządku. ■ Swanson spojrzał na podoficera zawiadującego sterownią, który wciskał się w gruby

płaszcz z owczej skóry.

▮ Trochę świeżego powietrza, Ellis, co?

▮ Natychmiast, panie komandorze. ▮ Ellis zapiął płaszcz i dodał. ▮ Może mi to zająć chwilę czasu.

▮ Nie sądzę ▮ odrzekł Swanson. ▮ Być może mostek i właz będą zaklinowane przez kawałki lodu, ale wątpię. Wydaje mi się, że lód jest tak gruby, że popękał na duże kawały i gładko obsunął się wzdłuż mostka.

Poczułem puknięcie w uszach, związane z nagłą zmianą ciśnienia, gdy otworzono i z powrotem zamknięto właz. Jeszcze jeden odległy dźwięk przy otwieraniu zewnętrznego włazu i usłyszeliśmy głos Ellisa w tubie:

▮ Na górze wszystko w porządku.

▮ Podnieście antenę ▮ powiedział Swanson.

▮ John, każ zacząć nadawanie. Transmitować dotąd, aż im odpadną palce. Zostaniemy tu, póki nie usłyszemy Dryfującej Stacji Arktycznej "Zebra".

▮ Jeśli pozostał tam ktoś żywy ▮ dodałem.

▮ Oczywiście ▮ odparł Swanson. Jednak nie mógł się zmusić, aby na mnie spojrzeć.

## Rozdział 4

"Ta ▮ pomyślałem ▮ przerażająca wizja śmierci w przerażającym świecie musiała być tym, od czego zamierały serca i dusze naszych dalekich nordyckich przodków, gdy oddając powoli ostatnie tchnienie, torturowali umysł koszmarną wizją piekła, jaką jest wieczny przejmujący chłód". Tego, co oni sobie tylko wyobrażali, my mieliśmy doświadczyć. Nie miałem wątpliwości, co było łatwiejsze. Późniejsze zachodnioeuropejskie koncepcje piekła przyjąć było łatwiej, tam przynajmniej człowiek nie marzył.

Jedno jest pewne, nikomu nie mogło być ciepło tam, gdzie znajdowaliśmy się razem z Rawlingsem. Podczas półgodzinnej wachty na mostku, powoli zamienialiśmy się w sople lodu. A to, że zęby nam klekotały niby kastaniety, mogę przypisywać wyłącznie sobie. Pół godziny potem, gdy zaczęliśmy nadawać na długości fali radiostacji "Zebry" bez najcichszego choćby odzewu czy potwierdzenia odbioru, zasugerowałem Swansonowi, że być może jesteśmy słyszalni, ale bez odpowiedniego źródła mocy ▮ a więc nie mogąc nam przekazać wiadomości przez radio, rozbitkowie będą starali się dać znać w jakiś inny sposób, że radiostacje tego typu zazwyczaj posiadają race. Był to wszak jedyny sposób wskazania drogi zaginionym wśród lodów ludziom, gdy nie działało radio, radiosondy i radiorakiety. Sondy były podwieszane u balonów zdolnych wznieść się na wysokość trzydziestu kilometrów dla zbierania informacji meteorologicznych. Radiorakiety były wystrzeliwane z balonów

i osiągały jeszcze wyższy pułap. Księżycową nocą taki balon mógł być widoczny na trzydzieści kilometrów, a jeśli przymocowane były do niego flary, z odległości dwukrotnie większej.

Swanson natychmiast pojął moją myśl i z miejsca poprosił o zgłoszenie się ochotników na pierwszą wachtę. W takiej sytuacji nie miałem większego wyboru. Rawlings zaoferował mi swoje towarzystwo.

Krajobraz przed nami ■ jeżeli w ogóle tę ponurą i bezkształtną pustynię można nazwać krajobrazem ■ był jak z innego zamierzchłego świata, obcy, dziwny i zatrważający. Na niebie żadnej chmury, a jednak gwiazdy nie były widoczne. Nie mogłem tego zrozumieć. Nisko, na południowym krańcu horyzontu, mleczny, zamglony księżyc rzucał zagadkowy blask na ciemną i wymarłą czapę polarną. Tak, właśnie, ciemną. Można było oczekiwać, że światło księżyca będzie odbijać się i skrzyć wśród wiecznego śniegu niczym milion kryształowych kandelabrow, ale było zupełnie ciemno, ponieważ księżyc wisiał zbyt nisko nad horyzontem. Dominujący kolor stanowiła czerń pochodząca od długich cieni rzucanych przez fantastycznie wyrzeźbiony i ukształtowany lód. Nawet tam, gdzie blask padał bezpośrednio, lód był tak podziurawiony i starty przez wieczne burze śnieżne, że niemal całkowicie stracił zdolność odbijania światła. Pokrywa lodowa miała w sobie coś dziwnego, sfałdowana i znaczona szczelinami wydawała się nierealna, momentami twarda i chropowata, odpychająca zimnym kontrastem czerni i bieli, w chwilę później zamglona, rozpluwająca się, w końcu mknąca niczym migocący miraż w skutej lodem pustyni. Nie był to wcale wynik wybujałej wyobraźni ani złudzenie, ale efekt przygruntowej zamieci śnieżnej, zrywającej się, wirującej, cichnącej w zależności od porywów lodowatego, nie ustającego ani na chwilę wiatru, chwilami o sile sztormu. Wiatr ten niósł ze sobą szybko wirujący tuman mgielny ostro kłujących lodowatych igiełek. Stojąc tak na mostku sześć metrów powyżej poziomu lodu ■ pozostała część łodzi, jeśli wierzyć własnym oczom, mogła wcale nie istnieć ■ znajdowaliśmy się ponad tymi kłębiącymi się drobinami. Chwilami jednak, gdy wiatr zawiął mocniej, kryształki lodu unosiły się dudniąc demonicznie w pokrytą zamarzną skorupą lodu wieżyczkę i siekąc odkryte miejsca na naszych twarzach, jakby wyrzucane z silnej dmuchawy, metr od nas. Szok spowodowany podmuchem był chwilowy, każde lodowe żądło niosło własny środek znieczulający i po chwili zamarznęta twarz nie reagowała na nic. Następnie wiatr zamierał, wściekły łoskot okruchów lodu walących w kiosk cichł i w następującej względnej ciszy słyhać było odgłos podobny do szurania łap milionów szczurów, gdy kryształki chrzęściły przesuwając się po twardej niczym stal, powierzchni lodu. Termometr na mostku wskazywał minus 53/0 Celsjusza. Gdybym miał budować letni kurort, to na pewno nie tu.

Trzęsąc się bezustannie z zimna, przytupywaliśmy, wymachiwaliśmy rękami, waląc się w klatkę piersiową i staraliśmy się jak najlepiej wykorzystać liche schronienie pod brezentowym parawanem. Co chwilę musieliśmy przecierać zamarżające okulary i cały czas, z wyjątkiem momentów, gdy odłamki lodu wbijały się nam prosto w twarz, obserwowaliśmy uważnie horyzont. Gdzieś tam, wśród mroźnego pustkowia byli zagubieni i umierający ludzie, a ich los mógł zależeć od takiego nawet drobiazgu jak chwilowe zamglenie się naszych okularów. Wpatrywaliśmy się w ten lodowy piach aż do bólu. Ale niczego, absolutnie niczego nie widzieliśmy. Żadnych śladów życia, martwa pustka.

Gdy nas zmieniono, ruszyliśmy pod pokład tak szybko, jak tylko pozwalały nasze zeszywniałe kończyny.

Znalazłem Swansona siedzącego na obciążonym brezentem stołku obok kabiny radiooperatora. Zdjąłem wierzchnie ubranie, ściągnąłem ochraniacze i okulary z twarzy, a potem złapałem dymiącą filiżankę kawy, która pojawiła się nie wiadomo skąd. Usiłowałem przy tym nie dygotać zbyt, by jej nie wylać. Z wolna powracało w zeszywniałych członkach krążenie.

■ W jaki sposób rozciął pan głowę? ■ zapytał zaniepokojony Swanson. ■ Ma pan centymetrową ranę na czole.

■ Wirujący lód, tak tylko groźnie wygląda ■ czułem się bardzo zmęczony i przybity. ■ Tracimy czas nadając sygnały radiowe. Jeśli mieszkańcy stacji nie mieli się gdzie schronić, nie dziwię się, że sygnały od nich ucichły już dawno. Bez żywności i schronienia nikt nie wytrzymałby na zewnątrz więcej niż kilka godzin. Ani Rawlings, ani ja nie jesteśmy wężymi cieplarnianymi roślinami, ale po półgodzinie na gorze prawie przestaliśmy funkcjonować.

■ Nie wiem ■ odparł w zamyśleniu ■ niech pan pomyśli o Amundsenie, spojrz na Scotta, Peary'ego. Oni doszli do bieguna na piechotę.

■ Inny rodzaj ludzi, komandorze. Albo świeciło im słońce. Jedno wiem, pół godziny to za dużo na pobyt tam. Piętnaście minut wystarczy.

■ Niech będzie piętnaście minut ■ spojrzął na mnie, twarz miał bez wyrazu. ■ Nie ma pan żadnej nadziei?

■ Jeśli nie mają schronienia, żadnej.

■ Mówił pan o rezerwowym źródle mocy, bateriach Nife, używanych do nadawania ■ zamruczał ■ powiedział pan też, że są one niezużywalne, jeśli trzeba lata całe, i to niezależnie od warunków atmosferycznych, w jakich leżą. Musieli używać tych baterii kilka dni temu, wysyłając sygnał SOS. Nie mogły wyczerpać się tak prędko.

Jego punkt widzenia był tak oczywisty, że nie usiłowałem nawet odpowiedzieć. Nie baterie się skończyły, ale ludzie.

■ Zgadzam się z panem ■ ciągnął dalej ■ tracimy tylko czas. Może trzeba po prostu spakować manatki i płynąć do domu? Jeśli nie odbierzemy sygnału, nie znajdziemy ich nigdy.

■ Możliwe, ale zapomina pan o poleceniach z Waszyngtonu.

■ Co pan przez to rozumie?

■ Pamięta pan? Ma mi pan udzielić wszelkiej możliwej pomocy, chyba że zagraża to bezpieczeństwu statku i życiu załogi. W tej chwili nie robimy nic. Jeśli ich nie usłyszymy, jestem przygotowany na trzydziestokilometrową pieszą wycieczkę w nadziei odnalezienia rozbitków. Jeśli i to zawiedzie, możemy przepłynąć w inne miejsce i wszystko powtórzyć od nowa. Obszar nie jest znowu taki wielki. Szansę powodzenia mamy małą, ale jednak mamy. Jestem gotów przetrwać tu, dopóki ich nie znajdziemy.

■ Uważa pan, że przemierzenie czapy polarnej w środku zimy nie naraża moich ludzi?

■ Nic nie mówiłem o pańskiej załodze.

■ Myśli pan... ■ chce pan to zrobić sam? ■ Swanson spojrzął pod nogi i potrząsnął głową. ■ Nie wiem, co o tym myśleć, nie wiem, czy mam powiedzieć, że jest pan szaleńcem, czy też, że zaczynam rozumieć, dlaczego wybrali do tej roboty właśnie pana, kimkolwiek oni są, doktorze Carpenter. ■ Zawahał się, a potem przyjrzał mi się uważnie. ■ Raz mówi pan, że nie ma nadziei, a moment później, że jest pan przygotowany do spędzenia całej zimy na poszukiwaniach. Proszę mi wybaczyć, ale to bez sensu.

■ To duma, nie mogę się wycofać, gdy niczego właściwie nie zacząłem robić. Nie wiem, co o tym myślą we flocie Stanów.

Ponownie, z uwagą mnie otaksował. Wiedziałem, że wierzy mi na tyle, na ile mucha wierzy pajakowi, gdy ten oferuje jej wygodny nocleg w sieci. Uśmiechnął się i powiedział:

■ Marynarka amerykańska nie poddaje się tak łatwo, doktorze Carpenter. Proponuję, aby przespał się pan kilka godzin, jeśli pan może. To będzie jak znalazł, gdyby się pan wybrał na biegun północny.

■ A pan? Nie spał pan dziś ani chwili.

■ Myślę, że jeszcze trochę zaczekam ■ skinął w kierunku drzwi kabiny radiowej ■ może coś nadejdzie.

■ A my co nadajemy? Tylko sygnał wywoławczy?

■ Plus żądanie podania pozycji i wystrzelenia rakiety, jeśli takowe mają. Gdy tylko coś odbierzemy, natychmiast dam panu znać. Dobrej nocy, doktorze. A raczej dobrego ranka.

Podniosłem się z wysiłkiem i skierowałem do kabiny Hansena.

Atmosfera przy stole, w mesie podczas śniadania o ósmej rano, raczej nie przypominała festynu. Oprócz oficera pokładowego i porucznika-mechanika na wachcie, znajdowali się tu wszyscy oficerowie "Delfina" ■ niektórzy dopiero co podnieśli się ze swoich koi, inni właśnie do nich zdążali, a wszyscy porozumiewali się monosylabami. Nawet zapalczywy Benson był nieobecny i zgaszony. Pytanie o to, czy nawiązano kontakt z "Zebrą", byłoby beznadziejne. Po wszystkich widać było wyraźnie, że nic takiego się nie zdarzyło. I to po pięciu godzinach nieustającego nadawania. Atmosfera przygnębienia i zwątpienia ■ niema myśl, że dla wszystkich rozbitków czas już stanął ■ wisiała nad mesą niczym przytłaczający ciężar. Nikt się nie spieszył z posiłkiem. Nie było powodu do pośpiechu, ale powoli, jeden za drugim, ludzie odchodzili do swoich obowiązków. Doktor Benson do swojego ambulatorium, młody oficer torpedowy, porucznik Mills, do kierowania swoimi ludźmi, którzy dwanaście godzin na dobę i to już od kilku dni pracowali nad wykryciem uszkodzenia w podejrzanych torpedach, trzeci, by zmienić Hansena na wachcie, inni do swoich koi. W końcu pozostałem tylko ze Swansonem i Raeburnem. Wiedziałem, że dowódca nie spał wcale ubiegłej nocy, a mimo to wyglądał świeżo i rześko, jak ktoś pokrzepiony ośmioma godzinami solidnego snu.

Właśnie steward przyniósł dzbanek świeżej kawy, gdy usłyszeliśmy tupot kroków w korytarzu i

podoficer zawiadujący sterownią wpadł do mesy. Tylko dlatego, że "Electric Boat Company" mocuje solidne zawiasy, nie udało mu się wyrwać drzwi z framugi.

■ Udało się! ■ wrzasnął, a po chwili zreflektowawszy się, że zawodowy marynarz powinien się zachować nieco inaczej, dodał znacznie spokojniej. ■ Odebraliśmy sygnał, komandorze, mamy ich!

■ Co? ■ Swanson potrafił poruszać się co najmniej dwa razy szybciej, niż wskazywałyby na to jego figura, i zdążył już wstać z fotela.

■ Jesteśmy w kontakcie z "Zebrą", panie komandorze ■ powiedział Ellis przepisowo.

Komandor dotarł do kabiny radiowej pierwszy, ale tylko dlatego, że wcześniej wystartował.

Wachtę trzymało dwóch operatorów, którzy nachylali się ku nadajnikom. Jeden pochylił głowę nisko, drugi przechylił ją na bok, tak jakby te pozycje pomagały im wychwycić najcichsze dźwięki dochodzące ze słuchawek na uszach. Jeden z nich pisał machinalnie w notatniku DSY, DSY, DSY. Odezew na sygnał wywoławczy Stacji. Przestał pisać, gdy kątem oka dojrzał Swansona i mnie.

■ Mamy ich, komandorze. Bez wątpienia. Sygnał bardzo słaby i urywany, ale...

■ Mniejsza o sygnał ■ wtrącił Raeburn, nie czekając na pozwolenie Swansona. Usiłował ukryć podekscytowanie w swoim głosie, bezskutecznie, i jeszcze bardziej przypominał w tej chwili uczniaka grającego w hokeja.

■ Namiar. Czy macie namiar? Tylko to jest ważne.

Drugi operator odwrócił się w swoim krzeselku i rozpoznałem w nim mego niedawnego strażnika, Zabirnsky'ego.

■ Oczywiście, że mamy namiar, poruczniku. To pierwsza rzecz, jaką zrobiliśmy: zero czterdzieści pięć ■ mniej więcej. Oznacza to północny wschód. ■ Dziękuję, Zabirnsky ■ powiedział sucho Swanson. ■ Zero czterdzieści pięć oznacza północny wschód. Tak jakbyśmy o tym nie wiedzieli. Pozycja?

Zabirnsky wzruszył ramionami i odwrócił się do trzymającego razem z nim wachtę mężczyzny o czerwonej twarzy i błyszczącej, wypolerowanej łysinie, tam gdzie powinna znajdować się czupryna.

■ Mamy coś, Kędzior?

■ Nie, zupełnie nic ■ Kędzior spojrział na Swansona ■ ze dwadzieścia razy pytałem o pozycję. Bez skutku. Wszystko co mamy, to sygnał wywoławczy. Myślę, że nie słyszą nas i w kółko wysyłają sygnał. Może nie przełączyli się na odbiór?

■ To niemożliwe ■ powiedział Swanson.

■ Z tym człowiekiem, tak ■ wtrącił Zabirnsky. ■ Na początku Kędzior i ja myśleliśmy, że sygnał jest słaby, potem, że operator osłabiony albo chory, ale byliśmy w błędzie. To po prostu kiepski amator.

■ Po czym to poznajecie? ■ zapytał Swanson.

■ To zawsze można poznać. Można... ■ urwał, zeszywniał i dotknął ramienia kolegi.

Kędzior przytaknął.

■ Mam ■ powiedział bez związku ■ pozycja nieznana.

Nikt nie wyrzekł ani słowa, nie wtedy. Ważne było to, że mieliśmy bezpośredni kontakt, a to, że nie mogliśmy znać pozycji, nie wydało nam się istotne. Raeburn odwrócił się i przebiegł sterownię. Wyraźnie słyszałem go rozmawiającego przez telefon z mostkiem. Swanson obrócił się do mnie:

■ Te balony, o których pan mówił wcześniej, na Stacji. One są na uwięzi czy nie?

■ Korba luźno puszczone i nylonowa linka oznakowana co trzy i trzydzieści metrów.

■ Każę im wysłać balon na wysokość tysiąca pięciuset metrów ■ zdecydował Swanson ■ i to z flarami. Jeśli są w odległości nie większej niż pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów. Musimy to zobaczyć. Biorąc poprawkę na wiatr, powinno się nam udać w miarę dokładnie ocenić odległość. Co znowu, Brown? ■ To do mężczyzny, którego Zabirsky nazywał Kędzior.

■ Znowu nadają ■ odparł Kędzior ■ bardzo przerywany, często zanikający sygnał. Pośpieszcie się na Boga, tak samo, tylko dwa razy szybciej.

■ Nadaj to ■ powiedział Swanson i podyktował krótką wiadomość o balonach ■ i to bardzo powoli.

Kędzior skinął głową i zaczął nadawać. Nadbiegł z powrotem Raeburn.

■ Księżyc jeszcze nie zaszedł ■ powiedział pośpiesznie do Swansona ■ znajduje się nadal stopień lub dwa nad horyzontem. Biorę sekstans i idę mierzyć kąt, powiedzcie im, aby zrobili to samo. To da nam różnicę w szerokości geograficznej, a ponieważ wiemy, że są na północny wschód od nas, to namierzemy ich co do metra.

■ Warto spróbować ■ odrzekł komandor i podyktował następną wiadomość Brownowi.

Kędzior nadał ją natychmiast w ślad za pierwszą. Całe dziesięć minut czekaliśmy na odpowiedź. Przyglądałem się mężczyznom w kabinie radiowej. Wszyscy wyglądali tak samo, nieobecni myślami, tu byli tylko w sensie fizycznym. Duchem przebywali tam, gdzie znajdowała się "Zebra". Brown zaczął pisać znowu, ale nie trwało to długo. Głosem ciągle nieobecnym powiedział:

■ Wszystkie balony spłonęły. Brak księżyca.

■ Nie widzą księżyca? ■ Raeburn nie potrafił ukryć goryczy i zawodu. ■ Do diabła! Musi być tam spore zachmurzenie albo burza śnieżna. ■ Nie! ■ powiedziałem. ■ Nie mogą istnieć tak duże różnice w pogodzie na tak niewielkim obszarze pokrywy lodowej. Na obszarze przynajmniej osiemdziesięciu tysięcy kilometrów kwadratowych musi być taka sama pogoda. Księżyc zaszedł. To znaczy dla nich księżyc już zaszedł. Ich ostatnia szacunkowa pozycja była przypuszczeniem i to złym



przypuszczeniem. Są przynajmniej sto sześćdziesiąt kilometrów dalej na północny wschód, niż myśleliśmy.

■ Zapytajcie, czy mają jakieś rakiety ■ polecił Swanson Brownowi.

■ Możecie spróbować, ale to tylko strata czasu ■ powiedziałem. ■ Jeśli są tak daleko, jak myślę, ich rakiety nie wylecą ponad nasz horyzont. A nawet, gdyby tak się stało, to i tak nic nie zobaczymy.

■ Ale to zawsze jakaś szansa, prawda? ■ Zapytał Swanson. ■ Zaczynam tracić kontakt, panie komandorze ■ zaraportował Brown ■ przekazali coś o żywności, ale nie mogłem rozszyfrować. Sygnał zanika.

■ Powiedz im, że jeżeli mają jakieś rakiety, niech wystrzelą je natychmiast. Szybko, zanim urwie się połączenie.

Czterokrotnie Brown musiał wysyłać tę wiadomość, zanim udało mu się uzyskać odpowiedź mówiącą, że zrobią to za dwie minuty. Albo ich baterie były na wykończeniu, albo ten, który nadawał, był daleki od sumienności.

Swanson kiwnął głową i opuścił kabinę. Podążyłem za nim. Wzięliśmy płaszcze i okulary i wdrapaliśmy się na mostek. Po ciepłe i wygodzie w sterowni, chłód przywiódł mi na myśl epokę lodowcową, a kłujące lodowe szpileczki bardziej niż kiedykolwiek przypominały lancet. Swanson odkrył pokrywę żyrokompasu i wskazał na północny wschód. Powiedział dwóm pełniącym wachtę ludziom, czego i gdzie mają wypatrywać. Minęła minuta, dwie, następnie pięć. Oczy zaczynały mnie boleć od wpatrywania się w wypełnioną lodem ciemność. W miejscach, gdzie miałem twarz odsłoniętą, nic kompletnie nie czułem i wiedziałem, że kiedy będę zdejmował okulary, prawie na pewno zerwę z nimi kawałek skóry.

Zadźwięczał dzwonek telefonu. Swanson opuścił lornetkę, zostawiając wokół oczu dwa krwawe kręgi. Zdawał się być tego nieświadom, ból nadejdzie dopiero później. Podniósł słuchawkę, posłuchał przez chwilę i wyłączył się.

■ To kabina radiowa. Schodzimy. Rakiety zostały wystrzelone trzy minuty temu.

Zeszliśmy na pokład. Swanson zauważył odbicie swojej twarzy w szklanej obudowie jednego z przyrządów i potrząsnął głową.

■ Muszą mieć jakieś schronienie ■ powiedział cicho ■ muszą. W jakimś ocalałym baraku. Inaczej nie żyliby od dawna. ■ Weszliśmy do kabiny.

■ Utrzymujecie kontakt?

■ Taaak ■ odparł Zabirnsky. ■ I tak, i nie. śmieszna rzecz. Gdy w takich warunkach łączność urywa się, to przeważnie na dobre, ale ci faceci powracają, śmieszne.

■ Może nie mają baterii ■ powiedziałem ■ może pozostał im tylko ręczny generator. Możliwe, że nie pozostał tam nikt na tyle silny, by kręcić korbą dłużej niż parę chwil, co jakiś czas.

▮ Możliwe ▮ zgodził się Zabirnsky. ▮ Przekaż dowódcy ostatnią wiadomość, Kędzior.

▮ "Nie mamy lu dzin" ▮ tak to odebrałem ▮ powiedział Brown. ▮ Myślę, że to znaczy "Nie wytrzymamy wielu godzin". Nic innego nie przychodzi mi do głowy.

Swanson spojrzał krótko na mnie i odwrócił wzrok. Nikomu więcej nie powiedziałem, że komendantem Stacji jest mój brat, i wiedziałem, że on też nikomu tego nie zdradził.

Rzekł do Browna:

▮ Przekażcie im, aby zsynchronizowali zegarki z naszymi. Niech przesyłają swój sygnał wywoławczy równo co godzinę. Powiedzcie, że skontaktujemy się z nimi najpóźniej za sześć godzin. Może za cztery. Zabirnsky, jak dokładny był namiar?

▮ Zupełnie dokładny, komandorze, sprawdzałem kilka razy. Zero czterdzieści pięć.

Swanson podszedł do stanowiska dowodzeniowego.

▮ Na stacji nie widać księżyca. Jeżeli przyjmujemy to, co mówi doktor Carpenter, to jaka może być między nami minimalna odległość?

▮ Sto sześćdziesiąt kilometrów, tak jak mówił doktor ▮ potwierdził moje słowa Raeburn, po krótkiej kalkulacji. ▮ Przynajmniej sto sześćdziesiąt.

▮ Tak. Więc płyniemy kursem zero czterdzieści pięć. To wystarczy, żeby zbliżyć się do podanego położenia, a przy następnym wynurzeniu ustalić właściwy namiar. Przepłyniemy dokładnie sto sześćdziesiąt kilometrów i spróbujemy się przebić. Zawołać oficera zanurzeniowego. Przygotować się do zanurzenia.

Uśmiechnął się do mnie:

▮ Z dwoma kierunkowymi namiarami i dobrze wymierzoną podstawą możemy ich zlokalizować z błędem w granicach stu metrów.

▮ Jak zamierza pan zmierzyć sto metrów pod wodą? Mam na myśli dokładny pomiar.

▮ Nasz inercyjny komputer nawigacyjny zrobi to za mnie. Potrafi zanurzyć "Delfina" u wschodnich wybrzeży Stanów Zjednoczonych i wynurzyć w Morzu śródziemnym w oczekiwanym miejscu, z dokładnością do pięciuset metrów. Przy odległości stu sześćdziesięciu kilometrów, nie sądzę, aby błąd ten przekroczył dwadzieścia metrów.

Anteny radiowe zostały opuszczone, włączy przyśrubowane i po pięciu minutach "Delfin" był w drodze. Dwóch sterników przy stanowisku zanurzeniowym siedziało beczynn timer paląc papierosy. Urządzenie sterujące było automatycznie sprzężone z inercyjnym systemem nawigacyjnym, który kierował okrętem z dokładnością i bezpieczeństwem, do jakich nie były zdolne ręce ludzkie. Po raz pierwszy w czasie naszej podróży odczuwałem głuchą, jęczącą wibrację wzdłuż kadłuba okrętu. "Nie wytrzymamy wielu godzin" ▮ brzmiała wiadomość. "Delfin" sunął pełną mocą.

Nie opuściłem sterowni tego ranka. Większość czasu upłynęła mi na zaglądaniu przez ramię doktorowi Bensonowi, który jak zwykle pięć minut czekał w ambulatorium na pacjentów, których nie było, a następnie, czym prędzej zasiadał przy "lodówce". Odczyty tego urządzenia stanowiły o życiu i śmierci ludzi na Stacji. Dla wykonania drugiego zamiaru, musieliśmy znaleźć cienki lód. Bez tego nie było nadziei. Zastanowiłem się po raz setny, jak wielu pogorzalców jeszcze żyło. Cicha rozpacz, bijąca ze zniekształconych radiowych przekazów, które udało się Brownowi i Zabrin'skiemu przechwycić, nie pozwalała wierzyć, że było ich wielu.

Wykres kreślony z sykiem na mapie przez ruchomy rysik nie był widokiem pocieszającym. Pokazywał głównie, że lód nad nami ma trzy albo i więcej metrów grubości. Kilkakrotnie rysik opadał, by zaznaczyć dziewięć czy dwadzieścia metrów, raz nawet czterdzieści pięć. Próbowałem wyobrazić sobie ogrom nacisku napierających na siebie mas lodu, aby spiętrzyć krę do takiej wysokości, zbyt jednak ubogą miałem wyobraźnię.

Tylko dwukrotnie w ciągu osiemdziesięciu mil rysik wykreślał cienką linię wskazującą na małą grubość lodu. W pierwszym przypadku obszar ten pomieściłby może małą łódź wiosłową, ale nie "Delfina". Drugie miejsce niewiele różniło się od pierwszego.

Krótko przed południem wibracje kadłuba zmalowały. Swanson wydał rozkaz zmniejszenia prędkości. Zapytał Bena:

■ Jak to wygląda?

■ Okropnie. Wszędzie wokół gruba pokrywa lodu.

■ Tak. Nie możemy oczekiwać, że od razu wpadniemy do przerębla ■ powiedział Swanson rozsądnie. ■ Przeszukujmy siatkę geograficzną. Po pięć mil na wschód, pięć na zachód, za każdym razem o ćwierć mili na północ.

Rozpoczęło się szperanie. Minęła godzina, dwie, wreszcie trzy. Raeburn i jego pomocnik prawie nie podnosili się znad stołu nakresowego, gdzie metodycznie zaznaczali każdy ruch okrętu w jego zygzakowatym kursie. Czwarta po południu. Zwyczajny gwar głosów słyszany z różnych części sterowni ucichł zupełnie. Słowa Bena: "Gruby lód, gruby lód" stawały się coraz cichsze, a w jego głosie można było wyczuć coraz większe zniechęcenie. Cisza się pogłębiała. Tylko wytrawny przedsiębiorca pogrzebowy mógł czuć się jak w domu w takiej atmosferze. Jednak przedsiębiorcy pogrzebowi byli w tym momencie ostatnimi ludźmi, o których chciałbym myśleć.

Piąta po południu. Ludzie już nawet nie patrzyli sobie w oczy, nie mówiąc już o rozmowach. "Gruby lód, ciągle gruby lód". Nawet Swanson przestał się uśmiechać. Zastanawiałem się, czy wyobraźnia nie nasuwała mu tego widoku co mnie ■ wynędzniałego, zmizerowanego mężczyzny o odmrożonej twarzy, zamrożonego i wygłodniałego, który resztkami sił kręcił korbą i nadawał sygnał wywoławczy, wystukując go pozbawionymi czucia palcami. Schylony nasłuchiwał odgłosów pomocy, poprzez wycie śnieżnej zamieci, ale ta nie nadchodziła. A może nie było już nikogo, kto mógłby nadawać. Choć ludzie wysłani na "Zebrę" nie byli przeciętnymi śmiertelnikami, ale przecież nawet najwytrwalsi, najdzielniejsi i najwytrzymalsi muszą kiedyś porzucić wszelką nadzieję i poddać się śmierci. Ten człowiek, być może, też już oczekiwał końca.

"Gruby lód, wciąż gruby lód".

O piątej trzydzieści komandor Swanson podszedł do "lodówki" i spojrzał Bensonowi przez ramię. Zapytał: Jaka jest średnia grubość lodu?

Od trzech i pół metra do czterech i pół głos Bensaona był cichy i zmęczony powiedziałbym, że bliżej czterech i pół.

Swanson podniósł mikrofon:

Porucznik Mills? Mówi dowódca. Jaki jest stan tych torped, nad którymi pracujecie?... Cztery?... Gotowe do odpalenia?... Dobrze. Przygotować do ładunku na wyrzutnię. Będziemy prowadzić poszukiwania jeszcze przez trzydzieści minut. Jeśli to nie da rezultatu, wszystko zależy od pana... Tak, dobrze pan zrozumiał. Spróbujemy wybić w lodzie dużą dziurę. Odłożył mikrofon.

Hansen rzekł w zamyśleniu:

Cztery i pół metra, to piekielnie dużo lodu i z tego powodu dziewięćdziesiąt procent siły eksplozji pójdzie w dół. Sądzi pan, że uda się przebić aż taką powłokę?

Nie mam pojęcia przyznał Swanson ale skąd można wiedzieć nie próbując?

Nikt tego nie próbował wcześniej? Zapytałem.

Nie. Przynajmniej nikt z amerykańskiej Marynarki Wojennej. Być może Rosjanie próbowali, nie wiem. Nie informują nas o takich eksperymentach dodał sucho.

Czy podwodna fala uderzeniowa nie jest w stanie zagrozić "Delfinowi"? zapytałem, ale w gruncie rzeczy wcale się o to nie troszczyłem.

Jeżeli tak, to "Electric Boat Company" otrzyma list ze skargą. Odpalimy głowice elektroniczne, mniej więcej tysiąc metrów po tym, jak torpeda opuści okręt. Zresztą i tak torpeda musi przepłynąć przynajmniej osiemset metrów, zanim odblokuje się mechanizm zabezpieczający, co pozwoli na uzbrojenie głowicy. Powinniśmy znajdować się dziobem w kierunku detonacji, a przy kadłubie skonstruowanym do wytrzymania ogromnych ciśnień, efekt fali uderzeniowej powinien być minimalny.

Bardzo gruby lód powiedział Benson dziewięć metrów, dwanaście metrów, piętnaście. Bardzo gruby lód.

Nie wiem, czy torpeda nadkruszyłaby taką masę, jak ta nad nami zauważyłem.

Będziemy uważać, żeby się tak nie stało, trzeba znaleźć odpowiednio duży obszar o normalnej grubości, cofnąć się tysiąc metrów i wtedy odpalić.

Cienki lód!! Głos Bensaona nie był okrzykiem, był to wrzask. Nie, na Boga! Woda! Czysta, otwarta woda!

Natychmiast pomyślałem, że albo w "Iodówce", albo w Bensona głowie przepalił się bezpiecznik. Ale te wątpliwości musiały być obce oficerowi zanurzeniowemu, skoro musiałem czegoś się złapać z całych sił w trakcie gwałtownego skrętu łodzi w prawo i zataczania coraz większych kół z wolno cichnącymi maszynami. Swanson przyjrzał się wykresowi, powiedział coś spokojnie i ogromne śruby okrętu zaczęły ruch wsteczny, aby zatrzymać "Delfina" w miejscu.

■ Jak to wygląda?

■ Woda, czysta woda ■ rzekł Benson niemal z szacunkiem. ■ Dość wąska szczelina, ale nie na tyle, byśmy się nie zmieścili. Długa, ostro skręcająca w lewo, bo rozciągała się nad nami przez pierwsze czterdzieści pięć stopni łuku, jaki zrobiliśmy przy hamowaniu.

■ Piętnaście metrów ■ powiedział Swanson.

Zaszumiały pompy. Okręt podryfował delikatnie w górę, niczym balon unoszący się w przestworza. Wkrótce woda zaczęła z powrotem napływać do zbiorników. Okręt znieruchomiał.

■ Peryskop w górę! Z cicha zasyczał mechanizm unoszący w górę tubę peryskopu.

Swanson spojrzał krótko we wzniernik i skinął na mnie:

■ Niech pan spojrzy ■ rozpromienił się. ■ Piękny widok, jak rzadko.

Spojrzałem. Zrozumiałem, co miał na myśli, choć gdyby ktoś ten widok namalował i oprawił, nawet pod nazwiskiem Picassa nie sprzedałby go. Masywne czarne bloki po obu stronach lekko jaśniejszego paska ciemnej, jakby tropikalnej zieleni. Pomiędzy tym otwarta szczelina w lodzie.

Trzy minuty później, znajdowaliśmy się na powierzchni Morza Arktycznego i to zaledwie dwieście pięćdziesiąt mil od bieguna.

Pak, pocięty rozpadlinami, a raczej poprzedzielany bryłami lodowymi, górującymi niemal sześć metrów nad kioskiem, rozciągał się tuż, tuż. Sylwetki trzech czy czterech fantastycznie ukształtowanych gór lodowych można było dojrzeć nieco bardziej na zachód. Dalej światło reflektora nie dochodziło i panowała całkowita ciemność. Na wschodzie nie widzieliśmy zupełnie nic. Spoglądanie w tym kierunku bez osłony oczu groziło oślepieniem. Nawet na okularach pojawiły się rysy, już po chwili spoglądania w tym kierunku. Gdy się pochyliło głowę i przysłoniło oczy, można było na sekundę dojrzeć odbłysek czarnej wody zaraz za burtą. Było to jednak bardziej wrażenie niż widok. Wiatr dosłownie ryczał i jęczał, omiatając mostek i antenę z prędkością ponad dziewięćdziesiąt sześć kilometrów na godzinę. Burza śnieżna nie przypominała już gwałtownych podmuchów wirującej mgły dzisiejszego ranka. Teraz była to ruchoma ściana ostrych sztyletów, śmiertelnie niebezpiecznych w swej furii i ogromnej prędkości szpikulców lodowych. Z łatwością podziurawiłyby najgrubszą tekturę, w sekundę roztrzaskałyby trzymane w rękach szkło. Poprzez lament wiatru dochodziły nas bezustannie grzmot i zgrzyt, gdy miliony ton torturowanego lodu, zderzały się, przewracały i pękały pod wpływem sztormu, którego centrum znajdowało się nie wiadomo ile mil stąd, tworząc w jednym momencie nowe grzbiety i krawędzie, wysokie na trzy

metry, które rycząc i zgrzytając wspinały się jedna na drugą, a potem następną, by w chwilę później rozsypać się w nie dającej się opisać, gwałtownej kakofonii dźwięku, otwierając nowe ujęcia pofalowanej siłą wiatru wody, która zaczynała zamarzać już po ułamku sekundy.

■ Nie bądźmy szaleni. Schodzimy na dół ■ Swanson poprzez złożone w tubę dłonie, krzyczał mi do ucha, a mimo to, z trudnością usłyszałem go w tym harmiderze.

Zgramoliliśmy się w dół i odetchnęliśmy wśród ciszy sterowni. Swanson odwiązał wełniany kaptur, zdjął szal i okulary, które całkowicie maskowały jego twarz. Spojrzał na mnie z zadumą i powiedział:

■ A są tacy, co opowiadają o białej ciszy Arktyki. Mój Boże, nawet hala fabryczna, gdzie się robi kotły parowe, to czytelna w porównaniu z tym tutaj. ■ Potrząsnął głową. ■ Wystawiliśmy nosy na zewnątrz w zeszłym roku, ale nigdyśmy nie widzieli czegoś takiego ani słyszeli, nawet zimą. Było oczywiście cholernie zimno, ale nigdy tak, abyśmy nie mogli zrobić wypadu na lód. Często wtedy zastanawialiśmy się nad tym, ile jest prawdy w opowieściach badaczy, że uwięzieni przez pogodę, całymi dniami nie mogli opuścić namiotów. Ale teraz już wiem, dlaczego zginął kapitan Scott.

■ Widok dość okropny ■ przyznałem. ■ Czy jesteśmy tu bezpieczni, komandorze?

■ Trudno powiedzieć ■ wzruszył ramionami. ■ Wiatr przygniótł nas do zachodniej ściany szczeliny, a z prawej burty mamy około pięćdziesięciu metrów otwartej wody. W tej chwili jesteśmy bezpieczni. Ale widzi pan, lód jest w ciągłym ruchu i to wcale nie powolnym. Szczelina, w której się znajdujemy, otworzyła się około godziny temu. Na jak długo? To zależy od konfiguracji mas lodowych, takie szczeliny mogą zamykać się diabło szybko, a "Delfin", który wytrzymuje ogromne ciśnienia, z pewnością nie podoła naporowi milionów ton lodu. Możemy przebywać tu godzinami, ale równie dobrze mogą to być tylko minuty. Gdyby zaś wschodnia ściana zbliżyła się do nas na trzy metry, zanurzamy się natychmiast. Wie pan, co się dzieje z okrętem uwięzionym w okowach lodu?

■ Wiem. Zostaje sprasowany na płasko, kilka lat krąży wokół wierzchołka świata, uwięziony w paku, aby pewnego dnia uwolnić się z objęć lodu i pójść prosto na dno. To by się rządowi amerykańskiemu nie spodobało, komandorze.

■ Szanse awansu faktycznie miałbym nikłe ■ przyznał Swanson. ■ Myślę...

■ Hej! Chodźcie tutaj! ■ Okrzyk dobiegał z kabiny radiowej.

■ Zdaje się, że Zabrinky mnie potrzebuje ■ zamruczał Swanson.

Odszedł niewiarygodnie szybko, jak zawsze, a ja podążyłem za nim. Zabrinky z uśmiechem od ucha do ucha, siedział w fotelu. W lewej ręce trzymał słuchawki. Swanson wziął je, posłuchał i kiwnął głową.

■ DSY ■ powiedział miękko ■ DSY, doktorze Carpenter. Mamy ich. Jest namiar? Dobrze. ■ Odwrócił się do drzwi i ujrzał podoficera dowodzącego sterownią. ■ Ellis, powiedz nawigatorowi, żeby przybył tu jak najszybciej.

─ Jeszcze wyciągniemy ich z tego ─ powiedział Zabirnsky jowialnie. Jednak zauważyłem, że uśmiechał się bez udziału oczu. ─ To muszą być twardziele, ci tam na zewnątrz.

─ O tak, Zabirnsky ─ rzekł Swanson pustym głosem. Oczy miał nieruchome i wiedziałem, że wsłuchuje się w metaliczną kanonadę lodowych kryształków, które niczym bilion małych, pneumatycznych wiertel, usiłowały się wbić w zewnętrzny kadłub łodzi. Było to tak głośnie, że uniemożliwiało ciche rozmowy.

─ Są bardzo twardzi. Masz kontakt dwustronny?

Zabirnsky potrząsnął głową i odwrócił się. Przestał się uśmiechać. Wszedł Raeburn, otrzymał kartkę papieru i wrócił do stołu nakresowego. Poszliśmy za nim. Po minucie albo dwóch, podniósł głowę i powiedział:

─ Gdyby znalazł się miłośnik niedzielnych przechadzek, to bardzo proszę.

─ Tak blisko? ─ Zapytał Swanson.

─ Bardzo. Osiem kilometrów na wschód, z tolerancją ośmiuset metrów. Ależ z nas niezłe psy gończe, co?

─ Mamy po prostu szczęście ─ odrzekł krótko Swanson. Wrócił do kabiny radiowej. ─ Rozmawialiście z nimi?

─ Zupełnie straciliśmy kontakt.

─ Całkowicie?

─ Mieliśmy ich zaledwie minutę, komandorze. Tylko tyle. Potem sygnał nikł, a wreszcie ucichł. Myślę, że doktor Carpenter ma rację, na pewno używają ręcznej prądnicy. ─ Zawahał się i dodał niepotrzebnie. ─ Moja sześciolatnia córka może kręcić taką maszyną przez pięć minut i nawet się nie zasapie.

Swanson spojrzał na mnie i odwrócił się bez słowa. Poszedłem za nim do wolnego stanowiska zanurzeniowego. Poprzez właz prowadzący na mostek, wyraźnie słyszeliśmy wycie sztormu oraz zgrzyt i huk pękającej kry.

─ Zabirnsky dobrze to ujął ─ powiedział Swanson ─ zastanawiam się, jak długo to piekło może trwać?

─ Zbyt długo. Mam w kabynie torbę lekarską, półlitrową butelkę spirytusu i ciepły ubiór. Od pana chciałbym piętnastokilową pakę z jedzeniem, proteinowe wysokokaloryczne koncentraty, już Benson będzie wiedział, o co mi chodzi.

─ Czy pan myśli o tym, o czym ja myślę, że pan myśli? Czy też dostaję pomieszania zmysłów?

─ Co to ma znaczyć? ─ Hansen wszedł drzwiami wiodącymi z korytarza biegnącego na dziób okrętu, a uśmiechnięta twarz wskazywała na to, że choć słyszał ostatnie słowa Swansona, to ani nie wyczuł

jego tonu, ani nie widział wyrazu twarzy. ■ Pomieszczenie na umyśle to rzecz bardzo poważna, komandorze. Będę chyba zmuszony zakuć pana w kajdanki i przejąć dowodzenie. Wszystko to zgodnie z regulaminem, ośmielam się dodać...

■ Doktor Carpenter chce zarzucić na grzbiet plecak z prowiantem i pójść piechotą do Stacji.

■ Odebraliście ich znowu? ■ Na moment Hansen zapomniał o mnie. ■ Naprawdę ich macie? Zrobiliście drugi namiar?

■ Przed chwilą. Trafiliśmy prawie w dziesiątkę, Raeburn twierdzi, że to nie dalej niż osiem kilometrów stąd.

■ Mój Boże! Osiem kilometrów! Tylko osiem! ■ W tym momencie emocje z niego opadły, jakby za dotknięciem wewnętrznego przycisku. ■ Przy dzisiejszej pogodzie może to być i pięćset mil. Nawet stary Amundsen nie uszedłby dziesięciu metrów w takich warunkach.

■ Doktor Carpenter widać sądzi, że potrafi pobić rekord Amundsena ■ powiedział Swanson sucho. ■ Zamierza tam pójść.

Hansen spojrzał na mnie przeciągle, rozważając coś w myślach i zwrócił się do Swansona:

■ Myślę, że to właśnie doktora Carpentera powinniśmy wsadzić w kaftan.

■ Pomyślałem to samo ■ powiedział Swanson.

■ Posłuchajcie panowie ■ rzekłem ■ tam są ludzie, może teraz już niewielu, ale kilku jest. Choćby jeden. Człowiek bardziej niż chory, umierający człowiek, nawet najmniejsza zwłoka może jego życie zamienić w śmierć. Jestem lekarzem, więc wiem. Najmniejsza nawet rzecz ■ łyk alkoholu, odrobina jedzenia, gorący napój czy lekarstwo, mogą podtrzymać życie. Bez tego z całą pewnością umrą. Zasłużyli na pomoc, a ja podejmę każde ryzyko, aby jej udzielić. Nikogo nie proszę o to, by szedł ze mną. Wszystko, o co proszę, to abyście zgodnie z zaleceniami Waszyngtonu, pomogli mi bez narażania "Delfina" i załogi. Pogróżki o zatrzymaniu mnie nie wyglądają na "wszelką możliwą pomoc". Powtarzam, nie chcę niczego, co mogłoby zagrozić okrętowi czy jego załodze.

Swanson wbił wzrok w podłogę. Zastanawiałem się nad tym, o czym myśli, czy o dyrektywach z Waszyngtonu, czy o sposobie zatrzymania mnie, czy też o tym, że tylko on jeden wie, iż komendantem "Zebry" jest mój brat. Nie powiedział nic.

■ Musi go pan zatrzymać, komandorze ■ rzekł Hansen z naciskiem. ■ Gdyby widział pan, jak ktoś przystawia sobie pistolet do głowy albo brzytwę do gardła, z pewnością by go pan powstrzymał. To taki sam przypadek. On oszalał, chce popełnić samobójstwo. ■ Poklepał gródź. ■ Dobry Boże, doktorze, czy nie wie pan, czemu sonar pracuje, nawet kiedy stoimy? Żebyśmy wiedzieli, kiedy zacznie się zamykać szczelina. A pracuje, bo obserwator nie wytrzyma na mostku dłużej niż trzydzieści sekund, nie mówiąc o tym, że niczego nie dojrzy na odległość większą niż kilka centymetrów. Choćby na chwilę proszę pójść na górę i gwarantuję, że szybko zmieni pan zamiar.

■ Właśnie stamtąd wróciliśmy ■ rzekł trzeźwo Swanson.



■ I nadal chce iść? Jest tak, jak mówiłem, zwariował.

■ Moglibyśmy zanurzyć się teraz ■ powiedział komandor ■ mamy ich pozycję. Może znajdziemy kawałek cienkiego lodu w odległości kilometra albo i mniej od Stacji. To by jednak zupełnie zmieniło sytuację.

■ Może potrafi pan znaleźć igłę w stogu siana ■ odparłem ■ ale straciliśmy sześć godzin, aby znaleźć to miejsce, a przy tym i tak mieliśmy szczęście. Proszę nie mówić o torpedach, grubość lodu na tym obszarze dochodzi miejscami do trzydziestu metrów. Równie dobrze moglibyśmy strzelać z rewolweru. Może minąć dwanaście godzin, a może i dni całe, zanim znajdziemy miejsce do przebicia. Na piechotę powinienem dotrzeć tam w dwie, trzy godziny.

■ Jeśli nie zamarznie pan na śmierć przy pierwszych stu krokach ■ dodał Hansen. ■ Jeśli nie wleci pan w jakąś wyrwę i nie złamie nogi, jeśli nie oślepnie pan w ciągu kilku minut, jeżeli nie otworzy się pod panem nowa szczelina, której nie zauważy pan w porę. A wówczas albo pan utonie od razu, albo, jeśli uda się panu wydostać, zamarznie pan w bryłę lodu, już po trzydziestu sekundach. A gdyby nawet przeżył pan to wszystko, byłbym wdzięczny za wyjaśnienie, jak na oślepa zamierza pan znaleźć drogę do miejsca odległego o osiem kilometrów. Nie może pan dźwigać na karku żyrokompasu, bo waży pół tony, a zwykły kompas magnetyczny jest zupełnie bezużyteczny na tej szerokości geograficznej i przy takich warunkach atmosferycznych. Biegun magnetyczny znajduje się dobry kawał na południowy zachód od miejsca, w którym jesteśmy. Gdyby nawet udało się panu odszukać przy jego pomocy kierunek, to w ciemnościach tej burzy mógłby pan minąć Stację, czy to co z niej zostało, i wcale tego nie zauważyć... Gdyby zaś, szansa jedna na milion, cudem się udało, jak do diabła chce pan znaleźć drogę powrotną? Ciągnąć za sobą nitkę czy też znacząc ślad skrawkami papieru? Na określenie tego, co chce pan zrobić, szaleństwo to za małe słowo.

■ Mogę złamać nogę, utonąć lub zamarznąć ■ zgodziłem się ■ można zaryzykować. Odszukanie drogi tam i z powrotem nie wymaga wielkiej filozofii. Mamy dokładny namiar i wiemy, gdzie jesteśmy. Można przecież określić położenie przy każdym nadajniku. Wystarczy wziąć krótkofalówkę. Będę utrzymywał łączność z wami, a wy stały kontakt z "Zebrą". Możecie więc naprowadzać mnie. To proste.

■ Byłoby takie ■ rzekł Hansen ■ gdyby nie drobnostka. Nie mamy takiego radionadajnika.

■ Mam walkie-talkie o zasięgu trzydziestu kilometrów, w swojej walizce.

■ Co za zbieg okoliczności, naprawdę przypadek ■ zamruczał Hansen. ■ Akurat tak się złożyło, że wziął to pan ze sobą. Założę się, że ma pan wiele innych, zabawnych rzeczy w swojej walizce, doktoru.

■ To, co doktor Carpenter ma w walizce, to nie nasza rzecz ■ wtrącił Swanson z lekką przyganą. Wcześniej tak nie myślał. ■ To co nas interesuje, to jego plany. Chyba nie myśli pan, doktorze, że weźmiemy udział w pańskim absurdalnym planie?

■ Nikt tego od pana nie oczekuje. Nie wymagam waszego udziału. Proszę tylko nie utrudniać mi tego,

co postanowiłem, i przygotować plecak z żywnością. A jeżeli i tego nie zrobicie, i tak pójdę.

Opuściłem ich i poszedłem do swojej kabiny, a raczej do kabiny Hansena. Choć nie była moja, nie miałem skrupułów i spokojnie przekręciłem klucz od wewnątrz, zaraz po przekroczeniu progu. Przekonany o tym, że zamknięte drzwi do własnej kajuty nie mogą zachwycić Hansena, nie traciłem czasu. Przekręciłem zamek cyfrowy i otworzyłem wieko walizki. Przynajmniej trzy czwarte miejsca zajmowało ubranie, przystosowane do warunków arktycznych. Najcieplejsze, jakie można było kupić. Pieniądze, za które je nabyto, nie były jednak moje.

Zdjąłem dotychczasowe okrycie. Włożyłem wełnianą bieliznę, wełnianą koszulę, sztruksowe spodnie oraz wełniane, robione na drutach podwójnym splotem sweter z kapturem z domieszką jedwabnej nitki. Nie był standardowy, pod lewym ramieniem miał jedną, a po prawej stronie drugą, nieco dziwnie wymodelowaną kieszeń. Pogrzebałem na dnie walizki i wyjąłem trzy przedmioty. Pierwszy z nich, pistolet automatyczny mannlicher-schoenauer kaliber dziewięć milimetrów, pasował tak dokładnie do lewej kieszeni, jakby była do tego celu wszyta, co zresztą nie mijało się z prawdą. Pozostałe przedmioty, czyli zapasowe magazynki, pasowały jak ulał do prawej kieszeni.

Włożenie reszty nie trwało długo. Dwie pary grubych, wełnianych skarpet, filcowe podkładki pod stopy, następnie kurtka z kapturem i spodnie ze skóry karibu, drugi kaptur ze skóry wilczej i buty z foczej. Rękawice ze skóry renifera naciągnąłem na uprzednio włożone dwie pary, jedną z jedwabiu, drugą z wełny. Może i niedźwiedź polarny był lepiej wyekwipowany do przetrwania arktycznych burz, ale jeśli tak, to niewiele.

Zawiesiłem na szyi maskę śnieżną i gogle, wcisnąłem ogumowaną wodoszczelną latarkę do zewnętrznej kieszeni, wyciągnąłem walkie-talkie i zamknąłem walizkę przez ponowne przekręcenie zamka cyfrowego. Teraz, kiedy miałem pistolet pod pachą, to nie było potrzebne, ale, pomyślałem, że Swansonowi, na czas mojej nieobecności przyda się zajęcie. Wcisnąłem torbę lekarską i butelkę spirytusu do plecaka i otworzyłem drzwi.

Swanson był dokładnie tam, gdzie go pozostawiłem, to znaczy w sterowni. To samo Hansen. Byli tam również inni, Zabirinsky i Rawlings. Hansen, Rawlings i Zabirinsky ■ trzech największych osiłeków na statku. Po raz ostatni widziałem ich razem w Holy Loch, gdy na polecenie Swansona mieli mnie pilnować. Być może nawyki komandora nie zmieniły się. Hansen, Rawlings i Zabirinsky ■ wyglądali na jeszcze większych, niż zwykle.

Zapytałem Swansona:

■ Dostanę te racje żywnościowe czy nie?

■ Jeszcze jedna formalność ■ odpowiedział. Chyba jego pierwszą myślą było, kiedy mnie ujrzał wchodzącego do sterowni, że niedźwiedź zawitał na statek, lecz ani mrugnął. ■ Tylko dla porządku. Jest pan samobójcą. Nie ma pan szans, a ja nie mogę w tym uczestniczyć.

■ W porządku, ma pan świadków i wszystko. A teraz racje żywnościowe.

■ Nie mogę uczestniczyć, ze względu na ostatnią, groźną sytuację. Jeden z naszych techników

elektroników rutynowo testując "lodówkę" stwierdził, że przepalił się elektryczny motor. Musi zostać przewinięty, a nie ma części zapasowych. Wie pan oczywiście, co to oznacza. Jeśli będziemy zmuszeni zanurzyć się, to nie znajdziemy drogi powrotnej. To znaczy, nie będziemy mogli pana znów zabrać na okręt. Wszyscy pozostaniecie na lodzie.

Nie winiłem go za te próby, ale byłem lekko rozczarowany. Miał czas na wymyślenie czegoś lepszego. Rzekłem:

■ Żelazne racje żywnościowe, komandorze. Czy je otrzymam?

■ Więc nadal chce pan iść? Po tym, co powiedziałem?

■ Och, na miłość Boską, poradzę sobie bez żywności.

■ Mojemu pierwszemu oficerowi oraz Rawlingsowi i Zabrinky'emu to się nie podoba ■ powiedział Swanson urzędowym tonem.

■ Nie mam wpływu na ich upodobania.

■ Czują, że nie powinni panu na to pozwolić ■ nalegał.

Byli więcej niż wysocy, byli ogromni. Przedrzeć się między nimi było równie łatwo, jak jagnięciu między wygłodniałymi lwami. Miałem oczywiście pistolet, ale żeby się doń dostać, musiałbym się rozebrać, a Hansen zdążył już udowodnić w kantine, tam w zatoce, swoją szybkość, gdy zauważy u kogoś podejrzany ruch. A nawet gdybym wydobył broń, to co? Ludzie tacy jak Hansen, Zabrinky i Rawlings nie wiedzieli co to strach. Nie mógłbym zaszantażować ich bronią, a zresztą nie potrafiłbym jej użyć przeciwko ludziom, którzy wykonywali swój obowiązek.

■ Nie pozwolę panu na tę wyprawę ■ kontynuował Swanson ■ chyba, że pan pozwoli im sobie towarzyszyć. Wszyscy zgłosili się na ochotnika.

■ Na ochotnika! ■ Parsknął Rawlings. ■ Ty, ty i ty.

■ Nie chcę ich ■ powiedziałem.

■ Wdzięczność, co? ■ Pytanie Rawlingsa nie było skierowane do nikogo w szczególności. ■ Mógłby pan chociaż powiedzieć dziękuję, doktoru.

■ Naraża pan życie swoich ludzi. Wie pan przecież, jakie były rozkazy.

■ Tak, ale wiem również, że podczas arktycznych wypraw, jak i alpinistycznych czy speleologicznych, grupa ma dwukrotnie większe szanse niż jednostka. Wiem też, że gdyby się rozniosło, że pozwoliliśmy doktorowi, cywilowi, na pieszą wędrówkę do Stacji, podczas gdy sami zbyt przerażeni, nie wychyliliśmy nosa z ciepłego gniazdka w łodzi, imię marynarki amerykańskiej zostałoby narażone na szwank.

■ A co pańscy ludzie sądzą o ryzyku życia dla ratowania dobrego imienia floty Stanów

Zjednoczonych?

■ Słyszał pan, co powiedział dowódca ■ odparł Rawlings ■ jesteśmy ochotnikami. Proszę spojrzeć na Zabrinky'ego, widać przecież, że to urodzony heros.

■ Czy pomyśleliście o tym, co się stanie, gdy szczelina zacznie się zamykać i dowódca zmuszony będzie do zanurzenia?

■ O tym nawet proszę nie wspominać, aż takim herosem nie jestem.

Poddałem się. Zresztą nie miałem innego wyjścia. Poza tym, ja tak samo jak Zabrinky, nie byłem aż takim bohaterem i nagle zdałem sobie sprawę z tego, że w gruncie rzeczy będę bardzo zadowolony mając tych trzech mężczyzn u boku.

## Rozdział 5

Porucznik był pierwszym, który się poddał. Chociaż to złe określenie, bo Hansenowi nieznane było znaczenie takich słów, a myśl o poddaniu się zupełnie obca. Należało raczej powiedzieć, że był pierwszym, który wykazał jakieś przebłycki rozsądku. Złapał mnie za ramię, odsunął maskę śniegową i przytykając mi usta do uszu wrzasnął:

■ Ani kroku dalej! Musimy się zatrzymać!

■ Przy następnym grzbiecie! ■ odkrzyknąłem. Nie wiem, czy usłyszał mnie, czy też nie, bo natychmiast nasunął znów maskę ochronną przed burzą śnieżną. Chyba mnie jednak zrozumiał, bo zelżał ucisk na linę, którą byłem obwiązany w pasie, i mogłem poruszać się dalej. Przez ostatnie dwie i pół godziny zmienialiśmy się na przedzie. Jeden szedł na czele, pozostali trzej trzymali linę jakieś dziesięć kroków z tyłu. Pomysł polegał na tym, że jeden był przewodnikiem, a reszta ubezpieczała go w razie potrzeby. Taka potrzeba już zresztą raz wynikła. Hansen pośliznął się i gramoląc się na czworakach wzdłuż poszarpanego i stromego lodowego zbocza w poszukiwaniu zaczepienia, sięgnął rękami w ciemność nocy, ale niczego nie znalazł. Spadł pionowo w dół o całe dwa i pół metra, nim z gwałtownym szarpnięciem zatrzymał się. Wstrząs był równie bolesny dla niego, jak i dla mnie i Rawlingsa, gdyż przyjęliśmy szarpnięcie na siebie. Niemalże dwie minuty wisiał nad smaganą wiatrem, czarną wodą dopiero co powstałej szczeliny, zanim udało nam się odciągnąć go w bezpieczne miejsce. To było o wiele za blisko, a nawet kilkusekundowe zanurzenie w wodzie, przy temperaturze na dworze grubo poniżej zera, było śmiertelne. Proces zamarzania był nieodwracalny, nasiąknięte wodą ubranie stawało się w ciągu kilku sekund pancierzem nie do usunięcia. Zamknięty w takim lodowym kokonie człowiek szybko kostnieje. Jeśli zaś, co jest prawie niemożliwe, jego serce przetrzyma szok termiczny ■ spadek ciepłoty ciała o sto stopni w skali Fahrenheita ■ udusi się z braku powietrza.

Szedłem więc ostrożnie, z napięciem badając powierzchnię lodu laską. Był to półtorametrowy kawałek liny, zanurzony w wodzie i wystawiony na powietrze, dopóki nie stwardniał, jak stalowy pręt. Wymyśliliśmy to po wypadku Hansena. Trochę szedłem, trochę się potykałem, gdy niespodziewanie zmieniała się siła wiatru, traciłem równowagę i przewracałem, maszerując potem

na czworakach, co było równie wyczerpujące. Właśnie podczas takiego pełzania, zdałem sobie sprawę z tego, że wiatr chwilowo stracił impet i nie byłem więcej bombardowany chmurą lodowych igiełek. Chwilę później mój czujnik zetknął się z jakąś solidną przeszkodą, z pionową ścianą spiętrzonego lodu. Schroniłem się z ulgą między załomami, zdjąłem okulary i zapalałem pochodnię, podczas gdy reszta podeszła na ślepo do tego miejsca. Wymachiwaliśmy w powietrzu rozkrzyżowanymi rękoma, niczym niewidomi, którymi w rzeczywistości byliśmy przez ostatnie dwie i pół godziny. Nie ujmując zalet okularom śniegowym, równie dobrze mogliśmy owinać oczy jutowym workiem. Spojrzałem na Hansena, który pierwszy z całej trójki nadszedł. Okulary, maska śniegowa, kaptur, ubranie, cały przód ciała, od stóp do głów, był grubą, połyskliwą i mocno zaskorupiałą bryłą lodu. Wyłom czyniły w niej wąskie pęknięcia, spowodowane ruchami rąk i nóg. Zgrzyt kroków słychać było już z odległości półtora metra. Długie sople lodu zwieszały mu się z głowy, ramion i łokci. Wyglądał niczym pozaziemski stwór z bardzo zimnej planety, powiedzmy z Plutona. Mógł być sensacją w każdym filmie grozy. Sam pewnie wyglądałem tak samo.

ścieśniliśmy się za osłoną lodowej ściany. Tylko ponad metr nad naszymi głowami burza śnieżna przewalała się, połyskującą białoszarą rzeką. Rawlings, siedzący po mojej lewej stronie uniósł okulary, spojrzał na pokryte lodem futro i pięścią próbował złamać lodową pokrywę. Wciągnąłem dłoń i zatrzymałem go.

■ Proszę to zostawić.

■ Zostawić? ■ Głos Rawlingsa tłumiała maska śniegowa, ale nie na tyle jednak, abym nie słyszał szczękania jego zębów. ■ Ten cholerny pancerz waży tonę. Nie trenowałem podnoszenia ciężarów, daktorku.

■ Niech pan to zostawi w spokoju, gdyby nie ten lód, dawno zamarzyłby pan na śmierć. Chroni pana przed wiatrem i burzą śnieżną. Proszę pokazać resztę twarzy i ręce.

Sprawdziłem, czy on i pozostali nie mają odmrożeń, a Hansen zrobił to samo ze mną. Ciągłe mieliśmy szczęście. Byliśmy fioletowo niebiescy, trzęśliśmy się z zimna, ale nie mieliśmy odmrożeń. Ich futra nie były może tak dobre jak moje, ale wystarczyły. W wyposażeniu łodzi atomowej jest wszystko co najlepsze i taka też odzież. Jednak ich twarze i świszczące oddechy mówiły o tym, jak bardzo byli wyczerpani. Droga pod wiatr, w czasie sztormu takiego jak ten, pochłania energię i przypomina brnięcie pod prąd w rzece melasy. Do tego bez przerwy musieliśmy się wspinać, ślizgać i padać na popękany lód albo obchodzić bokiem wzniesienia niemożliwe do pokonania, z trzydziestokilogramowymi plecakami na grzbiecie i wielokilogramową skorupą na sobie ■ i wszystko to czyniło tę naszą podróż mrocznym i mroźnym koszmarem.

■ Myślę, że nie ma stąd powrotu ■ powiedział Hansen. Jego oddech, podobnie jak oddech Rawlingsa, był szybki i płytki, przypominało to raczej zachłystywanie się powietrzem. ■ Nie damy rady wytrzymać tego długo.

■ Trzeba było bardziej uważać podczas wykładów doktora Bensaona ■ odparłem z przyganą. ■ Wszystkie te lody, szarlotki i wylegiwanie się na koi, to nie najlepsza zaprawa do takich eskapad.

■ Atak? ■ spojrzał na mnie. ■ A pan, jak się czuje?

■ Jestem odrobinę zmęczony ■ przyznałem ■ nie ma o czym mówić. ■ Podrażniona duma nie pozwoliła mi powiedzieć, że czułem się tak, jakby nogi miały mi za chwilę odpaść. Sięgnąłem do plecaka i wyjąłem butelkę z alkoholem.

■ Proponuję piętnastominutową przerwę. Jeszcze trochę, a całkiem zeszywniejemy. Mała kropelka nie zaszkodzi na ożywienie krwiobiegu.

■ Myślałem, że lekarze są przeciwni piciu alkoholu na mrozie ■ powiedział Hansen niedowierzająco. ■ Ma to podobno związek z otwieraniem się porów.

■ Proszę podać jakikolwiek przykład ludzkiej działalności, a znajdę panu grupę lekarzy, która jest temu przeciwna. Nudziarze. A poza tym to bardzo dobra szkocka whisky.

■ Trzeba było od razu tak mówić. Niech pan puści butelkę w obieg. Rawlingsowi i Zabrinyski'emu za dużo. Nie przywykli do takich warunków. Jakies sprzeciwy, Zabrinyski? Zabrinyski z głową wpółukrytą w połach kurtki, mówił do mikrofonu krótkofalówki, osłaniając jednocześnie usta zwiniętymi w tubkę dłońmi. Jako ekspert w dziedzinie radiotechniki, został wybrany do obsługi nadajnika, który dałem mu jeszcze przed opuszczeniem łodzi. Z tego powodu również ani razu nie szedł w przodzie. Uderzenie albo zanurzenie w wodzie to dla radia koniec, a i dla nas też. Stracilibyśmy nie tylko nadzieję na odszukanie Stacji, ale i szansę na odtworzenie drogi na okręt. Zabrinyski przypominał budowę i masę goryla i był tak samo wytrzymały, ale traktowaliśmy go z taką ostrożnością, jak chińską porcelanę.

■ To trudne ■ rzekł Zabrinyski. ■ Radio w porządku, ale burza śnieżna powoduje tyle zakłóceń i szumów, że... Nie, zaczekajcie chwilę. ■ Nachylił się do mikrofonu i osłaniając go rękami przed sztormem, powiedział:

■ Tu Zabrinyski... Tak, jesteśmy trochę zagubieni, ale doktor jest pewien, że się nam uda... Zaczekajcie, zapytam go. ■ Odwrócił się do mnie: ■ Chcą wiedzieć, jak daleko, według pana, zaszliśmy.

■ Z sześć i pół kilometra ■ wzruszyłem ramionami ■ z sześć. Może siedem. Trudno powiedzieć.

Zabrinyski przemówił znowu, zobaczył, że ja i Hansen potrząsamy głowami, i wyłączył się, a następnie oznajmił:

■ Nawigator twierdzi, że zboczyliśmy o cztery piąte stopnia na północ i powinniśmy skierować się ku południu, jeśli nie chcemy minąć stacji o kilka metrów.

Mogło być gorzej. Godzina minęła od czasu, gdy odebraliśmy ostatni namiar z okrętu, a w tym czasie jedynym kierunkowskazem była dla nas siła wiatru. Twarz prawie całkiem zakryta i częściowo nieczuła, nie jest zbyt wrażliwym instrumentem przy ustalaniu kierunku wiatru. Na dodatek wiedzieliśmy, że może wiać z różnych kierunków i wirować. Mogło być o wiele gorzej i powiedziałem to Hansenowi.

■ Zgadza się ■ westchnął ciężko. ■ Mogliśmy kręcić się w kółko albo nie żyć, ale wyjąwszy to, nie

wyobrażam sobie, że mogłoby być jeszcze gorzej. ■ Przełknął whisky, zakaszał i oddał mi butelkę. ■ Wszystko widzę teraz w jaśniejszych barwach. Czy naprawdę sądzi pan, że się nam uda?

■ Trzeba nam trochę szczęścia, to wszystko. Czy nasze plecaki nie są za ciężkie? Czy nie powinniśmy zostawić choć części zapasów tutaj?

Była to ostatnia rzecz, którą bym zrobił. Ponad dziesięć kilo sprasowanych brykietów węgla, cztery kilo żywności, piecyk, trzy litry alkoholu, namiot i doskonale zaopatrzona apteczka. Gdyby cokolwiek miało być pozostawione, chciałem, żeby oni to zaproponowali, mając pewność, że tego nie zrobią.

■ Nie zostawimy niczego ■ odparł Hansen. ■ Nie wiem, czy odpoczynek, czy whisky mu pomogły, ale głos był mocniejszy, a zęby prawie nie szczękały.

■ Puśćmy ten pomysł w niepamięć ■ dodał Zabirsky. Kiedy widziałem go po raz pierwszy w Szkocji, przypominał mi polarnego niedźwiedzia, a teraz wśród lodów, jego duża, zgarbiona, ośnieżona postać sprawiała, że podobieństwo się zwiększyło. Również siłę miał niedźwiedzia, zdawał się być zupełnie rzeński i w kondycji lepszej niż każdy z nas. ■ Ciężar na ramionach odczuwam jak ranę na nodze, bolesną, ale przecież nie pozbyłbym się nogi.

■ A pan? ■ Zapytałem Rawlingsa.

■ Oszczędzam się ■ odparł ■ myślę, że niedługo będę musiał nieść Zabirsky'ego.

Nasunęliśmy na oczy bezużyteczne już, popękane i porysowane gogle, stanęliśmy sztywno na nogi i ruszyliśmy na południe, szukając przejścia przez blokującą nam drogę grań. Był to ciągnący się bez przerwy masyw, najdłuższy z dotychczas spotkanych. Nie przejmowałem się tym jednak, bo potrzebowaliśmy osłony do nabrania sił, zanim powrócimy na odpowiedni kurs. Po czterystu mniej więcej metrach, lodowa ściana urywała się tak nagle, że niespodziewanie narażony na gwałtowny podmuch burzy, straciłem równowagę i się wywróciłem. Czulem jakbym wpadł pod ekspres. Trzymając się jedną ręką liny, a drugą drapiąc śnieg, powstałem z wysiłkiem na nogi i krzyknąłem ostrzegawczo do pozostałych. Po chwili szliśmy już zgięci w pół dla utrzymania równowagi, a wiatr zacinał nam prosto w twarz. Następne półtora kilometra przebyliśmy w niecałe pół godziny. Droga była łatwiejsza, o wiele bardziej niż przedtem, choć nadal zbyt często musieliśmy zbaczać, dla omięcia gór i rozpadlin. Z drugiej strony, wszyscy, poza Zabirskym, byliśmy wyczerpani i padaliśmy częściej, niżby to wynikało z trudności terenu i siły wiatru. Czulem, jak paliły mnie zeszywniałe nogi. Każdy krok wywoływał falę ostrego, piekącego bólu przesywającego aż do pasa. Jednak sądzę, że wytrzymałbym dłużej niż pozostali, gdyby nawet nogi odmówiły posłuszeństwa, motyw, jakim się kierowałem, dałby mi siłę napędową i niósł całe godziny. Major Halliwell, mój starszy, jedyny brat. Żywy czy martwy. Ktoś, komu zawdzięczałem wszystko, co miałem, i to czym byłem. Czy umarł właśnie w momencie, gdy o nim myślałem? Jego żona i troje dzieci, które rujnowały swego wuja-kawalera, tak samo jak ja rozpieszczęłem ich. Oni mieli prawo znać prawdę, a tylko ja mogłem jej dociec. Żywy czy martwy? Nie czulem już, żeby moje nogi należały do mnie, paliły i torturowały jakby kogoś innego. Musiałem poznać prawdę. Musiałem i choćbym miał przebyć ostatnie metry na czworakach albo i pełznąć, to zrobiłbym to. Znać prawdę. Ponadto, oprócz silnego niepokoju o los brata, miałem jeszcze jeden motyw. świat uznałby go z pewnością za ważniejszy od troski o życie czy śmierć komendanta stacji. Nieskończenie ważniejszy niż życie czy

śmierć całej grupy ludzi z polarnej placówki. świat by tak bez wątpienia uważał.

Grad lodowych kryształków, doprowadzający do szaleństwa, przestał walić w maskę i ubranie. Znalazłem się pod osłoną ściany lodowej, wyższej niż ostatnia, przy której odpoczywaliśmy. Zaczekałem na resztę, poprosiłem Zabrinky'ego o radiowe sprawdzenie naszej pozycji i znów rozdzieliłem trochę alkoholu, w celach leczniczych. Więcej niż poprzednio. Wszyscy tego potrzebowali. Hansen i Rawlings byli w kiepskiej formie. Oddech mieli krótki, świszczący, oddech długodystansowca w końcówce biegu. Stopniowo uświadomiłem sobie, że szybkość mojego oddechu była niemal taka sama, wstrzymanie go choć na sekundę, aby przełknąć drinka, wymagało ogromnej koncentracji woli. Pomyślałem niejasno, czy Hansen nie miał racji, mówiąc, że alkohol nam nie pomoże. Ale smakował tak, jakby pomagał.

Zabrinky mówił już przez zwinięte dłonie do mikrofonu. Po mniej więcej minucie, zdjął słuchawki, schował krótkofalówkę i powiedział:

■ Albo jesteśmy tak dobrzy, albo mamy szczęście, albo i to, i to. Mówią, że dokładnie trzymamy kurs. ■ Opróżnił szklaneczkę, którą mu wręczyłem, i westchnął z satysfakcją ■ no, to była dobra część przekazu. A teraz zła... Szczelina zaczyna się zwężać. Dowódca przewiduje, że będzie zmuszony odpląć stamtąd za dwie godziny. ■ Zawahał się i dodał: ■ a "lodówka" jest ciągle niesprawna.

■ "Lodówka" ■ powtórzyłem głupio. Przynajmniej czułem się głupio. ■ Czy "lod...

■ Tak ■ przerwał mi Zabrinky. Wyglądał na zmęczonego. ■ Nie wierzył pan komandorowi, prawda, doktorze Carpenter? Przechytrzył pan.

■ To pocieszające ■ rzekł z ciężkim westchnieniem Hansen. ■ Cudownie. "Delfin" się zanurzy, lód się zamknie i tak pozostaniemy, my na górze, oni na dole. Prawie na pewno nie uda im się odnaleźć nas znowu, nawet jeśli naprawią "lodówkę". Czy położymy się teraz i umrzemy, czy też, zanim to się stanie, będziemy jeszcze przez kilka godzin kręcić się w kółko?

■ Fatalnie ■ powiedział Rawlings z przygnębieniem. ■ Nie chodzi mi o nas, ale o stratę, jaką poniesie amerykańska marynarka. Mówię szczerze, poruczniku, jesteśmy, a raczej byliśmy trzema obiecującymi, młodymi ludźmi. Przynajmniej my dwaj. Bo Zabrinky już dawno osiągnął kres swoich możliwości umysłowych, o dawno.

Rawlings powiedział to wszystko szcękając zębami. Pomyślałem, że dobrze kogoś takiego mieć przy sobie, gdy zacznie dziać się źle, a wszystko na to wskazuje. Zdążyłem już odkryć, że razem z Zabrinkym stanowili parę kawalarzy i dla przyczyn znanych tylko sobie, ukrywali swoją inteligencję i wyższe wykształcenie pod maską genialnej bufonady.

■ Dwie godziny ■ powiedziałem. ■ Przy wietrze w plecy możemy wrócić na okręt w niecałą godzinę, niemal na skrzydłach.

■ A ludzie na stacji? ■ zapytał Zabrinky.

■ Zrobiliśmy, co było w naszej mocy.



─ Jesteśmy mocno zszokowani, doktorze ─ powiedział Rawlings, z mniejszą niż zazwyczaj kpina w głosie.

─ Głęboko zawiedzeni ─ dodał Zabirnsky lekkim tonem, ale słowom tym brakowało ciepła i nie miało to nic wspólnego z przenikliwym, zimnym wiatrem.

─ Zaskakuje mnie poziom inteligencji niektórych marynarzy ─ włączył się Hansen szorstkim tonem, a ja zastanawiałem się, skąd ta pewność w jego głosie. ─ Doktor Carpenter nie zawróciłby teraz, nawet gdyby ofiarowano mu całe złoto Fortu Knox. ─ Podniósł się ze zmęczeniem. ─ Nie powinniśmy mieć do przejścia więcej niż osiemset metrów, a więc skończmy z tym.

W świetle latarki dostrzegłem, jak Rawlings i Zabirnsky spojrzeli po sobie i jednocześnie wzruszyli ramionami. Wstali i ruszyliśmy w drogę. Trzy minuty później Zabirnsky złamał nogę w kostce. Stało się to, jak to mówią ─ na prostej drodze, i absurdalność tego zdarzenia kazała nam myśleć o tym, że fakt, iż nic takiego nie przytrafiło się nikomu przez ubiegłe trzy godziny, wygląda na cud. Baliśmy się zgubić drogę i nie mijaliśmy trzymetrowego, lodowego garbu, tylko weszliśmy nań, pomagając jeden drugiemu. Reflektor był zupełnie bezużyteczny w zamieci, a okulary nieprzejryste, macałem więc grunt laską ze sznurem. Przeczółgałem się z sześć metrów do łagodnej pochyłości, dotarłem do przeciwległego stoku.

─ Półtora metra ─ powiedziałem do nadchodzących ─ tylko półtora metra. Ześlizgnąłem się w dół. Zaraz potem pojawił się Rawlings, a za nim Hansen. Obaj zjechali z łatwością.

Tego, co przytrafiło się Zabirnsky'emu, nie udało się nam dojrzeć. Albo źle ocenił odległość, albo chwilowy spadek siły wiatru spowodował, że stracił równowagę. Usłyszałem tylko, jak wykrzyknął coś, co natychmiast porwał i zagłuszył wiatr, i chwilę później wylądował koło nas. Zdawało się, że dość pewnie i lekko stanął na nogach, a zaraz potem jęknął z bólu i upadł. Odwróciłem się tyłem do wiatru, zdjąłem bezużyteczne okulary i wyjąłem reflektor. Zabirnsky na wpół siedział, na wpół leżał na lodzie i podparty ramieniem kłął nieprzerwanie z dużą wprawą. Nie zauważyłem, żeby się chociaż raz powtórzył, co prawda śnieg głużył dźwięki. Prawą piętą tkwił w kilkucentymetrowej szczelinie, jednej z takich, jakie tysiącami krzyżowały się na powierzchni lodu. Nogę miał wygiętą na zewnątrz pod kątem, jakiego zdrowa noga nie mogłaby przyjąć. Aby stwierdzić, że złamał ją w kostce, a raczej w piszczeli, bo kostkę obciskał but, nie potrzebowałem dyplomu lekarza. Miałem tylko nadzieję, że nie jest to jakieś skomplikowane złamanie, tyle, że nadzieję nieuzasadnioną. Przy tak ostrym kącie nachylenia nogi, mało było prawdopodobne, aby kość nie przebiła skóry. Zresztą i tak nie miałem zamiaru teraz tego oglądać. Odkrycie nogi, nawet na kilka minut, przy tym mrozie, mogłoby go jej pozbawić na zawsze. Unieśliśmy go, uwolniliśmy mu nogę i delikatnie posadziliśmy. Otworzyłem apteczkę i zapytałem.

─ Bardzo boli?

─ Nie. Jest zdrętwiała. Prawie nic nie czuję. ─ Zaklął z niesmakiem. ─ Co ja takiego zrobiłem? Taka mała szczelina. Ależ człowiek może zgłupieć.

─ Nie uwierzyłbyś, gdybym ci powiedział ─ rzekł Rawlings kwaśno. ─ Przewidziałem to, przewidziałem. Mówiłem, że skończmy niosąc tego goryla.

ściskałem w łupki zranioną nogę, tak mocno, jak to tylko było możliwe poprzez but i futro, usiłując jednocześnie nie myśleć o kłopotach, w jakich się znaleźliśmy. Cios podwójny. Nie tylko straciliśmy pomoc najsilniejszego z nas, ale mieliśmy teraz do dźwigania stukilogramowy, dodatkowy ciężar, że nie wspomnę o jego plecaku.

Zabrinsky czytał chyba moje myśli.

■ Będziecie musieli mnie tu zostawić, poruczniku ■ rzekł do Hansena. ■ Zęby szczękały mu teraz nie tylko z zimna, ale i z powodu przeżycia. ■ Myślę, że jesteśmy prawie na miejscu. Zabierzecie mnie w drodze powrotnej.

■ Przestań pleść bzdury ■ przerwał mu krótko Hansen. ■ Wiesz bardzo dobrze, że nie odnaleźlibyśmy cię po raz drugi.

■ Właśnie ■ Rawlings klekotał zębami niczym karabin maszynowy. Klęknął na lodzie, by podtrzymać ranego. ■ Nie ma odznaczeń za głupotę, tak jest w przepisach.

■ Ale ■ zaprotestował Zabrinzsky ■ nigdy nie dotrzecie do Stacji, jeśli będziecie musieli mnie nieść...

■ Słyszałeś, co powiedziałem ■ przerwał mu Hansen ■ nie pozostawimy cię.

■ Porucznik ma rację ■ zgodził się Rawlings. ■ Nie jesteś typem bohatera, Zabrinzsky. Przede wszystkim nie ta gęba. Teraz odpocznij, a ja zdejmę trochę tobołów z twojego grzbietu.

Skończyłem zaciskać łupki i wcisnąłem z powrotem dwie pary rękawic, na niemal odmrożone dłonie, na których miałem przecież jedną, jedwabną parę. Podzieliliśmy bagaż Zabrinzsky'ego między nas trzech. Znów włożyliśmy okulary i maski śniegowe, postawiliśmy Zabrinzsky'ego na zdrowej nodze, ustawiliśmy się pod wiatr i ruszyliśmy. Powinienem raczej powiedzieć ■ zatoczyliśmy się. Ale w momencie, w którym najbardziej szczęścia potrzebowaliśmy, mieliśmy je. Powierzchnia była gładka, niczym zamarznęta rzeka. Żadnych grani, garbów, rozpadlin, a nawet wąskich szczelin, podobnych do tej, która okulała Zabrinzsky'ego. Płaski, gładki jak stół bilardowy lód, nawet nie śliski, bo pobrużdżony przez okruchy, niesione przez burzę śnieżną. Co jakiś czas zmienialiśmy się na przedzie, podczas gdy dwóch pozostałych podtrzymywało milczącego Zabrinzsky'ego, który kuśtykał na jednej nodze. Po przejściu około trzystu metrów, prowadzący Hansen zatrzymał się tak nagle, że wpadliśmy mu na plecy.

■ Jesteśmy na miejscu! ■ Wrzasnął, przekrzykując jęk wiatru. ■ Dotarliśmy! Nic nie czujecie?

■ Co mamy czuć?

■ Zapach benzyny. Spalonej gumy. Nie czujecie?

Opuściłem maskę śniegową, przyłożyłem ręce do twarzy i ostrożnie wciągnąłem powietrze nosem. Jedno pociągnięcie wystarczyło. Naciągnąłem maskę z powrotem, ująłem mocniej Zabrinzsky'ego pod ramię i podążyłem za Hansenem. Gładka powierzchnia kończyła się po następnych kilku krokach. Teren wznosił się ostro w górę, aby tam utworzyć coś w rodzaju płaskowyżu. Po wywindowaniu Zabrinzsky'ego na to wzniesienie, prawie zupełnie opadliśmy z sił. Przy każdym kroku zapach

spaleniżny zdawał się być coraz ostrzejszy. Wysunąłem się do przodu i ustawivszy tyłem do wiatru zdjąłem okulary i zacząłem omiatać równinę półkolistymi ruchami reflektora. Silny zapach spaleniżny drażnił, pomimo maski, nozdrza. Zdawał się dolatywać wprost z przodu. Odwróciłem się i osłaniając rękami oczy, skierowałem reflektor w drugą stronę. Przeszedłem parę kroków i uderzyłem o coś twardego. Poświeciłem latarką, ale ledwie rozróżniłem niesamowicie wygięty, stalowy szkielet, okryty z nawietrznej strony śniegiem, a z zawietrznej zupełnie wypalony. Szkielet czegoś, co kiedyś było barakiem z prefabrykatów, specjalnie przystosowanym do przebywania w warunkach arktycznych. Odnaleźliśmy Dryfującą Stację Arktyczną "Zebra".

Poczekaliśmy, aż inni dołączą do mnie. Przeprowadziłem ich obok posepnej, wypalanej konstrukcji, a następnie powiedziałem, aby odwrócili się tyłem do wiatru i podnieśli okulary. Może dziesięć sekund mierzyliśmy wzrokiem oświetlone światłem reflektora ruiny. Nikt nic nie powiedział. Potem znów odwróciliśmy się i stanęliśmy pod wiatr.

Stację tworzyło osiem baraków, po cztery w dwóch równoległych rzędach, odległych od siebie o dziesięć metrów. Odległość między barakami w rzędzie wynosiła sześć metrów. Miało to ograniczyć możliwość przerzucania się ognia z baraku na barak, w razie pożaru. Jak widzieliśmy, nie zdało się to na nic, ale nikogo nie można było za to winić. Tylko ktoś o dzikiej, przerażającej wyobraźni mógłby przewidzieć to, co musiało się tu stać – eksplozję zbiorników i tysięcy galonów benzyny, płonącej wśród nocy, gnanej huraganowym wiatrem. Jak na ironię, ogień, bez którego życie człowieka wśród Arktyki jest nie do pomyślenia, to równocześnie największy wróg, bo choć cała zmarzlina to woda, ale zamrożona woda, i nie ma tu nic, co mogłoby stopić lód i ugasić pożar. Pomyślałem, coż to się stało z potężnymi chemicznymi gaśnicami, które znajdowały się w baraku. Osiem baraków, po cztery w rzędzie. Pierwsze dwa w obu rzędach były całkowicie spalone. Nie pozostał żaden ślad po ścianach, które składały się z dwóch warstw falistej dykty, przedzielonych izolacją z włókna szklanego. Zniknęły nawet kryte aluminium dachy. W jednym z baraków widoczne były poczerniałe i zwęglone resztki generatora, pokryte od nawietrznej strony warstwą lodu. Były tak powykęcane i stopione, że prawie nie do rozpoznania. Można się było tylko domyślać, jak piekielna panowała tu temperatura.

Piąty barak, to znaczy trzeci w prawym rzędzie, wyglądał jak replika tych czterech. Jego szkielet był nawet bardziej poskręcany od gorąca. Właśnie odwracaliśmy się od tego koszmarnego widoku, podtrzymując Zabirsky'ego, zanadto strwożeni, by mówić cokolwiek, gdy Rawlings zawołał coś niewyraźnie. Pochyliłem się do niego i odciągnąłem kaptur.

! światło! ! Wykrzyknął. ! światło! Spójrz, doktorze, tam!

Rzeczywiście zobaczyłem światło, długą, wąską, dziwnie białą, pionową smugę światła, wydobywającą się z baraku umiejscowionego naprzeciwko tego, przy którym staliśmy. Schyleni, pod wiatr, potaszczyliśmy Zabirsky'ego przez dzielącą nas przestrzeń. Po raz pierwszy oświetliłem coś, co nie było tylko metalowym szkieletem. Barak. Poczerniał i nadpalony, trochę krzywy, zabity dyktą w miejscu jedyne okna, ale barak. światło padało z lekko uchylonych drzwi od zawietrznej strony. Położyłem dłoń na klamce, jak dotąd jedynym w Stacji miejscu, gdzie nie było znać śladów ognia. Zawiasy zaskrzypiały niczym stara, zardzewiała brama na cmentarzu o północy i drzwi się uchylily. Weszliśmy do środka.

Barak ten o wymiarach pięć i pół metra na trzy, oświetlony do najdrobniejszego szczegółu upiornym blaskiem, dobywającym się z zawieszanej na haku pośrodku błyszczącego, aluminiowego sufitu latarni sztormowej. Sufit pokrywała gruba, przezroczysta warstwa lodu, z wyjątkiem małego kręgu w najbliższym sąsiedztwie lampy. Lód pokrywał również od góry do dołu wszystkie ściany. Drewniana podłoga nie była oblodzona tylko tam, gdzie leżeli ludzie, ale może i oni leżeli na lodzie, nie mogłem tego sprawdzić. Moim pierwszym wrażeniem, właściwie przekonaniem, które zmroziło mnie jeszcze bardziej niż arktyczny sztorm na zewnątrz, była myśl, że przybyliśmy za późno. Widziałem w swoim życiu wielu martwych ludzi i wiedziałem, jak wygląda nieboszczyk, a to co teraz zobaczyłem zaskoczyło mnie. Bezkształtne, skulone, nie dające znaku życia sylwetki leżące pod pogniecionymi stertami kołder, szmat i skór. Nie dałbym złamanego pensa za to, że u któregośkolwiek z nich kołatało jeszcze serce. Stłoczone blisko siebie postaci, leżące nierównym półkolem w najdalszym od drzwi kącie baraku. Panował całkowity bezruch, tak jakby leżeli tu całą wieczność. Oprócz syku lampy ciśnieniowej, nie słychać było żadnego dźwięku. Nie licząc oczywiście nieustannego bębnienia kryształków lodu o wschodnią ścianę baraku.

Posadziliśmy Zabirsky'ego i oparliśmy go o ścianę. Rawlings zdjął toból z pleców, wyjął kuchenkę, odłożył na bok rękawice i zaczął wygrzebywać brykiety. Hansen zaciągnął za sobą drzwi, odpiął rzemienie plecaka, wyrzucając konserwy na podłogę. Z jakiegoś powodu odgłos szalejącej na zewnątrz burzy oraz syk lampy potęgowały śmiertelny bezruch w baraku. Nagły, metaliczny grzechot upadających puszek sprawił, że aż podskoczyłem. Podskoczył również jeden z martwych. Człowiek leżący najbliżej mnie poruszył się niespokojnie, przekręcił i usiadł wpatrując się w nas niedowierzająco zamglonymi i przekrwionymi oczyma. Miał odmrożoną i okropnie poparzoną twarz. ślady poparzeń zakrywał częściowo zarost. Przez kilka niezmiernie długich sekund wlepił w nas oczy nie mrużąc powiek a następnie, popchnięty chyba jakimś odruchem godności, zignorował moje wyciągnięte ramię i chwiejnie, z wyraźnym wysiłkiem podniósł się na nogi. Nagle jego popękane i poparzone wargi rozchyliły się w uśmiechu.

■ Straciliście cholernie dużo czasu na przyjscie tu. ■ Głos miał chropowaty i słaby z typowym londyńskim akcentem. ■ Nazywam się Kinnaird, radiotelegrafista.

■ Whisky? ■ Zapytałem.

Uśmiechnął się ponownie i oblizując językiem spękane wargi skinął głową. Widok mocnej whisky, wlewanej do gardła przywiódł mi na myśl widok człowieka pokonującego w beczce wodospad Niagara, przez chwilę widocznego, by za moment rozplynać się na zawsze. Zgiął się w pół, kaszląc chrapliwie, aż łzy napłynęły mu do oczu, ale kiedy się wyprostował, jego wychudłe i zabiedzone policzki nabrały koloru, a życie zaczęło powracać do zmatowiałych oczu.

■ Jeśli zawsze witasz się z takim fasonem, brachu, to przyjaciół ci nie brak. ■ Pochylił się i potrząsnął za ramię człowieka, obok którego leżał przedtem.

■ Wstawaj, Jolly, stary druha. Gdzie twoje maniery. Mamy towarzystwo.

Obudzenie Jolly'ego, "starego druha", wymagało kilku mocnych szarpnięć. Jednak ocknąwszy się od razu był całkiem trzeźwy i momentalnie, choć nieco chwiejnie, wstał na nogi. Był niskim, puciołowatym osobnikiem o oczach koloru chińskiej porcelany i chociaż zarost jego twarzy, tak samo

jak i Kinnairda, aż się prosił o brzytwę, to policzki zachowały resztki kolorów, a okrągła, pogodna twarz nie wyglądała na zmizerowaną. Wargi i nos nie przedstawiały jednak zbyt przyjemnego widoku. Odmrożenie zrobiło swoje. Niebieskie oczy zamigotały zdumieniem, otworzyły się szeroko, a następnie rozbłysły powitaniem. Odgadłem, że Jolly umie błyskawicznie przystosować się do każdej sytuacji.

■ Goście, och? ■ jego głos trącił irlandzkim akcentem. ■ Jesteśmy diabelnie szczęśliwi widząc was, chłopcy. Czyń honory domu, Jeff.

■ Nie przedstawiliśmy się ■ powiedziałem. ■ Jestem doktor Carpenter, a to...

■ Toż to sympozjum Brytyjskiego Stowarzyszenia Lekarzy, stary druhu ■ przerwał mi Jolly. Jak się później okazało, zwrotu "stary druhu" używał co chwilę, a przynajmniej co trzecie zdanie. Maniera ta nieco dziwnie kontrastowała z irlandzkim akcentem.

■ Doktor Jolly? ■ Zgadza się. Lekarz wojskowy, stary.

■ Rozumiem. To jest porucznik Hansen z amerykańskiej łodzi podwodnej "Delfin".

■ Łodzi podwodnej? ■ Jolly i Kinnaird spojrzeli po sobie, a potem na nas. ■ Powiedział pan łodzi podwodnej?

■ Na wyjaśnienia będzie czas. Oficer torpedowy Rawlings i radiooperator Zabirsky.

Spojrzałem w dół na skulonych na podłodze mężczyzn. Niektórzy z nich zaczęli poruszać się na dźwięk głosów, inni unosili się już na łokciach.

■ Co z nimi?

■ Dwa lub trzy przypadki poważnych oparzeń ■ odparł Jolly. Dwóch lub trzech wycieńczonych zimnem i brakiem żywności, ale nie na tyle, żeby jedzenie i ciepło nie przywróciło im sił w ciągu paru dni. Kazałem im się tak stłoczyć, żeby mogli się ogrzać nawzajem. Przeliczyłem ich. Dwunastu. Razem z Jollym i Kinnairdem.

■ Gdzie reszta? ■ Zapytałem.

■ Reszta? ■ Kinnaird spojrział na mnie w nagłym zdziwieniu, z chłodnym wyrazem twarzy. Wskazał za siebie:

■ W następnym baraku, brachu.

■ Dlaczego?

■ Dlaczego? ■ Potarł zmęczonym ruchem czoła tuż ponad przekrwionymi oczyma. ■ Dlatego, że nie przepadamy za spaniem w pomieszczeniu pełnym zwłok.

■ Nie prze... ■ urwałem i spojrzałem na ludzi u moich stóp. Siedmiu z nich już się przebudziło, trzech

podparło na łokciach, czterech leżało bez ruchu, wszyscy wyglądali na osłupiałych ze zdziwienia. Trzech śpiących, czy też może nieprzytomnych miało poprzykrywane twarze. Powiedziałem powoli:

■ Było was dziewiętnastu.

■ Dziewiętnastu ■ zawtórował Kinnaird. ■ Pozostali... no.. nie mieli nawet szansy.

Nie powiedziałem nic. Uważnie lustrowałem twarze przytomnych już ludzi, mając nadzieję ujrzeć wśród nich tę, którą pragnąłem zobaczyć. Jeszcze łudziłem się, że nie rozpoznałem jej od razu, ze względu na to, że odmrożenia, głód i poparzenia czyniły ją nierozpoznawalną. Przyjrzałem się im naprawdę bardzo dokładnie i wiedziałem na pewno, że nigdy dotąd nie widziałem żadnego z nich.

Podszedłem do pierwszego z trzech śpiących i podniosłem koc, przykrywający twarz. Twarz obcego człowieka. Pozwoliłem derce opaść z powrotem. Jolly zapytał ze zdziwieniem:

■ Coś nie w porządku? Czego pan szuka?

Nie odpowiedziałem mu. Ostrożnie przeszedłem między patrzącymi na mnie nic nie rozumiejącym wzrokiem ludźmi i podniosłem koc z twarzy drugiego, śpiącego mężczyzny. Opuściłem koc, poczułem suchość w gardle i mocne, powolne bicie serca. Podszedłem do trzeciego i zawahałem się wiedząc, że muszę zrobić to, czego się bałem. Podniosłem szybko koc. Człowiek z mocno zabandażowaną twarzą ze złamanym nosem i gęstą blond brodą. Człowiek, którego nigdy nie widziałem na oczy. Delikatnie nakryłem mu twarz derką i wyprostowałem się. Zobaczyłem, że Rawlings zdążył już rozpalić w piecyku.

■ To powinno podnieść temperaturę do zera ■ powiedziałem do doktora Jolly'ego. ■ Mamy sporo paliwa. Przynieśliśmy też żywność, alkohol i apteczkę lekarską. Gdyby pan i Kinnaird zechcieli już zacząć się tym zajmować, to pomogę wam za chwilę. Poruczniku, czy ta gładka przestrzeń, którą przebyliśmy tuż przed chwilą, była zamrożoną szczeliną?

■ Nie może być inaczej. ■ Hansen patrzył na mnie z uwagą i wyrazem zdumienia na twarzy. ■ Stan tych ludzi nie pozwoli na przebycie kilkuset metrów, a co tu mówić o kilometrach. Na dodatek dowódca powiedział, że niedługo będzie musiał się zanurzyć. Przywołamy "Delfina" do bocznych drzwi?

■ Czy znajdą tę szczelinę? Bez "lodówki"?

■ Nic prostszego. Wezmę radio Zabrinky'ego, przejdę dwieście metrów na północ, wyślę sygnał, wrócę dwieście metrów na południe i zrobię to samo. Namierzą nas co do metra. Niech pan odejmie od tego kilkaset metrów i będą w samym środku szczeliny.

■ Ale ciągle pod lodem. Zastanawiam się, jaka jest jego grubość. Mieliście jakiś czas temu nie zamrożoną wodę na wschód od Stacji, doktorze Jolly? Jak dawno?

■ Miesiąc, może pięć tygodni. Nie jestem pewien. ■ Grubość? ■ Zapytałem Hansena.

■ Półtora metra, do dwóch. Nie ma szans na przebicie. Ale komandor zawsze miał skłonność do prób z torpedami. ■ Odwrócił się do Zabrinky'ego. ■ Masz nadal siłę, aby obsługiwać radio?

W tym momencie przestałem ich słuchać. W gruncie rzeczy i tak mało do mnie docierało. Czułem się chory i stary, pusty i smutny, a jednocześnie śmiertelnie zmęczony. Przebyłem dwadzieścia tysięcy kilometrów, aby poznać prawdę, a przebyłbym i milion, by tego uniknąć. Ale bezlitosnej rzeczywistości nie można zmienić. Mary, moja bratowa i jej troje wspaniałych dzieci. Ona już nie zobaczy męża, dzieci nigdy nie ujrzą ojca. Mój brat był martwy i nikt go już nie zobaczy. Z wyjątkiem mnie. Chciałem zobaczyć go teraz.

Wyszedłem zamykając za sobą drzwi, skręciłem za róg i pochyliłem głowę na spotkanie wiatru. Dziesięć sekund później dotarłem do ostatniego baraku, za pomocą latarki odnalazłem klamkę, wszedłem. Kiedyś było to laboratorium, teraz kostnica. Aparaturę niedbale przesunięto na bok, a uzyskaną w ten sposób przestrzeń zajmowały ciała nie żyjących ludzi. Wierzyłem Kinnairdowi, że popalone, poczerniałe i groteskowo powykręcane, zwęglone i rozsypujące się kawałki materii to nieżyjący ludzie. Unosił się tu koszmarny smród spalonego ciała i benzyny. Zacząłem zastanawiać się, który z mieszkających w następnym baraku miał tyle siły i tyle silnej woli, żeby tu przenieść szczątki swych kolegów. Przesączeni oparami benzyny naniesionymi przez wiatr, ostatnie momenty życia palili się niczym żywe pochodnie. Skończyli w męczarniach. Najstraszniejsza śmierć, jaką sobie można wyobrazić. Nie ponieśli śmierci natychmiast. Nie była to śmierć ludzi osaczonych przez ogień. Coś w sylwetce leżącej najbliżej przykuło moją uwagę. Oświetliłem latarką coś, co kiedyś było prawą ręką a teraz przypominało szponę przeświecającą w niektórych miejscach kością. Potworne gorąco musiało zdeformować złoty sygnet na trzecim palcu. Rozpoznałem ten sygnet. Byłem wraz z bratową, gdy go kupowała. Nie czułem nic, żalu, bólu ani odrazy. Tępo pomyślałem, że może to przyjdzie później, gdy wyjdę z szoku. Ale chyba nie, to już nie był człowiek. Brat, tak mi dobrze znany, któremu zawdzięczałem wszystko, co miałem na świecie, wobec którego długu nigdy już nie będę mógł spłacić. Zwęglona masa przede mną była obca, tak nie kojarząca się z człowiekiem, który żył w mojej pamięci, niemożliwa do rozpoznania, że nie byłem tego w stanie objąć rozumem. Gdy jednak stałem, coś w pozycji leżącego ciała zwróciło moją zawodową uwagę. Pochyliłem się bardzo nisko i pozostałem tak przez, jak mi się wydawało, dłuższy czas. Wyprostowałem się i w tym momencie usłyszałem, jak otwierają się drzwi. Odwróciłem się błyskawicznie i ujrzałem porucznika Hansena.

Zdjął maskę śniegową, podniósł okulary i spojrzał najpierw na mnie, a potem na człowieka leżącego u moich stóp. Widziałem, jak pod wpływem szoku zbieleł na twarzy.

■ A więc klęska, doktorze? ■ Ledwo słyszałem jego ochryply głos poprzez ryk burzy. ■ Boże, tak mi przykro.

■ Co pan ma na myśli?

■ Pański brat? ■ Ruchem głowy wskazał zwęglone szczątki.

■ Komandor Swanson powiedział panu?

■ Atak. Tuż przed naszym wymarszem. Właśnie dlatego z panem poszliśmy. ■ Lustrował podłogę z jakimś przerażającym zafascynowaniem. Twarz miał koloru starego pergaminu.

■ Chwileczkę, doktorze, jedną chwilę. ■ Odwrócił się i wybiegł za drzwi. Gdy wrócił, wyglądał

lepiej, ale nieco tylko. Powiedział:

■ Komandor Swanson mówił, że właśnie dlatego zgodził się, żeby pan poszedł.

■ Kto jeszcze o tym wie?

■ Tylko szef i ja. Nikt więcej.

■ Zatrzymajcie to dla siebie. Proszę o to jak o przysługę.

■ Jeśli tak pan chce.

Przerażenie na jego twarzy miało domieszkę zdziwienia.

■ Mój Boże, czy widział pan już kiedyś coś podobnego?

■ Wracamy do innych. Nie pomożemy nikomu stojąc tu beczynn timer.

Kiwnął głową bez słowa. Wróciliśmy do drugiego baraku. Oprócz doktora i Kinnairda, jeszcze trzech mężczyzn było na nogach. Kapitan Folsom zastępca komendanta Stacji o poparzonej twarzy i rękach, niezwykle chudy i wysoki mężczyzna. Hewson, ciemnooki i małowówny, kierowca traktora. Wreszcie pełen pogody Naseby ■ kucharz pochodzący z Yorkshire.

Jolly, który otworzył moją torbę medyczną i opatrywał rannych leżących, przedstawił ich i powrócił do swego zajęcia. Nie wydawało się, aby potrzebował mojej pomocy, przynajmniej nie teraz. Usłyszałem, jak Hansen pyta Zabirsky'ego:

■ Nawiązałeś kontakt z "Delfinem"?

■ Nie. ■ Zabirsky przestał nadawać sygnał wywoławczy i poruszył się, aby wygodniej ułożyć nogę. ■ Jakby to powiedzieć? Ten mały sterany nadajnik zdaje się mieć przepalony bezpiecznik, poruczniku.

■ Dobrze więc. ■ Hansen westchnął. ■ Sprytnie z waszej strony. Mam rozumieć, że nie możecie się z nimi porozumieć?

■ Słyszę ich, ale oni nie słyszą mnie. ■ Wzruszył przepaszająco ramionami. ■ Sądzę, że to wina mojej nieuwagi. To nie tylko noga mi się złamała, gdy się przewróciłem.

■ Nie możecie naprawić tego cholernego grata?

■ Myślę, że nie, panie poruczniku.

■ Do diabła! Jesteście zdaje się elektrotechnikiem?

■ Zgadza się. ■ Potwierdził Zabirsky. ■ Ale nie magikiem. Z odmrożonymi, zeszywniałymi rękami, bez narzędzi i z nadajnikiem, do którego nie ma schematu, a kod sygnałowy jest w języku japońskim. Myślę więc, że poddałby się nawet Marconi.



■ Czy można to naprawić? ■ Hansen nalegał.

■ To urządzenie tranzystorowe, ani jednej lampy. Myślę, że można, poruczniku. Ale może zająć to całe godziny. Poza tym muszę wymyślić jakieś narzędzia.

■ W porządku, wykombinujcie coś, żeby ten grat działał.

Zabrinsky nie odpowiedział, ale podał słuchawki Hansenowi. Ten chwilę popatrzył, po czym wziął je bez słowa i słuchał przez moment. Wzruszył ramionami, oddając je powiedział:

■ Myślę, że nie ma pośpiechu z tą naprawą.

■ Atak ■ dorzucił Zabrinky. ■ Muszę powiedzieć, poruczniku, że jesteśmy w dość niewygodnym położeniu.

■ Co to jest niewygodne? ■ Zapytałem.

■ Wygląda na to, że w następnej kolejności nas trzeba będzie ratować ■ odparł ponuro Hansen. ■ Komunikat brzmi mniej więcej tak: "Szczelina się zamyka, natychmiastowy powrót".

■ Byłem przeciwny temu szaleństwu od początku ■ wtrącił siedzący na podłodze Rawlings. Przyglądał się topniejącym kawałkom zamarznętej zupy w puszcze i mieszał ją w przygnębieniu widelcem. ■ Wspaniała próba, panowie, ale z góry skazana na niepowodzenie.

■ Spokojnie, a w ogóle to wyjmijcie brudne paluchy z zupy ■ powiedział zimno Hansen i nagle odwrócił się do Kinnairda. ■ A jak z waszym radiem? Oczywiście, mamy tu odpowiednich ludzi, by ruszyć generator.

■ Przykro mi ■ Kinnaird uśmiechnął się jak duch. ■ Generator spłonął w pożarze. Nadajnik jest na baterie, a one się zużyły. Całkowicie.

■ Nadajnik na baterie? ■ Zabrinky spojrział na niego ze zdziwieniem. ■ Co wobec tego powodowało zaniki fonii podczas waszej transmisji?

■ Wymienialiśmy je stale, aby wydobyć z nich jak najwięcej. Mieliśmy tylko piętnaście sztuk, resztę strawił ogień. Powodowało to zaniki mocy. Jednak nawet baterie Nife nie są wieczne. Zużyły się. Nie wiem, czy ich połączona moc wystarczylaby do paluszkowej latarki.

Zabrinky nie odrzekł nic. Nikt nie powiedział ani słowa. Kryształki lodu bezustannie bębniły o wschodnią ścianę baraku, syczała latarnia sztormowa i mruczał piecyk, ale o dziwo wytwarzały jeszcze większą ciszę. Nikt nawet nie spojrział na sąsiada, wszyscy wpatrywali się w podłogę nieruchomym, szklanym wzrokiem etymologa, szukającego w ziemi śladów robaka. Każda z gazet, która by sfotografowała ten obrazek, łatwo umiałaby przekonać czytelnika o tym, że zaledwie dziesięć minut temu ludzie ze Stacji "Zebra" zostali uratowani od niechybnej śmierci, ale czytelnicy mogliby też zauważyć, że skoro tak, to ich nastrój powinien być lepszy.

Ponieważ cisza przedłużała się w nieskończoność, powiedziałem do Hansena:

■ W porządku, teraz wiemy, na czym stoimy. Ktoś musi wrócić na "Delfina" i to natychmiast. Może ja.

■ Nie! ■ rzekł gwałtownie Hansen, następnie dodał ciszej. ■ Przykro mi, przyjacielu, ale rozkazy dowódcy nie zezwalają na samobójstwo. Zostanie pan tutaj.

■ No więc zostanę ■ kiwnąłem głową, nie była to pora na mówienie mu, że nie trzeba mi niczyjego pozwolenia na robienie czegokolwiek, a już na pewno nie na wymachiwanie manlicher-schoennauerem. No więc zostańmy. A potem spokojnie, bez walki, bez żadnych prób ratunku położymy się i umrzemy. To według pana trafna decyzja? Na pewno przypadłaby do gustu Amundsenowi.

■ Nikt nigdzie nie pójdzie. Nie jestem pańską niańką, doktorze, ale niech mnie diabli porwą, jeśli panu na to pozwolę. Nie ma pan siły. Nikt z nas nie ma dość siły na powrót do "Delfina". Nikt, po tym, co niedawno przeszliśmy. To po pierwsze. Po drugie, bez nadajnika, którego sygnały mógłby odebrać okręt, nie mamy najmniejszej szansy na ponowne odnalezienie go. Po trzecie zaś, zwierający się lód prawdopodobnie zmusi ich do zanurzenia, zanim ktokolwiek z nas zdoła przejść połowę drogi. Na koniec dodam, że gdybyśmy nie odnaleźli okrętu, bez względu na przyczynę, nigdy nie wrócilibyśmy na Stację z powodu braku sił i nieznamości kierunku.

■ Perspektywy rzeczywiście kiepskie. ■ Przyznałem mu rację. ■ A jakie są według pana szanse na naprawienie "lodówki"?

Hansen potrząsnął głową, ale nic nie powiedział. Rawlings ponownie zaczął mieszać zupę, starannie unikając spoglądania w górę. Podobnie jak ja nie chciał spojrzeć w oczy zaniepokojonym i zdesperowanym, ponurym ludziom o odmrożonych twarzach. Jednak spojrział. Kapitan Folsom oderwał się od ściany i skierował się niepewnym krokiem do nas. Gołym okiem można było stwierdzić, że niedobrze z nim.

■ Obawiam się, że nie rozumiemy ■ powiedział. Wydęte i powykręcane wargi, zniekształcone przez okropne poparzenia twarzy, sprawiały, że mówił bełkotliwie.

Zastanawiałem się nad tym, ile bolesnych miesięcy musi upłynąć i ile go czeka wizyt u chirurga, zanim znów będzie mógł pokazać tę twarz światu. Oczywiście, jeśli w ogóle dotrze do szpitala, na co w tej chwili się nie zanosilo.

■ Czy mogliby nam to panowie wyjaśnić? Jakie macie trudności?

■ Po prostu ■ odparłem ■ "Delfin" posiada głębokościomierz powierzchniowy, który służy do określania grubości lodu. Znalezienie tej zamrożonej szczeliny zajęłoby mu kilka minut. Nawet gdyby komandor Swanson nie otrzymał od nas wiadomości. W normalnych warunkach można by ich tutaj spodziewać się szybko. Wystarczyłoby popłynąć i zbadać grubość lodu. Ale to nie są normalne warunki. Głębokościomierz uległ uszkodzeniu i jeśli nie zostanie naprawiony, okręt nigdy nie znajdzie odpowiedniego do przebicia miejsca. Właśnie dlatego chcę wracać. Teraz. Zanim lód zmusi Swansona do zanurzenia się.

■ Nie rozumiem, stary druhu, w czym to ma pomóc ■ powiedział Jolly. ■ Czy pan potrafi naprawić tę

maszynę?

■ Nie muszę. Dowódca zna odległość do Stacji z dokładnością około stu metrów. Moja misja polegała na tym, aby powiedzieć mu, żeby skrócił dystans o czterysta metrów i odpalił torpedę. To powinno...

■ Torpedę? ■ Przerwał mi Jolly. ■ Torpedę? Aby przebić lód od spodu?

■ Tak. Nigdy dotąd tego nie próbowano, nie widzę jednak powodu, dlaczego miałyby to nie zdać egzaminu, zwłaszcza jeśli pokrywa lodowa jest wystarczająco cienka. A w tej szczelinie, nie opodal na pewno nie jest zbyt gruba.

■ Będą wysyłali samoloty, doktorze. ■ Powiedział spokojnie Zabrinky. ■ Ogłosiliśmy pozycję Stacji przez radio, gdy tylko się przebiliśmy. W tej chwili prawdopodobnie cały świat już wie, że "Zebra" została znaleziona, a przynajmniej zna jej pozycję. Bombowce strategiczne będą tu za parę godzin.

■ I co to pomoże? ■ zapytałem. ■ Będą krążyć bezużytecznie w ciemnościach. Nawet jeśli mają naszą dokładną pozycję, nie dojrzą szczątków Stacji z powodu ciemności i burzy śnieżnej. A gdyby udało im się to za pomocą radaru, to co? Zrzucą prowiant i medykamenty? Być może. Ale nie ośmielią się zrzucić ich prosto na nas w obawie przed śmiertelnymi wypadkami. Będą zmuszeni dokonać zrzutu w pewnej odległości, a nawet czterysta metrów to za daleko, byśmy przy tej pogodzie odnaleźli zasobniki. Natomiast, jeśli chodzi o lądowanie, dobrze wiecie, że nawet gdyby pozwoliły na to warunki atmosferyczne, żaden duży samolot o zasięgu, pozwalającym na dotarcie tutaj, nie wylądował na lodzie.

■ Jakie jest pańskie drugie imię? ■ zapytał Rawlings żałośnie. ■ Jeremiasz?

■ Należy wybrać mniejsze zło ■ odparłem. ■ To stare powiedzenie pasuje do naszej sytuacji. Jeśli nie pomożemy sobie, zasztywając się tutaj, a "lodówka" pozostanie unieruchomiona, wszyscy zginieją. Jeśli dotrę tam, wszyscy przeżyjemy. Jeśli nie dotrę, to jest jeszcze szansa, że uda się naprawić głębokościomierz, a wtedy zginie tylko jeden. ■ Zacząłem wkładać rękawice. ■ Jeden to mniej niż szesnastu.

■ Równie dobrze możemy powiększyć tę liczbę do dwóch. ■ Hansen zawahał się i również zaczął wciągać rękawice.

Nie dziwiło mnie to. Ostatnią wypowiedź zaczął od tego, że "ja" nie mam żadnych szans, ale zakończył mówiąc "my". Nietrudno było podążyć za jego tokiem rozumowania. Człowiek taki jak Hansen nie złożyłby ciężaru odpowiedzialności na barki innych, gdy tylko sytuacja stanie się niewyraźna. Nie próbowałem więc tracić czasu na kłótnię z nim.

Rawlings podniósł się na nogi.

■ Niech ktoś sprawny zgłosi się na ochotnika do mieszania zupy. Tych dwóch nie dotarłoby nawet za drzwi, gdybym ich nie podtrzymał. Prawdopodobnie dostanę za to medal. Jakie jest najwyższe odznaczenie, przyznawane w czasie pokoju, poruczniku?

■ Nie ma nagród za mieszanie zupy, Rawlings, a to właśnie będziesz nadal robić. Tutaj.

■ Uch, uch. ■ Rawlings potrząsnął głową. ■ Niech się pan przygotuje do pierwszego w swojej karierze zetknięcia z buntem, poruczniku. Idę z wami. Nie mogę przegrać. Jeśli dotrzemy do statku, będzie pan tak tym ucieszony, że nie poda mnie do raportu. Chyba, żeby chciał pan zgłosić pochwałę dla torpedysty Rawlingsa za szczęśliwe doprowadzenie do celu. Zrobi pan to zresztą z pewnością, jako że jest pan człowiekiem uczciwym. ■ Wyszczrzył zęby. ■ A jeśli nam się nie uda, to chyba również nie poda mnie pan do karnego raportu, prawda?

Hansen podszedł do niego i powiedział spokojnie:

■ Wiecie, że to prawie pewne, iż nie dotrzemy do "Delfina". Zostawilibyśmy w tym wypadku dwunastu chorych ludzi bez opieki. Zabirsky ma przecież złamaną nogę, a musi być choć jeden sprawny człowiek, by ich doglądać. Aż takim egoistą nie jesteś, Rawlings, prawda? Proszę o tę opiekę jak o przysługę.

Rawlings przyglądał mu się przez kilka długich sekund, a potem przykucnął i ponownie zaczął mieszać zupę.

■ Jak o przysługę ■ powiedział gorzko. ■ W porządku, zostaną. Także dlatego, żeby Zabirsky potykając się o chorą nogę, nie złamał sobie drugiej. ■ Zamieszał gwałtownie zupę. ■ dobra, na co czekacie? Szef może zdecydować się na zanurzenie lada chwila.

Tu miał rację. Zignorowaliśmy protesty i próby zatrzymania nas, czynione przez kapitana Folsoma i Jolly'ego i byliśmy gotowi do wyjścia w trzydzieści sekund. Hansen pierwszy przekroczył próg. Odwróciłem się i spojrzałem na chorych, wymizerowanych i pokaleczonych pogorzalców, Folsom, Jolly, Kinnaird, Hewson, Naseby i siedmiu innych. Razem dwunastu ludzi. Nie mogli wszyscy być w znowie, a więc musiał to zrobić jeden człowiek. No, może dwóch, działających wspólnie. Zastanawiałem się nad tym, którzy to mogą być, ci, których będę musiał zabić. Tego czy tych, którzy zamordowali mojego brata i sześciu innych ludzi. Zatrzasnąłem za sobą drzwi i podążyłem za Hansenem na spotkanie okropnej nocy.

## Rozdział 6

Byliśmy zmęczeni, więcej niż zmęczeni, i to jeszcze przed wyruszeniem w drogę. Wlokąc nogi jak z ołowiu, czuliśmy w kościach, że niewiele dzieli nas od całkowitego wyczerpania. Mimo wszystko, parliśmy do przodu wśród wyjących ciemności owej nocy, jak dwa wielkie, białe duchy przemierzające słabo widoczny krajobraz księżycowy z koszmarnego snu. Nie garbiliśmy się już pod ciężarem pakunków. Szliśmy odwrócenymi plecami do porywistego wiatru, dlatego na każdy krok, stawiany z najwyższym wysiłkiem w drodze do stacji "Zebra", przypadało teraz co najmniej pięć, przy tak niewielkim nakładzie sił, że z początku marsz wydawał się wręcz przechadzką. Mogliśmy cały czas patrzeć przed siebie, bez kłopotu i bez obawy obsunięcia w szczelinę lub potknięcia o niespodziewane przeszkody, gdyż po zdjęciu niepotrzebnych gogli, nasza widoczność rzadko ograniczała się do pięciu metrów, dochodziła raczej do dziesięciu, w silnym świetle latarek

tańczącym przed nami w trakcie marszobiegu. To nam fizycznie ułatwiło wędrówkę, lecz znacznie potężniejszym bodźcem dla obolałych nóg był dokuczliwy i stale rosnący strach, który zdominował nasze myśli, strach, że komandor Swanson został dawno zmuszony do zanurzenia się, w związku z czym pozostanie nam umrzeć wśród tego ryczącego pustkowiecia ■ wobec braku schronienia i żywności, kostucha nie pozwoli nam czekać zbyt długo.

Biegliśmy, lecz niezbyt prędko, ponieważ zbyt wielkie tempo zwałiłoby nam ową staruchę na kark nader szybko. W temperaturach znacznie poniżej zera, jednej rzeczy Eskimosi unikają jak zarazy: forsownego wysiłku, który przy tej szerokości geograficznej stanowi dla życia niebezpieczeństwo większe niż najgorszy pomór. Zbytne wyężdżanie sił, kiedy człowiek ma na sobie ciężkie futra, nieuchronnie wywołuje wzmożone wydzielanie potu i po ustaniu wysiłku, co przecież musi w końcu nastąpić, pot zamarza na ciele. Wtedy jedynym sposobem pozbycia się cieniutkiej warstwy lodu jest dalszy wysiłek i da capo al fine z wiadomym rezultatem. Dlatego nasz bieg był właściwie przyspieszonym marszem, a raczej szybkim chodem; za wszelką cenę unikaliśmy przegrzania.

Po upływie pół godziny, może nieco więcej, zarządziłem krótki odpoczynek za osłoną stromej ściany lodu. W ciągu ostatnich dwóch minut Hansen dwukrotnie potykał się i padał, choć wydawało się, że nie istnieją po temu żadne przyczyny, zresztą ja także poczułem chwiejność własnych nóg, której nie usprawiedliwiała nierówność terenu.

■ Jak pan sobie radzi? ■ spytałem.

■ Jestem ździebko wykończony, doktorze.

Nie musiał mówić; oddech miał przyspieszony, chrapliwy i płytki.

■ Ale proszę mnie jeszcze nie spisywać na straty. Jak daleko zaszliśmy pana zdaniem?

■ Z pięć kilometrów, już dość blisko.

Poklepałem lodową stromiznę za nami. ■ Odetchniemy parę minut, a później spróbujemy na to wejść. Wygląda mi na raczej wysoki garb.

■ Żeby znaleźć się ponad zawieruchą, gdzie lepiej widać?

Przytaknąłem, a on pokręcił głową przecząco.

■ To nic nie da, doktorze. Zawieja dochodzi co najmniej do sześciu metrów i nawet jak staniemy wyżej, "Delfin" pozostanie niewidoczny. Tylko górna część kiosku wystaje ponad lodem.

■ Myślę sobie, że przygnieceni własnymi nieszczęściami i smutkami zapominamy o komandorze Swansonie ■ powiedziałem. ■ Moim zdaniem, poważnie zawiniliśmy nie doceniając go. ■ To możliwe. W tej chwili, moim głównym zmartwieniem jest los porucznika Hansena. Co pan ma na myśli?

■ To proste. Daję głowę, że zgodnie z rozumowaniem Swansona powinniśmy być w drodze powrotnej na okręt. W końcu komandor rozkazywał nam wrócić już jakiś czas temu i jeśli nawet sądzi, że nie odebraliśmy rozkazu, bo coś stało się z nami albo z radiem, i tak spodziewa się, że

będziemy wracać.

■ Niekoniecznie. Z radiem czy bez, moglibyśmy wciąż jeszcze szukać stacji "Zebra".

■ Nie. Z całą pewnością nie. On oczekuje, że będziemy na tyle sprytni, by spojrzeć na to jego oczami, przy tym wyczuć, że on właśnie w ten sposób to widzi. Wie, że jeśli nasze radio wysiadło, zanim doszliśmy do Stacji, dalsze jej poszukiwanie bez zamiaru radiowego byłoby samobójstwem, natomiast nie jest samobójstwem próba powrotu na "Delfina", bo Swanson ma nadzieję, że zostało nam oleju w głowie na tyle, żeby domyślić się i szukać w oknie światelka, które wywiesił dla swoich zbłąkanych owieczek.

■ Na Boga, doktorze, oczywiście, ma pan rację! Jasne, że tak zrobił, jasne. Boże drogi, gdzie ja mam głowę?

Wyprostował się i zwrócił twarzą do lodowej ściany.

Ciągnąc się i popychając, wspólnymi siłami dotarliśmy na szczyt. Wierzchołek garbu ze zbitych brył lodowych wystawał mniej niż sześć metrów ponad poziom płaszczyzny lodu i nie znajdował się na wystarczającej wysokości. Byliśmy wciąż pod powierzchnią rzeki niesionych zawieruchą lodowych igiełek. Momentami słabła siła wiatru, ukazując na mgnienie oka prześwit czystego nieba nad głową, lecz tylko co pewien czas, na ułamek sekundy. I jeżeli w tym czasie coś warto było zobaczyć, myśmy tego nie dostrzegali.

■ Będą inne garby ■ krzychałem Hansenowi do ucha. ■ Wyższe niż ten.

Kiwnął głową w milczeniu. Nie widziałem wyrazu jego twarzy, ale też nie musiałem go oglądać. Obaj w głębi ducha myśleliśmy to samo: niczego nie widać, bo niczego tam nie ma. Komandor Swanson nie wywiesił lampy w okienku, bo okienko odpłynęło, "Delfin" musiał dać nura, inaczej zostałyby zgniecione pod zwałami lodu.

W ciągu następnych dwudziestu minut pięciokrotnie wspinaliśmy się na lodowe garby i pięciokrotnie z nich schodziliśmy, za każdym razem bardziej zniechęceni i pokonani. Teraz dochodziłem już do granic wytrzymałości, każdy ruch sprawiał koszmarny ból; Hansen był w jeszcze gorszym stanie, słał się i zataczał jak pijany. Jako lekarz świetnie wiedziałem o ukrytych i niespodziewanych zasobach energii, które wyczerpany człowiek może z siebie wykrzesać w przypadku rozpaczliwej konieczności, miałem jednak świadomość, że owe zasoby są ograniczone i zbliżamy się obaj do końca. A kiedy nadejdzie koniec, położymy się po prostu pod osłoną ściany lodowej i będziemy wyglądać kostuchy, która nie da na siebie długo czekać.

Szósty z kolei garb całkiem nas pokonał. Nie to, że trudno było się nań wspiąć: miał mnóstwo wystających punktów zaczepienia dla stóp i dłoni, lecz wysiłek fizyczny, na jaki musieliśmy się zdobyć przy wspinaczce, omal nie zwałił nas z nóg. I wtedy zacząłem mgliście zdawać sobie sprawę z tego, że ów garb znacznie przewyższa dotychczasowe. Na tym odcinku koncentrowało się kolosalne ciśnienie, wypychając i wiążąc krę niczym drewniane bale, aż sterta urosła do wysokości dziewięciu metrów ponad poziom lodowej płaszczyzny; gigantyczna bryła lodowa pod wodą musiała sięgać około sześćdziesięciu metrów w kierunku czarnego dna Morza Arktycznego.

Dwa i pół metra poniżej szczytu nasze głowy znalazły się wreszcie w czystym powietrzu. Na samym wierzchołku, wciąż stawiając opór wichurze, stanęliśmy oparci o siebie, by móc popatrzeć w dół, na burzę lodową szalejącą tuż pod naszymi stopami: fantastyczny widok ■ ogromne białoszare morze wzburzonych fal, potężna rzeka rozlana aż po krańce horyzontu. Podobnie jak większość arktycznych widoków, niesamowita sceneria napawała strachem i zdumieniem: wyklęte pustkowie, przynależne nie Ziemi, lecz jakiejś obcej planecie z dawien dawna wymarłej.

Badaliśmy zachodni horyzont, wyteżając oczy aż do bólu. I nic. Kompletnie nic. Pustkowie bez końca. Od północy do południa, przez pełne sto osiemdziesiąt stopni, przeszukiwaliśmy wzrokiem powierzchnię ogromnej rzeki, nie dostrzegliśmy jednak niczego. Minęły trzy minuty. Krew mi się ścięła w żyłach.

Czepiając się nadziei, że mogliśmy minąć już "Delfina" od północy bądź od południa, obróciłem się, by popatrzeć w kierunku wschodnim. Nie przyszło mi to łatwo, gdyż mroźny poryw wiatru natychmiast wypełniał oczy łzami, ale przynajmniej było to już możliwe: nie musieliśmy zмагаć się z ostrymi jak koniuszek igły lodowymi kolcami. Dokonałem kolejnego półobrotu o sto osiemdziesiąt stopni, badając horyzont od wschodu jeszcze raz i jeszcze. Potem złapałem Hansena za ramię.

■ Niech pan spojrzysz tam ■ powiedziałem. ■ Na północny wschód. Może czterysta metrów dalej, może osiemset. Widzi pan coś?

Przez kilka sekund Hansen zezował w kierunku, który wskazywałem dłonią, wreszcie potrząsnął głową.

■ Niczego nie widzę. A panu się wydaje, że co tam jest?

■ Nie wiem, nie mam pewności. Wyobraziłem sobie, że dostrzegam słabiutki odblask światła na powierzchni tej zawieruchy, może tylko odrobinę bielszy niż tło.

Hansen dobre pół minuty wpatrywał się tam przez zwinięte dłonie. Powiedział w końcu:

■ Nic z tego. Nie widzę. Niedowidzę zresztą już od pół godziny i nawet nie usiłuję wyobrazić sobie, że coś dostrzegam.

Odwróciłem się w drugą stronę, żeby uchronić przez chwilę załzawione oczy od lodowatego wichru, po czym spojrzałem jeszcze raz.

■ Do diabła ■ powiedziałem. ■ Nie mam całkowitej pewności, że coś tam jest, ale też nie mogę stwierdzić na pewno, że nie ma.

■ Pan uważa, że co to takiego? ■ głos Hansena pozbawiony był jakichkolwiek uczuć, pobrzmiwała w nim beznadzieja. ■ światło?

■ Reflektor zwrócony pionowo w górę. Reflektor, który nie przebija się przez zawieruchę.

■ Sam pan siebie oszukuje, doktorze ■ odrzekł zrezygnowany Hansen. ■ Życzenie zapładnia myśl. Poza tym znaczyłoby to, że minęliśmy "Delfina". Niemożliwe.

─ Nie można tego wykluczyć. Od chwili, kiedy zaczęliśmy się wspinać na te cholerne pagórki, straciłem poczucie czasu i przestrzeni. Dlaczego nie?

─ Wciąż pan to widzi? ─ jego głos był pusty, bez śladu zainteresowania. Nie wierzył mi i tylko przeżuwał słowa.

─ Może i mnie oczy zawodzą ─ przyznałem. ─ Ale do diabła, wciąż nie jestem przekonany, że się mylę.

─ Chodźmy, doktorze.

─ Dokąd?

─ Nie wiem.

Nie panował nad szczękaniem zębów na tym trzaskającym mrozie i z trudem przychodziło mi zrozumieć, co mówi.

─ Chyba nie ma znaczenia, dokąd...

Nagle zaparło nam dech w piersiach, prawie z samego środka wyobrazonego przeze mnie kręgu poświaty, nie dalej niż czterysta metrów od nas, wystrzeliła w górę rakietą; z łatwością przeszła wzburzoną rzekę lodowych kolców i wzniosła się wysoko w czyste niebo, ciągnąc za sobą ognisty ogon rozszarpanych czerwono iskier. Poszybowała na wysokość stu pięćdziesięciu, może dwustu metrów i rozprysła się w migoczący deszcz purpurowych gwiazdeczek, unoszony na skrzydłach wiatru ku zachodowi, zamierając po drodze, aż na niebie została tylko zimna pustka.

─ W dalszym ciągu pan twierdzi, że nieważne dokąd pójdziemy? ─ spytałem Hansena. ─ A może pan nie zauważył nic szczególnego?

─ To, co widziałem przed chwilą ─ oświadczył z namaszczeniem ─ było najpiękniejszym widokiem, jaki synusь mamy Hansenowej kiedykolwiek oglądał, czy kiedykolwiek zobaczy.

Klepnął mnie po plecach z taką siłą, że musiałem się go chwycić, żeby nie stracić równowagi.

─ Udało się, doktorze! ─ krzyczał. ─ Udało się! Teraz czuję, że mam siłę dziesięciu chłopów. Do domciu, do domciu, wracamy do domciu.

Dziesięć minut później wróciliśmy.

─ Boże, to cudowne ─ wzdychał Hansen. Gapił się z wyrazem bezmyślnej błogości to na komandora, to na mnie, potem na trzymaną w rękę szklanekę i na wodę skapującą z oszronionego futra na korkową posadzkę w maleńkiej kajucie kapitana.

─ Ciepło, miło, jasno, nareszcie w domciu. Już straciłem nadzieję, że się tu jeszcze kiedyś znajdę. Szeffie, gdy wystrzeliła ta rakietą, właśnie szukałem sobie miejsca, żeby się ułożyć w oczekiwaniu na śmierć. Wcale nie żartuję, tak było.



■ A doktor Carpenter? ■ spytał z uśmiechem Swanson.

■ On ma jakiś defekt psychiczny ■ odrzekł Hansen. ■ Nie potrafi się poddać. Myślę, że jest po prostu tępy jak muł. Zdarza się.

Hansen zmyślał i gadał trochę od rzeczy, ale nie miało to nic wspólnego z przemożnym uczuciem ulgi i odprężenia w następstwie wielkiego stresu i napięć. Hansen był na to zbyt twardy. Wiedziałem o tym i miałem pewność, że Swanson także to wie. Przebywaliśmy w środku już około dwudziestu minut, opowiedzieliśmy całą historię, ustało nerwowe napięcie, zbliżało się szczęśliwe zakończenie i znów wszystko szło normalnie. Lecz kiedy ustaje napięcie i następuje powrót do normalności, człowiek ma czas przemyśleć pewne rzeczy od początku. Bez pytania wiedziałem, co Hansen widzi oczyma wyobraźni: zwęglone, bezkształtne szczątki, które kiedyś były moim bratem. Nie chciał, bym o tym mówił i nie miałem mu tego za złe; nie chciał, bym nawet o tym myślał, choć musiał wiedzieć, że to niemożliwe. Ludzie szlachetni przeważnie są właśnie tacy ■ na zewnątrz szorstcy, twardzi, cyniczni, lecz potrafią okazać mnóstwo serca.

■ Jakkolwiek by było ■ mówił z uśmiechem Swanson ■ możecie uważać się za dwóch wyjątkowych szczęściarzy. Rakieta, którą zobaczyliście, była jedną z trzech ostatnich, bo już od godziny urządzamy tu fajerwerki niczym Czwartego Lipca. Czy myślicie, że Rawlings, Zabrinzky i ocaleni z "Zebry" są tymczasem bezpieczni?

■ Nie ma powodu do obaw przez najbliższe parę dni.

Hansen przytaknął. ■ Będzie dobrze. Wiadomo: mróz, połowa z nich nadaje się natychmiast do szpitala, ale na pewno przeżyją.

■ Dobrze. Sytuacja jest następująca. Szczelina przestała się zamykać około pół godziny temu, lecz teraz to nieważne, możemy się w każdej chwili zanurzyć i utrzymać pozycję. Najważniejsze, że wykryliśmy defekt w "lodówce". To straszliwie zawiła i skomplikowana sprawa; myślę, że upłynie kilka godzin, zanim wszystko naprawią. Ale według mnie trzeba poczekać, aż skończą i dopiero wtedy próbować czegokolwiek. Nie jestem zwolennikiem pomysłu podejścia na ślepo pod obszar cienkiego lodu koło "Zebry" i zgadywania na chybił trafił. Ponieważ czas nagli nas zbyt, sędzę, że należy poczekać na sprawny grubościomierz pokrywy lodowej, potem zrobić dokładny pomiar prześwitu i wystrzelić torpedę w sam środek. Jeżeli lód ma tam grubość do półtora metra, nie powinniśmy mieć kłopotów z przestrzeleniem otworu.

■ To byłoby najlepsze ■ zgodził się Hansen. Skończył leczniczą dawkę alkoholu, znakomitego burbona, stanął sztywno na nogach i wyprostował się. ■ Cóż, wracamy do kieratu ■ powiedział. ■ Ile mamy torped na chodzie?

■ Cztery, według ostatnich notowań.

■ Mógłbym pójść pomóc młodemu Millsowi je teraz załadować. Jeśli pan się zgodzi, szefie.

■ Nie zgadzam się ■ łagodnie odrzekł Swanson. ■ Proszę pofatygować się do tego lustra i zobaczyć dlaczego. Nie nadajesz się nawet do ładowania wiatrówki, a co dopiero mówić o torpedach. Nie

wracacie w końcu z przechadzki w niedzielne popołudnie, prawda? Parę godzin snu, John, potem zobaczymy.

Hansen nie oponował. Nie wyobrażam sobie, by ktokolwiek mógł sprzeciwić się komandorowi Swansonowi. Ruszył do drzwi. ■ Idzie pan, doktorze?

■ Za chwilę. Przyjemnych snów.

■ Aha. Dzięki.

Lekko dotknął mojego ramienia i w jego przekrwionych ze zmęczenia oczach błysnął uśmiech. ■ Dziękuję za wszystko. Dobranoc panom.

Po jego wyjściu Swanson powiedział: ■ Dość paskudne mieliście warunki tej nocy.

■ Nie polecałbym takiej pogody starszym paniom na niedzielną przechadzkę.

■ Porucznik Hansen chyba sądzi, że jest pana dłużnikiem ■ Swanson zaczął z innej beczki.

■ Wydaje mu się, otóż to. Niewielu jest lepszych niż Hansen. Ma pan cholerne szczęście, że służy u pana jako pierwszy.

■ Wiem ■ powiedział. Potem zawahał się i dodał cicho: ■ Przrzekam panu, że więcej do tego nie wrócę, ale serdecznie panu współczuję, doktorze.

Popatrzyłem na niego i wolno skinąłem głową. Wiedziałem, że mówi szczerze; wiedziałem, że musiał wyrzec te słowa, lecz trudno w takiej sytuacji cokolwiek odpowiedzieć. Stwierdziłem: ■ Razem z nim zginęło sześciu innych, komandorze.

Znów się wahał. ■ Czy... czy zmarłych zabieramy ze sobą do Anglii?

■ Mógłbym dostać jeszcze kropelkę tego wspaniałego burbona, komandorze? Obawiam się, że przez ostatnie parę godzin ma pan tu wzmożony popyt na terapię alkoholem.

Zaczekałem, aż napełni mi szklanekę, dopiero wtedy odrzekłem: ■ Nie zabieramy ich ze sobą. To nie są zmarli, to nierozpoznawalne, zwęglone szczątki. Niech tu zostaną.

Dało się zauważyć, że mu ulżyło i zdawał sobie z tego sprawę, gdyż odezwał się pospiesznie, żeby powiedzieć cokolwiek: ■ A ten sprzęt do wykrywania rosyjskich rakiet, zniszczony?

■ Nie sprawdzałem.

Niedługo sam odkryje, że taki sprzęt nie istniał. Nawet nie próbowałem zgadywać, jak zareaguje na to odkrycie, w świetle wyssanej z palca historyjki, którą zasunąłem jemu i admirałowi Gravierowi jeszcze w Holy Loch. W tej chwili niewiele mnie to obchodziło. Nagle się poczułem zmęczony, ogarnęła mnie nie tyle senność, co śmiertelne wyczerpanie, dźwignąłem się więc sztywno na nogi, powiedziałem dobranoc i wyszedłem.

Gdy wszedłem do kajuty, Hansen spał w swojej koi, jego futra leżały tam, gdzie je zrzucił. Sprawdziłem, czy rzeczywiście śpi, zdjąłem własne futra, powiesiłem na wieszaku i schowałem mannlicher-schoenauer z powrotem do walizki. Położyłem się na swoim pościeliu, lecz sen nie nadchodził. Mimo wyczerpania, w życiu nie czułem mniejszej potrzeby snu.

Byłem zbyt pobudzony i ożywiony, by zasnąć, ale spiętrzenie problemów spowodowało zator w moich myślach. Wstałem, włożyłem koszulę i dzinsy, przeszedłem do sterowni. Spędziłem tam czas do rana chodząc w tę i z powrotem. Obserwowałem, jak dwaj technicy naprawiają wielce skomplikowane wnętrza "lodówki". Odczytywałem depeche z gratulacjami, które wciąż napływały. Zamieniałem co jakiś czas dwa słowa z oficerem pokładowym i wypijałem niezliczone kubki kawy. Tak upłynęła mi noc i choć oka nie zmrużyłem, rano czułem się rześki i niemal wypoczęty.

Przy śniadaniu widać było jak wszyscy siedzący za stołem w mesie oficerskiej cieszą się po cichu. Nie mieli wątpliwości, spisali się świetnie ■ cały świat słał im pochwały ■ i byli najwyraźniej przekonani, że już po wszystkim. Nikt nie wątpił, że Swanson zdoła wybić dziurę w lodzie. Gdyby nie moja obecność, dawaliby głośno upust swojej wesołości.

■ Panowie, dziś nie będzie dodatkowych porcji kawy ■ ogłosił Swanson. ■ Stacja "Zebra" wciąż nas oczekuje i nawet jeśli w moim przekonaniu wszyscy, którzy tam są, przeżyją, z pewnością straszliwie dokucza im nie tylko mróz. "Lodówka" działa już od godziny, przynajmniej mamy nadzieję, że działa. Za chwilę zanurzymy się, żeby ją przetestować, i po załadowaniu torped ■ przypuszczam, że dwie wystarczą ■ wybijemy sobie prześwit w pokrywie lodu koło "Zebry".

Dwadzieścia minut później "Delfin" wrócił tam, skąd przyszedł ■ czterdzieści metrów pod poziom morza, czyli lodowej pokrywy. Po dziesięciu minutach manewrowania, przy ścisłej kontroli prowadzonej na stole nakresowym w celu utrzymania naszej pozycji względem stacji "Zebra", stało się jasne, że "lodówka" zachowuje się całkiem normalnie, wykrywając odwrócone wzgórza i doliny ze zwykłą magiczną dokładnością. Komandor Swanson z aprobatą kiwał głową.

■ Znaczą wszystko gra. Skinął na Hansena i Millsa, oficera torpedowego. ■ Możecie się wziąć do roboty. Nie ma pan przypadkiem chęci im towarzyszyć, doktorze? Czy też ładowanie torped to dla pana chleb powszedni?

■ Nigdy nie byłem przy tym ■ odrzekłem zgodnie z prawdą. ■ Dziękuję, chętnie zobaczę.

Swanson dbał o ludzi tak samo jak o swego ukochanego "Delfina", dlatego każdy marynarz na okręcie był całkowicie oddany swemu dowódcy. Komandor wiedział albo podejrzewał, że prócz szoku, jaki przeżywam po śmierci brata, zżera mnie niepokój o inne sprawy. Chociaż nie wspominał tego w rozmowie ze mną i nie zapytał, jak mi się spało, słyszał pewnie, że spędziłem noc nerwowo przemierzając bez celu pomieszczenie sterowni i wiedział, że będę wdzięczny za każde zajęcie, za jakiegokolwiek odwrócenie uwagi, żeby nie myśleć choć przez chwilę. Zastanawiałem się, jak na to wpadł. Porzuciłem jednak bezproduktywne rozmyślenia i ruszyłem za Hansenem i Millsem. Mills, podobnie jak Raeburn, oficer nawigacyjny, wyglądał mi raczej na chłopaka tuż po maturze niż na

odpowiedzialnego wyższego oficera, którym niewątpliwie był, lecz uznałem to za jeszcze jeden objaw, że się starzeję.

Hansen przeszedł do tablicy rozdzielczej przy konsoli regulacji zanurzenia i studiował układ światełek. Przespana noc dała mu bardzo wiele: pomijając otartą skórę na czole i wokół kości policzkowych, gdzie lodowe igły zeszłego wieczoru zrobiły swoje, był znów sobą ■ cyniczny i odprężony, świeży, wypoczęty i sprawny. Machnął ręką nad tablicą rozdzielczą.

■ światła bezpieczeństwa torped, doktorze. Każde zielone światelko oznacza zamknięte wieko wyrzutni torpedowej. Jest sześćdziesiąt drzwi otwierających się na morze ■ nazywamy je klapami dziobowymi ■ i sześćdziesiąt tylnych, przez które ładuje się torpedy. W sumie tylko dwanaście światełek, ale przyglądamy im się bardzo, bardzo uważnie, żeby się upewnić, czy wszystkie są zielone. Jeżeli jedno z nich byłoby czerwone, to znaczy jedno z sześciu górnych, które odpowiadają poszczególnym drzwiom do morza, wtedy... cóż, byłoby niedobrze, prawda?

Spojrzał na Millsa. ■ Wszystkie zielone?

■ Wszystkie zielone ■ odpowiedział mu echem Mills.

Szliśmy ku dziobowi, wzdłuż przejścia z mesy oficerskiej, po czym dostaliśmy się pod pokład, do mesy dla załogi. Stamtąd szło się dalej, do dziobowego magazynu torped. Ostatni raz byłem tam rankiem, zanim wyruszyliśmy z zatoki Clyde; dziewięciu czy dziesięciu marynarzy spało wówczas w swych kojach, teraz wszystkie były puste. Czekają na nas pięciu ludzi: czterech marynarzy i podoficer Bowen, do którego Hansen ■ zaprzeczenie służbisty ■ zwracał się per Charlie.

■ Zaraz pan zobaczy ■ Hansen mówił do mnie ■ dlaczego oficerom płaci się więcej niż szeregowcom. Podczas gdy Charlie i jego dzielni żołnierze będą się tu czaić za podwójnym systemem grodzi zabezpieczających, my musimy tam wejść i sprawdzić bezpieczeństwo wyrzutni torpedowych. Takie są przepisy. Ale spokojnie i bez nerwów: chętnie robimy to dla naszych ludzi.

Bowen uśmiechnął się krzywo i odbezpieczył zasuwy u drzwi pierwszej przegrody. Weszliśmy na wystający próg wysoki na pół metra, zostawiając piątkę żołnierzy z tyłu, następnie odczekaliśmy, aż drzwi zostaną zaryglowane i dopiero wtedy otworzyliśmy kolejną gródź, tę od strony dziobowej, by wejść na taki sam próg w ciasnej torpedowni. Tym razem drzwi zostały szeroko rozwarte i zabezpieczone ciężką pionową zapadką.

■ Wszystko to określają przepisy ■ wyjaśnił Hansen. ■ Jedne i drugie drzwi mogą być naraz otwarte wyłącznie wtedy, gdy już przystąpimy do ładowania torped.

Sprawdził położenie metalowych uchwytów z tyłu wyrzutni, sięgnął wyżej, zwiesił w dół mikrofon umocowany na stalowej sprężynie i pstryknął przełącznikiem.

■ Gotowi do sprawdzenia wyrzutni. Wszystkie dźwignie ręczne zamknięte. Wszystkie światła zielone?

■ Wszystkie zielone w dalszym ciągu.

Głos, który w odpowiedzi zaskrzeczał nam nad głową, miał puste, metaliczne brzmienie, dziwnie bezosobowe.

■ Już raz pan to sprawdzał ■ zauważyłem nieśmiało.

■ Sprawdzamy sprawdzone. Cały czas według przepisów.

Uśmiechnął się.

■ Poza tym mój dziadek umarł w wieku lat dziewięćdziesięciu siedmiu, a ja dążę do pobicia jego rekordu. Przezorny nie ryzykuje. Które to mają być, George?

■ Numer trzy i cztery.

Widziałem mosiężne plakietki na okrągłych tylnych klapach wyrzutni: 2, 4, i 6 z lewej burty, 1, 3 i 5 od sterburty. Porucznik Mills proponował użyć dwóch środkowych wyrzutni z każdej strony.

Mills zdjął gumową latarkę zawieszoną na drzwiach grodzi i podszedł najpierw do numeru trzy. Hansen oznajmił:

■ I znów żadnego ryzyka. Najpierw George otwiera kurek testowy w tylnej klapie, co wykaże, czy jest choćby trochę wody w samej wyrzutni. Nie powinno być, ale czasem odrobina się dostaje przez nieszczelne klapy dziobowe. Jeśli kurek niczego nie pokaże, otwiera wtedy tylne wieko i świeci latarką, żeby zbadać klapę dziobową od wewnątrz i sprawdzić, czy nie ma jakiejś przeszkody w kanale wyrzutni. Jak tam, George?

■ Numer trzy w porządku.

Mills trzykrotnie podnosił zawór kurka testowego i nie stwierdził ani śladu wody.

■ Otwieram teraz klapę.

Pociągnął wielką dźwignię z tyłu wyrzutni, doprowadził do pozycji otwartej i rozwarł ciężkie, okrągłe wieko. Poświecił latarką wzdłuż lśniącej rury kanału, po czym wyprostował się.

■ Czysto i sucho jak cholera.

■ Nie jest to sposób, w jaki uczono go składać meldunek ■ stwierdził Hansen ze smutkiem. ■ Nie wiem, co wyrosnie z tej dzisiejszej młodzieży oficerskiej. Przyjęte, George, teraz czwórka.

Mills wyszczerzył zęby w uśmiechu, zabezpieczył tylną klapę numeru trzy i przeszedł do czwórki. Podniósł zawór kurka i powiedział:

■ Oho!

■ Co jest? ■ spytał Hansen.

! Woda ! odparł krótko Mills.

! Dużo? Zobaczmy.

! Mała strużka.

! To niedobrze? ! zapytałem.

! Zdarza się ! uciął Hansen.

Manipulował zaworem w dół i w górę, przez co wyleciała kolejna porcja wody.

! Kłapa dziobowa może nie być absolutnie szczelna i wtedy, jeśli zanurzymy się na tyle głęboko, by ciśnienie wewnętrzne znacznie wzrosło, odrobina wody przedostaje się do środka. Prawdopodobnie ma to teraz miejsce. Gdyby kłapa dziobowa była otwarta, przyjacielu, przy tej głębokości woda tryskałaby przez ten kranik z siłą wystrzału. Ale bez ryzyka, żadnego ryzyka.

Sięgnął znów po mikrofon.

! Kłapa dziobowa numer cztery zielona w dalszym ciągu? Bo mamy tu trochę wody.

! Cały czas zielona.

Hansen spojrzał na pochylonego Millsa.

! Jak teraz?

! Już niewiele.

! Uwaga, sterownia ! mówił Hansen do mikrofonu. ! Sprawdźcie odczyt przegłębienia, tak dla pewności.

Nastąpiła chwila przerwy, następnie głośnik zaskrzeczał od nowa.

! Tu dowódca. Wszystkie wyrzutnie sprawdzone, puste. Podpisane przez porucznika Hansena i głównego mechanika.

! Dziękuję, panie komandorze.

Hansen wyłączył się i wykrzywił twarz w uśmiechu.

! Wierzę bez zastrzeżeń w każde słowo porucznika Hansena. Jak teraz?

! Ustało. ! No to otwieraj.

Mills szarpnął ciężką dźwignię. Ruszyła o parę centymetrów i zacięła się.

! Niezwykle ciężko idzie ! skomentował.

■ Czy wy, torpedyści, słyszeliście kiedyś o oleju smarowym? ■ spytał Hansen. ■ Trzeba obciążyć, George, obciążyć.

Mills naparł ciałem. Dźwignia przesunęła się o następne kilka centymetrów. Mills spojrzał spode łba, zaparł się stopami, by uzyskać lepszy punkt podparcia i pociągnął, a w tej samej chwili Hansen krzyknął:

■ Nie! Stop! Jezus Maria, przestań!

Za późno. O całe życie za późno. Dźwignia odskoczyła, ciężka okrągła kłapa otworzyła się tak gwałtownie, jak uderzona potworną siłą i rycząca masa wody wdarła się do torpedowni. Sam ogrom poziomego słupa był przerażający. Porwał porucznika Millsa, powalonego gwałtownym ciosem otwierającej się kłapy, uniósł na drugi koniec pomieszczenia i cisnął na stalowe drzwi przegrody. Przez moment Mills utrzymywał się w pozycji półstojącej, przygwożdżony siłą potężnego uderzenia, potem osunął się bezwładnie na pokład.

■ Wytłoczyć główny balast! ■ Hansen krzyczał do mikrofonu.

Uchwycił się kłapy, żeby go nie zniosło i przez grzmiący ryk wody jego głos przebijał donośnie:

■ Alarm! Wypuścić główny balast. Wyrzutnia numer cztery otwarta na morze. Wytłoczyć cały główny balast!

Puścił uchwyt i potykając się brnął przez pokład w kotłującej się wodzie, która sięgała już do pół tydki.

■ Jazda stąd, na Boga.

Mógł sobie tego oszczędzić. Byłem akurat w trakcie ewakuacji. Trzymałem Millsa pod pachy, usiłując wciągnąć go na wysoki próg przy dziobowej grodzi, lecz nie mogłem ruszyć się o krok. Właściwe przegłębienie okrętu podwodnego to delikatna sprawa nawet w najspokojniejszych momentach. Teraz już po kilku sekundach dziób "Delfina", obciążony tonami wody, które wtargnęły do środka, zaczynał się gwałtownie przechylać w dół. Próby holowania Millsa w połączeniu z utrzymywaniem równowagi na coraz bardziej stromym pokładzie, wśród kłębiącej się wody, która sięgała do kolan, stawały się ponad moje siły. Nagle Hansen złapał Millsa za nogi, ja się potknąłem i upadłem do tyłu, i tak wraz z Millssem, którego pociągnąłem za sobą, znalazłem się między grodziami na skrawku przestrzeni.

Hansen został z drugiej strony. Słyszałem, jak przeklina, równo, monotonicznie, jakby stwierdzał coś oczywistego, starając się przy tym odblokować drzwi przytrzymywane pionową zapadką. Z powodu ostrego przechyłu pokład "Delfina" zrobił się stromy i aby zwolnić zapadkę, Hansen musiał oprzeć się całym ciężarem o masywne stalowe drzwi, co szło mu, rzecz jasna, diabelnie ciężko wobec braku oparcia dla stóp zanurzonych w wodzie przewalającej się po pochyłości pokładu. Zostawiłem leżącego Millsa, wskoczyłem na próg, rzucając się do drzwi i dzięki zwiększeniu nacisku zapadka wyskoczyła. Ciężkie drzwi od razu się przymknęły ciągnąc nas za sobą i zwalając obu z nóg wprost pod masy wody tryskającej wciąż z wyrzutni numer cztery. Kaszląc i parszcząc gramoliliśmy się, by

wreszcie stanąć na nogi, przesadziliśmy próg i każdy z nas złapał uchwyt, próbując docisnąć drzwi i je zamknąć.

Dwa razy próbowaliśmy, dwukrotnie się nie udało. Wzburzona woda wdzierала się przez otwór wyrzutni i jej poziom dochodził już do progu. Z każdą upływającą sekundą kąt nachylenia "Delfina" się powiększał, a z każdym stopniem kąta nachylenia zadanie dociągnięcia drzwi pod górę stawało się, z powodu rosnącego ciężenia, coraz trudniejsze.

Woda zaczęła się przelewać przez próg, gdzie opieraliśmy stopy.

Hansen wyszczerzył zęby w moją stronę. Przez moment nawet myślałem, że się uśmiecha, lecz białe zęby zaciskały się kurczowo i w jego oczach nie było cienia wesołości. Przekrzykując ryk wody zawołał:

■ Teraz albo nigdy.

Trafnie to ujął. W istocie, jak nie teraz, to nigdy. Na znak Hansena uwiesiliśmy się całym ciężarem na drzwiach, jedną ręką trzymając uchwyt zasuw, zaś drugą ciągnąc z całych sił drzwi grodzi. Prawie udało się dopchnąć, zabrakło dziesięciu centymetrów. Drzwi otworzyły się. Spróbowaliśmy jeszcze raz. Znowu mało brakowało, lecz wiedziałem, że poszły w to wszystkie nasze siły.

■ Trzymaj tak chwilę! ■ krzyknąłem.

Skinał głową. Przeniosłem uchwyt obu rąk na dolny uchwyt drzwi, opadłem nogami na pokład, po czym wparłem się stopami w próg i wyprostowałem obie nogi jednym konwulsyjnym zrywem. Drzwi się zatrzęsły, Hansen zaciągnął swoją zasuwę, ja zrobiłem to samo z moją i byliśmy bezpieczni. Na chwilę byliśmy bezpieczni.

Pozostawiłem Hansenowi zaryglowanie pozostałych zasuw i zabrałem się do otwierania drzwi grodzi rufowej. Ledwo otworzyłem pierwszą zasuwę, kiedy pozostałe zaczęły odskakiwać same. Podoficer Bowen i jego ludzie rozumieli bez słów, że chcemy wydostać się stąd jak najprędzej. Otwarto drzwi i poczułem ostry ból w uszach z powodu gwałtownego spadku ciśnienia. Słyszałem, jak rozlega się równy pomruk powietrza wtlaczanego pod ciśnieniem do zbiorników balastowych. Dźwignąłem Millsa za ramiona, a silne, wprawne dłonie chwyciły go, przeniosły przez próg i w parę sekund później ja i Hansen znaleźliśmy się przy nim.

■ O rany! ■ podoficer Bowen rzucił się do Hansena. ■ Co nawaliło?

■ Wyrzutnia numer cztery otwarta na morze.

■ Jezus Maria!

■ Zaryglujcie te drzwi ■ rozkazał Hansen. ■ Tylko solidnie.

Oddalił się na czworakach w największym pośpiechu, czepiając się stromizny pokładu w magazynie torped. Popatrzyłem na porucznika Millsa ■ starczyło mi jedno spojrzenie ■ i podążyłem za Hansenem. Tyle, że nie pędziłem. Pośpiech nikomu by już nie pomógł.



Wnętrze okrętu wypełniał ryk sprężonego powietrza, zbiorniki balastowe szybko się opróżniały, lecz "Delfin" nie przestawał się zapadać, dziobem mierzył w ciemne głębiny Oceanu Lodowatego; nawet masywne zbiorniki pełne sprężonego powietrza nieprędko będą w stanie zrównoważyć efekt ciężenia dziesiątek ton morskiej wody, która dostała się do torpedowni na dziobie. Medytowałem ponuro, czy w ogóle dadzą sobie z tym radę. Podczas gdy przemierzałem przejście do mesy oficerskiej, chwytając się poręczy, żeby nie zjechać w dół po absurdalnie stromym pokładzie, czułem pod stopami, jak cały okręt drży. Nie miałem wątpliwości dlaczego: Swanson ustawił wielkie turbiny na maksymalne obroty ─ potężne śruby z brązu młóciły wściekle na wstecznych obrotach, próbując zwolnić tempo zanurzania okrętu.

Daje się wyczuć zapach strachu. Strach można wyczuć i zobaczyć, i w trakcie wędrówki do sterowni na "Delfinie" tego ranka czułem go i widziałem. Nikt nie mrugnął nawet okiem w moją stronę, kiedy przechodziłem obok pomieszczenia hydrolokacji. Nie zasługiwałem na spojrzenia tych ludzi. Nic nie zasługiwało: nieruchomo zastygli w napięciu i trwodze, z pobladłymi twarzami wpatrywali się tylko w jedno ─ opadającą strzałkę głębokościomierza.

Wskazówka przekraczała kreskę oznaczającą sto osiemdziesiąt metrów. Sto osiemdziesiąt metrów. Żaden z konwencjonalnych okrętów podwodnych, na których pływałem, nie mógłby działać na tej głębokości. Nie przeżyłby takiego zanurzenia. Dwieście. Pomyślałem, jak niesamowite ciśnienie musi panować na zewnątrz, i daleki byłem od uczucia radości. Ktoś jeszcze czuł się podobnie: młody marynarz obsługujący głębokościomierz. Zaciskał pięści, aż zbieleły mu kłykcie, twarz mu drgała w nerwowym tiku, a szyję przebiegał miarowy skurcz; miał wyraz twarzy człowieka, który zobaczył, jak kościsty palec śmierci wykonuje przywołujący gest. Dwieście piętnaście metrów. Dwieście dwadzieścia pięć. Dwieście czterdzieści. W życiu nie słyszałem, żeby jakiś okręt zszedł tak głęboko i przeżył. Najwyraźniej komandor Swanson też nie słyszał.

─ Właśnie ustanowiliśmy nowy rekord ─ powiedział. Jego głos był spokojny, opanowany i choć dowódca był człowiekiem zbyt inteligentnym, by się nie bać, ton jego głosu i zachowanie nie zdradzały śladu obawy.

─ Najniższe odnotowane zejście, o ile mi wiadomo. Przyspieszamy czy zwalniamy?

─ Bez zmian.

─ Wkrótce wyhamujemy. Torpedownia jest już z pewnością pełna, działa też sprężone powietrze.

Popatrzył jeszcze raz na odczyt i w zamyśleniu postukał paznokciem dużego palca w przednie zęby ─ u Swansona ten gest prawdopodobnie znamionował stan odpowiadający atakowi hysterii.

─ Wypompować ze zbiorników ropę i wodę pitną.

Jego głos brzmiał niewzruszenie, lecz w istocie Swansona musiała ogarnąć desperacja; jego decyzja była desperacka ─ tysiące mil od domu on pozbywa się zapasów paliwa i wody, których brak rozstrzygnąć może o życiu lub śmierci. Jednak w tym momencie liczyło się jedynie zmniejszenie ciężaru okrętu.

! Główne zbiorniki balastu opróżnione ! ochryplym i drżącym głosem meldował oficer.

Swanson pokiwał głową w milczeniu. Natężenie huku sprężonego powietrza zmniejszyło się co najmniej o trzy czwarte i względna cisza, która nagle zapanowała, budziła lęk, niczym złowroga zapowiedź kapitulacji "Delfina". Zostawały nam jedynie niewielkie rezerwy świeżej wody i ropy, mające nas uratować; przy tempie, w jakim "Delfin" szedł na dno, nie dostrzegałem większego z nich pożytku.

Stał przy mnie Hansen. Zauważyłem, że z jego lewej ręki kapie krew. Przyjrzałem się więc dokładniej i okazało się, że złamał sobie dwa palce. Stało się to na pewno w torpedowni. W tej chwili jednak dla Hansena było to z całą pewnością nieistotne. Zdawał się w ogóle o tym nie wiedzieć.

Odczyt ciśnienia stale rósł. Wiedziałem już, że nic nie zdoła uratować "Delfina". Zadzwoił dzwonek. Swanson ustawił mikrofon i włączył guzik.

! Tu maszynownia ! dotarł do nas metaliczny głos. ! Musimy zwolnić. Główne łożyska zaczynają dymić, za chwilę się zatrą.

! Utrzymać obroty ! powiedział Swanson i wyłączył mikrofon.

Młody chłopak przy konsoli głębokościomierza, ten z tikiem nerwowym i skurczami, zaczął bełkotać: ! Boże, o mój Boże ! i tak w kółko, z początku cicho, potem jego głos przeszedł w jęk bliski hysterii.

Swanson zrobił dwa kroki i dotknął jego ramienia.

! Ciszej, chłopcze. Nie słyszę własnych myśli.

Jęki ustały i chłopiec siadł sztywno, z twarzą jakby wykutą w szarym granicie; nerwowy skurcz pulsował mu na szyi z jeszcze większą częstotliwością.

! Ile jeszcze okręt zdoła wytrzymać? ! spytałem zdawkowo, to znaczy tak miałem zamiar spytać, lecz zaskrzeczałem jak ropucha chora na astmę.

! Obawiam się, że weszliśmy w obszar nieznanego ! ze spokojem przyznał Swanson. ! Ponad trzysta metrów. Jeżeli ten odczyt jest zgodny z prawdą, przekroczyliśmy teoretyczny punkt wystąpienia implozji, kadłub powinien pęknąć dwadzieścia metrów wyżej. W tej chwili na okręt działa milionowe ciśnienie.

Opanowanie Swansona, jego lodowaty spokój, wprost zdumiewały; musieli chyba przeczesać całą Amerykę, by znaleźć takiego człowieka. Jeśli istniał jakiś właściwy człowiek na właściwym miejscu we właściwym momencie, był to komandor Swanson przy pulpicie kontrolnym okrętu podwodnego, który wymknął się spod kontroli i zapadał w głębinę, o setki metrów poniżej poziomu, na który kiedykolwiek zeszły inne łodzie podwodne.

! Zwalnia ! wyszeptał Hansen. ! Zwalnia ! przytaknął Swanson.

Jak dla mnie, zwalniał o wiele za wolno. Niemożliwe, żeby kadłub wytrzymał choćby chwilę dłużej. Niejasno wyobrażałem sobie koniec, lecz odrzuciłem tę myśl, bo przecież i tak się nie dowiem. Na tej głębokości ciśnienie musi wynosić około dwustu atmosfer, spłaszczyłoby nas jak flądry, zanim do naszych zmysłów w ogóle dotarłoby, co się z nami dzieje.

Znów dzwonił z maszynowni. Głos brzmiał tym razem błagalnie, rozpaczliwie.

■ Musimy zwolnić, komandorze. Przekładnia rozgrzewa się do czerwoności. Widać, jak świeci.

■ Poczekajcie, aż się rozgrzeje do białości, wtedy się poskarżycie ■ krótko uciął Swanson.

Jeżeli szlag trafi turbiny, szlag trafi i nas, lecz zanim to nastąpi, on je zajeździ na śmierć, byle tylko ratować "Delfina". Zabrzęczał dzwonek.

■ Sterownia? ■ głos był ochrypły, wysoki. ■ Tu pokład mesy dla załogi. Zaczyna wpadać woda.

Po raz pierwszy wszystkie oczy odwróciły się od wskazówki głębokościomierza i utkwily w głośniku. Kadłub nie wytrzymał druzgocącego ciśnienia. Jedna mała szczelinka, jedno cieniutkie pęknięcie na początek i kadłub rozerwie się, połamie, spłaszczy jak zabawka uderzona młotem pneumatycznym. Pobieżne spojrzenie na zszokowane, spięte twarze upewniało o tym, że wszystkim zaświtała ta sama myśl.

■ Gdzie? ■ pytał Swanson.

■ Gródź z prawej burty.

■ Ile?

■ Około litra, ścieka po przegrodzie. Coraz więcej. Cały czas wyciek się powiększa. Rany boskie, komandorze, co mamy robić?

■ Co robić? ■ powtórzył Swanson. ■ Wziąć szmatę i wytrzeć, oczywiście. Nie chcecie chyba brodzić w kałuży.

Wyłączył się.

■ Zatrzymał się, zatrzymał.

Trzy słowa i modlitwa. Omyliłem się myśląc, że wszystkie oczy zwrócone są na głośnik: jedna para oczu nie oderwała się od głębokościomierza, para oczu należąca do młodzika przy konsoli.

■ Zatrzymał się ■ potwierdził oficer drżącym głosem.

Nikt się nie odzywał. Krew w dalszym ciągu kapła niepostrzeżenie ze zmiażdżonych palców Hansena. Zdaje się, że dostrzegłem jakby lśnienie potu na czole Swansona, lecz nie miałem pewności. Pod stopami pokład nadal wibrował, gdyż gigantyczne turbiny dokładały sił, by dźwignąć "Delfina" z otchłani śmierci. Sprężone powietrze wciąż wdzierało się z sykiem do zbiorników oleju i

świeżej wody. Nie widziałem już głębokościomierza, siedzący przy konsoli oficer wpatrywał się weń z tak bliska, że całkiem zasłonił mi widok.

Minęło dziewięćdziesiąt sekund, które zdawały się niewiele krótsze od roku przestępnego, dziewięćdziesiąt nie kończących się sekund czekaliśmy, aż morze wtargnie do wnętrza i nas zabierze ■ i wtedy oficer powiedział:

■ Trzy metry w górę.

■ Jest pan pewny? ■ spytał Swanson.

■ Stawiam roczną wypłatę.

■ Jeszcze nie wszystko za nami ■ powiedział cicho dowódca. ■ Kadłub wciąż może trzasnąć, powinien trzasnąć dawno temu. Za jakieś trzydzieści metrów, co oznacza zmniejszenie ciśnienia o parę ton na metr kwadratowy, myślę, że będziemy mieli szansę. Przynajmniej pół na pół. Później nasze szanse rosną z każdym metrem wynurzenia, a w miarę wynurzenia silnie sprężone powietrze w torpedowni rozpręży się i wytłoczy wodę, ujmując ciężaru.

■ Do góry ■ powiedział oficer. ■ Cały czas do góry. Zmiana tempa wynurzania.

Swanson podszedł do pulpitu i studiował powolny ruch strzałki głębokościomierza.

■ Ile zostało świeżej wody?

■ Trzydzieści procent.

■ Wstrzymać opróżnianie zbiornika świeżej wody. Turbiny dwie trzecie wstecz.

Szum sprężonego powietrza przycichł i znacznie osłabło drzenie pokładu, gdy obroty spadły z częstotliwości awaryjnej do dwóch trzecich mocy.

■ Tempo wynurzania bez zmian ■ meldował oficer. ■ Trzydzieści metrów do góry.

■ Wstrzymać opróżnianie zbiornika ropy.

Szum powietrza ustał całkowicie.

■ Jedna trzecia wstecz. ■ Podnosimy się. Ciągłe podnosimy.

Swanson wyjął z kieszeni jedwabną chusteczkę i otarł sobie czoło i kark.

■ Trochę się już niepokoiłem ■ powiedział, nie zwracając się do nikogo konkretnie. ■ I nic mnie nie obchodzi, kto o tym wie.

Sięgnął po mikrofon i usłyszałem echo jego głosu rozlegające się po całym okręcie.

─ Tu dowódca. W porządku. Możecie odetchnąć. Kontrolujemy wszystko, wynurzamy się. I ciekawostka: jesteśmy wciąż ponad trzydzieści metrów głębiej, niż wynosił maksymalny poziom zanurzenia jakiegokolwiek łodzi podwodnej przed nami.

Poczułem się wyżęty i wymaglowany. Wszyscy wyglądali jak wyżęci i wymaglowani.

Odezwał się czyjś głos: ─ W życiu nie paliłem, ale teraz zacznę. Niech mi ktoś da papierosa. Hansen oznajmił: ─ Wiecie, co zrobię po powrocie do Stanów?

─ Owszem ─ odrzekł Swanson. ─ Pojedzie pan do Groton i spłucze się do ostatniego centa na największy, najwspanialszy i najdroższy bankiet dla budowniczych tego okrętu. Za późno, poruczniku, ja o tym pierwszy pomyślałem.

Urwał nagle, po czym spytał ostrym tonem: ─ Co jest z pańską ręką?

Hansen uniósł lewą dłoń i patrzył zaskoczony.

─ Nawet nie wiem, kiedy się zadrapałem. To musiało się stać przy tych cholernych drzwiach torpedowni. Tu jest apteczka, doktorze. Mógłby pan coś z tym zrobić?

─ Odwaliłeś pan kawał dobrej roboty, John ─ powiedział ciepło Swanson. ─ Znaczy z zamknięciem tych drzwi. To nie mogło być łatwe.

─ Nie było. Ale całe to poklepywanie po ramieniu należy się naszemu tutaj przyjacielowi ─ rzekł Hansen. ─ To on je zamknął, nie ja. A gdybyśmy nie dali rady zamknąć...

─ Albo gdybym pozwolił ci ładować torpedy po powrocie wczoraj wieczór ─ dodał ponuro Swanson. ─ Kiedy siedzieliśmy na powierzchni przy otwartych lukach. Znajdowalibyśmy się teraz dwa i pół metra głębiej, zresztą w charakterze nieboszczyków.

Hansen nagle cofnął rękę.

─ Boże drogi ─ powiedział z wyrzutem. ─ Zapomniałem. Do diabła z moją łapą. George Mills, oficer torpedowy. Zarobił niezły cios. Lepiej niech pan wpierw jego opatrzy. Pan albo doktor Benson.

Ująłem z powrotem jego dłoń.

─ Nie ma pośpiechu. Najpierw pańskie palce. Mills niczego nie czuje.

─ Rany boskie!

Na twarzy Hansena odmalowało się zdumienie, wręcz szok spowodowany taką znieczulicą z mojej strony.

─ Ale kiedy odzyska przytomność...

─ On już nigdy nie odzyska przytomności ─ powiedziałem. ─ Porucznik Mills nie żyje.

■ Co?!

Palce Swansona wpiły się głęboko i boleśnie w moje ramię.

■ Powiedział pan: nie żyje?

■ Masa wody z wyrzutni numer cztery ■ odpowiedziałem ze znużeniem ■ runęła jak pociąg ekspresowy. Rzuciło go w tył na gródź i zmiażdżyło potylicę jak skorupkę jajka. śmierć była z pewnością natychmiastowa.

■ Młody George Mills ■ wyszeptał Swanson. Twarz mu pobladła. ■ Biedaczysko. Jego pierwszy rejs na "Delfinie". I naraz, ni stąd, ni zowąd, nie żyje. Zabity.

■ Zamordowany ■ powiedziałem.

■ Co takiego?

Gdyby komandor Swanson w porę nie rozluźnił palców, całe ramię miałbym w siniakach.

■ Co pan powiedział?

■ Powiedziałem: zamordowany. Bo uważam, że to morderstwo.

Swanson przypatrywał mi się dłuższą chwilę; jego twarz pozbawiona była wszelkiego wyrazu, lecz ze znużonych i wyczerpanych oczu jakby wyjrzała nagle starość. Zrobił zwrot, podszedł do oficera przy pulpicie, zamienił z nim parę słów i wrócił.

■ Idziemy ■ rzucił krótko. ■ Może pan założyć porucznikowi opatrunek w mojej kabinie.

## Rozdział 7

■ Czy pan zdaje sobie sprawę z powagi zarzutu? ■ zapytał Swanson. ■ Rzuca pan ciężkie oskarżenie...

■ Dość gadania ■ przerwałem niegrzecznie. ■ Nie jesteśmy w sądzie i ja nikogo nie oskarżam. Stwierdzam tylko, że popełniono morderstwo. Ktokolwiek zostawił otwartą klapę dziobową, jest bezpośrednio odpowiedzialny za śmierć porucznika Millsa.

■ Jak to "zostawił otwartą klapę"? Któż by mógł ją umyślnie otworzyć? Mogły to spowodować przyczyny naturalne. A jeżeli nawet, w co nie wierzę, ktoś zostawił jednak klapę otwartą, nie może pan oskarżać człowieka o morderstwo, gdy chodzi o niedopatrzenie, zaniedbanie albo...

■ Komandorze ■ powiedziałem ■ zaświadczę publicznie, że jest pan prawdopodobnie najlepszym z oficerów marynarki, jakich znam. Ale to, że jest pan najlepszy, nie oznacza wcale doskonałości w każdej dziedzinie. W pańskim wykształceniu daje się zauważyć pewne luki, komandorze, zwłaszcza gdy chodzi o ocenę pewnych niuansów brudnej roboty. Potrzeba do tego wyjątkowo podłej i

przebiegłej mentalności, której pan, obawiam się, nie ma. Mówi pan: drzwi otwarte z przyczyn naturalnych. To znaczy, jakich przyczyn?

■ Parę razy ostro huknęliśmy w lodowy występ ■ wolno mówił Swanson. ■ Kłapa mogła otworzyć się od wstrząsu. Albo kiedy gmeraliśmy w lodzie zeszłej nocy, kawał lodu, powiedzmy stalaktyt, mógł...

■ Wyrzutnie są lekko cofnięte, prawda? Musiałby to być specyficznie ukształtowany stalaktyt, który wchodzi w załom i to pod właściwym kątem, żeby dotrzeć do kłapy, a nawet wówczas tylko by ją mocniej docisnął.

■ Kłapy sprawdzane są przy każdym zawinięciu do portu ■ upierał się cicho komandor. ■ Są też otwierane, wraz z wyrzutniami, podczas testów przegłębienia na powierzchni wody, w obrębie doków. W dokach zawsze pływają odpadki, liny, inne śmiecie, które łatwo mogły spowodować niedomknięcie się kłapy. ■ światła bezpieczeństwa wskazywały na to, że wszystkie drzwi są zamknięte.

■ Mogły być uchylone, mała szparka nie wystarcza do przerwania obwodu sygnalizacji.

■ Mała szparka! Pana zdaniem, dlaczego Mills nie żyje? Widział pan kiedyś, jak woda w elektrowni obraca turbiny? Wtargnęła właśnie z taką siłą. Szparka? Mój Boże! A jak się otwiera te drzwi?

■ Na dwa sposoby. Zdalne sterowanie hydrauliczne, starczy nacisnąć guzik i ręczne lewary w torpedowni.

Odwróciłem się do Hansena. Siedział przy mnie na koi, z twarzą pobladłą od chwili, kiedy unieruchamiałem mu złamane palce.

Zapytałem: ■ Te ręczne dźwignie były w pozycji zamkniętej?

■ Słyszał pan przecież, jak to stwierdziłem. Oczywiście, że tak. Pierwsza rzecz, jaką sprawdzamy. ■ Ktoś pana nie lubi ■ powiedziałem do Swansona. ■ Albo ktoś nie lubi "Delfina". A może ktoś wiedział, że "Delfin" uda się na poszukiwanie ludzi ocalałych w stacji "Zebra" i to się nie spodobało. Dokonano więc sabotażu na okręcie. Przypomina pan sobie pewne zaskoczenie, że nie trzeba korygować przegłębienia "Delfina"? Miał pan zamiar przeprowadzić powolne zanurzenie, żeby sprawdzić przegłębienie pod wodą, bo myślał pan, że brak torped w wyrzutniach dziobowych spowoduje przechył. A tu proszę, niespodzianka. Okręt nie potrzebował korekty.

■ Ja słucham ■ powiedział cicho Swanson.

Teraz wszedł w mój tok rozumowania. Nadażał zresztą od początku. Uniósł brew na odgłos wody wlewającej się ponownie do zbiorników. Wskaźnik wskazywał sześćdziesiąt metrów, Swanson z pewnością nakazał oficerowi wyrównać na tej głębokości. "Delfin" był w dalszym ciągu przechylony dziobem w dół pod kątem około dwudziestu pięciu stopni.

■ Nie trzeba było korygować przegłębienia, bo część wyrzutni wypełniała woda. Według mnie, wyrzutnia numer trzy, którą zastaliśmy w należyтым stanie, może być jedyną wyrzutnią bez wody. Nasz mały spryciarz otworzył kłapy, odłączył ręczne dźwignie tak, by wyglądały na zamknięte, i

przełożył parę drucików w puszcze, żeby pozycja otwarta miała oznaczenie zielone, a zamknięta czerwone. Człowiek, który wiedział o co mu chodzi, mógł uporać się z tym w parę minut. Dwóch ludzi wiedzących, o co im chodzi, uporało się pewnie w mgnieniu oka. Mogę się założyć o wszystko, że kiedy w końcu uda się panu to sprawdzić, znajdzie pan dźwignie odłączone, druty przełożone, a wloty kurków testowych zablokowane lakiem, farbą szybkoschnącą czy nawet gumą do żucia, żeby po otwarciu kurków nic nie zdradzało obecności wody w wyrzutniach; żeby pan myślał, że są puste.

■ Z kurka wyrzutni numer cztery wyleciało trochę wody ■ zaprotestował Hansen.

■ Guma do żucia kiepskiej jakości.

■ świński bandzior ■ spokojnie stwierdził Swanson. Jego powściągliwość robiła o wiele większe wrażenie niż najcięższe słowa potępienia. ■ Mógł zamordować nas wszystkich. Gdyby nie łaska Boża i budowniczy ze stoczni Groton, wszystkich nas by zabił.

■ Nie miał takiego zamiaru ■ powiedziałem. ■ Nie chciał nikogo zabijać. Pan planował przeprowadzenie powolnego zanurzenia, by sprawdzić przegłębienie jeszcze w Holy Loch, tamtego wieczoru przed wyruszeniem w drogę, sam pan mi to mówił. Czy zawiadomił pan o tym załogę, uwzględnił w rozkazie dziennym czy czymś takim?

■ Zrobiłem jedno i drugie.

■ Właśnie. Nasz spryciarz wiedział. Wiedział też, że takie testy przeprowadza się, kiedy okręt nie jest zanurzony albo pływa tuż pod powierzchnią. Sprawdzałby pan wyrzutnie, czy wszystko gra, i woda wlałaby się do środka w zbyt dużej ilości, by można zamknąć tylne kłapy, ale nie pod takim ciśnieniem, że musiałby pan w największym pośpiechu zamykać przednią gródź antykolizyjną; miałby pan czas się wycofać jak należy. Co by się stało? Niewiele. W najgorszym razie osiadłby pan powoli na dnie i tam został. Taka głębokość nie zagroziłaby "Delfinowi". W łodzi choćby sprzed dziesięciu lat taki wypadek mógłby mieć fatalne skutki dla wszystkich z powodu ograniczonych zasobów powietrza. Lecz nie dziś, kiedy urządzenia filtrujące pozwalają panu przebywać pod wodą całymi miesiącami. Wypuszcza pan boję alarmową i telefonuje gdzie trzeba, opowiada, co zaszło, potem siada, pije kawę i czeka, aż nurek podpłygnie i zamknie kłapę dziobową, potem pan wypompowuje wodę z torpedowni i wynurza się. Nasz nieznany spryciarz ■ czy spryciarze ■ nie chcieli nikogo zabijać. Ale chcieli opóźnić rejs. I to by się im udało. Teraz wiemy, że zdołałby pan się wynurzyć własnymi siłami, lecz pański szef by nalegał na odprowadzenie okrętu do doku na dzień lub dwa, dla sprawdzenia, czy wszystko jest w porządku.

■ Dlaczego komuś miałoby zależeć na naszym opóźnieniu? ■ zapytał Swanson.

Pomyślałem, że w jego oczach niepotrzebnie czai się jakiś domysł, ale nie mogłem być tego pewny. Twarz komandora Swansona wyrażała tylko tyle, ile życzył sobie okazać komandor Swanson, nic ponadto.

■ Mój Boże, myśli pan, że znam odpowiedź na wszystko? ■ odparłem z irytacją.

■ Nie. Nie myślę.



Mógł zaprzeczyć bardziej energicznie.

■ Proszę mi powiedzieć, doktorze, czy podejrzewa pan, że sprawcą jest ktoś z załogi "Delfina"?

■ Czy pan naprawdę nie umie sobie odpowiedzieć?

■ Istotnie ■ westchnął. ■ Spoczynek na dnie Morza Arktycznego jest niezbyt atrakcyjną formą samobójstwa i jeśli ktoś z załogi by to zmagistrował, dowiedziawszy się, że nie przeprowadzamy testów przegłębienia w płytkiej wodzie, w te pędy poleciałby naprawić. Co wskazuje na cywilnych robotników w szkockich dokach, a każdy z nich był sprawdzany i prześwietlany na wszelkie sposoby przed dopuszczeniem do tajemnic wojskowych.

■ To niczego nie dowodzi. W Moskwie nie brakuje luskusowych hoteli, a więzienia brytyjskie i amerykańskie pełne są ludzi sprawdzonych i zaufanych... Co pan teraz robi, komandorze? To znaczy z "Delfinem"?

■ Rozwazałem to. Normalnie należałoby zamknąć klapę dziobową numer cztery i wypompować wodę z torpedowni, potem tam wejść i zamknąć klapę tylną od czwórki. Ale klapa dziobowa się nie zamknie. W tej samej sekundzie, kiedy John nas powiadomił, że numer cztery otwarty na morze, oficer zanurzeniowy wcisnął guzik hydrauliki, ten od zdalnego sterowania. I sam pan widział, nic nie pomogło. Chyba się zacięło.

■ A co pan myślał? Jasne, że się zacięło ■ stwierdziłem ponuro. ■ Może by pomógł młot parowy, ale nie wciskanie guzika.

■ Mógłbym wrócić do tej szczeliny, którą opuściliśmy, wynurzyć się ponownie i wysłać nurka pod lód, żeby sprawdził, czy da się coś z tym zrobić, lecz nie chcę takiego ryzyka dla żadnego z moich ludzi. Mógłbym wycofać się na otwarte morze, wynurzyć i próbować załatwić to tam, ale nie dość, że z takim przechyłem płynęłoby się cholernie powoli i niewygodnie, to przecież ludzie w stacji "Zebra" gonią resztkami sił. Niedługo będzie za późno.

■ Dobrze ■ powiedziałem. ■ Ma pan pod ręką odpowiedniego człowieka, komandorze. Przy pierwszym spotkaniu mówiłem panu, iż moja specjalność to badanie kondycji fizycznej człowieka, zwłaszcza w warunkach ekstremalnych zmian ciśnienia podczas ewakuacji z łodzi podwodnych. Wiele razy brałem udział w symulowanych uciezkach z podwodnych okrętów, komandorze. Zdobyłem niezły zasób wiedzy o zmianach ciśnienia, wiem, jak sobie z nimi radzić i jak sam na nie reaguję.

■ Jak pan reaguje, doktorze?

■ Wysoka tolerancja. Nie przejmuję się nimi zbytnio.

■ Co więc pan ma na myśli?

■ Przecież pan świetnie wie ■ odparłem niecierpliwie. ■ Trzeba wyborować dziurę w tylnej grodzi, wkręcić tam przewód doprowadzający sprężone powietrze pod dużym ciśnieniem, otworzyć drzwi, wpuścić kogoś do wąskiego pomieszczenia między grodziami i wtłaczać powietrze, aż ciśnienie

będzie takie samo jak w torpedowni. Wtedy otwieramy zasuwę przedniej grodzi. Przy wyrównanym ciśnieniu drzwi otwiera się jednym palcem; wówczas trzeba wejść, zamknąć klapę numer cztery i wyjść. To pan miał na myśli, prawda? ■ Mniej więcej ■ przyznał. ■ Tyle, że to nie dla pana. Każdy członek załogi okrętu robił symulowane ucieczki. Wszyscy znają efekty zmian ciśnienia. A większość jest od pana młodsza.

■ Jak pan woli ■ odrzekłem. ■ Lecz wiek nie ma tu nic do rzeczy. Kiedy wysyłaliście pierwszego Amerykanina na orbitę okołoziemską, nie wybraliście przecież nastolatka. A jeśli chodzi o symulowane ucieczki, to czym innym jest wolne wypływanie na powierzchnię z głębokości trzydziestu metrów, a czymś zupełnie innym wejście do metalowego pudła i czekanie, aż ciśnienie powoli wzrośnie. Praca w warunkach takiego ciśnienia, a następnie oczekiwanie na powolną dekompresję. Widziałem młodych mężczyzn, silnych, dobrze zbudowanych, w znakomitej kondycji załamujących się kompletnie w podobnych warunkach. Niemal wariowali próbując się wydostać. Kombinacja czynników natury fizjologicznej i psychologicznej jest sprawą kluczową.

■ Myślę, że ze wszystkich ludzi, których znam ■ mówił Swanson powoli ■ pan najbardziej kocha przeciwności, jak mówią Anglicy. Ale o jednym pan zapomniał. Co powie admirał głównodowodzący atlantycką flotą podwodną, kiedy się dowie, że puściłem cywila zamiast któregoś z własnych ludzi?

■ Jeżeli pan mnie nie puści, już ja wiem, co on panu powie. Powie tak: "Musimy zdegradować komandora Swansona do stopnia podporucznika, ponieważ mając na pokładzie eksperta, powodowany niezdrową ambicją odmówił skorzystania z jego pomocy. Naraził tym samym życie swojej załogi i bezpieczeństwo okrętu".

Swanson uśmiechnął się blado, ale po napięciu, jakie niedawno przeżyliśmy, nadal w sytuacji bardzo trudnej, kiedy w dodatku jego oficer torpedowy leżał martwy parę metrów dalej, trudno było spodziewać się po nim wybuchu wesołości. Spojrzał na Hansena.

■ Co ty na to, John?

■ Widywałem osobników bardziej niekompetentnych niż doktor Carpenter ■ odrzekł Hansen. ■ Poza tym jest tak samo nerwowy i tak samo łatwo wpada w panikę jak worek portlandzkiego cementu.

■ Ma kwalifikacje, których nikt nie śmiałyby wymagać od przeciętnego lekarza ■ zgodził się Swanson. ■ Z przyjemnością akceptuję pańską ofertę. Jeden z moich ludzi pójdzie z panem. W ten sposób uczynimy zadość wymogom zdrowego rozsądku i ambicji.

Nie było to przyjemne, ale też nieszczególnie okropne. Odbyło się dokładnie tak, jak należało przewidywać. Swanson ostrożnie podprowadził "Delfina" do góry, aż rufa znalazła się w odległości metra czy dwóch od pokrywy lodu; zmniejszyło to ciśnienie w torpedowni do minimum, lecz wówczas dziób zanurzony był na głębokość około trzydziestu metrów.

W drzwiach tylnej grodzi przeciwkolidyjnej wywiercono otwór i umocowano tam przewód w postaci zbrojonego węża. Ubrani w skafandry z pianki i wyposażeni w aparaty tlenowe weszliśmy do środka

z młodym torpedystą nazwiskiem Murphy i stanęliśmy pomiędzy dwiema grodziami. Sprężone powietrze syczało wypełniając niewielką przestrzeń. Powoli rosło ciśnienie: do dwóch, trzech, czterech atmosfer. Czulem ucisk w płucach i w uszach, ból oczu, lekki zawrót głowy spowodowany szokiem tlenowym wskutek wdychania czystego tlenu w warunkach znacznego wzrostu ciśnienia. Lecz byłem przyzwyczajony; wiedziałem, że nie umrę od tego. Zastanawiałem się, czy młody Murphy też wie. Nadszedł moment, kiedy kombinacja efektów psychicznych i fizycznych stawała się nie do zniesienia dla większości ludzi, ale jeżeli nawet Murphy się bał, wpadał w panikę albo cierpiał katusze, potrafił dobrze to ukryć. Swanson na pewno wybrał najlepszego, żeby zaś być najlepszym w takim towarzystwie, Murphy musiał istotnie mieć nie lada klasę.

Odblokowaliśmy zasuwy na drzwiach przedniej grodzi i odchyliśmy je ostrożnie, by ciśnienie zaczęło się wyrównywać. Woda w torpedowni była z pół metra wyżej niż próg i po otwarciu drzwi wpadła pieniąc się biało do pomieszczenia między przegrodami, a sprężone powietrze z sykiem uleciało, by wyrównać malejące ciśnienie w torpedowni. Z dziesięć sekund musieliśmy trzymać się kurczowo, żeby nie puścić drzwi i nie stracić równowagi, kiedy woda z powietrzem walczyły i przepychały się w bulgocącej kipieli, osiągając swój naturalny poziom. Otworzyliśmy szeroko gródź. Poziom wody sięgał teraz około trzech czwartych metra do pełnej wysokości torpedowni od strony dziobu. Przeszliśmy próg, zapaliliśmy wodoszczelne latarki i daliśmy nura.

Temperatura wody wynosiła około czterech stopni poniżej zera. Skafandry z pianki gumowej zostały specjalnie zaprojektowane do przebywania w lodowatej wodzie, jednak aż jęknąłem biorąc mimo woli gwałtowny wdech w reakcji na szok pierwszej chwili ■ wciągając czysty tlen do płuc zduszonych ciśnieniem. Lecz nie ociągaliśmy się, gdyż im dłużej tam zostawaliśmy, tym dłuższy miał być czas dekompresji po wyjściu. Podpłynęliśmy, odbijając się od dna, na drugi koniec pomieszczenia, znaleźliśmy klapę wyrzutni numer cztery i zamknęliśmy ją, ale przedtem wykonałem szybkie oględziny wlotu kurka testowego. Sama klapa wydawała się nie uszkodzona: nieszczęsny Mills przyjął na siebie impet uderzenia, co zapobiegło wyrwaniu kłapy z zawiasów. Nie odkształciła się wcale i dała się szczelnie zamknąć. Przesunęliśmy dźwignię zamykającą klapę i opuściliśmy torpedownię.

Znalazłszy się ponownie między grodziami, zastukaliśmy w umówiony sposób. Niemal w tej samej chwili dotarł do nas stłumiony pomruk silników pomp, które w szybkim tempie odprowadzały wodę z torpedowni na zewnątrz. Powoli poziom wody obniżał się i jednocześnie spadało ciśnienie. Stopień za stopniem "Delfin" powracał do poziomu. Kiedy wody już znacznie ubyło, na nasz znak zostało wypompowane powietrze, tworzące dotąd lekkie nadciśnienie.

Parę minut później, gdy zrzuciałem skafander, Swanson zapytał mnie: ■ Były jakieś kłopoty?

■ Żadnych. Ten Murphy to był dobry wybór.

■ On jest najlepszy. Wielkie dzięki, doktorze.

Zniżył głos: ■ Czy pan może przypadkiem...

■ świetnie pan wie, że tak ■ powiedziałem. ■ Jasne. Nie lak, nie guma do żucia, nie farba. Klej, komandorze. Klejem zablokowano kurek testowy. Staroświecką miksturą ze zwierzęcych kości, którą

wyciska się z tuby. Idealnie się nadawała.

■ Rozumiem ■ powiedział i odszedł.

"Delfin" zadrżał, gdy torpeda z sykiem wypadła z wyrzutni numer trzy, jedynej na całym okręcie, co do której Swanson miał pewność.

■ Proszę odliczać ■ Swanson zwrócił się do Hansena. ■ Pan mi powie, kiedy uderzy i kiedy to usłyszymy.

Hansen patrzył na stoper trzymany w zabandażowanej ręce i skinął głową. Wolno mijały sekundy.

Wreszcie powiedział: ■ Powinno uderzyć... teraz.

A dwie lub trzy sekundy później: ■ Usłyszymy... teraz.

Ktokolwiek obliczał czas i namiary dla tej torpedy, wiedział, co robi. Ledwie Hansen wypowiedział po raz drugie słowo "teraz", nie tylko usłyszeliśmy, aleśmy wyraźnie odczuli wibrujący rezonans wzdłuż całego kadłuba "Delfina", po tym jak dotarła do nas fala uderzeniowa od eksplodującej głowicy. Pokład zadrżał pod stopami, lecz wstrząs był o wiele mniejszy, niż się spodziewałem. Ulżyło mi. Nie musiałem być jasnowidzem, by wiedzieć, że wszystkim ulżyło. Nigdy dotąd żaden okręt podwodny nie znajdował się w bezpośrednim sąsiedztwie torpedy eksplodującej pod pokrywą lodową, nikt nie wiedział więc, do jakiego stopnia efekt odbicia od mas lodu w górze jest w stanie zwiększyć ciśnienie i niszczące działanie rozchodzącej się poziomo fali uderzeniowej.

■ Ładnie ■ mruczał Swanson. ■ Bardzo ładnie zrobione. Jedna trzecia naprzód. Mam nadzieję, że to puknięcie podziało na lód z siłą większą niż na nasz okręt.

Zwrócił się do Bensaona: ■ Proszę nas zawiadomić, kiedy podpłyniemy do szczeliny, dobrze?

Przeszedł do stołu nakresowego.

Raeburn podniósł wzrok i oznajmił: ■ Przebyliśmy pięćset metrów, zostało pięćset.

■ Turbiny stop ■ powiedział Swanson.

Słabe wibracje maszyn ustały.

■ Podejdziemy bardzo ostrożnie. Eksplozja mogła posłać daleko w głąb lodowe bloki o wadze ładnych kilku ton. Jeżeli mamy się z czymś takim spotkać przy wynurzaniu, wolę wytracić przedtem szybkość.

■ Jeszcze trzysta metrów ■ powiedział Raeburn.

■ Żadnych przeszkód, pusto wokół ■ meldowała obsługa hydrolokatora.

■ Ciągłe gruby lód ■ informował Benson. ■ O, jest. Podchodzimy do szczeliny. Cienki lód. Około półtora metra grubości.

■ Jeszcze dwieście metrów ■ powiedział Raeburn. ■ To by się zgadzało.

Wolno sunęliśmy naprzód. Na rozkaz Swansona turbiny pchnęły nas ze dwa razy, po czym znów stawały.

■ Pięćdziesiąt metrów ■ mówił Raeburn. ■ Już blisko.

■ Odczyt lodu?

■ Bez zmian. Koło półtora metra. ■ Prędkość?

■ Jeden węzeł.

■ Pozycja?

■ Zrobiliśmy tysiąc metrów. Przeływamy dokładnie pod naszym celem.

■ I niczego nie widać w "lodówce"? Nic zupełnie?

■ Kompletnie nic.

Benson wzruszył ramionami i spojrzał na Swansona.

Komandor podszedł bliżej i obserwował igielkę z tuszem kreślącą szybko pionowe linie na papierze.

■ Co najmniej dziwne ■ mrucał Swanson. ■ Poszło w to trzysta dwadzieścia pięć kilogramów niezawodnego amatora. Miejscami lód musi tutaj być niezwykle gruby. Mówiąc ogólnie. Wynurzymy się do dwudziestu pięciu metrów i przepłyniemy parę razy pod tym obszarem. Włączyć reflektory i kamery.

Weszliśmy na dwadzieścia pięć metrów głębokości, przepłynęliśmy w tę i z powrotem, bez skutku. Woda była nieprzejrzysta, na nic nie przydała się telewizja i światła. "Lodówka" uparcie rejestrowała grubość od metra dwudziestu do metra osiemdziesięciu ■ niemożliwością było zrobić to dokładniej ■ i tak przez cały czas.

■ No to chyba wystarczy ■ powiedział Hansen. ■ Wycofujemy się i walimy jeszcze raz?

■ Nie wiem ■ odrzekł Swanson w zamyśleniu. ■ A gdyby tak wybić sobie przerębel?

■ Przerębel? ■ Hansen nie pojmował, ja zresztą też. ■ Czym wyrąbiemy przerębel w lodzie grubym na półtora metra?

■ Nie mam pewności. Chodzi o to, że wnioskujemy na podstawie nie sprawdzonych przesłanek, a to bardzo kruchy fundament. Założyliśmy, że jeżeli torpeda nie rozbije lodu w drobny mak, przynajmniej

zrobi w nim dziurę. A może to wcale nie odbywa się w ten sposób. Może po prostu powstaje nadciśnienie wody rozłożone na dość duży obszar, które wypycha lód, rozłamuje go na spore kawały i bloki te osiadają z powrotem na wodzie, wracając do poprzedniej pozycji, w związku z czym pozostają tylko szpary, takie jak układ pęknięć na wysuszonej kałuży błota. Szpary dookoła. Niewielkie pęknięcia, ale zawsze. Tak wąskie, że "lodówka" nie zdoła ich zarejestrować, nawet przy tak niewielkiej prędkości jak nasza.

Zwrócił się do Raeburna. ■ Jaką mamy pozycję?

■ Cały czas w środku celu, panie komandorze.

■ Podnieś okręt, aż dotkniemy lodu ■ powiedział Swanson.

Nie musiał dodawać nic na temat ostrożności. Oficer unosił okręt lekko jak puch, aż poczuliśmy nieduży wstrząs.

■ Tak trzymać ■ nakazał Swanson. Popatrzył na ekran, lecz woda była tak nieprzejrzysta, że widoczność kończyła się w połowie kiosku. Skinął na oficera. ■ Do góry, mocno.

Sprężone powietrze wdarło się z hukiem do zbiorników balastowych. Mijały sekundy, w czasie których nic się nie działo, gdy nagle cały "Delfin" zadrżał, jakby coś bardzo ciężkiego i twardego uderzyło w kadłub. Moment przerwy, jeszcze jeden mocny wstrząs i wszyscy mogliśmy zobaczyć brzeg gigantycznego lodowego segmentu ześlizgującego się poza ekran.

■ Teraz widzę, że chyba miałem rację ■ zauważył Swanson. ■ Zdaje się, że uderzyliśmy w środek pęknięcia. Głębokość?

Czternaście metrów.

■ Czyli cztery i pół metra wystaje. Nie sądzę, by nam się udało podnieść te setki ton lodu, pod którymi tkwi reszta kadłuba. Jak tam pławność?

■ Nie może być lepsza.

■ W takim razie na tym poprzestaniemy. Do roboty, bosmanie, wejdzie pan na górę i powie nam, jaka jest pogoda.

Nie czekałem, żeby się dowiedzieć czegoś o pogodzie. Mnie również to ciekawiło, ale bardziej zależało mi na tym, by Hansen nie wszedł do swojej kabiny w momencie, kiedy razem z futrami szykuję mannlicher-shoenauer. Tym razem nie kładłem go do specjalnej kabury, tylko wetknąłem w zewnętrzną kieszeń spodni ze skóry karibu. Pomyślałem, że tam będę go miał pod ręką.

Równo w południe wygramoliłem się poza krawędź mostka i za pomocą zwieszanej liny zjechałem po zbitym bloku lodowym, który ukosem sięgał niemal po sam wierzch kiosku. Niebo miało w sobie mniej więcej tyle światła, ile pozostaje tuż po zapadnięciu zmroku w zimie, przy dużym zachmurzeniu. Powietrze było ostre jak zwykle, ale przynajmniej poprawiła się pogoda. Zelżał wiatr,

wiał teraz z północnego wschodu, z rzadka tylko jego porywy dochodziły do dziesięciu metrów na sekundę, a lodowe igiełki podrzucało nie wyżej niż na wysokość metra nad powierzchnią. Nic nie kłuło w oczy. Możliwość zobaczenia, dokąd człowiek idzie po tej cholernej zmarzlinie, stanowiła przyjemną odmianę.

W sumie było nas jedenastu: sam komandor Swanson, doktor Benson, ośmiu marynarzy i ja. Czterech ludzi niosło ze sobą nosze.

Nawet ponad trzysta kilogramów najlepszego z konwencjonalnych środków wybuchowych dostępnych na rynku nie zdołało wyrządzić większej szkody lodowej pokrywie. Na przestrzeni około sześćdziesięciu metrów kwadratowych lód popękał, tworząc niezwykle regularną siatkę szczelin dzielących pola zbliżone do ośmiokątów, lecz bloki lodowe przyjęły poprzedni układ i do powstałych szpar nie można było wetknąć nawet ręki i a większość z nich zaczęła przymarzać z powrotem. Dostyc kiepski efekt wybuchu głowicy torpedowej o przeznaczeniu militarnym i trzeba jednak pamiętać, że główna siła eksplozji skierowała się w dół, a mimo to zdołała spowodować pęknięcia i unieść fragment lodowej pokrywy o ciężarze dochodzącym pewnie do pięciu tysięcy ton. Jeśli spojrzeć na to od tej strony, cały wyczyn nabiera innego wymiaru. Może nawet mieliśmy szczęście, że tak nam się udało.

Przeszliśmy na wschodni kraniec szczeliny, przedostali się na właściwą taflę pokrywy lodowej i rozejrzeliśmy wokół, żeby określić nasze położenie i orientować się według nieruchomego słupa blasku reflektora, który sięgał wprost w mroczne niebo. Tym razem nie ma szans, byśmy zblądzili. Przy spokojnym wietrze, bez nawałnicy lodowych igieł, byłoby widać naszą latarnię z odległości choćby piętnastu kilometrów.

Nie potrzebowaliśmy nawet określać położenia. Po paru krokach od krawędzi szczeliny od razu ją zobaczyliśmy. Arktyczną Stację "Zebra". Trzy baraki, jeden z nich nadpalony, i pięć szkieletów i pozostałości po reszcie zabudowań. Ruina.

! Więc tak wygląda stacja ! Swanson mówił mi do ucha. ! A raczej jej pozostałości. Przebyłem długą drogę, by móc to zobaczyć.

! O mało nie udał się pan w drogę jeszcze dłuższą, by już nigdy tego nie oglądać ! powiedziałem. ! To znaczy na dno oceanu. Przyjemny widok, co?

Swanson pokręcił wolno głową, nie przystając. Do przejścia mieliśmy tylko sto metrów. Poprowadziłem do pierwszego z ocalałych baraków, otworzyłem drzwi i weszliśmy.

W środku było o jakieś dziesięć stopni cieplej niż wówczas, kiedy byłem tu ostatnio, lecz w dalszym ciągu przenikliwie zimno. Tylko Zabirsky i Rawlings nie spali. W baraku czuć było spalenizną, środkami dezynfekcyjnymi, jodyną, morfiną i unosił się tam osobliwy zapach gęstej zupy o wyjątkowo obrzydliwym wyglądem, którą Rawlings pracowicie miesił w menażce ustawionej na niskim piecyku.

! O, jesteście ! zauważył Rawlings zdawkowo. Jakby witał sąsiada, który minutę temu dzwonił, czy może przyjść pożyczyć kosiarkę ! nie zaś ludzi, co do których był właściwie pewien, że ich nigdy nie

zobaczy.

■ Doskonały moment, za chwilę można będzie wezwać wszystkich dzwonkiem na obiad, panie komandorze. Z pewnością ma pan ochotę na kurczaka po marylandzku.

■ Może później, dziękuję ■ odrzekł Swanson uprzejmie. ■ Przykro mi z powodu twojej nogi, Zabrinzky. Nie dokucza?

■ Nie, skąd, już wszystko dobrze. Mam ją w gipsie.

Sztywno uniósł nogę.

■ Tutejszy medyk, doktor Jolly, zapakował mnie naprawdę ładnie. Ciężko było zeszłej nocy? ■ z tym pytaniem zwrócił się do mnie.

■ Doktor Carpenter miał ciężką noc ■ stwierdził Swanson. ■ Ranek też niezgorszy. Ale o tym później. Dajcie tu nosze. Zabrinzky, idziesz pierwszy. A ty, Rawlings, możesz odejść od garów. "Delfin" znajduje się niecałe dwieście metrów stąd. Za pół godziny będziemy mieli wszystkich na pokładzie.

Usłyszałem szelest za plecami. Doktor Jolly był już na nogach i pomagał wstać kapitanowi Folsomowi. Folsom wydawał się jeszcze bardziej osłabiony niż wczoraj ■ znacznie gorzej wyglądała jego twarz, choć była już zabandażowana.

■ To kapitan Folsom ■ przedstawiłem go. ■ A to doktor Jolly. Komandor Swanson, dowódca "Delfina". Doktor Benson.

■ Powiedział pan: doktor Benson, stary druhu? ■ Jolly uniósł brew. ■ Daję słowo, robi się tu ostra konkurencja łapiduchów. Do tego dowódca. Niech mnie kule biją, ale się cieszymy na wasz widok, chłopcy.

To połączenie silnego akcentu irlandzkiego z angielskim slangiem lat dwudziestych zgrzytało mi w uszach bardziej niż zwykle. Facet przypominał mi wykształconych Cejlończyków, z którymi się zetknąłem i którzy mówili po angielsku wyraźnie, poprawnie, z wysoką intonacją południa Anglii, lecz wtrącali co chwila powiedzonka sprzed czterdziestu lat. "Że boki rwać, panie kolego, ubaw na fest".

■ To zrozumiałe ■ uśmiechnął się Swanson.

Potoczył wzrokiem po nieruchomych, opatulonych ludziach na podłodze, którzy wyglądaliby jak martwi, gdyby nie smużki pary ich płytkich oddechów ■ i uśmiech znikł mu z twarzy. Zwrócił się do kapitana Folsoma:

■ Nie umiem wyrazić, jak bardzo wam współczuję. To musiało być straszne.

Folsom poruszył się i coś powiedział, lecz nie mogliśmy pojąć ani słowa. W porównaniu z dniem wczorajszym, kiedy widziałem jego potwornie poparzoną twarz jeszcze bez bandażu, stwierdziłem, że opatrunek nie polepszył chyba jego stanu: wewnątrz ust mówił normalnie, lecz okaleczony



policzek i wargi objął paraliż, w związku z czym jego wypowiedź nie przypominała żadnego ze znanych języków. Zdrowa, lewa część twarzy była pobrużdżona, wykrzywiona przez skurcz, a oko prawie całkiem zamknięte. Nie miało to nic wspólnego ze współczulną reakcją nerwowo-mięśniową powodowaną groźnymi oparzeniami prawego policzka. Ten człowiek strasznie cierpiał.

Zwróciłem się do Jolly'ego: ■ Zostało trochę morfiny?

■ Nic nie zostało ■ odpowiedział ze znużeniem. ■ Zużyłem wszystko. Cały zapas.

■ Doktor Jolly pracował całą noc ■ wtrącił cicho Zabrinky. ■ Osiem godzin. On, Rawlings i Kinnaird. Bez chwili odpoczynku.

Benson otworzył swoją torbę lekarską. Jolly dostrzegł to i uśmiechnął się z widoczną ulgą i wyczerpaniem. Jego stan znacznie się pogorszył od ostatniego wieczoru. Kiedy zaczynał, też przecież nie czuł się najlepiej. Mimo to pracował. Solidnie pracował przez osiem godzin. Zajął się nawet kostką Zabrinky'ego. Dobry lekarz. Sumienny, w każdym razie wierny przysiędze Hipokratesa. Miał prawo odpocząć. I teraz, kiedy przybyło dwóch innych lekarzy, odpocznie. Dopiero teraz.

Podtrzymywał właśnie Folsoma, żeby ten mógł usiąść, więc mu pomogłem. Sam też się osunął, oparł plecami o ścianę.

■ Przepraszam i w ogóle, wie pan ■ powiedział. Jego odmrożona, pokryta zarostem twarz wykrzywiła się na podobieństwo uśmiechu. ■ Kiepski ze mnie gospodarz.

■ Teraz może pan wszystko pozostawić nam, doktorze ■ odparł cicho Swanson. ■ Zapewnimy panu wszelką pomoc. Jedno pytanie. Czy wszyscy ci ludzie zniosą przeprowadzkę?

■ Nie wiem.

Jolly przecierał ręką przekrwione, podkrążone oczy.

■ Nie wiem. W nocy stan jednego lub dwóch fatalnie się pogorszył. Z powodu zimna. Ci dwaj. Według mnie, zapalenie płuc. Dolegliwość, którą ranny człowiek normalnie zwalczyłby w dwa dni, tutaj może być śmiertelna. Z powodu zimna ■ powtórzył. ■ Dziewięćdziesiąt procent energii człowiek zużywa nie na walkę z chorobą, lecz na wytwarzanie ciepła, by pozostać przy życiu.

■ Tylko spokojnie ■ rzekł Swanson. ■ Może lepiej zmienimy decyzję o zabraniu was na pokład w pół godziny. Kto pierwszy wsiada do karetki, doktorze Benson?

Nie doktorze Carpenter tylko Benson. Cóż, w końcu to jego lekarz okrętowy. Ale tak czy owak zwrócił się do niego. W stosunku do mnie komandor okazał nagle przykry chłód, zaskakującą niechęć, a ja nie musiałem dostać kijem w łeb, żeby odgadnąć przyczynę owej radykalnej zmiany.

■ Zabrinky, doktor Jolly, kapitan Folsom i ten człowiek tutaj ■ odpowiedział natychmiast Benson. ■ Kinnaird, radiotelegrafista ■ przedstawił się ów czwarty. ■ Nigdyśmy się nie spodziewali, że dacie radę, brachu ■ powiedział do mnie. Dźwignął się jakoś na nogi i stał ślaniając się. ■ Ja mogę iść sam.

─ Bez dyskusji ─ uciął krótko Swanson. ─ Rawlings, przestań już grzebać w tych pomyjach i zbieraj się. Pójdiesz z nami. Ile czasu zabierze ci przeprowadzenie tu kabla z okrętu, wstawienie paru silnych grzejników elektrycznych i oświetlenia?

─ Mam to zrobić sam?

─ Człowieku, bierz kogo chcesz do pomocy.

─ Piętnaście minut. Mogę też doprowadzić telefon, panie komandorze.

─ Tak, przyda się. Jak będą tu wracać z noszami, niech przyniosą koce, prześcieradła, gorącą wodę. Kotły z wodą owińcie kocami. Coś jeszcze, doktorze Benson? ─ Na razie nic, komandorze.

─ To wszystko. Możecie odejść.

Rawlings wyjął łyżkę z menażki, popróbował, oblizał usta ze smakiem i smutno potrząsnął głową.

─ Aż szkoda zostawić ─ powiedział z żalem. ─ Wielka szkoda.

Wyszedł w ślad za dźwigającymi nosze.

Spośród ośmiu ludzi na podłodze czterech było przytomnych. Hewson, kierowca ciągnika, Naseby ─ kucharz i dwóch, którzy przedstawili się nazwiskiem Harrington. Bliźniacy. Nawet odmrożenia i oparzenia mieli w tych samych miejscach. Pozostała czwórka zapadła w sen lub śpiączkę. Benson i ja zaczęliśmy ich oglądać, Benson robił to dokładniej ode mnie, posługując się termometrem i stetoskopem. Szukał objawów zapalenia płuc. Moim zdaniem nie musiał daleko szukać. Komandor Swanson w zamyśleniu rozglądał się po wnętrzu, czasem posyłał mi bardzo dziwne spojrzenie, a czasem wymachiwał rękami waląc się po bokach dla poprawy krążenia. Musiał się ruszać. Nie miał tak wymyślnych futer jak ja, a pomimo solidnego piecyka w baraku była istna lodownia.

Człowiek, od którego rozpocząłem oględziny, leżał na boku w samym kącie z prawej strony. Powieki miał półotwarte, ukazujące białka zwróconych w górę oczu, zapadłe skronie, marmurowobiałe czoło, a nie zabandażowana część jego twarzy była zimna jak marmur nagrobny zimą. Spytałem: ─ Kto to jest?

─ Grant. Jimmy Grant ─ odpowiedział mi Hewson, cichy, ciemnowłosy kierowca traktora. ─ Radiotelegrafista. Pomocnik Kinnairda. Jak tam z nim?

─ Nie żyje. śmierć nastąpiła już jakiś czas temu.

─ Nie żyje? ─ zachnął się Swanson. ─ Jest pan pewny? Posłałem mu wyniosłe spojrzenie zawodowca i nie odpowiedziałem.

Zwrócił się do Bensaona: ─ Kto może nie wytrzymać transportu?

─ Myślę, że ci dwaj ─ odrzekł Benson.

Nie zauważył serii znaczących spojrzeń, jakimi obdarzał mnie Swanson, i wręczył mi swój stetoskop. Po minucie wyprostowałem się i skinąłem twierdząco.

■ Oparzenia trzeciego stopnia ■ Benson wyjaśniał Swansonowi. ■ To znaczy tyle widać gołym okiem. Obydwaj z wysoką gorączką, u obydwu puls bardzo przyspieszony, słaby, przy tym wysięk w płucach.

■ Będą mieli większe szanse przeżycia na "Delfinie" ■ stwierdził Swanson.

■ Transport ich zabije ■ powiedziałem. ■ Nawet jeśli opatuli się ich ciepło przed drogą na okręt, przenoszenie ich na szczyt kiosku, potem pionowe opuszczanie przez wszystkie te luki i trapy wykończy ich do reszty.

■ Nie możemy bez końca tkwić w szczelinie ■ oświadczył Swanson. ■ Biorę na siebie odpowiedzialność za przeniesienie chorych.

■ Przykro mi, komandorze ■ Benson pokręcił głową z powagą. ■ Zgadzam się z doktorem Carpenterem.

Swanson wzruszył ramionami i nic nie powiedział. W chwilę później wrócili ludzie z noszami, a za nimi Rawlings i trzech innych marynarzy, którzy nieśli kable, grzejniki, lampy i telefon. Tylko parę minut zajęło im podłączenie grzejników i lamp do kabla zasilania. Rawlings pokręcił korbką generatora telefonu polowego i nadał krótką wiadomość do słuchawki. Zapłonęły jasne światła, a grzejniki zatrzeszczały z początku, by po kilku sekundach rozpalić się do czerwoności. Hewson, Naseby i Harringtonowie odjechali na noszach. Po ich wyjściu zdjąłem z haka latarnię sztormową.

■ Teraz wam niepotrzebna ■ powiedziałem. ■ Zaraz wracam.

■ Dokąd pan idzie? ■ dobiegł mnie cichy głos Swansona.

■ Zaraz wracam ■ powtórzyłem. ■ Rozejrzę się trochę.

Zawahał się, wreszcie ustąpił mi z drogi. Wyszedłem, skręciłem za róg baraku i zatrzymałem się. Usłyszałem terkot telefonu, potem głos w słuchawce. Docierał do mnie tylko niewyraźny pomruk, nie dosłyszałem, o czym mówią. Lecz spodziewałem się tego.

Latarnia sztormowa migotała i przygasła na wietrze, ale nie zgasła. Zabłąkane lodowe kolce siekły w szkło, które nie pękało ani się nie tłukło, gdyż z pewnością było specjalnie hartowane, odporne na kilkudziesięciostopniowe różnice temperatury.

Poszedłem na skos, do jedyne go baraku od południa, który ocalał. Ani śladu pożaru, nadpalenia czy nawet sadzy na zewnętrznych ścianach. Magazyn paliw musiał być następny w szeregu po tej samej stronie, od zachodu, zgodnie z kierunkiem wiatru: to prawie pewne, że takie jego umiejscowienie stanowi przyczynę zniszczenia wszystkich baraków, a groteskowo powyginane słupy, które z niego zostały, zmieniły domysł na całkowitą pewność. Stąd rozprzestrzenił się pożar.

Do ściany nie uszkodzonego baraku przylegała solidnie postawiona przybudówka. Wysoka na niecałe dwa metry, tejże szerokości, dwa i pół metra długa. Drzwi otworzyły się bez trudu. Drewniana

podłoga, lśniące ściany i sufit z aluminium; do wewnętrznych i zewnętrznych ścian przymocowano duże grzejniki. Biegły od nich przewody i nie trzeba tu było umysłu Einsteina, by odgadnąć, że prowadzą do ruin stacji generatorów. Przybudówka miała być ogrzewana dniem i nocą. Przysadzisty, o niskim zawieszeniu ciągnik, który zajmował prawie całą powierzchnię podłogi, miał być w każdej chwili gotów do drogi ledwo się dotknęło zapłonu. Teraz by już nie zapalił, trzeba by trzech albo czterech lamp lutowniczych i mocarnych męczyzn w tej samej liczbie, żeby silnik choć raz zaskoczył. Zamknąłem drzwi i przeszedłem do głównego baraku.

Jego wnętrze wypełniały metalowe stoły, różne maszyny i wszelkie nowoczesne urządzenia do rejestrowania i interpretacji każdego zaobserwowanego szczegółu charakteryzującego klimat Arktyki. Nie wiedziałem, jakie funkcje spełnia większość zgromadzonych tam przedmiotów ani mnie to nie obchodziło. Wystarczyło mi stwierdzić, że jest to centrum meteorologiczne. Obejrzałem barak dokładnie, lecz bez pośpiechu i uznałem, że nie widzę tam nic dziwnego bądź nie pasującego do reszty. W jednym z kątów, na pustej drewnianej skrzynce ustawiona była przenośna radiostacja ze słuchawkami ■ ostatnio nazywa się to "nadbiornik". Obok w skrzyni z solidnego, natłuszczonego drewna znajdowało się piętnaście akumulatorów żelazowo-niklowych, zwanych bateriami Nife, połączonych ze sobą. Z haka na ścianie zwisała dwuwoltowa lampka kontrolna. Przytknąłem jej odsłonięte styki do zewnętrznych końcówek akumulatora, jaki tworzyły połączone baterie. Gdyby miały one w sobie choćby ułamek początkowej mocy, lampka kontrolna zapłonęłaby jasnym blaskiem. Nawet nie zaczęła się żarzyć. Oderwałem kawałek przewodu od lampy i przytknąłem go do obu końcówek. Najmniejszej iskiej. Kinnaird nie kłamał mówiąc, że baterie się wyczerpały. Ale przecież ani przez moment nie sądziłem, że kłamię.

Wyruszyłem do ostatniego baraku ■ tego, który zawierał zwęglone podczas pożaru szczątki siedmiu ludzi. Smród zwęglonych ciał i spalonej ropy teraz wydawał się silniejszy, jeszcze bardziej mdlący. Stałem w drzwiach i ostatnią rzeczą, na którą miałem ochotę, było uczynienie choćby jednego kroku naprzód. Zrzuciłem futrzane, następnie wełniane rękawice, ustawiłem lampę na stole, wyjąłem latarkę i ukląknąłem przy pierwszym denacie.

Minęło dziesięć minut i jedynym moim pragnieniem było wydostać się stamtąd jak najprędzej. Są przypadki, których lekarze ■ nawet doświadczeni patolodzy ■ będą unikać za wszelką cenę. Po pierwsze ■ ciała zbyt długo pozostające pod wodą, po drugie ■ ciała ofiar pobliskiej eksplozji podwodnej, wreszcie ■ ludzie dosłownie spaleni żywcem. Zaczynałem odczuwać już lekkie mdłości, lecz zamierzałem pozostać, dopóki nie skończę.

Skrzypnęły drzwi. Odwróciłem się, by zobaczyć wchodzącego komandora. Długo zwlekał, spodziewałem się go wcześniej. Porucznik Hansen, ze złamaną ręką owiniętą w gruby wełniany gałgan, wszedł za nim. Tego właśnie dotyczyła podsłuchana przez telefon rozmowa: komandor wezwał posiłki. Swanson zgasił latarkę, podsunął gogle na czoło i zdjął osłonę twarzy. Na widok tego, co ujrzał, oczy mu się zwężyły, nozdrza wykrzywiło mimowolne obrzydzenie, a z czerstwych policzków znikł rumieniec. I ja, i Hansen, mówiliśmy mu, czego się ma spodziewać, ale nie był przygotowany na coś takiego; rzadko się zdarza, że wyobraźnia nie dorównuje rzeczywistości. Przez moment myślałem, że ogarną go mdłości, lecz dostrzegłem, jak blady rumieniec powraca na policzki i wiedziałem już, że tak się nie stanie.

■ Doktorze ■ powiedział ochrypłym tonem, który zdawał się jedynie podkreślać sztywną oficjalność. ■

Życzę sobie, by pan natychmiast powrócił na okręt, gdzie nie opuści pan kabiny bez zezwolenia. Wolałbym, żeby udał się pan tam dobrowolnie, w towarzystwie porucznika Hansena. Pragnę uniknąć kłopotów. Wierzę, że pan również tego pragnie. Jeśli zaś jest pan odmiennego zdania, Rawlings i Murphy czekają za tymi drzwiami.

■ To wojownicze słowa, komandorze ■ powiedziałem. ■ Przy tym bardzo nieprzyjazne. A Rawlings i Murphy z pewnością mocno przemarzną.

Wsunąłem prawą dłoń w kieszeń spodni ze skóry karibu ■ w tę, gdzie miałem broń ■ i bez pośpiechu badałem wzrokiem kapitana.

■ Mieliście jakąś naradę?

Swanson spojrział na Hansena i skinął w kierunku drzwi. Hansen już miał się obrócić, lecz zatrzymał go moje słowa:

■ Korzystamy z władzy, nieprawdaż? I nie zasłużyłem na żadne wyjaśnienie, czy tak?

Hansen miał nietęgą minę. Źle się czuł w swojej roli od początku. Podejrzewałem, że Swanson również, ale on gotów był wypełniać zamysł, bez względu na uczucia.

■ Doskonale pan zna przyczyny tej decyzji, chyba że biorę pana za człowieka, o wiele bardziej inteligentnego niż pan nim jest w istocie, a przypisuję panu wybitną inteligencję. Kiedy wszedł pan na pokład "Delfina" w Holy Loch, zarówno admirał Garvie, jak i ja, żywiliśmy wobec pana podejrzania. Sprzedał nam pan historyjkę o tym, że jest ekspertem od warunków arktycznych i że pomagał pan w zakładaniu tej Stacji. Gdy nie przyjęliśmy tego za wystarczające pełnomocnictwo czy choćby powód, by pana ze sobą zabrać, opowiedział pan wysoce przekonującą bajeczkę, że urządzono tutaj komórkę wczesnego ostrzegania przed atakiem rakietowym i chociaż zdziwienie budził fakt, iż admirał Garvie nigdy o tym nie słyszał, wzięliśmy ją za dobrą monetę. Wielka antena talerzowa, o której pan mówił, maszty radarowe, urządzenia elektroniczne ■ co się z nimi stało, doktorze Carpenter? Zdematerializowały się, co? Jak wszelkie twory istniejące jedynie w wyobraźni.

Patrzyłem na niego i po namyśle postanowiłem nie przerywać.

■ Nie było tu żadnych tego typu urządzeń, prawda? Tkwi pan po uszy w jakiejś nader podejrzanej sprawie, przyjacielu. W tej chwili nie wiem, o co chodzi i póki co, nie dbam o to. Interesuje mnie jedynie bezpieczeństwo okrętu, dobro załogi i pomyślnie przywiezienie do domu ludzi ocalałych z "Zebry", nie będę więc podejmował żadnego ryzyka.

■ Życzenie wyrażone przez brytyjską Admiralicję, rozkazy pańskiego zwierzchnika odpowiedzialnego za podwodne operacje morskie nic dla pana nie znaczą?

■ Zaczynam mieć coraz większe obiekcje co do sposobu, w jaki owe rozkazy zostały wydane ■ stwierdził ponuro Swanson. ■ Pan jest dla mnie zbyt tajemniczą postacią, doktorze Carpenter, przy tym kłamie pan jak z nut.

■ To bardzo ostre słowa, komandorze.

! Prawda często jest taka. Pan pozwoli z nami.

! Przykro mi. Jeszcze nie skończyłem.

! Rozumiem. John, czy mógłbyś...

! Mogę to wyjaśnić, a nawet muszę. Nie chcecie usłyszeć?

! Kolejna bajeczka? ! Potrząsnął głową. ! Nie.

! A ja nie jestem gotów do odejścia. Znaleźliśmy się w impasie.

Swanson spojrział na Hansena, który się odwrócił, by wyjść.

Powiedziałem: ! Cóż, skoro nie raczycie mnie wysłuchać, wzywajcie pomoc. Czyż nie jest szczęśliwym zbiegiem okoliczności fakt, że mamy tu aż trzech wykwalifikowanych lekarzy?

! Co pan chce przez to powiedzieć?

! Tylko tyle.

Pistolety wyglądają rozmaicie. Niektóre wydają się nieszkodliwe, inne brzydkie, jeszcze inne solidne, są nawet paskudne, mannlicher-schoenauer w mojej dłoni wyglądał wyjątkowo złośliwie. Że bardziej nie można. Białe światło latarni sztormowej połyskiwało na siennej powierzchni metalu, groźnie i złowieszczo. Ta broń mogła przerazić.

! Nie posłuży się pan tym ! bezbarwnym tonem rzekł Swanson.

! Skończyłem z gadulstwem i nie będę prosił o posłuchanie. Zabierz stąd obstawę, przyjacielu.

! Błefujesz, kochany ! rzucił Hansen z wściekłością. ! Nie odważysz się.

! Zbyt wiele mam do stracenia, by się zawahać. Chcesz, sprawdź. Nie bądź tchórzem. Nie chowaj się za plecami podkomendnych. Czy im każesz wystawić się pod ostrzał?

Odbezpieczyłem broń. ! Podejź i odbierz mi to sam.

! Zostań na miejscu, John ! osadził go Swanson. ! On to zrobi. Podejrzewam, że ma pan cały arsenał w tej walizce z zamkiem szyfrowym ! przyznał gorzko.

! Właśnie. Automatyczne karabinki, sześciocalowe działka okrętowe, wszystko. Ale w kameralnej sytuacji starczy mały pistolet. Czy zostaną wysłuchany?

! Zostanie pan wysłuchany.

! Proszę odesłać Rawlingsa i Murphy'ego. Nie chcę, by ktokolwiek wiedział. A i tak pewnie zmarzli na kość.

Swanson skinął głową. Hansen poszedł do drzwi, które otworzył, zamienił parę słów i wrócił. Położyłem pistolet na stole, wziąłem latarkę i oddaliłem się parę kroków.

Powiedziałem: ■ Chodźcie i popatrzcie na to.

Podeszli. Obaj minęli stół z leżącym pistoletem i nawet nie spojrzeli w tę stronę. Zatrzymałem się przy jednym z groteskowo zdeformowanych, zwęglonych kształtów leżących na podłodze. Swanson zbliżył się i patrzył. Z rumieńców na twarzy nic nie zostało, z gardła wydobył mu się dziwny odgłos.

■ Ten sygnet, ten złoty sygnet... ■ zaczął, lecz urwał w połowie.

■ Nie kłamałem opowiadając o tym.

■ Nie. Nie kłamał pan. Nie wiem, co powiedzieć. Jest mi tak cholernie...

■ Nieważne ■ przerwałem szorstko. ■ Proszę popatrzeć. Tutaj, z tyłu. Niestety musiałem usunąć nieco popiołu.

■ Kark ■ szepnął Swanson. ■ Złamany.

■ Tak pan sądzi?

■ Coś ciężkiego, nie wiem, może belka z konstrukcji baraku musiała spaść...

■ Widział pan przed chwilą baraki. Nie ma tam żadnych belek. Brakuje czterocentymetrowego fragmentu kręgosłupa. Gdyby uderzyło go coś na tyle ciężkiego, by wybić parę kręgów szyjnych, kawałki kości utkwilyby w szyi. Lecz ich nie ma. Zostały rozniesione. Strzelano do niego z przodu, trafiając w gardło. Kula wyszła z tyłu. Tępo zakończona kula ■ można stwierdzić po wielkości otworu ■ wystrzelona z potężnego pistoletu w rodzaju kolta kaliber trzydzieści osiem, lugera albo mauzera.

■ Wielki Boże! ■ po raz pierwszy Swanson był wstrząśnięty. Spojrzał na to, co leżało u jego stóp, potem na mnie. ■ Zamordowany. Mówi pan, że popełniono morderstwo.

■ Kto mógłby to uczynić? ■ ochryple spytał Hansen. ■ Kto, człowieku, kto? I na Boga, dlaczego?

■ Nie wiem, kto to zrobił.

Swanson popatrzył na mnie, jego wzrok był dziwny.

■ Dopiero teraz pan odkrył?

■ Odkryłem zeszłego wieczoru.

■ Wiedział pan już wczoraj ■ słowa padały powoli, dobitnie, każde po dłuższej przerwie. ■ I od powrotu na pokład, przez cały czas, nie powiedział pan, nie okazał pan... Mój Boże, Carpenter, pan

jest nieludzki.

■ Jasne ■ odparłem. ■ Widzicie ten pistolet? On głośno strzela. Zabiję z niego człowieka, który to zrobił i nawet nie mrugnę. Owszem, jestem nieludzki.

■ Wyrwało mi się. Przepraszam.

Swanson czynił widoczne wysiłki, by się opanować. Spojrzał na mannlicher-schoenauer, potem na mnie, potem znowu na broń.

■ Prywatna zemsta nie wchodzi w grę, Carpenter. Nikt nie ma prawa osobiście wymierzać sprawiedliwości.

■ Proszę mnie nie rozśmieszać. Kostnica nie jest odpowiednim do tego miejscem. Poza tym nie wszystko jeszcze panom pokazałem. Jest coś więcej. Coś, co odkryłem dopiero teraz. Nie zeszłego wieczoru.

Wskazałem inny bezwładny kształt rzucony na podłogę.

■ Zechce pan przyjrzeć się ciału tego człowieka.

■ Wolałbym nie ■ rzekł Swanson z przekonaniem. ■ Może nam pan opowie? ■ Widać stąd, gdzie stoicie. Głowa. Oczyszciliśmy ją nieco. Mały otwór z przodu, na środku twarzy, lekko w prawo, większy otwór wylotowy z tyłu, na czubku głowy. Ta sama broń. Ten sam człowiek ją trzymał.

Żaden z nich nie wyrzekł słowa. Byli zbyt zaszokowani i przytłoczeni, by cokolwiek mówić.

■ Kula poszła dziwnym torem ■ ciągnąłem. ■ W górę, pod ostrym kątem. Jak gdyby człowiek, który oddał strzał, zrobił to z pozycji leżącej lub siedzącej, gdy jego ofiara nad nim stała.

■ Tak ■ Swanson jakby mnie nie słyszał. ■ Morderstwo. Dwa morderstwa. To sprawa dla władz, dla policji.

■ Jasne ■ powiedziałem. ■ Dla policji. Niech pan zadzwoni do sierżanta z najbliższego posterunku i poprosi go, żeby był uprzejmy wpaść tu na parę minut.

■ To nie jest zadanie dla nas ■ upierał się Swanson. ■ Jako dowódca amerykańskiej jednostki pływającej muszę przede wszystkim doprowadzić łódź i wszystkich ocalałych z "Zebry" z powrotem do Szkocji.

■ Nie narażając okrętu? ■ spytałem. ■ Z mordercą na pokładzie nie naraża pan bezpieczeństwa załogi?

■ Nie wiemy, czy on jest lub będzie na pokładzie.

■ Pan chyba sam nie wierzy w to, co mówi, przecież pan wie, że on tam będzie. Podobnie jak ja, wie pan, dlaczego wybuchł ten pożar i świetnie pan sobie zdaje sprawę z tego, że to nie wypadek. Przypadkowy może tylko być zasięg pożaru. Zabójca mógł się pomylić w kalkulacji. I czas, i pogoda



były przeciwko niemu, nie sądzę, by miał inne wyjście. Jedyne możliwe zatarcie śladów zbrodni polegało na wywołaniu pożaru o odpowiedniej sile. Zbrodni nie odkryto by, gdyby mnie tu nie było, gdybym jeszcze przed wyruszeniem z portu nie powziął przekonania, że jest tu coś bardzo nie w porządku. Lecz on dobrze się zabezpieczył. Czy panu się to podoba, czy nie, komandorze, będzie pan miał mordercę na pokładzie swego okrętu.

■ Ale wszyscy ci ludzie są poparzeni, niektórzy bardzo groźnie...

■ A co, u diabła, pan myśli? Że nieznany osobnik Iks wyszedł z tego bez szwanku, z niewielkim oparzeniem jak od papierosa, głosząc tym samym, że to właśnie on rozrzucał zapalki, po czym przezornie trzymał się z daleka? Barwy ochronne. On musiał się poparzyć.

■ To mi nie pasuje ■ rzekł Hansen. ■ On nie miał pojęcia, że ktoś nabierze podejrzania i rozpocznie śledztwo.

■ Dam panu dobrą radę: proszę przyłączyć się do komandora w zbożnym celu trzymania się z daleka od prac detektywistycznych ■ powiedziałem dobitnie. ■ Stojący za tym ludzie to wybitni specjaliści o szerokich kontaktach, należący do potężnej siatki, która potrafi sięgnąć niczym macka ośmiornicy, aż do Holy Loch, gdzie dokonano sabotażu na pańskim okręcie. Nie wiem, dlaczego to zrobili. Liczy się jedno: owi eksperci wysokiej klasy nigdy nie ryzykują. Zawsze działają opierając się na założeniu, że mogą zostać wykryci. Zabezpieczają się na wszystkie sposoby przed każdą z ewentualności. Ponadto, kiedy szalał ogień ■ jeszcze nie wiemy dokładnie, jak to było ■ morderca z pewnością rzucał się na ratunek i wynosił zaskoczonych pożarem z płomieni. Byłoby bardzo dziwne, gdyby tak nie robił. Dlatego się poparzył.

■ Boże drogi ■ Swanson zaczął szczełkać zębami z zimna, lecz chyba nie zdawał sobie z tego sprawy. ■ Co za diabelska intryga.

■ Prawda? śmiem twierdzić, że w pańskim kodeksie morskim nie istnieją przepisy na taką okoliczność.

■ Ale co... co mamy robić?

■ Wezwijmy gliny. Czyli mnie.

■ Co pan chce przez to powiedzieć?

■ To, co powiedziałem. Mam większą władzę podejmowania decyzji, większe poparcie czynników oficjalnych i wolną rękę w działaniu niż jakikolwiek gliniarz, którego pan spotkał. Musicie mi wierzyć. Mówię prawdę.

■ Zaczynam wierzyć, że to prawda ■ powoli, w zadumie odrzekł Swanson. ■ Dużo rozmyślałem na pana temat w ciągu ostatniej doby. Powtarzałem sobie, że się mylę, jeszcze dziesięć minut temu czułem, że nie mam racji. Jest pan policjantem? Detektywem?

■ Oficerem marynarki. Wywiadowcą. W walizce mam upoważnienie, które wolno mi przedstawić w sytuacji krytycznej.

Nie był to odpowiedni moment, by mu wyjawiać, jak szeroki wachlarz upoważnień posiadałem. ■ Sytuacja jest krytyczna.

■ Ale... ale pan jest lekarzem.

■ Oczywiście, że jestem. Lekarzem pokładowym, działalność uboczna. Moja specjalność to badanie przypadków sabotażu w armii Zjednoczonego Królestwa. Funkcja lekarza naukowca maskuje mnie idealnie. Moje obowiązki są umyślnie zróżnicowane, mam przy tym prawo wtykać nos we wszystkie sprawy i sytuacje oraz prowadzić rozmowy z różnymi ludźmi pod pozorem prowadzenia badań psychologicznych, co byłoby niemożliwe dla zwykłego oficera na służbie.

Nastąpiła długa cisza, wreszcie Swanson odezwał się z wyrzutem: ■ Mógł nas pan zawiadomić wcześniej.

■ Mogłem to nawet ogłosić przez okrętowy radiowęzeł. Tylko, u diabła, dlaczego? Po co mi na każdym kroku nieudolny amator? Proszę spytać byle gliniarza. Największym przekleństwem jest dla niego domorosły Sherlock Holmes. Poza tym i panu nie mogłem zaufać, lecz uprzedzając pańskie oburzenie dodam, że nie chodzi mi o umyślną zdradę czy coś w tym rodzaju, tylko że mógłby pan mi zaszkodzić przypadkiem. Teraz nie mam innego wyjścia, jak wyjawić tyle, ile mogę i ryzykować konsekwencje tego kroku. Dlaczego nie zechciał pan po prostu przyjąć polecenia wydanego przez pańskiego dowódcę operacji morskich i zastosować się do niego?

■ Polecenia? ■ Hansen spojrzał na Swansona. ■ Jakiego polecenia?

■ Rozkazów z Waszyngtonu, żeby dać doktorowi Carpenterowi wolną rękę praktycznie we wszystkim.

■ Niech pan będzie rozsądny, Carpenter. Nie lubię działać po omacku i jestem z natury podejrzliwy. Dostał się pan na pokład w wielce niejasnych okolicznościach. Wiedział pan o łodziach podwodnych za dużo, jak na mój gust. Był pan wykrętny jak cholera. Przedstawił pan przygotowaną jak na zamówienie historyjkę o sabotażu. A niech cię, człowieku, jasne, że miałem obiekcje. A pan na moim miejscu by nie miał?

■ Chyba miałbym. Nie wiem. Ja tam przestrzegam poleceń.

■ Aha. Jakie ma pan rozkazy w tym przypadku?

■ Chodzi panu o sedno całej sprawy ■ westchnąłem. ■ Musiało do tego dojść. Teraz powinienem panu wszystko wyjawić i zrozumie pan, dlaczego pańskiemu dowódcy tak zależało, żeby udostępnił mi pan wszelką pomoc.

■ Tym razem mamy panu uwierzyć?

■ Tym razem tak. Historię, którą sprzedałem w Holy Loch, niezupełnie wyssałem z palca, trochę ją tylko ubarwiłem, żeby skłonić pana do zabrania mnie na pokład. Rzeczywiście, mieli tu specjalny aparat, elektroniczne cacko, używany do rejestrowania startu sowieckich rakiet i ich lokalizacji. Urządzenie to trzymano w jednym z baraków, które uległy zniszczeniu, drugim od zachodu w

południowym rzędzie. Dniem i nocą gigantyczny balon-radiosonda na uwięzi sięgał w niebo do wysokości dziesięciu tysięcy metrów, lecz nie miał żadnego radia. Po prostu potężną antenę. Nawiasem mówiąc, to mi podsuwa wyjaśnienie, dlaczego płonące paliwo rozlało się na tak wielkim obszarze: eksplozja wysadziła zbiorniki z wodorem używanym do napełniania balonów. Trzymano je w składzie paliwa.

■ Czy każdy z "Zebry" wiedział o tym urządzeniu?

■ Nie. Większość sądziła, że służy ono do badania promieni kosmicznych. Tylko czterej ludzie wiedzieli, czym to jest naprawdę: mój brat i pozostała trójka, która spała w baraku, gdzie znajdował się ów sprzęt. Teraz barak jest zniszczony. Najbardziej technicznie zaawansowana placówka nasłuchowa wolnego świata. Dziwi się pan, że dowódcy tak zależało?

■ Czterech ludzi? ■ Swanson patrzył na mnie i jeszcze się zastanawiał. ■ Których czterech, doktorze?

■ Musi pan pytać? Czterech spośród siedmiu leżących tutaj, komandorze.

Powiodł spojrzeniem po podłodze, potem gwałtownie odwrócił wzrok. Wreszcie się odezwał:

■ Wspomniał pan, że jeszcze przed rejssem podejrzewał, że coś tu jest grubo nie w porządku. Dlaczego?

■ Mój brat używał supertajnego szyfru. Odbieraliśmy wiadomości bezpośrednio od niego, był doświadczonym radiotelegrafistą. Zawiadomił nas o dwóch kolejnych próbach uszkodzenia monitora. Nie wdawał się w szczegóły. Kiedy indziej zgłosił, że zaatakowano go i nieprzytomnego zostawiono, kiedy o północy poszedł sprawdzić cylindry z wodorem; ktoś spuszczał z nich gaz, a bez anteny radiosondy monitor rejestrujący stałby się bezużyteczny. Miał szczęście, ocknął się po paru minutach, gdyby minęło drugie tyle, zamarzłby na śmierć. W świetle tych faktów spodziewał się pan, że uwierzę w brak związku między pożarem i próbami zepsucia monitora?

■ Ale skąd ktoś mógł wiedzieć, co to takiego? ■ zaoponował Hansen. ■ To znaczy, ktoś prócz pańskiego brata i pozostałej trójki?

Podobnie jak Swanson, spojrzął na podłogę i pospiesznie odwrócił wzrok.

■ Jak dla mnie, to sprawka psychopaty. Szaleńca. Kalkulujący na zimno zbrodniarz byłby... nie zdecydowałby się popełnić zbiorowego morderstwa w ten sposób. A psychopata, owszem.

■ Trzy godziny temu ■ powiedziałem ■ zanim załadował pan torpedę do wyrzutni numer trzy, sprawdził pan dźwignie ręczne i światła ostrzegawcze od kłap dziobowych. W jednym przypadku stwierdził pan, że dźwignie odłączono i zostawiono w pozycji otwartej, w drugim okazało się, iż przewody w puszcze zostały przełączone. Sądzi pan, że to robota psychopaty? Jeszcze jeden wariat?

Nie odpowiedział.

Odezwał się Swanson: ■ Jak mogę panu pomóc, doktorze?

■ Co zechce pan uczynić, komandorze?

■ Nie przekażę panu dowództwa nad "Delfinem" ■ uśmiechnął się, lecz nie było mu do śmiechu. ■ Ale oprócz tego ja wraz z załogą oddajemy się całkowicie do pańskiej dyspozycji. Czego tylko pan zażąda, doktorze. To wszystko.

■ Tym razem wierzy pan w moją historyjkę?

■ Tym razem tak.

Przyjąłem to z zadowoleniem; prawie sam w nią uwierzyłem.

## Rozdział 8

Barak, w którym znaleźliśmy wszystkich ocalałych stłoczonych razem, był niemal pusty. Zastaliśmy tam doktora Bensaona i dwóch ludzi w najcięższym stanie. Barak wydawał się jakby większy i chłodniejszy, był przy tym tak zagracony i nieporządkny, że przypominał pozostałości po dobroczynnej akcji zbierania rupieci dla ubogich. Pomięte ubrania, pościel, wystrzępione i podarte koce, rękawice, talerze, sztuce i różne osobiste drobiazgi porozrzucone po podłodze. Chorzy byli zbyt osłabieni, a przy tym szczęśliwi, że się stamtąd zabiorą, by specjalnie zawracać sobie głowę pakowaniem rozmaitych gratów. Chcieli stąd zabrać przede wszystkim siebie. Nie potępiałem ich.

Poranione i odmrożone twarze dwóch nieprzytomnych mężczyzn były zwrócone w naszą stronę. Albo spali, albo byli w stanie śpiączki. Wolałem nie ryzykować. Wezwałem Bensaona, który wyszedł z nami za róg baraku, gdzie stanęliśmy osłonięci zachodnią ścianą.

Powtórzyłem Bensonowi to samo, co mówiłem dowódcy i Hansenowi. Musiał się dowiedzieć. Jako osoba mająca pozostawać w stałym i bliskim kontakcie z chorymi, powinien wiedzieć. Myślę, że był zaskoczony i wstrząśnięty, lecz nie dał tego poznać po sobie. Lekarz umie panować nad własną twarzą, mając np. pacjenta w stanie krytycznym nie lamentuje przy nim, by go nie niepokoić bez potrzeby. I tak liczba osób z załogi "Delfina", którzy wiedzieli ■ przynajmniej częściowo ■ o jaką stawkę chodzi, wzrosła do trzech. Trzy osoby to aż zanadto. Miałem jednak nadzieję, że nie przesadziłem.

Później głos zabrał Swanson ■ Benson lepiej przyjmie to z jego ust niż z moich.

Swanson zapytał: ■ Gdzie miał pan zamiar umieścić chorych odesłanych na pokład?

■ Tam, gdzie można im zapewnić największą wygodę. W kwaterach oficerów i załogi; rozmieścić ich w całym okręcie, żeby nikomu zbytnio nie przeszkadzali. Rozdzielić ciężar, że tak powiem ■ umilkł na chwilę. ■ Nie miałem pojęcia o ostatnim, hm... rozwoju wypadków, a to zmienia postać rzeczy.

■ Istotnie. Damy połowę do mesy oficerskiej, drugą połowę do mesy załogi... nie, lepiej w kwaterach marynarzy. Dlaczego niby ma im być niewygodnie? Jeśli będą się dziwić, może pan powiedzieć, że

to dla ułatwienia opieki lekarskiej, żeby wszyscy mogli być pod stałą obserwacją, jak pacjenci oddziału kardiologicznego. Niech doktor Jolly pana poprze, on sprawia wrażenie chętnego do współpracy. I nie wątpię, że poprze również pańską kolejną decyzję: mianowicie wszyscy pacjenci zostaną rozebrani, wymyjni i ubrani w czyste piżamy. Jeśli są zbyt osłabieni, by wstać i myć na leżąco. Doktor Carpenter powiedział mi, że zapobieganie infekcji ma kluczowe znaczenie w przypadku poważnych oparzeń.

■ A ich ubrania?

■ Szybciej pan łapie o co chodzi niż ja ■ mruknął Swanson. ■ Wszystkie ubrania należy zabrać i oznakować. Jakby się ktoś pytał, ubrania poddawane są dezynfekcji i idą do prania.

■ Miałbym łatwiejsze zadanie, gdybym wiedział, czego szukamy ■ zaproponował Benson.

Swanson popatrzył na mnie. ■ Bóg jeden wie ■ powiedziałem. ■ Ważne może być wszystko i nic. Jedno jest pewne: nie znajdzie pan broni. Proszę szczególnie starannie oznaczyć rękawiczki; po powrocie do Wielkiej Brytanii eksperci zbadają je pod kątem wykrycia azotanów, pochodzących z użytego pistoletu.

■ Jeśli ktoś wniósł na pokład coś większego niż znaczek pocztowy, ja to znajdę ■ powiedział Benson.

■ Jest pan pewny? ■ spytałem. ■ Nawet jak pan sam to wniesie na pokład?

■ Co pan, u diabła, sugeruje?

■ Powiedziałem tylko, że coś mogło zostać ukryte w pańskiej torbie, nawet w kieszeniach, a pan nie zauważył.

■ Boże drogi ■ gorączkowo wywracał kieszenie. ■ Nie przyszło mi to do głowy.

■ Bo nie jest pan wstrętne podejrzliwy ■ sucho stwierdził Swanson. ■ Niech pan już idzie. Ty też, John.

Oddalili się, a my ze Swansonem weszliśmy do środka. Kiedy tylko upewniłem się, że obaj mężczyźni są naprawdę nieprzytomni, zabraliśmy się do roboty. Minęło chyba wiele lat od chwili, kiedy Swanson ostatni raz sprzątał pokład lub plac apelowy, albo zginał grzbiet czyszcząc i pucując, lecz zabrał się do rzeczy z naturalną wprawą. Był staranny, wytrwały, nic nie uszło jego uwagi. Ani mojej. Oczyszcziliśmy kąt baraku i przenieśliśmy tam każdą najmniejszą rzecz z podłogi lub oblodzonych ścian. O niczym nie zapomnieliśmy. Wszystko zostało przetrząśnięte, wywrócone na drugą stronę albo opróżnione, w zależności od tego, co to za przedmiot. Po piętnastu minutach skończyliśmy. Jeśli w tym pomieszczeniu znajdowało się coś większego od wykałaczki, zostało przez nas podniesione i zbadane. Lecz właściwie niczego nie znaleźliśmy. Porozrzucaliśmy więc wszystko z powrotem po podłodze, aż barak wyglądał mniej więcej tak samo jak przed rozpoczęciem poszukiwań. Gdyby któryś z chorych odzyskał przytomność, wolałem, żeby się nie domyślił, że czegoś szukamy.

■ Trudno nas wziąć za wybitnych detektywów ■ stwierdził Swanson. Sprawiał wrażenie lekko

zawiedzionego.

! Nie możemy znaleźć tego, czego tu nie ma. Nie wiemy nawet czego szukać, a to nie ułatwia sprawy. Spróbujmy teraz z pistoletem. Może być gdziekolwiek, facet mógł go nawet rzucić gdzieś na lód, chociaż wydaje mi się to nieprawdopodobne. Zabójca nigdy nie lubi pozbywać się narzędzia służącego do zabijania, nie mając pewności, czy nie będzie go znów potrzebował. Miejsc do przeszukania nie jest tak znów wiele. Nie zostawił go tutaj, ponieważ z tego baraku stale korzystano. W ten sposób zostaje tylko obserwatorium meteo i pracownia, gdzie leżą nieżywi.

! Mógł schować broń w ruinach któregoś ze spalonych baraków ! zaprotestował Swanson.

! Ależ skąd. Nasz przyjaciel jest tu już od kilku miesięcy i dokładnie zna skutki burzy lodowej. Lodowe igły oblepiają wszystko. Metalowa konstrukcja u podstawy zniszczonych baraków zachowała się i podłogę, a raczej miejsce, gdzie ułożone były drewniane deski, pokrył lód grubości od dziesięciu do piętnastu centymetrów. Mógłby równie dobrze ukryć pistolet w zastygającym betonie.

Zaczęliśmy od baraku meteorologów. Zaglądaliśmy na każdą półkę, do każdego pudła, każdej szafki i już zabieraliśmy się do odrywania ścianek metalowych pojemników zawierających sprzęt meteorologiczny, kiedy Swanson powiedział nagle:

! Mam pomysł. Wrócę za parę minut.

Zrobił coś więcej, niż przyrzekł. Wrócił po niespełna minucie, niosąc w rękach cztery lśniące i mocno pachnące benzyną przedmioty. Broń ! automatyczny luger, rękojeść noża ze złamanym ostrzem i dwa gumowe opakowania zawierające, jak się okazało, zapasowe magazynki do lugera.

Powiedział: ! Zdaje mi się, że tego pan szuka.

! Gdzie pan to znalazł?

! W traktorze. Bak z benzyną.

! Co skłoniło pana, żeby tam zajrzeć?

! Szczęśliwy traf. Zacząłem rozmyślać nad pańską uwagą, że facet, który użył broni, zechce jej użyć ponownie. Ukrytą na mrozie, skułby lód. A nawet gdyby poradził sobie z lodem, musiałby sobie uświadomić, że metal skurczy się i naboje nie będą pasować, albo cały mechanizm, łącznie ze smarem, zamarznie na kość. Tylko dwie rzeczy nie zamarzają na kość w tak niskiej temperaturze: alkohol i benzyna. Nie da się schować pistoletu do butelki z dżinem.

! To zresztą nic by nie pomogło ! powiedziałem. ! Metal się kurczy tak czy owak, benzyna jest tak samo zimna jak powietrze w otoczeniu.

! Może nie wiedział o tym. Albo wiedział, lecz pomyślał, że to dobry schowek, blisko i pod ręką.

Komandor uważnie patrzył, jak wyjmuję z kolby pusty magazynek, oglądam go, wreszcie przemówił

ostro:

■ Chyba zaciera pan nieco ten pistolet.

■ Odciski palców? Brak po zanurzeniu w benzynie. Zresztą pewnie nosił rękawiczki.

■ O cóż więc chodzi?

■ Numer serii, to może być ślad. Możliwe nawet, że morderca miał zezwolenie policji. To się zdarza, proszę mi wierzyć. I musi pan pamiętać, że zabójca nie wiedział o żadnych podejrzeniach z naszej strony ani tym bardziej o poszukiwaniach broni. W każdym razie wygląd noża tłumaczy, dlaczego pistolet. Strzelanina robi hałas i jestem zaskoczony... byłem zaskoczony, że zabójca ryzykował strzał. Mógł obudzić cały obóz. Lecz zmuszony był podjąć ryzyko, bo postradał ważniejszy koniec tego oto majchra. Takie ostrze jest bardzo wąskie, łatwo je złamać, jeśli uderza się na oślep, zwłaszcza gdy duży mróz sprawia, że metal staje się kruchy. Prawdopodobnie trafił pod żebro albo złamał ostrze próbując je wyciągnąć; nóż wchodzi w ciało dość łatwo, lecz może zaczepić o chrząstkę lub kość przy wyciąganiu.

■ Twierdzi pan tym samym, że morderca zabił trzeciego człowieka? ■ ostrożnie spytał Swanson. ■ Tym nożem?

■ Trzeci człowiek to pierwsza ofiara ■ skinąłem twierdząco. ■ Brakująca połowa ostrza tkwi w czyjejs klatce piersiowej. Ale nie będę szukał, to bezcelowe i zajmie zbyt wiele czasu.

■ Jestem skłonny zgodzić się z Hansenem ■ wolno powiedział Swanson. ■ Wiem, że nie ma prostego wytłumaczenia dla sabotażu na okręcie, ale Bóg mi świadkiem, to wygląda na robotę maniaka. Wszystko to... całe to zabijanie bez sensu.

■ Zabijanie tak ■ zgodziłem się. ■ Lecz nie bezsensowne z punktu widzenia zabójcy. Nie, proszę mnie nie pytać, ja nie wiem, czym on się kierował bądź kieruje. Wiem i pan wie, dlaczego wywołał pożar, nie wiemy tylko, dlaczego najpierw zabił tych ludzi.

Swanson potrząsnął głową i powiedział: ■ Wracajmy do tamtego baraku. Zadzwonię po kogoś, żeby czuwał przy ciężko chorych. Nie wiem jak pan, ale ja przemarzęm do szpiku kości. A pan w ogóle nie spał zeszłej nocy.

■ Przez ten czas ja ich popilnuję ■ zaproponowałem. ■ Przez jakąś godzinę. Muszę wszystko gruntownie przemyśleć, od początku.

■ Nie ma pan zbyt wielu danych do wnioskowania.

■ Dlatego będę łamał sobie głowę.

Przyznałem rację Swansonowi, że niewiele mam danych ■ stwierdzenie to miało się z prawdą, gdyż nie miałem żadnych danych, kompletnie. Nie traciłem więc czasu na rozmyślanie. Zamiast tego wziąłem latarnię i udałem się jeszcze raz do laboratorium, gdzie leżeli martwi. Było mi zimno,

czułem się zmęczony i samotny, osaczała mnie ciemność i nie miałem najmniejszej ochoty tam iść. Nikt nie chciałby wchodzić do przybytku potwornej śmierci, każdy przy zdrowych zmysłach omijałby to miejsce jak siedlisko zarazy. I dlatego tam się skierowałem, nie żebym postradał zmysły, ale dlatego, że dobrowolnie nikt by tam nie poszedł; chyba że miałby niezwykle silną motywację, chciałby na przykład zabrać stamtąd ważną rzecz, którą ukrył przekonany, że nikt inny nie zbliży się nigdy do tego miejsca. To brzmi nader zawile, nawet jak dla mnie. Byłem bardzo zmęczony. Zanotowałem w myślach, że po powrocie na okręt muszę wypytać, kto zaproponował przenieść ciała właśnie tutaj.

Na ścianach pracowni wisiały półki i szafki zawierające słoje, butelki, retorty, probówki i inne rupiecie używane przez chemików, lecz nawet nie spojrzałem w tę stronę. Przeszedłem w kąt baraku, gdzie leżały ciała, jedno przy drugim, poświeciłem latarką wzdłuż bocznej ściany i w ciągu paru sekund znalazłem to, czego szukałem ■ deskę podłogową, lekko wybrzuszoną. Na tej desce spoczywały dwa szerniałe, powykrzywiane kształty, będące kiedyś żywymi ludźmi. Odsunąłem je na bok, co nie było szczególnie przyjemne, następnie podniosłem jeden koniec deski.

Wyglądało to tak, jakby ktoś miał zamiar otworzyć sklep. W piętnastocentymetrowej przestrzeni między podłogą i podstawą baraku starannie ułożono dziesiątki puszek: zupa, wołowina, owoce, warzywa ■ świetna, urozmaicona dieta, bogata we wszelkie proteiny i witaminy. Ktoś tu nie zamierzał się głodzić. Był tam nawet prymus i kilka litrów nafty do odmrażania konserw. A z boku ułożone płasko dwa rzędy błyszczących baterii Nife ■ w sumie chyba ze czterdzieści sztuk. Umieściłem deskę z powrotem i wyszedłem z laboratorium, kierując się ponownie do baraku meteorologicznego. Spędziłem tam ponad godzinę, odkręcając plecy metalowych szafek i przeglądając ich zawartość, lecz nie znalazłem niczego. To znaczy nic z tego, co spodziewałem się znaleźć. Natrafiłem za to na bardzo osobliwy przedmiot: małe metalowe pudełko, pomalowane na zielono, o wymiarach piętnaście na dziesięć na pięć centymetrów, z okrągłą gałką stanowiącą jednocześnie wyłącznik i regulator częstotliwości oraz dwoma tarczami, na których nie było cyfr ani żadnych oznaczeń. Z boku skrzynki znajdował się otwór z mosiężną obwódką.

Przekręciłem gałkę i jedna z tarcz zapłonęła zielono ■ magiczne oko regulatora o dużej skali. Druga tarcza nie dała znaku życia. Pokręciłem regulatorem, lecz nic nie pomogło. Zarówno magiczne oko, jak i druga tarcza potrzebowały impulsu, który je obudzi, w rodzaju zaprogramowanego sygnału radiowego. Do otworu z boku pasowała wtyczka każdej standardowej słuchawki. Niewielu ludzi wiedziałoby, co to takiego, ale ja oglądałem raz podobne urządzenie ■ tranzystorowy przyrząd samonaprowadzający, przeznaczony do ustalania kierunku sygnałów radiowych, takich jak wysyłane przez nadajnik "Sarah" umieszczony w amerykańskich statkach kosmicznych, umożliwiający odnalezienie ich po lądowaniu na morzu.

Jakiemu prawomocnemu celowi służyło owo urządzenie w stacji "Zebra"? Opowiadałem Swansonowi i Hansenowi o konsoli do rejestracji sygnałów odpalania rakiet na Syberii i przynajmniej ta część mojej wersji okazała się prawdziwa. Ale takie zadanie wymagałoby ogromnej anteny, sięgającej wysoko w chmury, natomiast owa niewielka zabawka nie obejmowała swym zasięgiem choćby jednej dwudziestej odległości, jaka dzieliła "Zebrę" od Syberii.

Jeszcze raz obejrzałem przenośną radiostację i wyczerpane baterie Nife, które ją zasilaly. Pulpit nadawczy był wciąż podłączony do częstotliwości, na jakiej "Delfin" odebrał przerywane sygnały.



Nie było tu dla mnie niczego ciekawego. Przyjrzałem się bliżej bateriom niklowo-żelazowym i zauważyłem, że połączone są ze sobą, a także z radiostacją, za pomocą izolowanych przewodów, które zaciskają się na końcówkach zębatymi uchwytami: te ostatnie zapewniają doskonałe przewodzenie elektryczne i dużą wygodę w użyciu. Otworzyłem dwa zaciski, zbliżyłem do nich latarkę i dokładnie obejrzałem końcówki. Wgniecenia pozostawione przez ostre stalowe ząbki były niezbyt głębokie, lecz charakterystyczne.

Wróciłem do baraku laboratorium, podniosłem luźną deskę podłogową i poświeciłem latarką na ułożone tam baterie Nife. Przynajmniej połowa z nich miała takie same wgniecenia na końcówkach. Wyglądały na nie używane, a jednak nosiły ślady, choć z całą pewnością w chwili rozpoczęcia prac w Stacji były nowiutkie. Kilka z nich wetknięto tak daleko pod sąsiednie deski, że musiałem długo sięgać ręką, by je wydobyć. Wyjąłem dwie i wydało mi się, że dalej z tyłu znajduje się coś ciemnego, o matowym metalicznym połysku.

Ciemność nie pozwalała ustalić, co to za przedmiot, lecz po wyłamaniu kolejnych dwóch desek mogłem się przyjrzeć bez trudu. Był to cylinder około siedemdziesięciocentymetrowej długości i średnicy piętnastu centymetrów, z mosiężnym zaworem i dokręconym ciśnieniomierzem, wskazującym odczyt "pełny"; tuż za cylindrem znajdowała się płaska paczka o powierzchni około pół metra kwadratowego i grubości dziesięciu centymetrów, oznaczona napisem: "Balony radiosondy". Wodór, akumulatory, balony, peklowana wołowina i zupa jarzynowa na ostro. Niezłe zaopatrzenie w tym sklepiku, nie ma co; dobór asortymentu nie mógł być dziełem przypadku.

Kiedy wszedłem do głównego baraku, obaj pacjenci jeszcze oddychali. To samo dałoby się powiedzieć o mnie: dygotałem bowiem z zimna i nawet szczękałem zębami, nie mogąc opanować drżenia. Odtajałem na tyle przy jednym z dużych grzejników elektrycznych, że byłem już tylko na wpół zamrożony, wziąłem latarnię i wyszedłem znowu wprost w ciemność, mróz i wichurę. Postępowałem jak masochista, to pewne. W ciągu dwudziestu minut dwunastokrotnie obszedłem dokoła cały obóz, za każdym razem oddalając się o parę metrów. W sumie zrobiłem chyba ze dwa kilometry i tyle z tego miałem: nachodziłem się i czułem lekkie odmrożenia wysoko na policzkach, gdyż prócz oczu tylko ta część mojej twarzy wystawiona była na działanie siarczystego mrozu. Wiedziałem, że mam odmrożenia, bo skóra nagle przestała reagować na zimno, znieczulona także na dotyk. Uznałem, że co za dużo, to niezdrowo, miałem przy tym przecucie, iż marnuję czas. Skierowałem się z powrotem do obozu.

Przechodziłem akurat pomiędzy barakiem meteorologicznym i laboratorium, na wysokości wschodniej ściany głównego baraku, kiedy wyczułem raczej niż zobaczyłem kątem oka coś dziwnego. Skierowałem latarkę na wschodnią ścianę i przyjrzałem się z bliska lodowej powłoce, która gromadziła się tam przez kolejne dni lodowej burzy. Większość oblepiającej ścianę lodu była jednolicie szarobiała, gładka i lśniąca, ale tu i ówdzie upstrzyły ją dziesiątki czarnych plam o różnych kształtach i rozmiarach, żadna nie większa od sporej monety. Próbowałem ich dotknąć, lecz tkwiły głęboko wtopione w lśniący, przejrzysty lód. Poszedłem obejrzeć wschodnią ścianę baraku meteo, ale nie zastałem tam ani śladu czarnych plam. Podobnie jak na ścianie laboratorium.

Po krótkich poszukiwaniach w baraku meteorologicznym wróciłem z młotkiem i śrubokrętem. Odłupałem kawał lodu z plamami, zabrałem do głównego baraku i położyłem na podłodze obok grzejnika. Dziesięć minut później miałem przed sobą niewielką kałużę, w której pływały nasiąknięte

płatki spalonego papieru. Doprawdy dziwne. Znaczy to, że mnóstwo kawałków spalonego papieru przyłgnęło do wschodniej ściany baraku. I tylko tam, nigdzie indziej. Wytlumaczenie tego zjawiska mogło być, rzecz jasna, całkiem niewinne, ale niekoniecznie.

Jeszcze raz obejrzałem nieprzytomnych. Było im dostatecznie ciepło i wygodnie, jednak niczego więcej nie mogłem o nich powiedzieć. Nie sądziłem, żeby nadawali się do transportu w ciągu najbliższych dwudziestu czterech godzin. Podniosłem słuchawkę telefonu prosząc, by ktoś mnie zwolnił i kiedy przyszło dwóch marynarzy, udałem się w drogę powrotną na "Delfina".

Tego popołudnia atmosfera na okręcie była raczej niezwykła; cicho, nudno i nastrój niemal pogrzebowy. Trudno się dziwić, dla marynarzy "Delfina" załoga stacji "Zebra" to były dotąd cyfry, nawet nie nazwiska, po prostu jacyś nieznajomi. A teraz na pokładzie znalazły się poparzone, wymizerowane niedobitki z odmrożeniami, ludzie chorzy i cierpiący, każdy z nich to osobna historia, i widok tych wyniszczonych mężczyzn, wciąż nie mogących przeboleć śmierci ośmiu kolegów, uświadomił nagle wszystkim marynarzom okrętu cały horror wydarzeń, jakie miały miejsce w stacji "Zebra". Poza tym nie minęło jeszcze osiem godzin od chwili, kiedy zginął ich własny oficer torpedowy, porucznik Mills. Teraz, mimo pomyślnego zakończenia misji, niewiele było powodów do radości. Na dole, w mesie dla załogi, milczały głośniki hi-fi i szafa grająca. Okręt przypominał grobowiec.

Zastałem Hansena w kabinie. Siedział na brzegu wygodnej koi, wciąż w futrzanych spodniach, z twarzą zaciętą, ponurą i zimną. W ciszy obserwował, jak zdejmuję kurtkę, odpinam pustą kaburę na piersi, wieszam ją na ścianie i chowam tam pistolet wyciągnięty ze spodni karibu.

Nagle się odezwał:

■ Ja bym ich nie zdejmował, doktorze. To znaczy, jeśli chce pan się z nami zabrać.

Popatrzył na własne futra z grymasem na twarzy.

■ Trudno nazwać to strojem galowym na pogrzeb.

■ To znaczy...

■ Szef jest u siebie. Szykuje się do uroczystości. George Mills i ten pomocnik telegrafisty, Grant zdaje się, który dziś umarł. Podwójny pogrzeb. Pod lodem. Jest tam już paru ludzi, wyrąbują dół łomami i młotami, u stóp garbu.

■ Nikogo nie widziałem.

■ Z lewej burty. Od zachodu.

■ Myślałem, że Swanson zabierze młodego Millsa do Stanów. Czy do Szkocji.

■ Za daleko. Jest w tym pewien wydźwięk psychologiczny. Niełatwo osłabić morale tej gromady, co z nami płynie, ani tym bardziej je zniweczyć. Jednak przewożenie ze sobą umarłaka przynosi

nieszczęście. Przyszło pozwolenie z Waszyngtonu... █ urwał niepewnie, w milczeniu popatrzył na mnie i odwrócił wzrok.

Nie potrzebowałem zdolności telepatycznych, by wiedzieć, co mu chodzi po głowie.

█ Siedmiu ludzi z "Zebry"? █ pokręciłem głową. █ Nie, dla nich nie będzie pogrzebu. Skąd panu to przyszło do głowy? Oddam im cześć w inny sposób.

Jego wzrok zatrzymał się na mannlicher-schoenauerze wiszącym w kaburze i powędrował dalej. Cichym, lecz zawziętym tonem powiedział:

█ Morderca jest na pokładzie, Carpenter. Tutaj. Na naszym okręcie.

Uderzył pięścią w otwartą dłoń drugiej ręki.

█ Nie domyśla się pan, kto za tym stoi, doktorze? Kto za to odpowiada?

█ Gdybym wiedział, nie sterczałbym tutaj. A pan może wie, jak Benson poradził sobie z chorymi i rannymi?

█ Właśnie skończył. Przed chwilą go widziałem.

Kiwnąłem głową, sięgnąłem po pistolet, by wetknąć go w spodnie.

Hansen cicho spytał: █ Nawet tu, na pokładzie?

█ Zwłaszcza na pokładzie.

Zostawiłem go i poszedłem do gabinetu lekarskiego. Benson siedział przy biurku, tyłem do swojej galerii sztuki komiksowej i wpisywał coś do zeszytu. Gdy zamykałem drzwi, podniósł wzrok.

█ Znalazł pan coś? █ spytałem.

█ Nic, co mógłbym uznać za interesujące. Większość rzeczy segregował Hansen. Może pan coś znajdzie.

Wskazał starannie ułożone sterty ubrań na podłodze, parę skórzanych teczek i kilka plastikowych toreb, każda oznaczona.

█ Niech pan sam zobaczy. Jak tamci dwaj, co zostali?

█ Trzymają się. Myślę, że wydobrzeją, ale jeszcze za wcześnie na wyrokowanie.

Kucnąłem i dokładnie przeszukałem wszystkie kieszenie, zgodnie z oczekiwaniami niczego nie znajdując. Hansenowi nie zdarzały się przeoczenia. Obmacałem każdy centymetr podszewki, z takim samym skutkiem. Przejrzałem teczki i torby, drobne części garderoby i przedmioty osobiste: maszynki do golenia, listy, zdjęcia, dwa czy trzy aparaty fotograficzne. Otwierałem je i wszystkie okazały się

puste. Zapytałem Bensaona:

■ Czy doktor Jolly przyniósł torbę lekarską ze sobą?

■ Nie ufa pan nawet kolegom po fachu, co?

■ Nie. ■ Ja też nie ■ uśmiechnął się, lecz wzrok miał nadal poważny. ■ Wywiera pan zły wpływ. Przejrzałem całą zawartość. I nic. Zmierzyłem nawet grubość dna. Bez rezultatów.

■ Dla mnie wystarczy. Jak tam pacjenci?

■ Jest ich dziewięciu ■ rzekł Benson. ■ Poczucie, że są bezpieczni, dało im więcej niż najlepsze lekarstwo, efekt psychologiczny.

Spojrzał na karty ułożone na biurku.

■ Najgorzej jest z kapitanem Folsomem. Nie ma obaw, rzecz jasna, ale oparzenia twarzy są bardzo poważne. Załatwiliśmy przyjazd chirurga plastycznego do Glasgow, będzie tam czekał na nasz powrót. Bliźniacy Harringtonowie, ze służby meteo, są nieco lżej poparzeni, ale wycieńczeni z głodu i zimna. Posiłki i odpoczynek w cieple za parę dni postawią ich na nogi. Hassard, jeszcze jeden meteorolog i Jeremy, technik laboratoryjny, mają umiarkowane poparzenia i odmrożenia, poza tym są w najlepszej kondycji ze wszystkich. To przedziwne, jak różnie ludzie reagują na głód i zimno. Pozostała czwórka: Kinnaird ■ starszy radiotelegrafista, doktor Jolly, Naseby ■ kucharz, Hewson ■ traktorzysta i technik obsługi generatora, to bardzo podobne przypadki ■ najbardziej ze wszystkich cierpią z powodu odmrożeń, zwłaszcza Kinnaird; wszyscy z umiarkowanymi poparzeniami, są oczywiście osłabieni, lecz wracają do zdrowia. Tylko Folsoma i Harringtonów uznaliśmy za pacjentów, którzy powinni leżeć. Pozostałym wydaliśmy jakieś ciuchy. Wszyscy, rzecz jasna, leżą, ale nie poleżą długo. Są młodzi, silni, w zasadzie bardzo odporni; nie zabiera się w końcu dzieci i starców w takie miejsca jak "Zebra". Rozległo się pukanie do drzwi i zobaczyliśmy głowę Swansona.

Powiedział do mnie: ■ Witam na pokładzie ■ i zwrócił się do Bensaona: ■ Mały kłopot z dyscypliną chorych, doktorze.

Odsunął się, byśmy mogli zobaczyć za jego plecami Naseby'ego, kucharza z "Zebry", ubranego w mundur podoficera floty amerykańskiej.

■ Zdaje się, że pańscy pacjenci słyszeli o pogrzebie. Chcą być obecni; to znaczy ci, którzy mogą chodzić, pragną pożegnać kolegów. Ja to rozumiem i współczuję, ale przy ich stanie zdrowia...

■ Ja bym nie radził ■ rzekł Benson. ■ Zdecydowanie nie.

■ Możesz pan sobie radzić, co chcesz, bracie ■ dobiegł głos zza pleców Naseby'ego.

To był Kinnaird, radiotelegrafista, też ubrany na granatowo.

■ Bez obrazy. Nie chcę być chamski ani niewdzięczny. Ale idę i już. Jimmy Grant to był mój kumpel.

─ Wiem, co pan czuje ─ powiedział Benson. ─ Ale ja też mam pewne odczucia co do waszego stanu. Nie nadajecie się do niczego oprócz leżenia. Utrudniacie moje zadanie.

─ Jestem kapitanem tego okrętu ─ łagodnie wtrącił Swanson. ─ Mógłbym wam zabronić, wie pan. Powiedzieć "nie" i koniec.

─ Pan z kolei nam utrudnia sprawę ─ powiedział Kinnaird. ─ Nie wpłynie to najlepiej na przyjaźń angielsko-amerykańską, jeśli skoczmy do oczu naszym wybawcom w godzinę czy dwie po tym, jak oszczędzili nam pewnej śmierci ─ uśmiechnął się słabo. ─ Poza tym szarpanina rozjątrzy nasze rany.

Swanson spojrzał na mnie znacząco spod oka.

─ Cóż, to pańscy ziomkowie.

─ Doktor Benson ma całkowitą rację ─ stwierdziłem. ─ Ale nie warto wywoływać wojny domowej. Skoro oni przeżyli pięć czy sześć dni wśród tych diabelnych lodów, moim zdaniem dodatkowe parę minut na mrozie nie wykończy ich tak łatwo.

─ Jeśli pan się myli ─ z naciskiem odrzekł Swanson ─ będzie ich pan miał na sumieniu.

Jeśli kiedyś w to wątpiłem, to teraz, po dziesięciu minutach na zewnątrz, nabrałem pewności. Na Arktyce trudno grzebać umarłych, choć właściwie zakład pogrzebowy mógłby mieć przy tych warunkach powodzenie. Po opuszczeniu ciepłego wnętrza "Delfina" mróz wydawał się wprost nieznośny i po kilku minutach wszyscy dygotaliśmy bez opamiętania. Panowała prawie nieprzenikniona ciemność, jak to bywa wśród lodów, na noc zaś wiatr znów się podniósł i sypał drobinami śniegu. Pojedynczy reflektor podkreślał jedynie niesamowitą scenerię: zbита gromadka żałobników z pochylonymi głowami, dwa bezkształtne, owinięte w brezent toboły leżą u stóp lodowego wzniesienia, komandor Swanson pochyla się nad Biblią, a wiatr i śnieżycyca porywają ledwo słyszalne, niewyraźne słowa z jego warg, wypowiedane w pośpiechu nad grobem. Ledwie docierało do mnie jedno słowo na dziesięć. Aż nareszcie było po wszystkim, żadnych salw honorowych, które nic nie znaczą, ani bezsensownego dęcia w trąby, po prostu pożegnanie, potem cisza i ciemne sylwetki potykających się ludzi, którzy pośpiesznie sypali kawałki lodu na pokryte brezentem ciała. Po dwudziestu czterech godzinach lodowy pył i śnieg uwięzi je na zawsze w mroźnym grobowcu, gdzie już pozostaną, by krążyć bez końca wokół bieguna północnego i może któregoś dnia, za jakieś tysiąc lat, rozewrze się pokrywa lodowa i w bezduszną otchłań Morza Arktycznego wrzuci ciała tak dobrze zachowane, jak gdyby ludzie ci umarli przed chwilą. Makabryczna myśl.

Ze spuszczonej głowami, w śniegu i lodowej zamieci, pospieszyliśmy, by znów schronić się na "Delfinie". Do szczytu kiosku było ponad sześć metrów, po niemal pionowo nachylonej tafli, którą okręt uniósł i odsunął na bok podczas swej drogi na powierzchnię. Ze szczytu zwisały liny, ułatwiając wchodzenie po lodzie. W takich warunkach ─ przy śliskim zboczu, zamarzniętych i oblodzonych linach, oślepiającym działaniu śnieżno-lodowej wichury ─ o wypadek nietrudno. I wypadek się zdarzył.

Wspiąłem się może na dwa metry, pomagając cały czas Jeremy'emu, technikowi z laboratorium, gdyż poparzone ręce uniemożliwiały mu samodzielną wspinaczkę, kiedy usłyszałem nad sobą zduszony krzyk. Spojrzałem w górę i zdawało mi się, że w ciemności widzę niewyraźnie, jak ktoś przechyla się poza krawędź kiosku walcząc o utrzymanie równowagi, gwałtownie przyciągnąłem więc Jeremy'ego do siebie, żeby go uchronić przed zepchnięciem w dół, i wtedy ten ktoś stracił resztki oparcia, poleciał w tył i spadł obok nas, wprost na lód u podnóża. Wzdrygnąłem się na odgłos upadku, właściwie dwa odgłosy: ciężkie, głuche tąpnięcie i zaraz po nim głośniejszy, bardziej wyraźny stuk. Najpierw tułów, potem głowa. Na wpół uroiłem sobie, że słyszę jeszcze jeden, późniejszy dźwięk, lecz nie miałem pewności. Oddałem Jeremy'ego komuś pod opiekę i zjechałem po oblodzonej linii, nie obiecując sobie wiele po tym, co zobaczę. Siłę upadku można było porównać do uderzenia o betonową posadzkę z sześciu metrów.

Hansen dotarł tam przede mną i oświetlał latarką nie jedną leżącą postać, tak jak się spodziewałem, lecz dwie. Benson i Jolly, obaj nieprzytomni.

Zapytałem Hansena: ■ Widział pan, co się właściwie stało?

■ Nie. To działo się zbyt szybko. Wiem tylko, że spadł Benson, a Jolly zamortyzował upadek. Jolly znajdował się przy mnie na parę sekund przed wypadkiem.

■ Jeśli tak było, Jolly pewnie uratował życie waszemu doktorowi. Musimy załadować ich na nosze i wnieść na górę, a potem do środka. Nie możemy ich tutaj zostawić.

■ Nosze? No dobrze, skoro pan tak uważa. Ale oni mogą dojść do siebie lada moment.

■ Jeden z nich, zgoda. Lecz drugi nieprędko odzyska przytomność. Słyszał pan odgłos uderzenia głową o lód, jakby ktoś zarobił w łeb sztachetą. A nie wiem jeszcze, który z nich.

Hansen poszedł. Schyliłem się nad Bensonem i rozluźniłem kaptur wełnianego palta, które miał na sobie. Sztacheta stanowiła trafne porównanie. Z boku głowy, dwa centymetry nad prawym uchem, widniała paskudna, krwawa rana, siedmiocentymetrowe głębokie rozcięcie, ciemniejące od krwi, która szybko krzepła na silnym mrozie. Cztery ■ pięć centymetrów do przodu i byłby z niego trup; cienka kość skroniowa zostałaaby strzaskana uderzeniem o takiej sile. W trosce o Bensaona miałem nadzieję, że ma czaszkę dość solidną. Bez wątpienia to było źródło odgłosu, który dotarł do mnie jako drugi z kolei.

Oddech Bensaona był bardzo płytki, ruchy klatki piersiowej ledwo wyczuwalne. Z kolei Jolly oddychał dość głęboko i regularnie. Zdjąłem kaptur jego puchowej kurtki, delikatnie obmacałem głowę i napotkałem lekką opuchliznę potylicy, prawie przy czubku głowy, z lewej strony. Nasuwał się oczywisty wniosek. Nie poniosła mnie wyobraźnia, kiedy myślałem, że słyszę jeszcze jeden dźwięk po głośnym stuknięciu głowy Bensaona o lód. Jolly musiał stać Bensonowi na drodze, nie całkiem pod nim, co złagodziło częściowo upadek, ale wystarczająco blisko, żeby powaliło go do tyłu i nabiło guza.

Dziesięć minut zajęło ułożenie ich na noszach, wniesienie do środka i umieszczenie na rozkładanych łózkach w izbie chorych. Podczas gdy Swanson z niecierpliwością czekał, zająłem się najpierw

Bensonem, chociaż niewiele mogłem poradzić, i właśnie brałem się za Jolly'ego, kiedy ten zamrugał powiekami i powoli odzyskał przytomność pojękując cicho i trzymając się za tył głowy. Zdołał usiąść na łóżku, lecz powstrzymałem go.

■ Chryste Panie, moja głowa.

Kilkakrotnie zaciskał powieki, po czym otwierał oczy szeroko, wodząc nimi po przegrodzie wyklejonej przez Bensaona szaleńczo kolorowymi portretami z kreskówki, potem spojrzał w bok, jakby nie mógł uwierzyć.

■ A niech mnie, ale przerwa w życiorysie. Kto mi to zrobił, stary druhu?

■ Zrobił co? ■ spytał Swanson.

■ Przyłożył mi w czerep. Kto? Hm?

■ Chce pan powiedzieć, że nie pamięta?

■ Pamięta? ■ z irytacją powtórzył Jolly. ■ Jak, u diabła miałbym... ■ urwał, gdy wzrok jego padł na Bensaona leżącego obok: okutana kocami postać, której widać było jedynie tył głowy przesłonięty grubym opatrunkiem.

■ Oczywiście, oczywiście. Tak, z całą pewnością. On na mnie upadł, prawda? ■ Owszem, tak ■ powiedziałem. ■ Czy pan próbował go złapać?

■ Złapać? Nie, nie próbowałem go łapać. Ani też nie uciekałem z drogi. Wszystko odbyło się w ciągu pół sekundy. Po prostu nie pamiętam.

Zajęczał znowu, potem spojrzał na Bensaona.

■ Paskudnie się wykopyrtnął, co? Szkoda gadać.

■ Na to wygląda. Przeżył poważny wstrząs. Jest tu rentgen i wkrótce przyjrzę się jego głowie. Pan też niezgorzej oberwał, Jolly.

■ Wyliżę się ■ mruknął, odepchnął swoją dłoń i usiadł. ■ Mogę panu jakoś pomóc?

■ Nie może pan ■ cicho powiedział Swanson. ■ Wczesna kolacja i pełne dwanaście godzin snu dla pana i pozostałej ósemki, doktorze, to zarządzenie mojego lekarza. Kolacja już na stole, w mesie oficerskiej.

■ Tak jest, panie komandorze! ■ Jolly uśmiechnął się z wysiłkiem i zataczając się stanął na nogi. ■ To mi się podoba, zwłaszcza dwanaście godzin brzmi pięknie.

Po minucie lub dwóch, kiedy już pewniej trzymał się na nogach ■ wyszedł.

Swanson zapytał: ■ Co teraz?

■ Czy mógłby pan wypytać, kto szedł koło Bensaona gdy ten pośliznął się wchodząc na mostek? Tylko dyskretnie. Nie zaszkodzi, jeśli pan jednocześnie da do zrozumienia, że Benson właśnie oprzytomniał.

■ Co pan chce zasugerować? ■ wolno spytał Swanson.

■ Upadł sam, czy ktoś mu pomógł? To chcę zasugerować.

■ Upadł sam czy... ■ urwał, potem ostrożnie podjął temat: ■ Dlaczego ktoś miałby zepchnąć doktora Bensaona?

■ Dlaczego ktoś miałby zabijać siedmiu... już teraz ośmiu ludzi ze stacji "Zebra"?

■ Ma pan rację.

Wyszedł. Prześwietlenia nie były moją specjalnością, lecz najwyraźniej i doktor Benson nie uważał tego za swoją specjalność, skoro sporządził szczegółową instrukcję, jak wykonywać, a następnie wywoływać zdjęcia rentgenowskie. Zastanawiałem się, co by czuł, gdyby wiedział, że z efektów swej drobiazgowej skrupulatności sam pierwszy skorzysta. Dwa gotowe negatywy, z którymi się oporałem, nie zrobiłyby furory w Królewskim Towarzystwie Fotograficznym, lecz mnie wystarczały.

Niebawem wrócił komandor Swanson i zamknął za sobą drzwi.

■ Stawiam dziesięć do jednego, że przychodzi pan z niczym.

■ No to nie umrze pan w nędzy ■ pokiwał głową. ■ Nie wiadomo, co o tym sądzić. Tak mówi szef torpedystów, Patterson; wie pan, jaki on jest.

Wiedziałem, jaki on jest. Patterson odpowiadał za dyscyplinę i organizację wśród marynarzy, a Swanson mi kiedyś mówił, że właśnie Pattersona, nie siebie, uważa za najbardziej niezastąpioną osobę na okręcie.

■ Patterson znalazł się na mostku bezpośrednio przed Bensonem ■ powiedział Swanson. ■ Twierdzi, że słyszał krzyk Bensaona i odwrócił się akurat, żeby zobaczyć, jak Benson wywraca się w tył. Wówczas nie rozpoznał, kto to taki, było zbyt ciemno i szalała śnieżycą. Wydawało mu się, że Benson jest już jedną ręką i nogą na mostku w momencie, gdy poleciał do tyłu.

■ Dziwna pozycja jak na upadek w tył ■ zauważyłem. ■ Większa część jego ciężaru była już na pokładzie. A nawet jeśli przechylił się do tyłu, miałby z pewnością mnóstwo czasu, by chwycić krawędź luku obiema rękami.

■ Może naprawdę się pośliznął ■ rozważał Swanson. ■ Proszę nie zapominać, że krawędź luku była tak samo oblodzona jak wszystko. ■ Gdy tylko Benson znikł z pola widzenia, Patterson rzucił się do brzegu mostka, żeby zobaczyć, co się z nim stało?

■ Tak właśnie zrobił ■ ze znużeniem odrzekł Swanson. ■ I mówi, że nie było nikogo w odległości trzech metrów od szczytu w momencie upadku Bensaona.



■ A kto w takim razie był o trzy metry od mostka?

■ Nie zdołał rozpoznać. Niech pan nie zapomina o tym, jaka ciemność panowała wokół i Patterson w chwili wejścia na jasno oświetlony mostek utracił zdolność widzenia w ciemności. Poza tym on nie zwlekał, tylko pobiegł po nosze, jeszcze zanim pan z Hansenem dotarliście do Bersona. Pattersonowi nie trzeba mówić, co ma robić.

■ W takim razie ślepa uliczka?

■ Najwyraźniej.

Kiwnąłem głową, przeszedłem do szafki i wyjąłem dwa zdjęcia rentgenowskie, jeszcze wilgotne, w metalowych ramkach. Ustawiłem je pod światło, żeby Swanson mógł spojrzeć.

■ Berson? ■ spytał i gdy przytaknąłem, obejrzał je dokładnie, mówiąc wreszcie:

■ Ta kreska tutaj, to pęknięcie?

■ Pęknięcie. I to, jak pan widzi, raczej poważne. On naprawdę nieźle rąbnął.

■ Jakie rokowania? Kiedy odzyska przytomność? Bo jest przecież nieprzytomny, prawda?

■ Owszem. Kiedy? Gdybym był świeżo upieczonym absolwentem akademii medycznej, dałbym panu precyzyjną odpowiedź. Gdybym był wybitnym neurologiem, przewidziałbym czas od pół godziny do roku ■ dwóch, ponieważ ludzie serio znający się na rzeczy wiedzą aż za dobrze, iż mózg pozostaje dla nas zagadką. Nie jestem jednak ani tym, ani tym, powiem więcej: dwa do trzech dni, lecz moja ocena może okazać się beznadziejną omyłką. Mogło wystąpić krwawienie wewnątrzmożgowe. Nie wiem. Nie sądzę. Ciśnienie krwi, oddech i temperatura nie wskazują na obecność uszkodzeń organicznych. Teraz wie pan tyle, co ja.

■ Pańscy koledzy po fachu nie byliby zachwyceni ■ Swanson uśmiechnął się lekko. ■ To radosne przyznanie się do własnej ignorancji nie przydaje splendoru pańskiej profesji. A jak tam inni pańscy pacjenci, tych dwóch ludzi pozostawionych w "Zebrze"?

■ Zbadam ich po kolacji. Może wydobrzeją na tyle, by jutro ich tu przenieść. W każdym razie chciałbym prosić pana o przysługę. Czy mógłby pan wypożyczyć mi swego torpedystę, Rawlingsa? I nie miałby pan nic przeciwko dopuszczeniu go do naszej tajemnicy?

■ Rawlingsa? Nie wiem, po co pan go potrzebuje, ale dlaczego Rawlings? Oficerowie i podoficerowie tego okrętu to śmietanka floty Stanów Zjednoczonych. Dlaczego nie któryś z nich? Poza tym niezbyt podoba mi się pomysł zdradzania szeregowym tajemnic niedostępnych dla moich oficerów.

■ Owe tajemnice nie dotyczą floty. Sprawa hierarchii służbowej jest tu bez znaczenia. Chcę właśnie Rawlingsa. Błyskawicznie kojarzy, ma szybki refleks, przy tym kamienną twarz, nie zdradza krztyny emocji, co w takiej rozgrywce jak ta jest wprost bezcenne. W przypadku zaś, mam nadzieję mało prawdopodobnym, kiedy zabójca nabierze podejrzeń, że depczemy mu po piętach, nie będzie

spodziewał się jakiegokolwiek zagrożenia ze strony prostego marynarza, mając pewność, że nie zdradzilibyśmy się przed nim.

■ Po co jest on panu potrzebny?

■ Żeby trzymał w nocy wartę przy Bensonie.

■ Przy Bensonie? ■ Leciutkie zmrúzenie powiek, równie dobrze prawdziwe, jak złudne, stanowiło jedyną zmianę wyrazu niewzruszonej twarzy Swansona.

■ Więc nie sądzi pan, że to był wypadek, prawda?

■ Słowo honoru, nie wiem. Lecz jestem w tym podobny do pana, kiedy przeprowadza pan setkę różnych sprawdzianów przed wyprowadzeniem okrętu w morze wiedząc, że większość z nich jest całkowicie zbędna; nie pozostawiam niczego przypadkowi. Jeżeli to nie był wypadek, wówczas ktoś może zechce dokończyć dzieła.

■ Ale w jaki sposób Benson mógłby stanowić zagrożenie dla mordercy ■ upierał się Swanson. ■ Założę się, o co pan chce, Carpenter, że Benson nie wie, czy też nie wiedział, o niczym naprowadzającym na czyjkolwiek ślad. Gdyby wiedział, poinformowałby mnie natychmiast. Taki już jest.

■ Mógł zobaczyć albo usłyszeć coś, czego wówczas nie skojarzył. Być może zabójca obawia się, że jeśli Benson będzie miał czas się zastanowić, coś mu zaświta. A może to wszystko jest grą mojej przeciążonej wyobraźni i on po prostu upadł. Ale chciałbym mimo to prosić o Rawlingsa.

■ Przyślę go. ■ Swanson wstał i uśmiechnął się. ■ Nie chcę słyszeć, jak pan znowu cytuje mi rozkazy z Waszyngtonu.

Dwie minuty później przybył Rawlings. Ubrany był w jasnobrązową koszulkę i spodnie robocze na szelkach ■ z pewnością umyślił sobie, że tak wygląda dobrze ubrany marynarz łodzi podwodnej ■ i po raz pierwszy od zawarcia znajomości nie uśmiechnął się do mnie przy powitaniu. Nawet nie spojrział na leżącego Bensa. Twarz miał nieruchomą i spokojną, bez żadnego wyrazu.

■ Pan mnie wzywał? ■ okazał mi bezosobowy szacunek. ■ Siadaj, Rawlings.

Usiadł, a kiedy się pochylał, zauważyłem, że coś ciężkiego wypycha mu wielką kieszeń z boku nogawki roboczych spodni. Kiwając głową odezwałem się:

■ Co tam mamy? Szykowne ubranko nie układa się przez to jak należy.

Nie uśmiechał się.

Powiedział: ■ Zawsze noszę ze sobą narzędzia. Po to są kieszenie.

■ Obejrzyjmy to narzędzie ■ zaproponowałem.

Chwilę się wahał, po czym wzruszył ramionami i nie bez trudności wyciągnął z kieszeni stalowy, ciężki, lśniący, masywnie zakończony klucz do rur. Zważyłem go w dłoni.

▮ Zadziwiasz mnie, Rawlings ▮ oświadczyłem. ▮ Myślisz, że z czego zrobiona jest przeciętna ludzka czaszka, z betonu? Klepniesz tym kogoś i masz wyrok za morderstwo z premedytacją.

Sięgnąłem po rolkę bandaża. ▮ Owiniesz dziesięć metrów tego wokół końca i automatycznie zredukujesz sobie zarzut do sprawy o napad i pobicie.

▮ Nie wiem, o czym pan mówi ▮ odparł mechanicznie.

▮ Mówię o tym, że kiedy komandor Swanson, porucznik Hansen i ja odbywaliśmy dziś po południu rozmowę w laboratorium, ty zaś i Murphy staliście pod drzwiami, musiałeś nastawić nieco ucha i usłyszałeś więcej, niż powinieneś. Wiesz, że coś jest nie tak i, chociaż nie masz pojęcia, o co może chodzić, wyznajesz zasadę: "bądź gotów na wszystko". Mam rację?

▮ Ma pan rację.

▮ Murphy wie?

▮ Nie.

▮ Jestem oficerem marynarki, służę w wywiadzie. Waszyngton ma moje dane. Chcesz, żeby dowódca za mnie poręczył?

▮ No... nie. ▮ Coś niby cień uśmiechu. ▮ Słyszałem, jak pan wyciąga broń na szefa, a jednak ciągle jest pan na wolności. Musi pan być czysty.

▮ Podśluchałeś, że grozę bronią komandorowi i porucznikowi. Następnie cię odesłali. Nic później nie słyszałeś?

▮ Nie.

▮ Zamordowano trzech ludzi w "Zebrze". Dwóch zastrzelonych, jeden załatwiony nożem. Ich ciała spalono dla zatarcia śladów. W pożarze zginęło jeszcze czterech. Morderca znajduje się na pokładzie okrętu.

Rawlings milczał. Oczy miał rozszerzone, twarz bladą, wstrząśniętą. Opowiedziałem mu wszystko, o czym mówiłem Swansonowi i Hansenowi, kładąc nacisk na konieczność dotrzymania tajemnicy. Zakończyłem następująco:

▮ Leżący tu doktor Benson jest poważnie ranny. Być może przeprowadzono zamach na jego życie, Bóg jeden wie z jakich przyczyn, ale jeśli tak, to zamach nie udał się, przynajmniej dotychczas.

Rawlings był znów opanowany. Odezwał się głosem tak samo obojętnym jak jego twarz:

▮ Nasz przyjaciel może tu złożyć wizytę?

! Owszem. Nie wejdzie tu nikt z załogi, prócz dowódcy, Hansena bądź mnie. Każdego innego... możesz przesłuchać... jak odzyska przytomność.

! Radził pan dziesięć metrów bandaża, doktorze?

! Powinno wystarczyć. I na Boga, niezbyt mocno. Koło ucha, powyżej lub z tyłu. Możesz usiąść tu, za kotarą, będziesz niewidoczny.

! Sam w taką noc ! mruknął Rawlings. Odpakował bandaż i zaczął owijać nim główkę klucza, zerkając na komiksowo ozdobioną przegrodę. ! Nawet towarzystwo misia Yogi mnie nie zadowala. Mam nadzieję, że jeszcze ktoś wpadnie.

Zostawiłem go. Trochę żałowałem tego kogoś, kto tam zapuka, choćby to był morderca. Poza tym czułem się zabezpieczony przed wszelkimi ewentualnościami. A jednak zostawiając Rawlingsa na straży przy Bensonie popełniłem mały błąd. Kazałem mu pilnować nie tego człowieka, co trzeba.

Drugi wypadek tego dnia zdarzył się tak szybko, łatwo i nieuchronnie, że mógłby uchodzić za nieszczęśliwy wypadek.

Tego wieczoru przy kolacji oznajmiłem, że jeśli komandor Swanson zezwoli, to rano, od dziewiątej, będę operował. Wskutek nieumyślnego zaniedbania większość oparzeń ropyje, co wymaga stałej dezynfekcji i zmian opatrunków. Należy też prześwietlić złamaną kostkę Zabrinzky'ego. Nadmieniałem, że wyczerpuje się zapas leków w izbie chorych, a nie wiem, gdzie Benson trzyma zapasy. Odpowiedzią Swansona było polecenie dla stewarda Henry'ego, aby mi wszystko pokazał.

Tej samej nocy, kiedy koło dziesiątej wróciłem po przebadaniu ciężko chorych w Stacji, Henry poprowadził mnie przez opustoszałą sterownię, potem w dół po trapie wiodącym do ośrodka nawigacji inercyjnej i sąsiadującego z nim centrum elektroniki. Otworzył masywną kłamrę zabezpieczającą stalowy kwadrat klapy wjazdu znajdującego się w kącie u elektroników i przy mojej pomocy, klapa ważyła pewnie z siedemdziesiąt kilo, odchylił ją do pozycji pionowej, aż zaskoczyła zapadka zabezpieczająca.

Trzy szczeble drabinki przytwierdzonej do klapy wjazdu prowadziły do pionowego, stalowego trapu, który wiódł na pokład poniżej. Henry schodził pierwszy, zapalając światło po drodze, ja za nim.

Magazyn leków, choć nieduży, wyposażony był tak samo obficie jak każde z pomieszczeń "Delfina". Benson, niezmiennie dokładny, oznaczył wszystko równie skrupulatnie jak przy instrukcji prześwietleń: lekarstwa stały uporządkowane i opisane starannie, tak więc niecałe trzy minuty szukałem tego, czego potrzebowałem. Pierwszy wszedłem na drabinkę, wdrapałem się prawie na samą górę i pochyliłem, żeby wziąć z rąk Henry'ego torbę z lekami. Wrzuciłem ją wpierw na górny pokład, potem wolną ręką zamierzałem chwycić środkowy szczebel, jeden z trzech przymocowanych do klapy wjazdu, podciągnąć się do góry i znaleźć w pomieszczeniu elektroników. Lecz nie zdołałem się podciągnąć. Stało się coś odwrotnego, pociągnąłem kłapę w dół, na siebie. Przytrzymująca zapadka wyskoczyła i bezwładny, siedemdziesięciokilowy ciężar masywnej klapy runął na mnie, zanim uprzytomniłem sobie, co się dzieje.

Upadłem w bok, do tyłu, ciągnąc klapę za sobą. Głową uderzyłem w obramowanie włazu. Desperacko rzuciłem się głową do przodu ─ gdybym tego nie zrobił, klapa uderzająca o krawędź włazu rozplątałaby mi łeb na dwoje ─ i próbowałem przy tym schować lewą rękę. Mniej więcej udało mi się z głową: zrobiłem na tyle szybki unik, że cios klapy wywołał jedynie lekki ból głowy, ale lewa ręka znalazła się w sytuacji zgoła odmiennej. Prawie zdołałem ją zabrać, lecz tylko prawie. Gdyby przegub mojej ręki przymocowano do kowadła, a wściekły goryl huknąłby w nią młotem, nie bolałoby mnie mniej. Przez krótką chwilę wisiałem na uwięzionym nadgarstku, potem ciężar mego ciała wyrwał pokaleczoną rękę spod pokrywy i rąbnąłem o pokład poniżej. Goryl chyba walnął mnie drugi raz, bo straciłem przytomność.

─ Nie będę owijał niczego w bawełnę, stary ─ mówił Jolly. ─ Mam w końcu do czynienia z kolegą łapiduchem. Pański nadgarstek jest nieźle pocharatany, wygrzebałem z niego pół zegarka. Środkowy i mały palec złamane, środkowy w dwóch miejscach. Lecz obawiam się, że trwale uszkodzony ma pan wierzch dłoni; ścięgnię małego i serdecznego palca zostały poszarpane.

─ Co to oznacza? ─ spytał Swanson.

─ Znaczy to, że z lewej ręki zostały mu dwa palce i kciuk na resztę życia ─ stwierdził Jolly bez ogródek.

Swanson zaklął cicho i odwrócił się do Henry'ego.

─ Jak mogłeś, na Boga, okazać tak cholerną nieostrożność? Taki doświadczony marynarz jak ty. Dobrze wiesz, że masz obowiązek sprawdzać za każdym razem, czy zapadka należycie zabezpiecza klapę. Dlaczego tego nie zrobiłeś?

─ Sądziłem, że nie trzeba, panie komandorze.

Henry był niepocieszony i przybity jak nigdy.

─ Słyszałem, że zapadka stuknęła, i ruszyłem parę razy klapą. Była unieruchomiona. Przysięgam, panie komandorze.

─ Co znaczy unieruchomiona? Spójrz na rękę doktora Carpentera. Wystarczyło, że oparł się mocniej i diabli wzięli całe umocowanie. Boże drogi, dlaczego wy nigdy nie przestrzegacie przepisów jak należy?

Henry w milczeniu utkwiał wzrok w blacie biurka. Jolly, którego sponiewierany ze zrozumiałych względów wygląd można by porównać do mojego samopoczucia, spakował atrybuty swojej profesji, poradził mi załatwienie sobie paru dni urlopu, dał garść proszków do łykania, zmęczonym głosem życzył dobrej nocy i po trapie wy dostał się z ośrodka elektroniki, gdzie opatrywał moją rękę.

Swanson zwrócił się do Henry'ego: ─ Możecie odejść, Baker.

Pierwszy raz słyszałem, by ktokolwiek zwrócił się do Henry'ego po nazwisku, dowód na to, jak bardzo Swanson poruszony jest ogromem jego przestępstwa.

■ Rano podejmę decyzję co do konsekwencji.

■ Nie byłbym taki pewien, czy już rano ■ powiedziałem po odejściu Henry'ego. ■ Może dopiero pojutrze albo za dwa dni. Wówczas będzie go pan przepraszał. I pan, i ja. Ta kłapa była dobrze umocowana. Sprawdziłem to, komandorze.

Swanson popatrzył na mnie beznamiętnie.

Po chwili cicho spytał:

■ Czy pan sugeruje to, co ja myślę, że pan sugeruje?

■ Ktoś zaryzykował ■ powiedziałem ■ ale niezbyt poważnie, większość ludzi już śpi, w sterowni było pusto w krytycznym momencie. Dziś wieczorem w mesie oficerskiej ktoś usłyszał, jak proszę pana o pozwolenie zejścia do składu leków, a pan się zgadza. Wkrótce potem wszyscy poszli spać. Wszyscy, prócz jednego człowieka, który czuwał, czekając cierpliwie, aż wrócę z "Zebry". Poszedł na dół za nami i miał szczęście, bo akurat porucznik Sims, pański oficer pokładowy, wyszedł akurat na mostek, by popatrzeć na gwiazdy, sterownia była więc pusta; otworzył wtedy zapadkę, lecz kłapę wjazdu pozostawił w pozycji stojącej. Był w tym element ryzyka, bo nie mógł wiedzieć, czy to ja wejdem pierwszy, ale wymyślił, że przecież elementarna grzeczność wymaga, żeby Henry mnie puścił przed sobą. W każdym razie trafnie kalkulował, choć na podstawie nikłych przesłanek. Później szczęście opuściło naszego przyjaciela; sądzę, że spodziewał się bardziej trwałych szkód.

■ Natychmiast przepytam, kogo się da ■ oświadczył Swanson. ■ Ktoś musiał słyszeć, jak on wstaje i wychodzi.

■ Niech pan nie traci czasu, komandorze. Tropimy niezwykle inteligentnego osobnika, który nie zapomina o niczym. W dodatku wiadomość o pańskim śledztwie z pewnością dotrze do niego i w ten sposób z pańskiej winy on stanie się tak ostrożny, że nigdy go nie przyłapię.

■ W takim razie będę trzymał całą tę bandę pod kluczem, aż nie dotrzemy do Szkocji ■ ponuro rzekł Swanson. ■ W ten sposób już nic nie zmaluje.

■ Wówczas nigdy się nie dowiemy, kto zamordował mego brata i sześciu... teraz już siedmiu innych ludzi. Kimkolwiek on jest, należy mu zostawić tyle swobody, żeby się wreszcie sam potknął.

■ Jezus Maria, człowieku, nie możemy usiąść z założonymi rękami i czekać, aż on nam znów zaszkodzi.

W głosie komandora pobrzmiwało rozdrażnienie i nie mogłem go za to potępiać.

■ Co robimy? Co pan teraz proponuje?

■ Zacząć od początku. Jutro rano zorganizujemy coś w rodzaju przesłuchania. Spróbujmy dowiedzieć się ile można na temat pożaru. Zwykła, niewinna ankieta, powiedzmy dla Ministerstwa Zaopatrzenia. Mam pewien pomysł, może się udać.

■ Tak pan sądzi? ■ Swanson potrząsnął głową. ■ Nie wierzę. Póki co, nie wierzę. Widzi pan, co się panu przydarzyło? Człowieku, to oczywiste, że ktoś wie albo przypuszcza, że pan mu depta po piętach. Oni będą ostrożni jak cholera, byle się tylko nie zdradzić.

■ Myśli pan, że dlatego mnie załatwili dziś wieczorem?

■ Jaka może być inna przyczyna?

■ Czy z tej samej przyczyny ucierpiał Benson?

■ Nie wiemy, czy został załatwiony. To znaczy, umyślnie. Mógł to być czysty przypadek.

■ Może i tak ■ zgodziłem się. ■ Ale znów niekoniecznie. Moja wersja, być może fałszywa, opiera się na tym, że wypadek czy wypadki nie wynikają w najmniejszym stopniu z podejrzliwości zabójcy, on nie sądzi, że możemy być na jego tropie. Tak czy owak, zobaczymy, co przyniesie jutro.

Minęła północ, kiedy dotarłem do swojej kajuty. Wartę pełnił oficer mechanik, a Hansen spał, nie zapalałem więc światła, żeby mu nie przeszkadzać. Zostałem w ubraniu, zdjęwszy tylko buty położyłem się na koi i nakryłem kocem.

Nie spałem. Nie mogłem zasnąć. Lewa ręka od łokcia w dół bolała, niczym schwytna w potężny potrzask. Dwukrotnie wyjmowałem z kieszeni środki przeciwbólowe i nasenne, które dał mi Jolly, i dwa razy chowałem je z powrotem.

Po prostu leżałem rozmyślając i pierwszym, najbardziej oczywistym wnioskiem, który mi się nasunął, było stwierdzenie, że ktoś przebywający na pokładzie uwziął się na członków mlecznego bractwa. Następnie próbowałem odpowiedzieć, dlaczego lekarska profesja nie cieszy się sympatią, i po półgodzinie wyęźniania szarych komórek podniosłem się cicho i w samych skarpetkach podreptałem do izby chorych.

Wszedłem do środka i bezgłośnie zamknąłem drzwi za sobą. W kącie płonęło przyćmione czerwone światło nocnej lampy, pozwalając mi odróżnić zarys sylwetki leżącego Bensa. Włączyłem górne oświetlenie, zmrużyłem oczy przed blaskiem, który nagle zajaśniał, i skierowałem wzrok na kotarę w drugim końcu izby. Nic się tam nie poruszyło.

Powiedziałem: ■ Wiem, że świerzbią cię paluchy zaciśnięte na tym kluczu, Rawlings. To ja, Carpenter.

Kotara się rozsunęła i ukazał się Rawlings, klucz z główką owiniętą bandażem dyndał mu w rękę, na twarzy zaś malował się wyraz zawodu.

■ Spodziewałem się kogoś innego ■ przyznał z wyrzutem. ■ Nawet miałem nadzieję, że... rany boskie, doktorze, co się panu stało w rękę?

■ Trafne pytanie, Rawlings. Nasz przyjaciel dopadł mnie dziś wieczór. Myślę, że chciał się mnie pozbyć. Nie wiem, czy chodziło mu o wyeliminowanie mnie na stałe, ale o mały włos, a tak by się stało.

Opowiedziałem mu, co się wydarzyło, potem spytałem:

■ Czy jest na pokładzie ktoś, komu całkowicie ufasz? Znałem odpowiedź, jeszcze zanim zadałem pytanie.

■ Zabirnsky ■ odparł bez wahania.

■ Jak myślisz, mógłbyś podkraść się tam, gdzie on śpi, i przyprowadzić go, nie budząc nikogo?

Nie odpowiedział na moje pytanie.

Stwierdził: ■ On nie może chodzić; pan o tym wie, doktorze.

■ Przynieś go. Dasz przecież radę.

Uśmiechnął się i wyszedł. Wrócił z Zabirnskym po niespełna trzech minutach. Trzy kwadranse później zwolniłem Rawlingsa z warty i powróciłem do kabiny. Powoli, niezdarnie, boleśnie, ubrałem się w futra, otworzyłem walizkę i wyjąłem luger, dwa magazynki w gumowych pokrowcach oraz złamany nóż ■ przedmioty, które komandor Swanson znalazł w baku ciągnika. Włożyłem je do kieszeni i wyszedłem. Przechodząc przez sterownię oświadczyłem oficerowi pokładowemu, że idę skontrolować stan dwóch pacjentów pozostawionych w obozowisku. Nawet nie mrugnął okiem, kiedy nakładałem futrzaną rękawicę na rękę w bandażach; lekarz sam decyduje, co mu wolno, a ja byłem w tym momencie zacnym doktorem, który niesie chorym pomoc i pokrzepienie.

Sumiennie zbadałem chorych; stwierdziłem, że obaj powoli nabierają sił, po czym powiedziałem dobranoc dwóm pilnującym ich marynarzom z "Delfina". Jednak nie od razu wróciłem na pokład. Wpierw udałem się do garażu przybudówki i włożyłem pistolet, magazynki oraz złamany nóż z powrotem do baku z benzyną. Dopiero wtedy wróciłem na okręt.

## Rozdział 9

■ Przykro mi, że was niepokoję ■ zagaiłem uprzejmie. ■ Ale tak to już niestety bywa przy współpracy z ministerstwami. Mnóstwo wkurzających pytań w czterech egzemplarzach, a jedno głupsze od drugiego. Muszę to jednak zrobić i czym prędzej drogą radiową przesłać sprawozdanie, dlatego byłbym niezwykle wdzięczny za wszelkie informacje i współpracę. Po pierwsze, czy któryś z panów domyśla się przyczyny tego strasznego pożaru?

Miałem nadzieję, że przemawiam do nich w stylu sporządzającego raport urzędnika Ministerstwa Zaopatrzenia; tak się im przedstawiłem. A żeby ukrócić zbyteczną nieufność, dodałem, że ministerstwo, potrzebując meldunków o każdym wypadku zakończonym utratą życia, celowo oddelegowało do tej pracy lekarza. Może i tak to właśnie wyglądało, chociaż nie byłem pewien, mało mnie to zresztą obchodziło.

■ No więc chyba ja pierwszy zauważyłem ogień ■ z wahaniem zaczął Naseby, kucharz z "Zebry".

Mówił z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Ani on, ani pozostała ósemka ze Stacji, zebrana tego ranka



w kwaterze oficerskiej, nie wyglądali zbyt tęgo, ale i tak lepiej niż wczoraj, ciepłe łóżko i godziwy posiłek dokonały swego. A ściślej: pozostała siódemka. Na twarzy kapitana Folsoma, paskudnie poparzonej, poprawy nie było, mimo że przed niespełną półgodziną zjadł niezgorsze, głównie płynne śniadanie.

■ To było około drugiej w nocy ■ ciągnął Naseby. ■ Tak, tuż przed drugą. Już się paliło. Jak pochodnia. No i ja...

■ Co się paliło? ■ przerwałem. ■ Gdzie pan spał?

■ W kuchni, tam też była jadalnia. Skrajny barak zachodni w północnym rzędzie.

■ Spał pan sam?

■ Nie. Z tym tutaj Hewsonem, z Flandersem i Bryce'em. Flanders i Bryce są... to znaczy byli laborantami. Hewson i ja spaliśmy w samym końcu baraku. Po obu stronach stały dwie duże spizarki ze wszystkimi naszymi zapasami, a dalej, w kącie kuchni, spali Flanders i Bryce.

■ Najbliżej drzwi?

■ Zgadza się. Wstałem, dusiłem się od dymu i kaszlu, nogi miałem jak z waty. Płomienie dobrały się już do wschodniej ściany. Potrząsnąłem Hewsonem i poleciałem do drzwi po gaśnicę. Nie działała. Pewnie mróz ją zablokował. Zresztą nie wiem. Zawróciłem. Byłem oślepiony, w życiu nie widział pan takiego dymu. Potrząsnąłem Flandersem i Bryce'em, krzyknąłem, żeby wychodzili, a potem wpadłem do Hewsona i kazałem mu migiem obudzić obecnego tu kapitana Folsoma.

Spojrzałem na Hewsona.

■ Obudził pan kapitana?

■ Poszedłem go budzić, ale nie od razu. Cały obóz hajcował się tak, jak nie przymierzając największe ogniska na Piątego Listopada. Między barakami płomienie skakały w górę na sześć metrów. Wszędzie unosiły się opary oleju, głównie płonącego. Żeby się przebić, musiałem nadłożyć kawałek drogi na północ.

■ Czy wiatr wiał od wschodu?

■ Niezupełnie. Nie tej nocy. Powiedziałbym, że był południowo-wschodni, dokładniej wschodnio-południowo-wschodni. W każdym razie szerokim łukiem obszedłem stację generatorów, tę zaraz obok jadalni w północnym rzędzie, i dotarłem do głównego baraku, tam gdzie nas znaleźliście.

■ I potem obudził pan kapitana Folsoma?

■ Kapitana już nie było. Zaraz kiedy wybiegłem z jadalni, zaczęły eksplodować zbiorniki paliwa w magazynie, w południowym rzędzie naprzeciwko głównego baraku. Jakby wybuchły ogromne krwawe bomby, a huk był taki, że umarłego by zbudził. W każdym razie kapitana zbudził. On i Jeremy, o ten ■ Hewson skinął na mężczyznę siedzącego po drugiej stronie stołu ■ wzięli gaśnicę i

próbowali się przedrzeć do baraku majora Halliwella.

■ Tego tuż na zachód od magazynu paliw?

■ Tak. To było prawdziwe piekło. Kapitan Folsom miał całkiem niezłą gaśnicę, ale nie mógł podejść, bo w powietrzu fruwało mnóstwo oleju i wyglądało na to, że pali się nawet piana.

■ Proszę na moment przerwać ■ wtrąciłem. ■ Chciałbym powrócić do pierwszego pytania. Jak doszło do pożaru?

■ Rozmawialiśmy o tym setki razy ■ ze znużeniem odparł doktor Jolly. ■ Prawda jest taka, stary druhu, że brak nam tropu. Wiemy natomiast, gdzie się zaczął. Biorąc pod uwagę zniszczone baraki i kierunek wiatru tamtej nocy, mogło się to stać tylko w magazynie paliw. Ale jak? Tu pozostają same domysły. Nie sądzę, aby miało to teraz jakiegokolwiek znaczenie.

■ Nie zgadzam się. Otóż ma, i to nawet duże. Znając przyczynę, moglibyśmy zapobiec podobnej tragedii w przyszłości. Po to tu jestem. To pan odpowiadał za stan magazynu i stację generatorów, Hewson. Czy nie ma pan w tej sprawie nic do powiedzenia?

■ Nie, nic. Może coś z prądem, ale co i jak, trudno dociec. Możliwe, że był wyciek ze zbiorników i zebrało się trochę lotnego oleju. Żeby olej nie gęstniał, magazyn ogrzewały do zera stopni Fahrenheita dwa grzejniki. Opary mógł zapalić łuk elektryczny na wyłączniku termostatów. Ale to oczywiście przypuszczenia.

■ A na przykład tłące się szmaty albo niedopałki? Twarz Hewsona oblała się purpurą.

■ Proszę pana, już ja wiem, co do mnie należy. Pałące się szmaty, niedopałki, też coś! Wiem, jak trzymać w porządku pieprzony magazyn paliw.

■ Tylko spokojnie ■ przerwałem. ■ Nie zamierzałem nikogo urazić. Po prostu wykonuję swoją pracę.

Ponownie zwróciłem się do Naseby'ego.

■ Posłał pan Hewsona, żeby obudził kapitana, i co dalej?

■ Pobiegłem do baraku radiostacji, naprzeciwko kuchni, na zachód od baraku majora Halliwella...

■ A co z laborantami... Flandersem i Bryce'em? Przed wyjściem z jadalni sprawdził pan zapewne, czy się już zbudzili i czy nic im nie grozi?

■ Niech Bóg mi dopomoże, nie. Nie sprawdziłem.

Naseby, mocno zgarbiony, z pobladłą twarzą, wpatrywał się w pokład.

■ Nie żyją. Przeze mnie nie żyją. Ale sam pan nie wie, co się tam działo. Płomienie przeżerały wschodnią ścianę jadalni, wszędzie zatykający dym i chmury oleju, nic nie widziałem i ledwie mogłem oddychać. Szarpałem jednego i drugiego i ryknąłem, żeby wstawali. Ostro ich szarpałem i na

pewno głośno krzyknąłem.

■ Mogę to potwierdzić ■ cicho wtrącił Hewson. ■ Byłem przy tym.

■ Nie czekałem ■ podjął Naseby. ■ Ale nie myślałem o ratowaniu własnej skóry. Myślałem, że Flanders i Bryce wyjdą zaraz po mnie. Chciałem ostrzec innych. Dopiero... dopiero kilka minut później dotarło do mnie, że ich nie ma. No, a potem, potem było już za późno.

■ I pobiegł pan naprzeciwko, do baraku radiowców. Tam, gdzie spał Kinnaird, tak? ■ Tak, tam właśnie spałem ■ przytaknął Kinnaird, krzywiąc usta w grymasie. ■ Ja i mój kumpel Grant, chłopak, który zmarł wczoraj. A za przepierzeniem, we wschodniej części, spał doktor Jolly. Miał tam swój gabinet i mały kąt, gdzie testował próbki lodu.

■ I pańska część zapaliła się pierwsza? ■ zapytałem Jolly'ego.

■ Zapewne ■ przystał. ■ Szczerze mówiąc, pamiętam wszystko jak przez mgłę, niby jakiś senny koszmar. Byłem na wpół uduszony, mój stary. Pierwsze, co zapamiętałem, to widok młodego Granta, który pochylał się nade mną, tarł mi twarz i coś krzyczał. Co dokładnie, nie potrafię powtórzyć, ale niechybnie chodziło o to, że barak płonie. Nie wiem, ani co powiedziałem, ani co zrobiłem, prawdopodobnie nic, bo świetnie pamiętam uderzenia w twarz, nawiasem mówiąc, niezbyt delikatne. Ale, na Jowisza, skuteczne! Ocknąłem się i Grant wywlókł mnie z biura do radiobaraku. Zawdzięczam chłopcu życie. Starczyło mi jeszcze rozumu, żeby złapać torbę lekarską, którą zawsze mam w pogotowiu.

■ A co zbudziło Granta?

■ Naseby ■ powiedział Kinnaird. ■ Granta i mnie. Krzyczał i walił w drzwi. Gdyby nie on, marnie byśmy z doktorem Jollym skończyli. Powietrze w baraku przypominało raczej trujący gaz. Zerwaliśmy się chyba tylko dzięki rumorowi, jaki uczynił Naseby. Poleciałem Grantowi obudzić doktora, a sam próbowałem otworzyć drzwi.

■ Były zamknięte?

■ Przymarły, jak cholera. W nocy to nic dziwnego, w dzień grzejniki dobrze grzały i lód wokół drzwi topniał, ale na noc, kiedy leżeliśmy już w śpiworach, przykręcaliśmy je, no i wtedy lód szczelnie oblepiał futryny. Tak było w większości baraków prawie co noc. Żeby się wydostać, musieliśmy wyważać drzwi. Ale wtedy nie zajęło nam to wiele czasu.

■ A potem?

■ Wybiegłem ■ kontynuował Kinnaird. ■ W czarnym gęstym dymie i olejowych wyziewach dokładnie nic nie widziałem. Najpierw przebiegłem około dwudziestu metrów na południe, żeby się w ogóle połapać, co jest grane. Miałem wrażenie, że cały obóz stoi w płomieniach. O drugiej w nocy, na wpół śpiąco, w czadzie oparów, po omacku nie kojarzy się najlepiej. Dzięki Bogu byłem na tyle przytomny, żeby nadać SOS. I wróciłem do baraku radiostacji.

■ Wszyscy zawdzięczamy życie Kinnairdowi ■ po raz pierwszy włączył się Jeremy, tęgi, rudowłosy

Kanadyjczyk, główny technik w bazie. ■ Przeze mnie, gdybym był bardziej krewki, nikt by nie przeżył.

■ O Chryste, zamknij się, bracie! ■ warknął Kinnaird.

■ Ani myślę ■ spokojnie odparł Jeremy. ■ Zresztą doktor Carpenter oczekuje od nas pełnej relacji. Wyszedłem z głównego baraku zaraz po kapitanie Folsomie. Jak powiedział Hewson, próbowaliśmy ugasić barak majora Halliwella, co od samego początku było bez szans, ale co niby mieliśmy robić. Wiedzieliśmy przecież, że siedzi tam odciętych czterech ludzi. Chociaż, jak mówię, była to strata czasu. Kapitan Folsom zawołał, że idzie po inną gaśnicę i zlecił mi zajrzeć do radiostacji. Całe pomieszczenie stało w ogniu. Kiedy podszedłem maksymalnie blisko wschodnich drzwi, zobaczyłem Naseby'ego. Pochylał się nad doktorem Jollym, który zemdlał zaraz po wyciągnięciu go na świeże powietrze. Naseby krzyknął, żeby mu pomóc doktora odciągnąć, i mniej więcej w tym czasie nadbiegł Kinnaird. Zasuwał prosto do radiobaraku. ■ Jeremy uśmiechnął się gorzko. ■ Myślałem, że postradał zmysły. Zagroziłem mu drogę, a on wrzasnął, żebym się usunął. Ja mu na to, żeby się nie wygłupiał, a on ryknął ■ musieliśmy się wydzierać, żeby przekrzyczeć hałas płomieni ■ że musi wynieść przenośne radio i że wszystek olej i zapasy żywności doszczętnie spłonęły. Przewrócił mnie i ani się obejrzałem, a już zniknął w drzwiach. Pojęcia nie mam, jakim cudem stamtąd wyszedł.

■ To tam się tak dotkliwie poparzyłeś? ■ cicho spytał komandor Swanson.

Stał w odległym kącie kwatery i do tej pory nie brał udziału w dyskusji, mimo że nie uronił z niej ani słowa. Właśnie dlatego chciałem, by przyszedł. Należał do ludzi, których uwagi nic nie umknie.

■ Zdaje się, że tak, proszę pana. ■ To chyba zasługuje na zaproszenie do pałacu Buckingham ■ mruknął Swanson.

■ Do diabła z Buckingham! ■ porywczo wykrzyknął Kinnaird. ■ A co z moim kumplem? Co z Jimmym Grantem? Czy i jego zaproszą do Buckingham? Biedaczysko. Wie pan, co zrobił? Jak wróciłem, nadawał SOS na naszej stałej częstotliwości. Ubranie się już na nim paliło. ściągnąłem go z krzesła, krzyknąłem, żeby wziął kilka baterii i wychodził. Sam złapałem przenośny nadajnik i pierwszą z brzegu paczkę baterii i wybiegłem. Myślałem, że Grant biegnie za mną, ale w przeraźliwym trzasku ognia i huku eksplodujących zbiorników nic nie słyszałem. Kto tego nie przeżył, nawet sobie nie wyobraża, co to za piekło. Pognałem zostawić radio i baterie w bezpiecznym miejscu, a kiedy wróciłem, zapytałem Naseby'ego, który wciąż cucił doktora Jolly'ego, czy Jimmy Grant wyszedł. Dowiedziałem się, że nie, skoczyłem do drzwi i... nic więcej już nie pamiętam.

■ Bo go ogłuszyłem ■ ze smutną satysfakcją zauważył Jeremy. ■ Od tyłu. Musiałem.

■ Mogłem cię potem za to zabić. Ale coś mi się zdaje, że ocaliłeś mi życie.

■ Ani chybi, stary ■ skrzywił się Jeremy. ■ Bicie ludzi to mój prawdziwie bohaterски wyczyn tamtej nocy. Jak tylko Naseby docucił doktora Jolly'ego, zaczął się wydzierać: "Gdzie Flanders i Bryce, gdzie Flanders i Bryce?!" To ci dwaj, co spali z nim i z Hewsonem w kuchni. Z głównego baraku wyszło wtedy parę osób i sporo czasu upłynęło, zanim sobie uświadomiliśmy, że brakuje Flandersa i Bryce'a. Naseby w dzikim pędzie runął ku drzwiom kuchni, których praktycznie nie było, kotłowała się tam jedna wielka ściana ognia. Kiedy mnie mijał, podciąłem go; upadł i uderzył głową o lód. ■

Jeremy spojrzął na Naseby'ego. ■ Jeszcze raz cię przepraszam, Johny, ale całkiem wtedy zwariowałeś.

Naseby potarł szczękę i uśmiechnął się półgębkiem.

■ Czuję to do tej pory. Sam Bóg wie, że miałaś rację.

■ Potem zjawił się kapitan Folsom z Dickiem Fosterem, który też spał w głównym baraku ■ kontynuował Jeremy. ■ Kapitan Folsom powiedział, że sprawdził wszystkie gaśnice i że wszystkie zamarzyły na kość. Słyszał o odcięciu Granta przy radiostacji i dlatego przynieśli z Fosterem mokre koce. Staralem się ich powstrzymać, ale kapitan kazał mi odejść.

Jeremy lekko się uśmiechnął.

■ Rozkaz to rozkaz. Narzucili koce na głowy i wbiegli do środka. Po kilku sekundach kapitan wrócił z Grantem na rękach. Nigdy czegoś takiego nie widziałem, obaj płonęli jak żywe pochodnie. Nie wiem, co się przytrafiło Fosterowi, w każdym razie nie wyszedł. Wtedy zawaliły się dachy baraku majora Halliwella i kuchni. Nikt z nas nie mógł tam podejść. Zresztą i tak było za późno. Major Halliwell, trzech jego ludzie i Flanders z Bryce'em na pewno już nie żyli. Według doktora Jolly'ego nie cierpieli, udusili się, zanim dostały ich płomienie.

■ No tak ■ powiedziałem wolno ■ to chyba daje wyraźny obraz waszych zawikłanych i przerażających przejść. Czy nie istniały żadne szanse, żeby zbliżyć się do baraku majora Halliwella?

■ Jeśli się chciało myśleć o uratowaniu własnego życia, nie. Nie w promieniu pięciu metrów ■ uczciwie odparł Naseby.

■ A co było potem?

■ Potem ja przejąłem dowództwo, stary ■ powiedział Jolly. ■ Niewiele było roboty, ale opiekę nad poszkodowanymi tylko ja mogłem zapewnić. Poleciałem wszystkim poczekać na lodzie, a kiedy płomienie przygasły i nic nie zapowiadało dalszych wybuchów, przenieśliśmy się do głównego baraku, gdzie jak najtroskliwiej zająłem się chorymi. Kinnaird, mimo poważnych poparzeń, okazał się pierwszorzędnym pomocnikiem. Ulokowaliśmy najciężej poszkodowanych. Młody Grant był w okropnym stanie, podejrzewam, że nie rokował nadziei na wyzdrowienie. Cóż, to mniej więcej tyle.

■ I na następne dni i noce nie mieliście żadnego pożywienia?

■ Nic a nic, stary druhu. Ogrzewania też nie mieliśmy, nie licząc latarni sztormowych z trzech ocalałych baraków. Udało się nam stopić trochę lodu i to wszystko. Żeby nie wytracać energii i ciepła, na moje polecenie każdy owinął się, w co się dało.

■ No to los pana trochę pokarał ■ zwróciłem się do Kinnairda. ■ Tracił pan ciężko zdobyte ciepło, żeby co parę godzin wysyłać SOS.

■ Nie tylko ja ■ powiedział Kinnaird. ■ Nie jestem odporniejszy na odmrożenia od innych. Doktor Jolly nalegał, żeby robił to każdy, kto może. To wcale nie takie trudne. Sygnał był ustawiony,

wystarczyło go po prostu nadać i czekać na odzew w słuchawkach. W razie jakiejś wiadomości piorunem mogłem dopaść stacji meteorologicznej. Jeśli chodzi o ścisłość, to łączność z radioamatorem z Bodo nawiązał Hewson, a z trawlerem na Morzu Barentsa Jeremy. Oczywiście od tej chwili pracowałem bez przerwy. Pomagali mi też doktor Jolly i Naseby, więc nie było tak źle. A następnego dnia dołączył Hassard. W nocy nie mógł, bo oślepił go ogień.

■ Czy dowodził pan przez cały czas, doktorze Jolly? ■ spytałem. ■ Ależ skąd!? Kapitan Folsom czuł się paskudnie pierwszą dobę, ale gdy trochę wydobrzał, od razu przejął dowództwo. Ja, stary druhu, jestem tylko pigularzem. Szczerze mówiąc, zupełnie siebie nie widzę w roli lidera i dziarskiego człowieka czynu, staruszku.

■ Tak czy owak, odwalił pan kawał cholerne roboty.

Popatrzyłem po zebranych.

■ Fakt, że większości z was nie grozi trwałe kalectwo, zawdzięczacie panowie szybkiej i niezwykle fachowej opiece doktora Jolly'ego, który pracował w koszmarnych warunkach. No cóż, to wszystko. Odtwarzanie zajść tamtej nocy musiało być dla was bolesne. Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek doszli przyczyn pożaru. Siła wyższa, jak mawiają ci od ubezpieczeń. Z pewnością, Hewson, nikt nie może panu zarzucić niedbalstwa, a przyczyny wybuchu pożaru, jakie pan podał, wydają się prawdziwe. Za tak wysoką cenę mamy nauczkę: głównego magazynu paliw nie wolno stawiać w odległości mniejszej niż sto metrów od obozu.

Po zebraniu Jolly pomknął do izby chorych słabo skrywając zadowolenie z powodu bycia jedynym lekarzem na pokładzie, który nie należy do grona hors de combat. Czekwały go pracowite godziny: zmiana opatrunków u poparzonych, zbadanie Bensona, prześwietlenie złamanej kostki Zabirsky'ego i ponowne założenie mu gipsu.

Poszedłem do swojej kajuty, wyjąłem z walizki portfel, po czym udałem się do kabiny Swansona. Zauważyłem, że nie śmieje się już tak często jak podczas spotkania w Szkocji. Gdy w odpowiedzi na zaproszenie wszedłem do środka, spojrzał na mnie i bez wstępów oznajmił:

■ Jeśli tych dwóch mężczyzn, którzy ciągle są w obozie, można przenieść na pokład, chcę ich tu widzieć natychmiast. Im szybciej dopłyniemy do Szkocji i im szybciej zajmie się tym prawu, tym lepiej. Uprzedzam, że śledztwo nic nie da. Bóg jeden wie, kiedy zginie ktoś jeszcze. Na litość, Carpenter, morderca chodzi na wolności!

■ Trzy ale ■ powiedziałem. ■ Po pierwsze, nikt już nie zginie. To prawie pewne. Po drugie, prawu ■ jak je pan nazywa ■ w ogóle się nie pozwoli tego tknąć, a po trzecie, dzisiejsze spotkanie coś jednak dało. Wykluczyło mianowicie trzech potencjalnych podejrzanych.

■ Widocznie przeoczyłem coś, co nie uszło pańskiej uwagi.

■ Ależ nie. Po prostu wiedziałem trochę więcej niż pan. Wiedziałem, że pod podłogą laboratorium leży około czterdziestu baterii w znakomitym stanie, choć już używanych. ■ Do diabła! ■ zaklął cicho. ■

I tak zwyczajnie zapomniał mi pan o tym powiedzieć, prawda?

■ O takich sprawach nie mówię nic, dopóki nie uznam, że dzięki tym informacjom ktoś może mi pomóc.

■ Niewątpliwie zyskał pan tabuny przyjaciół i podbił całe mnóstwo ludzi ■ oschle stwierdził Swanson.

■ Rzecz poważnie się komplikuje. No bo kto mógł używać baterii? Tylko ci, którym zdarzało się wychodzić z głównego baraku, żeby nadać SOS. A to wyklucza kapitana Folsoma i Harringtonów. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że żaden z nich nie był w stanie opuścić pomieszczenia. Pozostają Hewson, Naseby, doktor Jolly, Jeremy, Hassard i Kinnaird. No, niech pan strzela. Jeden z nich jest mordercą.

■ Po co im te dodatkowe baterie? ■ zdziwił się Swanson. ■ I dlaczego tak ryzykowali? Widzi pan w tym jakiś sens?

■ We wszystkim jest jakiś sens ■ odparłem.

Potrzebna podkładka, Carpenter ją ma. Wyjąłem portfel i rozłożyłem przed nim legitymacje. Podniósł je, przejrzał i zwrócił.

■ No tak, teraz to jasne ■ powiedział z chłodnym opanowaniem. ■ Ujawnienie tego nieco potrwało, prawda. To znaczy ujawnienie prawdy. Oficer kontrwywiadu M. J.#6. Przedstawiciel rządu, he? Cóż, z radości skakać nie będę. Już od wczoraj się domyślam, nie może pan być nikim innym.

Przyglądał mi się ze spokojnym namysłem.

■ Tacy jak pan nie zwykli wyjawiać swojej tożsamości, dopóki nie muszą.

Oczywistego pytania już mi nie zadał.

■ Robię to z trzech powodów ■ wyjaśniłem. ■ Poniekąd należy się panu pewna doza zaufania. Chciałbym mieć pana po swojej stronie i wreszcie o tym, co za chwilę powiem, i tak by się pan dowiedział. Czy słyszał pan o satelicie Perkin-Elmer Roti?

■ Kupa słów ■ mruknął. ■ Nie.

■ A o SAMOS (skrót od: Satellite and Missile Observation System.)? SAMOS III?

Kiwnął głową:

■ Słyszałem. I co z tego? Co to ma za związek z bezwzględnym mordercą, który wpadł w szal w stacji "Zebra"? Związek choćby wymyślony?

Powiedziałem mu, jaki. Nie tylko wymyślony, nie tylko możliwy i nie tylko prawdopodobny, ale wręcz absolutnie pewny. Swanson wysłuchał mnie w skupieniu, ani razu nie przerwał, a na koniec

odchylił się w krzesło i pokiwał głową:

■ Ma pan rację, bez dyskusji. Pytanie brzmi: kto? Nie mogę się wprost doczekać widoku tego maniaka w areszcie i pod opieką uzbrojonego strażnika.

■ Chciałby go pan od razu zakuć w kajdany?

■ Dobry Boże! ■ Wpatrywał się we mnie. ■ A pan nie?

■ Nie wiem. To znaczy, wiem. Zostawiłbym go w spokoju. Sądzę, że nasz przyjaciel jest zaledwie ogniwnem bardzo długiego łańcucha i jeżeli podrzucimy mu odpowiednio długi sznur, nie tylko na nim zawisnie, ale przy okazji zaprowadzi nas do innych ogniwn. A poza tym brak mi pewności, czy morderca jest jeden. Tacy, jak wiadomo, miewają współników, komandorze.

■ Myśli pan, że na pokładzie mojego okrętu grasuje aż dwóch?

Zacisnąwszy usta, w zamyśleniu pocierał policzek, co stanowiło u niego objaw największego niepokoju, po czym energicznie potrząsnął głową.

■ Nie, jest tylko jeden. Gdybym wiedział, który to, aresztowałbym go natychmiast. Niech pan nie zapomina, Carpenter, że od otwartego morza dzielą nas setki mil pod lodem. Przez ten czas całej szóstki nie upilnujemy, a ten tu jeden mógłby nam śmiertelnie zagrozić nawet niewiele wiedząc o okrętach podwodnych, ma ku temu mnóstwo okazji. To, co błahe na lodzie, pod lodem bywa groźne.

■ Czy aby panu nie umknęło, że zabójca, załatwiając nas, załatwi i siebie?

■ Nie bardzo podzielam pańską wiarę w jego normalność. Wszyscy mordercy są postrzeleni. Świadczy o tym fakt zabijania, bez względu na pobudki nie wiem jak szlachetne. Nie należy ich oceniać według standardowych kryteriów.

Miał rację tylko w połowie, choć niestety ta połowa mogła się ziścić. Większość morderców zabija w stanie maksymalnego napięcia emocjonalnego i nigdy nie zabija powtórnie. Ale w przypadku naszego przyjaciela wszystko przemawiało za tym, że emocje są mu obce i że ma na swym koncie niejedną zbrodnię.

■ Cóż ■ powiedziałem z powątpiewaniem ■ możliwe. Tak, chyba się z panem zgadzam. ■ Powstrzymałem się jednak od uściślenia obszaru tej zgodności. ■ Kogo pan typuje, komandorze?

■ Nie mam zielonego pojęcia, chociaż nie uroniłem dzisiaj ani jednego słowa, przyglądałem się twarzom mówiących i tym, którzy milczeli. Wciąż o tym myślę i wciąż nie mam zielonego pojęcia, gdzie szukać tropu. A na przykład Kinnaird?

■ Wydaje się dość oczywistym podejrzanym, prawda? Ale tylko dlatego, że jest wytrawnym radiooperatorem. Tymczasem sygnalizacji morsem, nadawania i odbierania wiadomości nauczyłem każdego w kilka dni. Robiłby to co prawda wolno i ślamazarnie, nie wiedząc nic o aparaturze, której używa, ale by sobie poradził. Każdy z nich mógł być dostatecznie kompetentny do obsługi radiostacji. A fakt, że Kinnaird jest w tym biegły, może przemawiać na jego korzyść.



■ Baterie przeniesiono do laboratorium z kabiny radiowej ■ zauważył Swanson. ■ Kinnaird miał do nich najłatwiejszy dostęp. Nie licząc doktora Jolly'ego, którego biuro i kąpiel do spania były w tym samym baraku.

■ I to wskazywałoby na Kinnairda albo Jolly'ego?

■ A co, nie?

■ Naturalnie. Jeśli pan zgodzi się, że konserwy ukryte pod podłogą laboratorium wskazują także na Hewsona i Naseby'ego, którzy spali w kuchni, gdzie był skład żywności, a radiosonda i wodór wskazują na Jeremy'ego i Hassarda, meteorologa i technika.

■ No właśnie, pomieszanie z poplątaniem ■ z irytacją powiedział Swanson. ■ Jakby to wszystko nie było już dostatecznie zagmatwane.

■ Ja tu niczego nie gmatwam. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli możliwości uznamy za powody, trzeba także uznać możliwości podobne za podobne powody. Zresztą Kinnaird ma kilka plusów na swoim koncie. Ryzykując życie, wrócił do radiobaraku po przenośny nadajnik. A kiedy próbował tam wejść jeszcze raz, żeby uratować swego pomocnika Granta, narażał się na pewną śmierć i gdyby Jeremy mu nie dołożył, prawdopodobnie by zginął. Proszę nie zapominać, co spotkało Fostera: wszedł tam chwilę później z mokrym kocem na grzbiecie i nigdy się już nie wydostał. A poza tym, czy Kinnaird wspominałby o bateriach, gdyby miał nieczyste sumienie? Być może to właśnie był powód utraty sił i śmierci pomocnika radiooperatora. Kinnaird polecił mu wynieść baterie i Grant marnie skończył, bo szukając czegoś, co już z baraku wyniesiono, został tam za długo. I wreszcie punkt rozstrzygający: Naseby stwierdził, że drzwi do radiobaraku były zablokowane, przypuszczalnie przez lód. Gdyby Kinnaird bawił się zapalkami nieco wcześniej, nie zdążyłyby zamarznąć.

■ Jeśli Kinnaird jest poza podejrzeniami ■ wolno powiedział Swanson ■ to trzeba też chyba wykluczyć doktora Jolly'ego. ■ Uśmiechnął się. ■ Nie wyobrażam sobie reprezentantów pańskiej profesji biegających wokoło i dziurawiących ludzi. Wasza specjalność to łatanie dziur, a nie ich robienie. Hipokrates nie byłby zachwycony.

■ Nie wykluczam Kinnairda ■ odparłem. ■ Nie chcę się jednak wygłupić i pochopnie przypiąć mu łątkę mordercy. A co do etyki mojego zawodu ■ służę listą lekarzy, którzy ozdobili ławę oskarżonych w Old Bailey. Zgoda, nic na Jolly'ego nie mamy. Jego aktywność tamtej nocy zdaje się sprowadzać do chwiejnego wypełnienia z baraku radiostacji plackiem i przeleżenia w takiej pozycji prawie do końca. Oczywiście, mógł działać, choć nie świadczą o tym zaklinowane drzwi i to, że Kinnaird albo Grant z pewnością by to zauważyli. Kojka Jolly'ego była w tylnej części baraku i żeby wyjść, musiałby minąć Kinnairda i Granta, nie mówiąc już o tym, że musiałby też zabrać baterie. I jeszcze jeden ewidentny punkt na jego korzyść. Upadku Bensaona nadal nie uważam za przypadkowy i jeśli tak jest, trudno mi sobie wyobrazić, jak Jolly, który stał u podnóża kiosku, gdy Benson był na jego szczycie, mógłby to zaaranżować, a jeszcze trudniej sobie wyobrazić, dlaczego pozwoliliby, żeby Benson zleciał mu na głowę.

■ Znakomita obrona Jolly'ego i Kinnairda ■ mruknął Swanson.

■ Bynajmniej. Mówię tylko to, co powiedziała by adwokat.

■ Hewson ■ rzucił komandor. ■ Albo Naseby, kucharz. Albo Hewson i Naseby. Nie uważa pan za cholernie dziwne, że chociaż obaj spali z tyłu, we wschodniej części kuchni, tej, która zapaliła się pierwsza, akurat im udało się uciec, a dwaj pozostali ■ Flanders i Bryce ■ z samego środka baraku, udusili się? Naseby powiedział, że krzyczał i energicznie nimi potrząsał. A może mógłby tak sobie krzyczeć i potrząsać całą noc? Może już wcześniej stracili przytomność albo nie żyli? Może widzieli, jak Naseby albo Hewson, albo jeden i drugi, przenoszą zapasy żywności i dlatego zostali uciszeni? A może zostali uciszeni, zanim cokolwiek zaczęto przenosić? I nie zapominajmy o pistolecie w baku traktora. To bardzo szczególne miejsce na schowek, ale nie dla Hewsona, prawda? To on prowadził traktor. No i ostrzeżenie kapitana Folsoma zajęło mu trochę czasu. Powiedział, że musiał nadłożyć drogi, żeby obejść płomień, ale Naseby wyraźnie zaprzeczył, jakoby było aż tak źle, kiedy on szedł do radiostacji. I jeszcze coś, moim zdaniem rzecz nader znamienita: Hewson stwierdził, że zbiorniki paliwa w magazynie zaczęły eksplodować, podczas gdy zmierzał do głównego baraku. Jeżeli dopiero zaczęły, to jakim cudem wszystkie baraki ■ a raczej tych pięć, które w rezultacie spłonęło ■ mogły się palić w najlepsze? A paliły się na całego, bo były przesycone oparami oleju, co oznacza, że do pierwszego wybuchu musiało dojść dużo wcześniej. Czyli oprócz ostrzeżenia Folsoma, którego zresztą już ostrzeżono, Hewson szczególnie się nie napracował.

■ Całkiem przyzwoita mowa oskarżycielska, komandorze. Ale nie myśli pan, że przeciw Hewsonowi jest za dużo namacalnych dowodów? Że człowiek sprytny nie dopuściłby do tego? Można by raczej oczekiwać, że wygłosi parę górnolotnych frazesów, żeby zwrócić na siebie uwagę.

■ Przeoczył pan fakt, że mógł nie liczyć się ze śledztwem, bo zakładał, że do oskarżenia jego, czy kogokolwiek, nie dojdzie.

■ Powtórzę, co już mówiłem, tacy ludzie nie ryzykują. Zawsze biorą poprawkę na wpadkę.

■ Jakim cudem?! ■ zaprotestował Swanson. ■ Dlaczego mieliby zakładać, że zrodzą się jakiegokolwiek podejrzenia?

■ Wyklucza pan możliwość, że podejrzewają nas o deptanie im po piętach?

■ Owszem.

■ Ubiegłej nocy, po tym jak spadła na mnie pokrywa luku, miał pan inne zdanie ■ zaznaczyłem. ■ Uznał pan za oczywiste, że ktoś na mnie dybie.

■ Dzięki Bogu, moje zajęcie ogranicza się do przyjemnego i nieskomplikowanego prowadzenia atomowej łodzi podwodnej ■ westchnął Swanson. ■ Prawdę mówiąc, sam już nie wiem, co o tym wszystkim myśleć. A na przykład kucharz, kolega Naseby'ego?

■ Sądzi pan, że był w zмовie z Hewsonem?

■ Jeśli przyjąć, że tych w kuchni, którzy nie mieli ze sprawą nic wspólnego, trzeba było uciszyć, Naseby musiał maczać w tym palce, bo przeżył, prawda? Ale po co by, do licha, ratował Flandersa i

Bryce'a?

■ Może to było wkalkulowane ryzyko? Widział, jak Jeremy przyłożył Kinnairdowi, kiedy ten po raz drugi chciał wejść do pomieszczenia radiostacji i mógł oczekiwać, że Jeremy przysłuży się ponownie, gdyby podjął podobną, tyle że lipną akcję ratunkową.

■ Może druga próba Kinnairda też była lipna ■ zauważył Swanson. ■ Przecież Jeremy już raz usiłował go powstrzymać.

■ Możliwe ■ przystałem. ■ Ale jeżeli Naseby jest człowiekiem, którego szukamy, dlaczego powiedział, że drzwi radiostacji były oblodzone i musiał je wywazać. To oczyszcza Kinnairda i Jolly'ego, a przecież morderca nikogo by z podejrzeń nie oczyszczał.

■ Beznadziejna sprawa ■ szepnął Swanson. ■ Wpakujmy lepiej to doborowe towarzystwo pod klucz.

■ Bardzo sprytnie ■ powiedziałem. ■ Doskonale, wpakujmy. Tym sposobem nigdy nie poznamy sprawcy. Zanim jednak się pan podda, proszę pamiętać, że to znacznie bardziej skomplikowane. Nie możemy bowiem pominąć najbardziej podejrzanych, Jeremy'ego i Hassarda, dwóch inteligentnych twardzieli, którzy ■ jeśli są zabójcami ■ byli na tyle cwani, żeby nie zostawić żadnych śladów. Jeremy, nie chcąc, by ktokolwiek zobaczył, co się przytrafiło Flandersowi i Bryce'owi, odciął Naseby'emu drogę do kuchni. Albo i nie.

Swanson przeszył mnie wzrokiem. Widok łodzi podwodnej sunącej bez kontroli na głębokości poniżej trzystu metrów wart był może uniesienia brwi; ale tym razem chodziło o coś więcej. Powiedział:

■ No więc, świetnie, niech morderca biega luzem i niech sobie rozwali "Delfina", kiedy tylko mu się spodoba. Oto dowód mojego zaufania do pańskiej osoby, Carpenter. Mniemam, że nie okaże się ono źle ulokowane. Proszę mi tylko jeszcze coś powiedzieć. Zakładam, że jest pan wytrawnym agentem, ale podczas przesłuchania czegoś pan nie dopatrzył. Sprawa, myślę, podstawowa.

■ Kto podsunął pomysł przeniesienia zwłok do laboratorium, wiedząc, że dzięki temu skrytka pod podłogą będzie w stu procentach bezpieczna?

■ Przepraszam ■ uśmiechnął się z lekkim zażenowaniem. ■ Oczywiście, pan wie, co robić.

■ Naturalnie. Nie można wykluczyć, że zabójca domyśla się naszych podejrzeń, choć jestem pewien, że jeszcze nie, ale takie pytanie naprowadziłoby go od razu. Chociaż, jak przypuszczam, rozkaz wydał kapitan Folsom, starannie zawoalowana sugestia wyszła od kogo innego.

Gdyby to było parę miesięcy wcześniej, kiedy na niebie świeci letnie arktyczne słońce, dzień można by uznać za cudowny. Tymczasem, mimo braku słońca, bo i szerokość nie ta i pora roku zbyt późna, pogoda była najdoskonalsza z możliwych. Trzydzieści sześć godzin ■ odkąd podjęliśmy z Hansenem szaleńczą eskapadę na pokład "Delfina" ■ przyniosło zmianę, graniczącą z cudem. Siekący wschodni wiatr uciął jak ręką odjął. Zniknęły ławice lodowych szpikulców, temperatura podskoczyła co

najmniej o dwadzieścia stopni, a widoczność, jak na zimową porę, była świetna.

Swanson, dzieląc opinię Bensona o siedzącym trybie życia załogi, poradził, aby każdy, kto nie ma wachty, skorzystał z pięknej aury i rozprostował kości na świeżym powietrzu. O sile perswazji komandora świadczył fakt, że o jedenastej tego ranka "Delfin" ział pustką. I, co oczywiste, załoga, dla której stacja arktyczna "Zebra" była dotąd jedynie zlepkiem słów, zapalała chęcią obejrzenia choćby nawet nędznego szkieletu Stacji, z powodu którego musieli wszyscy gnać na koniec świata.

Ustawiłem się na końcu kolejki do doktora Jolly'ego, a dotarłem doń dopiero około południa. Niepomny swych własnych poparzeń i odmrożeń, był w szczytowej formie i radośnie krzątał się po izbie chorych, jakby od lat stanowiła jego wyłączne terytorium.

■ No cóż ■ powiedziałem. ■ Konkurencja pigularzy nie była szczególnie ostra, prawda? Cholernie się cieszę, że znalazł się trzeci lekarz. Jak tam sprawy na froncie medycznym?

■ Nie najgorzej, stary druhu ■ odrzekł wesoło. ■ Benson wraca do sił, puls, oddech i ciśnienie prawie w normie, stopień utraty świadomości nieznaczny. Kapitan Folsom nadal poważnie cierpi, ale o zagrożeniu nie ma naturalnie mowy. U pozostałych poprawa w stu procentach. Wyśmienite pożywienie, ciepłe łóżka i poczucie bezpieczeństwa zrobiły więcej niż starania naszej lekarskiej braci. W każdym razie mnie pomogły wprost fantastycznie.

■ Im też ■ dodałem. ■ Wszyscy pańscy przyjaciele, oprócz Folsoma i bliźniaków Harringtonów, wyszli na lód razem z załogą i idę o zakład, że gdyby czterdzieści osiem godzin wcześniej zaproponował im pan dobrowolną wędrowkę do stacji, wołaliby o kaftan bezpieczeństwa.

■ Oto co znaczą fizyczne i psychiczne siły witalne homo sapiens ■ jowialnie obwieścił Jolly. ■ Nie do wiary, mój stary, nie do wiary. No, a teraz obejrzyjmy to pańskie złamane skrzydło.

I obejrzał, a że specjalnie się ze mną nie certolił, jak to z kolegą po fachu nawykłym do ludzkiego bólu, wytrzymałem tylko dzięki resztkom zawodowej dumy i kurczowemu ściskaniu poręczy krzesła.

Po skończeniu powiedział:

■ Tak, to poważna rzecz, jeśli nie liczyć Brownella i Boltona, dwóch chłopców, którzy zostali na stacji.

■ Pójdę z panem ■ zaproponowałem. ■ Komandor Swanson z niepokojem czeka na wiadomość w ich sprawie. Chciałby stąd czym prędzej odpłynąć.

■ Ja też ■ skwapliwie przytaknął Jolly. ■ A co komandora tak niepokoi?

■ Lód. Nikt nie zna dnia ani godziny, kiedy szczeliny zaczną się zamykać. Pragnąłby pan tu spędzić następny rok albo dwa?

Jolly roześmiał się szeroko, chwilę pomyślał i odeszła mu chęć do śmiechu.

■ Jak długo będziemy pod tym przeklętym lodem? ■ zapytał lękliwie. ■ Kiedy wypłyniemy na otwarte

morze?

■ Swanson powiada, że ze dwadzieścia cztery godziny. Niech się pan tak nie przejmuj, Jolly. Proszę mi wierzyć, że pod tym paskudztwem jest znacznie bezpieczniej aniżeli pośród niego.

Z wyrazem niedowierzania Jolly wziął torbę lekarską i pierwszy opuścił ambulatorium. Swanson oczekiwał nas w centrum kontrolnym. Wspięliśmy się na górę, przesadziliśmy burtę i skierowaliśmy się do Stacji.

Załoga już wracała. Wielu nawet na nas nie spojrzało, przechodzili z ponurymi minami, przybici. Przyczyn nie musiałem zgadywać: drzwi, które powinni byli zamknąć, stały otworem. Gwałtowny wzrost temperatury i efekt dwudziestoczęterogodzinnej pracy dużych grzejników elektrycznych spowodował nadmierne rozgrzanie baraku, ze ścian i sufitu spływały resztki topniejącego lodu. Brownell odzyskał przytomność i na siedząco, wspierany przez jednego z dwóch czuwających nad nim ludzi, pił zupę.

■ No tak ■ zwróciłem się do Swansona ■ jeden gotów do transportu.

■ Bez wątpienia ■ skwapliwie przyznał Jolly.

Na moment pochylił się nad Boltonem, wyprostował i przecząco pokiwał głową.

■ Ten jest ciężko chory, komandorze, bardzo ciężko. Nie kwapiłbym się brać odpowiedzialności za przenoszenie go dokądkolwiek.

■ No to będę zmuszony wziąć odpowiedzialność na siebie ■ bez ogródek oświadczył Swanson. ■ Popatrzmy na to inaczej.

Pomyślałem, że mógłby się wyrazić bardziej dyplomatycznie i ugodowo; ale jeśli na pokładzie "Delfina" było dwóch morderców, istniało prawdopodobieństwo, że Jolly jest jednym z nich i Swanson ani przez chwilę o tym nie zapomniał.

Spojrzawszy na Jolly'ego, na poły przepraszająco wzruszyłem ramionami, pochyliłem się nad Boltonem i najdokładniej, na ile mi na to pozwalała zdrowa ręka, zbadałem go.

■ Jolly ma rację ■ powiedziałem. ■ Bolton jest poważnie chory. Ale przenosiny na pokład powinien chyba jakoś przetrzymać.

■ "Chyba jakoś" to nie jest diagnoza do przyjęcia ■ zakwestionował moją opinię Jolly.

■ Wiem. Ale też okoliczności są podobne.

■ Biorę odpowiedzialność na siebie ■ zdecydował Swanson. ■ Doktorze Jolly, byłbym wdzięczny za nadzorowanie transportu. Dostanie pan tylu ludzi, ilu tylko będzie trzeba.

Jolly trochę jeszcze powybrzydzał, po czym chętnie uległ i niezwykle fachowo zajął się chorymi. Ja zabawiłem na Stacji nieco dłużej. Obserwowałem, jak Rawlings i inni demontują grzejniki, likwidują

oświetlenie i zwijają kable, a kiedy wszyscy się już wynieśli, poszedłem zobaczyć traktor.

Trzonek noża nadal był w baku. W przeciwieństwie do pistoletu i dwóch magazynków. Te zniknęły. Ktokolwiek je zabrał, na pewno nie był nim doktor Jolly, ponieważ od odejścia z "Delfina" aż do powrotu na pokład ani na sekundę nie straciłem go z oczu.

O trzeciej tego popołudnia zanurzyliśmy się pod lód i wzięliśmy kurs ku otwartemu morzu.

## Rozdział 10

Popołudnie i wieczór minęły szybko i całkiem przyjemnie. Znaczenie symboliczne ■ zamknięcia luków i utraty ziemi pod stopami ■ było niemal tak ważne, jak i znaczenie faktycznych zdarzeń. Gruba warstwa lodu nad "Delfinem" była niczym kojący plaster miodu. Straciliśmy wszelki fizyczny kontakt ze stacją arktyczną "Zebra", tą bazą umarłych, która po wsze czasy będzie kontynuować swój dryf wokół bieguna. A zerwanie kontaktu dosuwało daleko przeżyte okropności i szok ostatnich dwudziestu czterech godzin. Mroczne wrota zatrzęsły się za nami nieodwracalnie. Misja skończona, obowiązek spełniony, wracaliśmy do domu. Nagły przypływ ulgi i uczucie szczęścia wśród załogi, że znów jest w drodze, ogromna radość na myśl o porcie i przepustce wydawały się prawie namacalne. Nastrój na pokładzie był niemal świąteczny. Mnie jednak nie było ani świątecznie, ani spokojnie, zbyt dużo zostawiłem za sobą. Zapewne nie doświadczyli spokoju Swanson i Hansen, Rawlings i Zabirnsky. Wiedzieli, że wieziemy mordercę, wielokrotnego zabójcę. Wiedział o tym i doktor Benson, ale on się chwilowo nie liczył; nie odzyskał jeszcze przytomności i żywiłem mało chwalebna nadzieję, że jej przez jakiś czas nie odzyska. Wychodzenie ze stanu śpiączki może się wiązać z paplaniną ponad miarę.

Kilku ocalonych z "Zebry" spytało, czy wolno im zwiedzić okręt, i Swanson wyraził zgodę. Bogatszy o wiadomości, jakie usłyszał ode mnie tego ranka w swojej kajucie, przystał nader niechętnie, ale jego spokojna, uśmiechnięta twarz nie zdradzała cienia protestu. Odmowa byłaby wręcz grubiaństwem, wszak wszelkie tajniki "Delfina" były starannie ukryte przed oczami laików. Jednak nie dobre maniere zdecydowały o decyzji Swansona; odrzucając uzasadnioną prośbę, uczyniłby kogoś prawdziwie podejrzliwym.

Kiedy Hansen oprowadzał ciekawych po okręcie, dotrzymywałem im towarzystwa. Nie tyle chciałem się rozruszać, ile bacznie śledzić ich reakcje. Przeszliśmy okręt wszerz i wzdłuż, pomijając jedynie reaktor, którego i tak nikt nie mógł oglądać, i kabinę nawigacji inercyjnej, zamkniętą nawet dla mnie. W trakcie wycieczki przypatrywałem się im wszystkim, zwłaszcza dwóm, tak wnikliwie, na ile mogłem, i wykryłem dokładnie to, czego się spodziewałem, czyli nic. Nie byłbym przy zdrowych zmysłach, łudząc się, że na cokolwiek wpadnę. Nasz koleżka z pistoletem przybrał maskę niewiniątka. Nie miałem jednak innego wyjścia; grając w ekstraklasie, nie mogłem przegapić żadnej szansy.

Po kolacji w miarę swych możliwości asystowałem Jolly'emu podczas wieczornego obchodu. Kimkolwiek byłby ponadto, to cholernie dobry lekarz. Lżej poszkodowanym szybko i wprawnie

sprawdził opatrunki, a gdzie trzeba zmienił. Zbadał i opatrzył Bensaona i Folsoma, a potem poprosił, żebym poszedł z nim na rufę do nuklearnego laboratorium. Po zrobieniu tam miejsca ulokowano w nim czterech pacjentów: Harringtonów, Brownella i Boltona. Jedyne dwa posłania w izbie chorych zajmowali Benson z Folsomem. Wbrew ponurym przepowiedniom Jolly'ego Bolton nie ucierpiał wskutek transportu z baraku na pokład ■ a to głównie dzięki nadzwyczaj fachowej i troskliwej opiece doktora oraz przytroczeniu pacjenta do noszy. Bolton był teraz przytomny i uskarżał się na dotkliwy ból mocno poparzonego przedramienia. Po usunięciu oparzeliny ręka wyglądała paskudnie: ani skrawka czegoś, co zasługiwałoby na miano skóry, jadowita czerwień między ropieniami. Metody leczenia mogą tu być różne. Jolly zastosował maść na alufolii, którą po przyłożeniu do rany lekko obandażował. Następnie zaaplikował zastrzyk przeciwbólowy i kilka proszków nasennych, a na koniec zażądał od trzymającego wachtę, żeby w razie jakiegokolwiek zmiany lub pogorszenia się stanu Boltona natychmiast go zawiadomić. Jeszcze szybkie oględziny trzech pozostałych pacjentów, tu i ówdzie świeży bandaż i obchód skończony.

Dla mnie też. Dwie noce praktycznie nie spałem. Odrobinę snu, jaka była mi dana, zniweczył ból lewej ręki. Leciałem z nóg. Kiedy wszedłem do kabiny, Hansen już spał, a oficera mechanika nie było.

Tym razem nie potrzebowałem proszków nasennych Jolly'ego.

Obudziłem się o drugiej. Na wpół śpiący, ciągle wyczerpany, czułem się tak, jakbym spędził w łóżku około pięciu minut. Ale zerwałem się błyskawicznie i w jednej chwili oprzytomniałem.

Umarłego by zbudziło. Ze skrzekliwego pudełka tuż nad koją dobiegał przeraźliwy, wysoki, piskliwy gwizd, na dwa tony, przesywający mi uszy niczym sztylet. Jęki upiora na mękach nie dorównywałyby temu dźwiękowi.

Hansen w desperackim pośpiechu ściągnął ubranie i wskoczył w buty. Nie sądziłem, że kiedykolwiek ujrzę tego flegmatycznego, lakonicznego Teksasczyka w takiej zawrotnej akcji. Teraz widziałem.

■ Co się, u licha, dzieje?! ■ wrzasnąłem, żeby przebić ryk syreny.

■ Pożar! ■ Na jego twarzy malował się wyraz wzburzenia i zawziętości. ■ Okręt się pali! I to pod tym parszywym lodem.

Zapinając koszulę, przesadził moją koję, strzelił drzwiami i już go nie było.

Jednostajny ryk syreny zamilkł jak nożem uciął i zapadła cisza. Dopiero później zarejestrowałem coś więcej niż ciszę, uświadomiłem sobie zanik wibracji okrętu. Wielkie silniki nie pracowały. I uświadomiłem sobie jeszcze coś: siarczasty mróz wzdłuż kręgosłupa. Dlaczego silniki stanęły? Co spowodowało tak nagłe zatrzymanie silnika jądrowego i co dalej? Mój Boże, pomyślałem, a może pożar wybuchł w pomieszczeniu reaktora? Oglądałem kiedyś serce stosu uranowego przez powleczone ołowiem szybką otworu kontrolnego. Widziałem niesamowite, nieziemskie światło, upiorne połączenie zieleni, fioleto i błękitu, nowe straszliwe światło ludzkości. Co się stanie, jeśli to straszliwe światło wpadnie w szal? Nie wiem, ale wolałbym być wtedy gdzie indziej.

Ubrałem się spokojnie i niespiesznie, nie tylko z powodu mało przydatnej, skaleczonej ręki. Możliwe, że okręt płonie, możliwe, że siłownię jądrową trafił szlag. A jeżeli z awarią nie poradzi sobie znakomicie wyszkolona załoga Swansona, nerwowa bieganina Carpentera i jego wrzask: "gdzie się pali?" na pewno nic nie da.

Trzy minuty po zniknięciu Hansena doszedłem do sterowni i wetknąłem głowę, nie chciałem zawadzać gdzie indziej. Owiął mnie ciemny tuman gryzącego dymu i głos Swansona warknął krótko:

■ Wejść i zamknąć drzwi.

Docisnąłem drzwi i rozejrzałem się. Przynajmniej usiłowałem. Nie było to łatwe. Z oczu natychmiast popłynęły łzy, jakby ktoś rzucił w nie garść pieprzu, a skromne pole widzenia nie na wiele się zdało. Pokój wypełniał czarny, cuchnący dym, znacznie gęściejszy i bardziej drażniący gardło niż londyński smog, widoczność nie przekraczała dwóch metrów, ale zdołałem zobaczyć, że ludzie tkwili na swoich stanowiskach. Niektórzy oddychali z wysiłkiem, inni ledwie zipali, jeszcze inni cicho klęli, wszyscy bardzo łzawili; nie dostrzegłem jednak śladu paniki.

■ Lepiej, żeby pan został z drugiej strony ■ oschle rzucił Swanson. ■ Przepraszam, że tak warczę, doktorze, ale chcemy do maksimum ograniczyć rozchodzenie się dymu. ■ Gdzie jest ogień?

■ W maszynowni.

Takim samym tonem Swanson równie dobrze mógłby dyskutować o pogodzie, urzędując na werandzie swego domu.

■ W którym miejscu, nie wiemy. Jest marnie. Choćby sam dym. Nie znając lokalizacji, nie znamy zasięgu ognia. Mechanik mówi, że nie widać własnej ręki.

■ Silniki ■ zacząłem ■ stanęły. Czy coś z nimi nie w porządku?

Przetarł oczy chusteczką, zamienił kilka słów z mężczyzną, który wkładał ciężki gumowy kombinezon i maskę przeciwgazową, a potem zwrócił się do mnie.

■ Nie ulotnimy się, jeżeli to miał pan na myśli.

Przysięgłbym, że się uśmiechał.

■ Stos atomowy nie stanowi zagrożenia bez względu na sytuację. Jeżeli coś jest nie tak, pręty uranowe rozpadają się momentalnie, w niespełną jedną tysięczną sekundy, i zatrzymują całą reakcję. Tym razem sami je wyłączyliśmy. Ludzie w manewrowni nie widzieli już ani tarcz reaktora, ani regulatora drążków sterowniczych. Nie pozostawało nic innego jak wyłączyć. Obsługa z maszynowni i manewrowni musiała się schronić na rufie.

No cóż, to zawsze coś. Nie groziło nam rozbicie w pył, wyparowanie na ołtarzu nuklearnego postępu, tylko poczciwe staroświeckie uduszenie.

■ Więc co zrobimy? ■ spytałem.



■ Powinniśmy się natychmiast wynurzyć, ale z czterema metrami lodu nad głową to niełatwe. Przepraszam.

Rozmawiał teraz z całkiem zamaskowanym mężczyzną, dzierżącym małe pudełko z tarczą. Razem minęli pulpity nawigatora i "lodówkę", stanęli przed solidnymi drzwiami, które wychodziły na korytarz prowadzący do maszynowni nad sektorem reaktora, odciągnęli zatrzaski i otworzyli. Gdy zamaskowany mężczyzna wyślizgiwał się na zewnątrz, do środka wtargnęła chmura wełnistego oślepiającego dymu. Swanson docisnął drzwi do oporu, wrócił do stanowiska kontrolnego i po omacku sięgnął po mikrofon pod sufitem.

■ Tu dowódca. ■ Jego głos odbił się głuchym echem w centrum kontrolnym. ■ Ogień zlokalizowany w maszynowni. Jeszcze nie wiemy, czy przyczyna jest elektryczna, chemiczna czy paliwowa; źródła ognia nie ustalono. Zakładając najgorsze, sprawdzamy, czy nie ma przecieku promieniotwórczego.

A więc zamaskowany mężczyzna niósł licznik Geigera.

■ Jeżeli wynik okaże się negatywny, sprawdzimy, czy nie ma wycieku pary. Jeżeli i to wykluczymy, przystąpimy do intensywnych poszukiwań źródła ognia, co nie będzie łatwe, ponieważ ■ jak mi doniesiono ■ widoczność jest bliska zeru. Wyłączyliśmy w maszynowni wszystkie obwody elektryczne, z oświetleniem włącznie, żeby zapobiec eksplozji w razie obecności oparów paliwa. Zamknęliśmy dopływ tlenu i odcięliśmy maszynownię od systemu oczyszczania powietrza w nadziei, że ogień strawi tlen i zgaśnie. Palenie tytoniu zabronione do odwołania. Wyłączyć grzejniki, wentylatory i wszystkie obwody elektryczne oprócz połączeń telekomunikacyjnych ■ dotyczy to także szafy grającej i automatu do lodów. Wyłączyć wszystkie lampy, pozostawiając tylko absolutnie niezbędne. Ograniczyć do minimum poruszanie się po pokładzie. O przebiegu prac będę was informował.

Nagle uświadomiłem sobie, że ktoś przy mnie stoi. Doktor Jolly. Jego zazwyczaj pogodną, jowialną twarz ściągnął grymas przygnębienia, po policzkach płynęły łzy. Płaczliwie zagał:

■ Tego już, stary druhu, za wiele, prawda? Wcale nie jestem pewien, czy wasz ratunek mnie uszczęśliwił. I te zakazy, nie palić, nie korzystać z prądu, nie ruszać się ■ czy miałyby znaczyć to, co myślę, że znaczą?

■ Niestety tak ■ odpowiedział Swanson. ■ Podejrzewam, że ucieleśnia się koszmar każdego dowódcy atomowej łodzi podwodnej ■ pożar pod lodem. Za jednym zamachem zrównuje to nas z konwencjonalną łodzią podwodną, a nawet stawia dwa szczebelki niżej. Przede wszystkim łódź konwencjonalna nie płynęłaby pod lodem. Po drugie, ma ona potężne baterie akumulatorów i nawet gdyby się pod lodem znalazła, starczyłoby jej rezerwowej energii na zbawienny rejs na południe i wydostanie się spod paku. Nasze akumulatory nie przesuną nas ani o centymetr.

■ Tak, tak ■ pokiwał głową Jolly. ■ Ale żeby od razu "nie palić", "nie ruszać się"...

■ Te małe akumulatory to niestety nasze jedyne źródło energii, potrzebne do napędu urządzeń oczyszczających powietrze, do oświetlania, wentylacji i ogrzewania. Przypuszczam, że "Delfin" bardzo się wkrótce wychłodzi, dlatego musimy ograniczyć wydatkowanie naszej własnej energii.

Niepalenie i minimum ruchu oznaczają mniej dwutlenku węgla w atmosferze. Ale rzeczywistym powodem magazynowania energii elektrycznej jest konieczność jej wykorzystania do grzejników, silników i pomp, niezbędnych przy rozruchu reaktora. Jeżeli akumulatory się wyczerpią przed jego uruchomieniem... no cóż, chyba nie muszę pokazywać tego na wykresie.

■ Nie powiem, żeby mnie pan pokrzepił, komandorze ■ poskarżył się Jolly.

■ Ano nie. Nie widzę żadnych powodów ■ oschle odparował Swanson.

■ Idę o zakład, że zamieniłby pan przyszłą emeryturę na kawałek przyjemnej szczeliny w lodzie ■ zauważyłem.

■ Zamieniłbym się z każdym dowódcą we flocie amerykańskiej ■ przyznał trzeźwo. ■ Gdybyśmy znaleźli cienki lód, wynurzyłbym się, otworzył luk maszynowni, wypuścił większość zanieczyszczonego powietrza, włączył diesel, który pobiera powietrze bezpośrednio z maszynowni i odessałbym resztę dymu. Na razie diesel jest równie przydatny jak fortepian.

■ A kompasy? ■ spytałem.

■ Następna złota myśl ■ podchwycił Swanson. ■ Jeśli moc zapasowych akumulatorów spadnie poniżej określonego poziomu, trzy żyrokompasy marki sperry i N#6A, czyli inercyjny pilot, zatną się i będziemy zgubieni. Z kretesem. Na tych szerokościach kompas magnetyczny jest kompletnie bezużyteczny, po prostu kręci się w kółko.

■ I my kręcilibyśmy się w kółko ■ refleksyjnie zauważył Jolly. ■ Już na wieki pod starym lodem. Na Jowisza, naprawdę zaczynam żałować, że nie zostaliśmy w "Zebrze", komandorze.

■ Na razie żyjemy... Tak, John? ■ zwrócił się do Hansena, który właśnie wszedł.

■ Czy Sanders, proszę pana, mógłby dostać maskę gazową? Paskudnie łązawi.

■ Daj mu wszystko, co chcesz ■ powiedział Swanson ■ byle jak najdłużej mógł odczytywać zapis. I podwójcie dozór przy "lodówce". Trafi się szczelina wielkości włosa, atakujemy. Kiedy grubość lodu spadnie poniżej, powiedzmy, dwóch i pół metra, natychmiast meldować.

■ Torpedy? ■ domyślił się Hansen. ■ Od trzech godzin nie było dostatecznie cienkiego lodu. A przy naszej szybkości nie będzie i przez trzy miesiące. Sam popilnuję "lodówki". Z taką ręką nie ma ze mnie większego pożytku.

■ Dziękuję. Najpierw jednak powiedz mechanikowi Harrisonowi, żeby wyłączył skruber dwutlenku węgla i palniki jednotlenkowe. Niech oszczędza każdy amper. Poza tym dobrze zrobi naszej rozpierzschzonej gromadce zakosztowanie przyjemności, jakich dawno temu nie doświadczali marynarze łodzi podwodnych, kiedy przyszło im tkwić pod wodą przez dwadzieścia godzin.

■ Fatalnie się to odbije na poważnie chorych ■ wtrąciłem. ■ Benson i Folsom w ambulatorium, Harringtonowie, Brownell i Bolton w laboratorium na rufie mają z czym walczyć i bez tej trucizny.

─ Wiem ─ przyznał Swanson. ─ Cholernie mi przykro. Później, jeżeli powietrze będzie fatalne, w laboratorium i w izbie chorych uruchomimy oczyszczalniki.

Urwał i odwrócił się, gdy przez raptownie otwarte drzwi wpadł kłęb smolistego dymu. Wrócił z maszynowni facet w masce i mimo kompletnie załzawionych oczu dostrzegłem, że źle z nim. Swanson i dwaj inni pospieszyli na pomoc, dwóch chwyciło go w momencie, gdy chwiejnie przestąpił próg sterowni, i posadziło na krzesła, trzeci co prędzej docisnął ciężkie drzwi, żeby odciąć dopływ cuchnących chmur.

Swanson ściągnął mężczyźnie maskę. Błada twarz, wywrócone oczy. To Murphy, z którym wspólnie zamykałem drzwi wyrzutni torpedowej. Pomyślałem, że do takich zadań zawsze wybiera się ludzi pokroju Murphy'ego i Rawlingsa. Półprzytomny, zachłannie oddychał, w porównaniu z tym, co wchłaniał wcześniej, snujący się w centrum kontrolnym gaz musiał mu się wydać najczystszym górskim powietrzem. W trzydzieści sekund zaczął wracać do siebie i zdobył się nawet na wykrzesanie bolesnego uśmiechu.

─ Przepraszam, komandorze ─ wydyszał. ─ Tej maski nie zrobili z myślą o czymś takim, co mamy w maszynowni. Mówię wam, prawdziwe piekło. ─ Znów się uśmiechnął. ─ Przynoszę dobrą wiadomość. Nie ma przecieku.

─ A gdzie licznik? ─ łagodnie spytał Swanson.

─ Niestety, przepadł. Prawie nic nie widziałem, nie dalej niż na szerokość dłoni. Potknąłem się i o mały figiel nie zleciałem w przestrzeń maszynowni. Ale licznik spadł. Na szczęście zdążyłem dokładnie sprawdzić. Nie ma nic.

Sięgnął do ramienia, i odpiął dawkomierz.

─ To wykaże, panie komandorze.

─ Natychmiast wywołać. Dobra robota, Murphy ─ ciepło powiedział Swanson. ─ Ruszaj teraz na dziób do mesy zaczerpnąć nieco prawdziwego powietrza.

W ciągu paru minut klisza była wywołana. Swanson rzucił okiem, uśmiechnął się i odetchnął z przeciągłym gwizdem.

─ Murphy się nie pomylił. Ani śladu przecieku. Dzięki Bogu i za to. Gdyby było... to niestety już po nas.

Dziobowe drzwi sterowni stanęły otworem i szybko się zamknęły. Odgadłem, kto wszedł, zanim go porządnie zobaczyłem.

─ Z upoważnienia starszego torpedowego Pattersona, panie komandorze ─ służbiście zameldował Rawlings. ─ Przed chwilą widzieliśmy Murphy'ego, jest silnie odurzony i obaj, to znaczy szef i ja, uważamy, że takich dzieciaków nie powinno się...

─ Czy mam przez to rozumieć, że zgłaszacie się na ochotnika jako następny, Rawlings? ─ spytał

Swanson.

Ciężar odpowiedzialności i stałe napięcie zdrowo dały mu się we znaki; widziałem, ile wkłada wysiłku w zachowanie tego samego, kamiennego wyrazu twarzy.

─ Hm, niezupełnie na ochotnika, panie komandorze, ale czy znajdzie się ktoś inny?

─ Sekcja torpeda ─ z przekąsem stwierdził Swanson ─ zawsze miała dobre mniemanie o sobie.

─ Niech włoży podwodny zestaw tlenowy ─ wtrąciłem. ─ Te maski przeciwigazowe nie są uniwersalne.

─ Sprawdzić wyciek pary, komandorze? ─ spytał Rawlings.

─ Zdaje się, że sami siebie wyznaczyliście, przegłosowaliście i wybraliście ─ podsumował Swanson.

─ Tak, wyciek pary.

─ Czy ten kombinezon miał Murphy?

Rawlings wskazał na ubranie leżące na pulpicie.

─ Owszem, a co?

─ Byłyby chyba jakieś ślady wilgoci albo skroplenia.

─ Może tak, a może nie, może sadza i cząsteczki dymu powstrzymały osadzanie się pary, może jest tam tak gorąco, że woda wysycha zaraz po zetknięciu z kombinezonem, a może coś całkiem innego. Nie siedźcie tam za długo.

─ Nie dłużej niż trzeba ─ z pewnością siebie powiedział Rawlings.

Odwrócił się do Hansena i pokazał zęby w uśmiechu.

─ Już raz pokrzyżowaliście mi plany na lodzie, poruczniku, ale teraz to pewne jak amen w pacierzu, że dostanę ten mały pocziwy medal, czym przysporzę całemu okrętowi nieśmiertelnej chluby.

─ Czy Rawlings zechciałby na chwilę zaprzestać tych majaczeń? ─ przerwał Hansen. ─ Mam myśl, komandorze. On co prawda nie będzie mógł ściągnąć maski w maszynowni, ale gdyby tak co cztery, pięć minut dawał znać telefonicznie albo telegraficznie, wiedzielibyśmy, że wszystko gra. Jak się nie odezwie, ktoś po niego pójdzie.

Swanson skinął głową. Rawlings wciągnął kombinezon, włożył aparat tlenowy i wybył. Tym sposobem drzwi do maszynowni otworzyły się po raz trzeci i po raz trzeci wdarły się do środka świeżutkie kłęby gryzącego dymu. Warunki w sterowni były teraz opłakane, poszły w ruch okulary ochronne, kilku zaopatrzyło się w maski.

Zadzwieczał telefon. Hansen powiedział coś zwięźle i wyłączył się.

─ To Jack Cartwright, komandorze.

Porucznik Cartwright, główny oficer odpowiedzialny za napęd, trzymał wachtę w manewrowni, skąd musiał się ewakuować na pokład rufowy.

─ Wygląda na to, że chmurki dały mu łupnia i przeniósł się na rufę. Mówi, że teraz wszystko w porządku i pyta, czy nie podrzucilibyśmy jemu i jeszcze jednemu masek albo aparatów oddechowych. Inaczej nie dotrą do ludzi w maszynowni. Powiedziałem, że podrzucimy.

─ Z pewnością czułbym się lepiej, gdyby Cartwright sprawdził wszystko osobiście. Poślijcie tam kogoś, dobrze?

Pomyślałem, że sam zaniosę. Przy "Iodówce" może czuwać kto inny.

Swanson zlustrował skaleczoną rękę Hansena, lekko się zawahał, po czym skinął głową.

─ Dobrze. Ale prosto przez maszynownię i z powrotem.

Hansen wyruszył bezzwłocznie. Po pięciu minutach stawiał się w sterowni. Zdjął aparat oddechowy. Błądą twarz miał zlaną potem.

─ Buzuje w maszynowni. Wybornie ─ zawyrokował posępnie. ─ Goręcej tam niż w piekle. Ani śladu iskier i płomieni, ale to o niczym nie świadczy, bo dym jest tak gęsty, że z metrowej odległości nawet hutniczego pieca by nie zobaczył.

─ A Rawlingsa widziałeś? ─ spytał Swanson.

─ Nie. A nie dzwonił?

─ Dwa razy, ale... ─ urwał na dźwięk telegrafu z maszynowni. ─ No, w porządku. A co tam na pokładzie rufowym, John?

─ Cholernie, gorzej niż tutaj. Chorzy na rufie są w kiepskim stanie, zwłaszcza Bolton. Dym się tam przedarł, zanim zdążyli zamknąć drzwi.

─ Powiedz Harrisonowi, niech uruchomi skrubery powietrza. Ale tylko w laboratorium. Z wyłączeniem reszty okrętu.

Minęło piętnaście długich minut, podczas których telefon w maszynowni odezwał się trzy razy, powietrze zgęstniało od zanieczyszczeń i coraz trudniej było oddychać, w centrum zebrała się kompletnie wyposażona ekipa ratownicza i następny obłok skołtunionego dymu obwieścił otwarcie drzwi. Wtoczył się Rawlings. Wycieńczony, potrzebował pomocy, żeby pozbyć się kombinezonu i aparatu oddechowego. Z kredowej twarzy, włosów i ubrania spływał pot tak perlisty, jakby jego właściciel przed chwilą wychynął z morskiej otchłani. Mimo to Rawlings roześmiał się triumfalnie.

─ Nie ma wycieku pary, komandorze, na mur.

Na wypowiedzenie tych słów potrzebował trzech oddechów.

■ Co za ogień w maszynowni! Iskry skaczą po całym pomieszczeniu. I trochę płomieni. Niedużo. Zlokalizowałem je, panie komandorze. Turbina wysokoprężna z prawej burty. Pali się osłona.

■ Dostaniesz medal, Rawlings ■ powiedział Swanson ■ choćbym go miał sam zrobić.

Odwrócił się do czekających.

■ Słyszeliście, turbina z prawej burty. Wchodźcie czwórkami na piętnaście minut, nie dłużej. Porucznik Raeburn, pierwsza ekipa. Noże, młotki do wyciągania gwoździ, kleszcze, łomy i dwutlenek węgla. Najpierw osłonę zwilżyć, a potem zrywać. Przy zrywaniu uważajcie na płomienie. Przed rurami parowymi nie muszę was chyba przestrzegać. No to w drogę!

Wyszli. Powiedziałem do Swansona:

■ Hałasuje umiarkowanie. Ile to zajmie? Dziesięć minut, kwadrans?

Popatrzył na mnie posepnie.

■ Co najmniej trzy, cztery godziny, jeśli dopisze nam szczęście. Przestrzeń pod maszynami przypomina parszywie poplątany labirynt. Zawory, przewody, skraplacze i całe kilometry cholernego rurociągu, który odparza ręce, jak tylko go tknąć. Nawet w normalnej sytuacji warunki pracy są potworne. Straszliwa ciasnota. I jeszcze obudowa tej olbrzymiej turbiny obciążona grubą osłoną, która wszystko oplata. Mechanicy montowali ją na stałe. Zanim nasi zaczną, muszą najpierw zalać ogień gaśnicami, co na niewiele się zda, bo ilekroć zedrą kawałek zwęglonej izolacji, natychmiast po wejściu w kontakt z tlenem zapali się przesiąknięta olejem spodnia warstwa materiału.

■ Przesiąknięta olejem?

■ Tu jest pies pogrzebany! ■ wykrzyknął Swanson. ■ Wszędzie, gdzie pracują urządzenia mechaniczne, potrzebny jest olej do smarowania. Na dole maszynowni nie brak ani mechanizmów, ani oleju. Wystarczy duża higroskopijność niektórych materiałów i cholerna izolacja chłonie olej. Jeśli trochę się go w pobliżu znajdzie, w postaci płynnej albo w postaci zawiesiny, osłona przyciąga go tak jak magnes opiłki żelaza. I absorbuje jak bibuła.

■ A co mogło wywołać pożar?

■ Samozapłon. Były już takie przypadki. Zrobiliśmy tę łodzią ponad pięćdziesiąt tysięcy mil w zanurzeniu i podejrzewam, że osłona zdążyła przesiąknąć na wylot. Z "Zebry" płynęliśmy z maksymalną szybkością i nadprodukcja ciepła mogła być przyczyną... John, żadnych wiadomości od Cartwrighta?

■ Nie, cisza.

■ Siedzi tam już dobre dwadzieścia minut.

─ Możliwe. Jak wychodziłem, wkładali z Ringmanem kombinezony. Nie wiadomo, czy weszli do maszynowni od razu. Przekręcę na rufę.

Zadzwonił, coś powiedział, rozłączył się i z powagą obwieścił:

─ Mówią, że nie ma ich od dwudziestu pięciu minut. Sprawdzić, panie komandorze?

─ Zostańcie. Nie mam zamiaru...

Urwał na hałas otwieranych drzwi rufowych; do sterowni chwiejnym krokiem weszło dwóch mężczyzn, to znaczy chwiał się tylko jeden, a drugi go podtrzymywał. Drzwi zatrzaśnięto. W pierwszym przybytku rozpoznałem podoficera, który towarzyszył Raeburnowi, w drugim Cartwrighta.

─ Porucznik Raeburn przysłał mnie z tym tu porucznikiem ─ powiedział podoficer. ─ Chyba z nim źle, komandorze.

Diagnoza okazała się trafna. Było z nim źle. Ledwie przytomny, zawzięcie walczył o zachowanie resztek świadomości.

─ Ringman ─ wyrzęził. ─ Pięć minut, pięć minut temu... wracaliśmy...

─ Ringman ─ z łagodnym uporem powtórzył Swanson. ─ Co z Ringmanem?

─ Spadł, w maszynowni, w dół. Ja... ja poszedłem za nim, próbowałem go wyciągnąć... po drabince... zawył. Boże, zawył. Ja, on...

Osunął się na krzesło i gdyby go w ostatniej chwili nie pochwycono, runąłby na podłogę. ─ Albo skomplikowane złamanie, albo obrażenia wewnętrzne ─ oceniłem.

─ Cholera! ─ cicho zaklął Swanson. ─ A niech to wszyscy diabli. Złamanie. Tam na dole! John, przeniescie Cartwrighta do mesy. Złamanie!

─ Proszę mi przygotować maskę i kombinezon ─ żwawo powiedział Jolly. ─ Pójdę do izby po torbę lekarską doktora Bersona.

─ Pan? ─ Swanson potrząsnął głową. ─ Poczciwy Jolly. Doceniam to, ale nie mogę pozwolić...

─ Przynajmniej raz, stary, niech szlag trafi te marynarskie przepisy ─ uprzejmie podjął Jolly. ─ Proszę pamiętać, że ja też tu jestem na pokładzie. Że my wszyscy... hm... albo razem utoniemy, albo razem popłyniemy. Tu nie ma żartów.

─ Ale przecież nawet pan nie wie, jak się posługiwać tymi aparatami...

─ To mogę się nauczyć, prawda?! ─ nieco szorstko zareplikował Jolly i wyszedł.

Swanson spojrział na mnie. Nawet okulary ochronne nie zdołały ukryć jego niepokoju. Powiedział z

wahaniem:

■ Myśli pan...

■ Naturalnie. Jolly dobrze mówi. Nie ma pan wyboru. Przecież gdyby Benson był na chodzie, migiem by go pan posłał. No a poza tym Jolly jest cholernie dobrym lekarzem.

■ Nie był pan tam, Carpenter. W tej metalowej dżungli nie ma ani skrawka miejsca, żeby unieruchomić złamany palec, a co dopiero...

■ Nie przypuszczam, żeby doktor Jolly próbował cokolwiek składać albo brać w łupki. Po prostu zrobi Ringmanowi zastrzyk i spokojnie go wyniesie, bez słuchania jego jęków.

Swanson pokiwał głową, zasznurował usta i odszedł sprawdzić echosondę. Zagadnąłem Hansena: ■  
Bardzo jest źle?

■ Coś powiedział, przyjacielu? Źle? Jest gorzej niż źle. Normalnie wystarcza tu powietrza na mniej więcej szesnaście godzin, ale teraz ponad połowa przestrzeni stąd do rufy praktycznie nie nadaje się do oddychania. Powietrza zostało na jakieś parę godzin. Szef jest w potrzasku. Jeżeli nie włączymy oczyszczalników, ludzie w maszynowni natyrają się jak woły. Przy widoczności bliskiej zera, z aparatem tlenowym jest się właściwie ślepy. Reflektory nie grają większej roli. Jeśli włączymy oczyszczalniki, świeży tlen podsyci ogień, no i samo ich włączenie oznacza mniej mocy na rozruch reaktora.

■ To niezwykle pocieszające ■ stwierdziłem. ■ Ile zajmie wam puszczenie w ruch reaktora?

■ Co najmniej godzinę. Dopiero kiedy ogień będzie ugaszony i wszystko dokładnie sprawdzone. Co najmniej godzinę. ■ Swanson dawał na ugaszenie ognia trzy, cztery godziny. Powiedzmy, że wszystko razem zajmie pięć. To dużo. Dlaczego nie wykorzystają choć częściowo zapasowej mocy na znalezienie szczeliny?

■ Bo to większe ryzyko od stania w miejscu i gaszenia pożaru. Zgadzam się z szefem. Lepiej walczyć z diabłem, którego się zna, niż grać w kości nie wiadomo z kim.

Jolly, kaszłąc i plując, wrócił z torbą lekarską i zabrał się do wkładania kombinezonu i aparatu tlenowego. Wskazówki Hansena, jak się z tym obchodzić, przyswoił sobie dość szybko. Podoficer Brown, ten, który pomógł Cartwrightowi dobrnąć do centrum kontrolnego, został teraz odkomenderowany do towarzyszenia doktorowi. Jolly nie miał pojęcia, gdzie jest drabinka łącząca maszynownię z przestrzenią pod nią.

■ Tylko proszę się z tym uwinąć raz-dwa ■ powiedział Swanson. ■ I niech pan nie zapomina, Jolly, że brak panu wprawy. Po dziesięciu minutach chcę was tu widzieć z powrotem.

Byli po czterech i bez nieprzytomnego Ringmana. Nieprzytomny za to był doktor Jolly, którego Brown wytaszczył.

■ Nie wiem, co się właściwie stało ■ wysapał Brown, trzęsąc się z wysiłku; Jolly był od niego



cięższy co najmniej o kilkanaście kilo. ■ Weszliśmy do maszynowni i zamknęliśmy drzwi. Ja siedłem pierwszy i nagle doktor Jolly zwałił się na mnie, chyba się o coś potknął. Przewróciłem się, a jak stanąłem na nogi, on wciąż leżał. Oświetliłem go latarką. Był sztywny. I maska mu zleciała. Włożyłem ją na swoje miejsce i wyciągnąłem go.

■ A nie mówiłem? ■ rzucił Hansen w zadumie. ■ Nielekko braci lekarskiej na "Delfinie". ■ Posępnie spojrział na bezwładną postać doktora Jolly'ego, którego twarzą w dół wynoszono przez drzwi na znośniejsze powietrze. ■ Wszystkich trzech konowałów mamy z głowy. To urocza niespodzianka, prawda, komandorze?

Swanson milczał.

■ Wiedziałyby pan, komandorze, jak i gdzie zrobić zastrzyk Ringmanowi? ■ zapytałem.

■ Nie.

■ A ktokolwiek z pańskiej załogi?

■ Nie jestem w nastroju do kłótni, Carpenter.

Otworzyłem torbę lekarską Jolly'ego, poszperałem pośród buteleczek, wreszcie znalazłem, co chciałem, nabrałem specyfiku do strzykawki i wbiłem igłę w lewe przedramię tuż przy bandażu.

■ Przeciwbólowy ■ poinformowałem. ■ Mięczak ze mnie, fakt, ale będę potrzebował kciuka i palca wskazującego. Zerknąłem na Rawlingsa: wyglądał czerstwo, na tyle, na ile pozwalało to ohydne powietrze.

■ Jak się pan teraz czuje? ■ spytałem.

■ Beztrosko wypoczywam.

Podniósł się z krzesła i wziął aparat oddechowy.

■ Nie bój nic, doktorku. Z Rawlingsem, torpedystą pierwszej klasy u boku...

■ Na rufie jest wielu świeżych ludzi, doktorze Carpenter ■ zaznaczył Swanson.

■ Dziękuję, wolę Rawlingsa, ze względu na jego dobro. Może dorobi się dzisiaj dwóch medali.

Rawlings wyszczerzył się w uśmiechu i naciągnął maskę. Dwie minuty później byliśmy w maszynowni.

Duszący upał. Widoczność w silnym świetle latarek nie przekraczała pół metra, ale poza tym nie było tak źle. Aparat oddechowy działał przyzwoicie, nie czułem niewygody. Przynajmniej na początku.

Rawlings ujął mnie za ramię i podprowadził do drabinki, schodzącej na niższy poziom. Usłyszałem przenikliwy syk gaśnicy i rozejrzałem się, usiłując go zlokalizować.

Szkoda, że nie było łodzi podwodnych w średniowieczu, pomyślałem. Taki widok dostarczyłby Dantemu dodatkowej podniety, kiedy zabierał się do swego "Inferna". Nad olbrzymią turbiną snopy silnych reflektorów dawały widoczność od metra do dwóch, zależnie od ilości dymu wzbijającego się nad zwęgloną izolacją. Jej fragment pokrywała gruba warstwa białej piany; sprężony dwutlenek węgla błyskawicznie zamraża wszystko. Po odejściu mężczyzny z gaśnicą z zadymionych ciemności wychynęły trzy postaci i zaczęły zdzierać izolację. Chwilę później, kiedy spodnia warstwa osłony zapłonęła jak pochodnia, z mroku wyłoniły się niesamowite, zamaskowane sylwetki, które pospiesznie odskakiwały, żeby ująć płomieniom wielkości człowieka. I znów przystępował facet z gaśnicą, ogień przygasał, migotał i zamierał i wykwitąła powłoka śmietankowobiałej piany. I tak od nowa. Powtarzające się, zrutynizowane ruchy uczestników, których sylwetki odcinały się ostro na kopcącym, zasmużonym olejem tle migotliwej purpury przywodziły na myśl obrzędowe gesty kapłanów dawno wymarłej, obcej kultury, składających ofiarę całopalną na poplamionym krwią pogańskim ołtarzu.

Teraz rozumiałem Swansona. Przy tak mozolnym i z konieczności ślimaczym tempie pracy, cztery godziny to wspaniała średnia. Starłem się nie myśleć, do czego będzie wtedy podobne powietrze na okręcie.

Zobaczył nas człowiek z gaśnicą, którym okazał się Raeburn, poszedł i poprowadził przez labirynt wijących się rur i skraplaczy do miejsca, gdzie spadł Ringman. Biedak leżał na plecach, nieporuszenie, ale nie stracił przytomności: za okularami ochronnymi widziałem łyskające białka jego oczu. Pochyliłem się, a gdy zetknęliśmy się maskami, krzyknąłem:

■ Noga?!

Pokiwał głową.

■ Lewa?!

Znów przytaknął i ostrożnie dotknął środkowej części goleni. Otworzyłem torbę, wyjąłem nożyczki, palcem wskazującym i kciukiem chwyciłem jego rękaw na wysokości ramienia i obciąłem kawałek materiału. Potem dostał zastrzyk i po dwóch minutach zasnął. Razem z Rawlingsem włożyliśmy mu nogę w łupki, które następnie z grubszą zabandażowałem. Dwóch z ekipy ratowniczej przerwało pracę, by pomóc nam wciągnąć ранnego po drabince, skąd już tylko z Rawlingsem przenieśliśmy Ringmana korytarzem nad reaktorem. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że ledwie oddycham, nogi mam jak z waty, a całe ciało zalewa pot.

Zaraz po zdjęciu maski w centrum kontrolnym chwycił mnie atak kaszlu i niepohamowanego kichania, łzy ciurkiem spływały mi po policzkach. Podczas tych kilku minut naszej nieobecności powietrze tu zastraszająco się popsuło.

■ Dziękuję, doktorze ■ powiedział Swanson. ■ I jak tam teraz jest?

■ Źle. Nie beznadziejnie, ale też nie najprzyjemniej. Dziesięć minut to dla pańskich ekip dostatecznie długo.

! Ludzi mi nie brak. Będzie dziesięć minut.

Para krzepkich żołnierzy zaniósła Ringmana do izby chorych. Rawlingsowi zaordynowano wprawdzie odpoczynek i rekonwalescencję w stosunkowo przyzwoitych warunkach w mesie, wołał jednak moje towarzystwo w izbie.

! Troje rąk to więcej niż jedna, nawet jeżeli dwie należą do Rawlingsa ! powiedział, zerknąwszy na moją zabandażowaną dłoń.

Benson był niespokojny i od czasu do czasu coś mamrotał, ale świadomości jeszcze nie odzyskał. Natomiast kapitan Folsom spał w najlepsze, co uznałem za dziwne, dopóki Rawlings mi nie wyjaśnił, że w izbie nie ma alarmu i drzwi są absolutnie dźwiękoszczelne.

Ułożyliśmy Ringmana na kozetce, Rawlings odciął mu lewą nogawkę spodni parą ciężkich nożyc chirurgicznych. Nie było tak źle, jak podejrzewałem, proste złamanie piszczeli, bez powikłań. Przy pomocy Rawlingsa, który napracował się bardziej niż ja, opatrzyłem nogę Ringmana. Nie pakowałem jej na wyciąg, bo kiedy Jolly przyjdzie do siebie, mając obie ręce sprawne, zrobi to lepiej ode mnie.

Gdy tylko skończyliśmy, zadzwieczał telefon. Rawlings błyskawicznie odebrał, żeby nie budzić Folsoma, rzucił parę słów i odwiesił słuchawkę.

! Ze sterowni.

Jego skamieniała twarz świadczyła o tym, że wiadomość nie jest pomyślna.

! To do pana. Bolton, ten poważnie chory w laboratorium, którego pan wczoraj po południu przeniósł z "Zebry", nie żyje. Od dwóch minut. ! Ze smutkiem pokiwał głową. ! Mój Boże, jeszcze jedna śmierć.

! Nie ! zaprzeczyłem. ! Jeszcze jedno morderstwo.

## Rozdział 11

"Delfin" przypominał lodowy grobowiec. O wpół do siódmej rano, cztery i pół godziny od wybuchu pożaru, wciąż tylko Bolton nie żył. Ale kiedy nabiegłymi krwią, podrażnionymi oczami popatrzyłem po siedzących lub leżących w sterowni mężczyznach ! nikt już nie stał ! wiedziałem, że w ciągu godziny, najdalej dwóch, Bolton będzie miał towarzystwo. W takich warunkach najpóźniej o dziesiątej "Delfin" zmieni się w stalową trumnę. Jako okręt już był martwy. Wszystkie dźwięki, świadczące o jego żywotności: pulsujący pomruk wielkich silników, ostry skowyt generatorów, głęboki szum urządzeń klimatyzacyjnych, charakterystyczna praca sonaru, terkot w radiokabinie, łagodny syk powietrza, metaliczny szczęk szafy grającej, furkot wentylatorów, grzechot garnków w kuchni, kroki mężczyzn i ich rozmowy ! wszystkie te dźwięki umilkły. Umilkły wszelkie odgłosy życia, uderzenia okrętowego serca; na ich miejsce nie przysła jednak cisza, ale coś gorszego, świadectwo umierania ! przeraźliwie szybkie, chrapliwe, dyszące świsty dobywające się z płuc ludzi

walczących o powietrze.

Walka o powietrze. Prawdziwa ironia. Walka o powietrze, podczas gdy w olbrzymich zbiornikach był zapas tlenu na wiele dni. Na pokładzie znajdowały się co prawda aparaty oddechowe, podobne do brytyjskich akwalungów, pobierające mieszkankę tlenu z azotem wprost ze zbiorników, ale było ich zaledwie kilka. Członkowie załogi mogli z nich korzystać nie dłużej niż dwie minuty. Reszcie, ponad dziewięćdziesięciu procentom, pozostawała jedynie duszna męcząca agonია i śmierć. Parę wolnych aparatów przenośnych zarezerwowano dla ludzi gaszących pożar.

Tlen, z rzadka wpuszczany do pomieszczeń użytkowych, bynajmniej nie przynosił ulgi: wraz ze wzrostem ciśnienia oddychanie stawało się coraz dotkliwsze. Cały tlen świata niewiele mógł zdziałać, dopóki nieustannie rósł poziom dwutlenku węgla, wydalanego przez nasze udęczone płuca. Normalnie powietrze na "Delfinie" oczyszczano co dwie minuty, ale olbrzymi dwustutonowy klimatyzator, który tej operacji dokonywał, zżerał mnóstwo energii. Tymczasem według oceny elektryków zapas mocy akumulatora, zdolnego uruchomić reaktor, był niebezpiecznie mały. Dlatego stężenie dwutlenku węgla nieuchronnie oscylowało ku śmiertelnym rejonom, czemu nijak nie mogliśmy zapobiec.

Rosły także ilości freonu, ulatniającego się z urządzeń chłodzących, i wodoru z akumulatorów. Dym był teraz tak gęsty, że nawet w pomieszczeniach dziobowych widoczność spadła niemal do metra, musiał jednak pozostać, ponieważ brakowało energii do uruchomienia filtrów elektrostatycznych. Włączone na krótko okazały się absolutnie nieskuteczne, by rozproszyć biliony cząsteczek węgla. Ilekroć otwierano drzwi do maszynowni ■ co w miarę słabnięcia sił ekip ratowniczych następowało coraz częściej ■ przez okręt przewalały się nowe chmury paskudnego gryzącego dymu. Chociaż ogień w maszynowni ugaszono przeszło dwie godziny temu, tłąca się izolacja turbiny wydzielala o wiele więcej dymu niż płomienie.

Jednak wrogiem najgorszym był tlenek węgla, morderczy, podstępny, bezbarwny i bezwonny gaz i jego upiorna skłonność do atakowania czerwonych ciałek krwi, pięćset razy większa niż tlenu. Dopuszczalna norma na "Delfinie" wynosiła trzydzieści cząsteczek na milion. Teraz wskaźniki wahały się w granicach czterystu, pięciuset. Kiedy dojdą do tysiąca, pozostanie nam zaledwie parę minut życia.

Poza tym było zimno. Zgodnie z ponurą przepowiednią komandora Swansona "Delfin" z chłodnymi przewodami parowymi ostygł, choć w skali Celsjusza wynosiło to tylko dwa stopnie poniżej zera, ale zdrowo dało się nam we znaki. Większość załogi nie miała ciepłych ubrań, w normalnych warunkach temperatura "Delfina" utrzymywała się na poziomie dwudziestu dwóch stopni, niezależnie od temperatury na zewnątrz. Zabroniono poruszania się po pokładzie, żeby nie wytracać niezbędnej energii potrzebnej do oddychania w zatrutej atmosferze, w której nie dało się wytworzyć energii cieplnej dla obrony przed wilgocią i przejmującym zimnem. Ludźmi wstrząsały dreszcze, słycać było, jak boleśnie obijają się o pokład i ściany. Szczękali zębami, jęczeli, niemal kwilili, ale dominował chrapliwie zduszony, zgrzytliwy i przerażający świst z czyichś udęczonej płuc.

Oprócz jednorękich ■ Hansena i mnie, i chorych, każdy mężczyzna na "Delfinie" schodził do maszynowni i walczył z czerwonym demonem. Liczebność ekip ratowniczych podwojono, a pobyt na dole skrócono do trzech, czterech minut, żeby zmasować wysiłki i energię. Jednak z powodu

pogłębiających się ciemności, gęstniejących tumanów oleistego dymu, kłębiących się w koszmarnej ograniczonej przestrzeni, wyniki były frustrująco żałosne. Oczywiście dochodziło tu jeszcze ogarniające wszystkich wycieńczenie i mężczyźni szarpali i zdierali tłącą się izolację z siłą małego dziecka, rozpaczliwie i na pozór bez rezultatu. Kiedy o piątej trzydzieści po raz drugi i ostatni zszedłem do maszynowni, żeby zająć się Jollym, który pośliznął się i rozłożył jak długi, wiedziałem, że nigdy nie zapomnę tego widoku: ciemne, widmowe sylwetki w ciemnym, widmowym świetle, słaniające się i zataczające jak zombi w na poły zapomnianym koszmarze sennym. Kołysały się, potykały i padały na pokład albo na dno okrętu, zbrudzone spienionym dwutlenkiem węgla i okazałymi okopconymi płacami zerwanej osłony. Mężczyźni cierpiący katusze, w ostatniej fazie wyczerpania. Jedna iskierka ognia, żywiołu starego jak czas, i cały olśniewający dorobek techniki dwudziestego wieku obrócił się wniwecz. W jednej chwili osiągnięcia człowieka cofnęły się z ery nuklearnej do mrocznej prehistorycznej niewiedzy.

Godzina próby zawsze wyłania bohatera i załoga "Delfina" nie miała wątpliwości, że nasze nocne godziny też kogoś takiego wydały. Był nim doktor Jolly. Rychło doszedł do siebie po pierwszym nieszczęśliwym pobycie w maszynowni i parę sekund później, kiedy skończyłem opatrywać złamaną nogę Ringmana, znów pojawił się w sterowni. Nie najlepiej przyjął wiadomość o śmierci Boltona, ale ani słówkiem czy spojrzeniem nie dał do zrozumienia Swansonowi i mnie, że ponosimy winę za zlekceważenie jego diagnozy co do transportu na pokład kogoś, czyje życie wisiałoby na włosku nawet w doskonałych warunkach. Myślę, że Swanson był mu za to wdzięczny i może by Jolly'ego przeprosił, gdyby z maszynowni nie wyszedł człowiek z wiadomością, że jeden z jego ekipy się pośliznął i albo skręcił, albo złamał nogę w kostce ■ kolejny z wielu drobnych wypadków, które zdarzały się tej nocy w maszynowni. Jolly, nim zdążyliśmy go powstrzymać, sięgnął po najbliższy aparat oddechowy i już go nie było.

Straciliśmy praktycznie orientację, ile wycieczek odbył tej nocy. Piętnaście, a może znacznie więcej. Z wybiciem szóstej mózg zaczął mi kołowaciec. Zapewne nie brakowało doktorowi klientów. Dwa główne typy obrażeń były tak odmienne: poparzenie rozgrzaną do czerwoności osłoną, a przedtem parowymi przewodami, i odmrożenie dwutlenkiem węgla, gdy nierozważnie skierowany strumień pryskał na odsłonięte powierzchnie twarzy i dłoni. Jolly ani razu nie zawiódł, nawet wówczas, kiedy paskudnie rąbnął się w głowę. "Stary druh" mógł przygadywać komandorowi, że uratowano go z względnie bezpiecznej, komfortowej "Zebry", zjadliwie dowcipkować, a nagle włożyć maskę i wyjść. Tuzin mówców w Kongresie albo na forum Parlamentu nie dokonałoby tego, co Jolly tej nocy dla scementowania przyjaźni angielsko-amerykańskiej.

Około szóstej czterdzieści pięć do centrum kontrolnego zawitał starszy torpedowy Patterson. Przypuszczam, że wszedł drzwiami, ale pewności nie mam, bo stamtąd, gdzie siedziałem ■ między Swansonem a Hansenem ■ nie widziałem nawet połowy drogi do drzwi. Podpełznął do dowódcy na czworakach, kołysząc głową z boku na bok i charczał ciężko, oddychając co najmniej pięćdziesiąt razy na minutę. Nie nosił maski i nieustannie dygotał.

■ Musimy coś zrobić, komandorze ■ wycharczał.

Mówił na wdechu i wydechu, co przy dusznicy jest równie proste jak najzwyczajsze oddychanie.

■ Siedmiu ludzi w złym stanie między torpedownią na dziobie a mesą, komandorze. ■ Dziękuję.

Swanson, też bez maski, nie czuł się lepiej od Pattersona, pierś falowała mu ciężko, oddychał z chrapliwym świstem, po zszarzałej twarzy spływały pot i łzy.

▮ Postaramy się skończyć jak najszybciej.

▮ Więcej tlenu ▮ powiedziałem. ▮ Wpuście tlen na pokład.

▮ Tlen? Więcej tlenu? ▮ Potrząsnął głową. ▮ Za wysokie ciśnienie.

▮ Ciśnienie ich nie zabije.

Zziębnięty, udręczony piekącym bólem oczu i klatki piersiowej, mgliście uświadomiłem sobie, że wydaję głos równie obcy jak Swanson i Patterson.

▮ Zabije ich tlenek węgla. Już robi swoje. Chodzi o odpowiednią proporcję dwutlenku węgla i tlenu. Tlenku jest za dużo, stanowczo za dużo. I to nas wykończy.

▮ Więcej tlenu ▮ rozkazał Swanson. Wyrazy uznania dla mojej propozycji kosztowałyby go już zbyt wiele wysiłku.

▮ Więcej tlenu.

Zawory odkręcono i tlen z gwizdem wpadł do centrum i, o ile mi wiadomo, do pomieszczeń załogi. Wskutek rosnącego ciśnienia poczułem trzaski w uszach i nic więcej, żadnej ulgi w oddychaniu, co zresztą potwierdził Patterson, kiedy wyraźnie słabszy wpłynął po raz drugi, przynosząc wiadomość, że nieprzytomnych jest teraz dwunastu.

Wyposażony w aparat tlenowy o zamkniętym obiegu ▮ jeden z nielicznych, jakie jeszcze zostały ▮ poszedłem z nim na dziób i podałem tlen wszystkim nieprzytomnym, każdemu po minucie, wiedząc, że to pomoc doraźna; tlen cucił ich, ale w parę minut po zdjęciu maski znów popadali w omdlenie. Wracałem do sterowni przez mroczną norę, mijając beładnie stłoczonych mężczyzn. Niemal wszyscy leżeli, większość była półprzytomna, ja zresztą też. Mętnie deliberowałem, czy czują się tak jak ja, czy ogień w płucach rozszedł się już po całym ciele, czy dostrzegają pierwsze drobne zmiany koloru rąk i twarzy, przedśmiertny rumieniec purpury, pierwsze nieomyłne symptomy zatrucia tlenkiem węgla i rychłej śmierci. Jolly jeszcze nie wrócił z maszynowni; najwyraźniej trwał na posterunku, ponieważ w miarę postępującego wycieńczenia ludzi, gdy spadała ich zdolność koncentracji i samokontroli, rosło niebezpieczeństwo okaleczenia siebie lub kolegów.

Swanson tkwił tam, gdzie go zostawiłem, oparty o stół nakresowy. Kiedy się osunąłem na pokład i zająłem miejsce między nim a Hansenem, uśmiechnął się słabo.

▮ Co z nimi, doktorze? ▮ wyszeptał.

Jego szept brzmiał pewnie i mocno. Kamienny spokój nadal go nie opuszczał i z pewnym wysiłkiem uprzytomniłem sobie, że jest tutaj ktoś, kto nigdy się nie załamuje; takich ludzi spotyka się raz na milion albo raz w życiu. Swanson był jednym z nich.

─ Nędznie ─ odpowiedziałem.

Nie było to drobiazgowe orzeczenie lekarskie, ale zawierało istotę rzeczy i zaoszczędziło mi energii.

─ Pierwszy zgon spowodowany zatruciem tlenkiem węgla nastąpi w ciągu godziny.

─ Tak szybko? ─ Jego głos i czerwone, załzawione oczy cechowało zdumienie. ─ Nie tak prędko, doktorze. Ledwie... hm... ledwie zaczęły się pierwsze objawy.

─ Niestety. Zatrucie tlenkiem węgla postępuje bardzo gwałtownie. W ciągu godziny umrze pięciu, godzinę później pięćdziesięciu. Co najmniej pięćdziesięciu.

─ Wyręcza mnie pan w wyborze ─ wymruczał. ─ Za co jestem wdzięczny. John, gdzie Cartwright? Wybiła jego godzina.

─ Pójdę po niego.

Gdy Hansen podźwignął się z trudem, jak starzec na łożu śmierci, próbujący się podnieść po raz ostatni, do sterowni weszła na ostatnich nogach grupka poczerniałych mężczyzn. Od razu zmieniła ich nowa ekipa i gęsiego odmaszerowała do maszynowni. Swanson zapytał jednego z przybyłych:

─ Czy to wy, Will?

─ Tak, panie komandorze.

Oficer nawigacyjny, porucznik Raeburn, zdjął maskę i zaniósł się bolesnym kaszlem. Swanson chwilę odczekał.

─ Co tam na dole, Will?

─ Już nie dymimy, szefie. ─ Otarł załzawioną twarz, zatoczył się i chwiejnie usiadł na podłodze. ─ Chyba zerwaliśmy całą osłonę.

─ Kiedy uporacie się z resztą?

─ Bóg jeden wie. Normalnie w dziesięć minut, ale z naszą kondycją godzinę. Może dłużej.

─ Dziękuję.

Uśmiechnął się lekko na widok Hansena i Cartwrighta, którzy wynurzyli się z dymiących ciemności.

─ O, nasz oficer od napędu. Panie Cartwright, byłbym rad, gdyby pan rozpałił pod kotłem. Jaki jest rekord w uaktywnianiu urządzeń, wytwarzaniu pary i puszczaniu w ruch turbogeneratorów?

─ Trudno wyczuć, komandorze.

Czerwonooki, kaszlący, poczerniały od dymu i najwyraźniej mocno cierpiący Cartwright

rozprostował ramiona i wolno się uśmiechnął.

┃ Ale może go pan uznać za pobity.

Wyszedł. Swanson podniósł się z widocznym wysiłkiem. Pomijając dwie krótkie inspekcje w maszynowni, ani razu podczas tych nie kończących się, bolesnych godzin nie skorzystał z aparatu tlenowego. Poprosił o zasilenie obwodu radiowego, odczepił mikrofon i przemówił spokojnym, czystym, silnym głosem; był to przykład zdumiewającego opanowania, triumf umysłu nad umęczonymi, spragnionymi powietrza płucami.

┃ Tu dowódca ┃ zaczął. ┃ Pożar w maszynowni ugaszony. Reaktywujemy siłownię. Otworzyć wszystkie wodoszczelne drzwi aż do odwołania. Najgorsze za nami. Dziękuję za wszystko, co zrobiliście.

Odwiesił mikrofon i zwrócił się do Hansena:

┃ Najgorsze za nami, jeżeli starczy mocy na reaktywowanie reaktora.

┃ Oczywiście najgorsze ciągle może nadejść ┃ wtrąciłem. ┃ Uruchomienie turbogeneratorów i włączenie oczyszczalników powietrza zajmie wam ze trzy kwadranse, może godzinę. A kiedy, pańskim zdaniem, doczekamy się efektów ich pracy?

┃ Po półgodzinie. Najszybciej. Może później.

┃ Otóż to.

Mózg skołowaciał mi już do tego stopnia, że z trudem ujmowałem myśli w słowa, wcale nie będąc przekonany, czy są cokolwiek warte.

┃ Czyli minimum półtorej godziny, a pan mówi, że najgorsze minęło. Najgorsze dopiero przed nami.

Potrząsnąłem głową, próbując sobie przypomnieć, co to ja właściwie chciałem powiedzieć, po czym wydusiłem:

┃ W ciągu półtorej godziny nie będzie żył co czwarty.

Swanson uśmiechnął się. Nie do wiary, on się naprawdę uśmiechnął.

┃ "Nie sądzę", jak mawiał Sherlock Holmes do profesora Moriarty, doktorze. Nikt się tu nie zatruje tlenkiem węgla. Za piętnaście minut na całym okręcie będziemy mieć świeże powietrze.

Hansen i ja spojrzeliśmy po sobie. Potworne napięcie najwyraźniej odebrało staruszkowi rozum. Swanson pochwycił naszą wymianę spojrzeń i zaniósł się śmiechem, który raptem przerodził się w atak konwulsyjnego kaszlu, bo łyknął do płuc za dużo zatrutego, zadymionego powietrza. Kasłał długo, a kiedy pomału doszedł do siebie, wydyszał:

┃ Dobrze mi tak. Ale te wasze miny... Jak się panu wydaje, doktorze, dlaczego kazałem pootwierać



wodoszczelne drzwi?

■ Nie mam pojęcia.

■ John?

Hansen potrząsnął głową. Swanson zerknął na niego figlarnie:

■ Porozmawiaj z maszynownią. Niech włączą diesel.

■ Tak, komandorze ■ drewnianym głosem powiedział Hansen i ani drgnął.

■ Porucznik Hansen zastanawia się, czy nie pójść po kaftan bezpieczeństwa ■ skonstatował Swanson. ■ Porucznik Hansen wie, że dieslowskiego silnika przenigdy się nie zapala, kiedy łódź jest zanurzona, a chrapy pod lodem bezużyteczne, tymczasem diesel nie dość że pobierze powietrze z maszynowni, to zachłannie połknie je skąd się tylko da i wkrótce oczyści cały okręt. I o to mi właśnie chodzi. Wpuścimy na dziób sprężone powietrze pod dosyć wysokim ciśnieniem. Przyjemne, czyste i świeże. Zapalimy diesel na rufie; początkowo będzie pracował nierówno, bo w tej trującej ohydzie niewiele jest tlenu, ale będzie. A jak wyssie mnóstwo dymu za burtę, ciśnienie spadnie i drogę utoruje sobie świeże powietrze. Wcześniej taka operacja byłaby samobójcza; świeże powietrze podsycałoby płomienie i ogień wymknąłby się spod naszej kontroli. Ale teraz nie ma przeszkód. Silnik możemy uruchomić oczywiście tylko na parę minut, ale to w zupełności wystarczy. Kojarzycie, poruczniku Hansen?

Hansen, owszem, kojarzył, ale nic nie powiedział, bo zniknął.

Po trzech minutach w korytarzu nad reaktorem usłyszeliśmy przerywany dźwięk zapalanego diesla. Cichł, dławił się i znów załapywał. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że przy wlocie powietrza mechanicy musieli wyłączyć niejedną butlę eteru, żeby zaskoczył. Minutę lub dwie chodził ciężko i dychawicznie, wydawało się, że nie wywiera najmniejszego wpływu na trujące tumany, ale w końcu, najpierw prawie niedostrzegalnie, potem coraz wyraźniej dym wirując podryfował w kierunku korytarza. Widzieliśmy już światło nie zgaszonej lampy. Podczas gdy diesel pochłaniał co czarniejsze chmury na rufie, ich wełniste, snujące się po kątach sterowni niedobitki zaczęły wypierać jaśniejsze pasemka z przejścia do kwatery oficerów, zwabione malejącym u nas ciśnieniem, a popychane przez zgromadzone w części dziobowej warstwy życiodajnego tlenu, w miarę jak sprężone powietrze wypełniało pomieszczenia użytkowe.

Następne minuty dokonały cudu. Im więcej tlenu zasysał głucho dudniący w maszynowni diesel, tym rytmiczniej i żwawiej pracował. Opary w sterowni pomału ustępowały pola napływającej z dziobu delikatnej szarawej mgiełce, która z trudem zasługiwała na miano "dymu". Mgiełka niosła z sobą upragniony tlen, powietrze o znikomej już teraz zawartości dwutlenku i tlenku węgla. Albo tak się nam tylko zdawało.

Efekt przeszedł wszelkie oczekiwania. Zupełnie jakby przez pokład przebiegł czarodziej i dotknął wszystkich różdżką życia. Nieprzytomni, dla których śmierć była kwestią pół godziny, poruszyli się, niektórzy otworzyli oczy. Udręczeni chorzy, wycieńczeni, nękani mdłościami, beładnie leżący lub

siedzący, usiedli prosto lub wstali. Wciągając powietrze do obolałych płuc stwierdzili, że nie wdychają toksycznych gazów, i ich twarze przybrały komiczny wyraz, zdumienia i niedowierzania. Mężczyźni, pogodzeni ze śmiercią, zaczęli się dziwić, jak w ogóle mogli tak myśleć. Jakość powietrza była chyba wątpliwa i bhp miałoby pewnie w tej sprawie niejedno do powiedzenia, ale dla nas nawet górski stok sosnowy nie pachniałoby rozkoszniej.

Swanson bacznie kontrolował przyrządy pomiarowe, rejestrujące poziom ciśnienia na pokładzie. Kiedy pomału spadło poniżej przepisowych siedmiu atmosfer, polecił je zwiększyć, a gdy osiągnęło normę, kazał wyłączyć diesel i odciąć dopływ sprężonego powietrza.

■ Komandorze Swanson ■ powiedziałem. ■ Jeśli kiedykolwiek zechciałby pan zostać admirałem, dam panu referencje.

■ Dziękuję ■ odparł z uśmiechem. ■ Mieliśmy dużo szczęścia.

Jasne. Ludzie pływający ze Swansonem zawsze je będą mieli. Teraz odezwały się pompy i silniki uruchomione przez Cartwrighta, aby reanimować reaktor napędowy. Wiedzieliśmy, że wszystko wisi na włosku, że moc akumulatorów może się okazać niedostateczna, ale o dziwo, nikt nie wątpił, że Cartwrightowi się uda; za dużo przeszliśmy, żeby teraz choćby pomyśleć o porażce.

I nie doznaliśmy zawodu. Dokładnie o ósmej rano Cartwright zadzwonił z wiadomością, że ma parę na łopatkach turbiny i "Delfin" znów jest na chodzie. Miło było to słyszeć.

Przez trzy godziny wolno parliśmy naprzód. Urządzenia klimatyzacyjne pracowały pełną parą, przywracając na pokładzie normalne powietrze. Potem Swanson stopniowo przyspieszał, aż do osiągnięcia około pięćdziesięciu procent przeciętnej szybkości, jaką Cartwright uznał za bezpieczną. "Delfin" z najróżniejszych przyczyn technicznych nie powinien pływać z nie izolowanymi turbinami, trzeba więc było zredukować szybkość do minimum. Bez osłony Cartwright nie chciał forsować wysokoprężnej turbiny z prawej burty ani ułamek powyżej określonej mocy. Tym sposobem pokonanie paku miało potrwać znacznie dłużej i dowódca poinformował przez radio, że jeśli lód skończy się tam, gdzie się zaczynał, gdyśmy płynęli do Stacji ■ a nic nie wskazywało na to, żeby się przesunął dalej niż o kilka mil ■ na otwartym morzu będziemy około czwartej rano następnego dnia.

O czwartej tego popołudnia załoga pracująca na zmiany usunęła z pobojuwiska wszystkie śmieci i pianę, jakie się zebrały podczas długiej nocy. Potem Swanson przetrzebił wachty, pozostawiając tylko ludzi niezbędnych do prowadzenia łodzi, aby jak najwięcej osób mogło się porządnie wyspać. Radość ze zwycięstwa przygasła. Zapomniano już o bolesnej uldze na wieść, że "Delfin" nie musi stać się żelaznym grobowcem pod lodową czapą. Nastąpiła teraz silna reakcja na straszną bezsenność. Harówka w metalowej dżungli maszynowni, strach o życie, trujące opary ■ wszystko to odebrało ludziom resztkę sił i załoga posnęła kamiennym snem.

Ja nie spałem. Nie o czwartej. Nie mogłem. Miałem o czym myśleć. Myślałem o tym, że "Delfin" popadł w tarapaty przede wszystkim z mojej winy, błędu, przeliczenia się albo zwyczajnej głupoty. Myślałem o tym, co powie komandor Swanson, kiedy się dowie, ile przed nim zataiłem. Chociaż, skoro trzymałem go w niewiedzy tak długo, nic się nie stanie, jeśli potrzynam go jeszcze trochę.

Rano znajdzie się dość czasu, żeby go o wszystkim poinformować. Reakcja Swansona może być, oględnie mówiąc, interesująca. Może wybiję medale dla Rawlingsa, ale nie dla mnie. Nie wtedy, kiedy powiem mu to, co będę musiał.

Rawlings. Oto człowiek, którego teraz potrzebowałem. Poszedłem do niego, wyłuszczyłem sprawę i zapytałem, czy nie miałby nic przeciwko poświęceniu paru godzin snu. Nie zawiódł, jak zawsze.

Później tego wieczoru zajrzałem do paru pacjentów. Jolly po herkulesowym wysiłku poprzedniej nocy legł powalony snem i Swanson poprosił mnie o zastępstwo. Zastąpiłem więc, ale niezbyt gorliwie. Z jednym tylko wyjątkiem wszyscy smacznie spali i nie istniała żadna nagląca potrzeba, by ich budzić. Wyjątkiem był doktor Benson, który późnym popołudniem odzyskał przytomność. Najwyraźniej wracał do zdrowia, narzekał tylko, że głowę ma jak dynia, zaaplikowałem mu więc proszki i na tym moje leczenie się skończyło. Zapytałem, czy nie domyśla się przyczyny swojego upadku, był jednak albo zbyt otępiaty i nie pamiętał, albo po prostu nie wiedział. Ale nie robiło mi to różnicy, znałem odpowiedź.

Dziewięć godzin dość egoistycznie przespałem, nakłoniwszy Rawlingsa do czuwania przez pół nocy. Ale nie miałem wielkiego wyboru. To Rawlings, nie ja, mógł odegrać zasadniczą rolę.

Tej nocy wydostaliśmy się spod paku na otwarte Morze Arktyczne.

Wstałem krótko po siódmej, umyłem się, ogoliłem i ubrałem tak starannie, jak mi na to pozwalała jedna sprawna ręka, uważając, że sędzia udający się na rozprawę winien jest swojej publiczności schludny przyodziewek. Potem w kwaterze oficerskiej dobrze sobie podjadłem i przed dziewiątą wkroczyłem do sterowni. Wachtę trzymał Hansen. Podeszedłem do niego i cicho, żeby nikt mnie nie usłyszał, spytałem:

■ Gdzie komandor Swanson?

■ U siebie w kajucie.

■ Chciałbym z nim pomówić. Z panem też. Na osobności.

Hansen spojrzał na mnie z zadumą, skinął głową, przekazał wachtę nawigatorowi i poprowadził mnie do kabiny Swansona. Zapukaliśmy, weszli do środka i zamknęliśmy drzwi. Nie traciłem czasu na wstępy.

■ Znam zabójcę. Brak mi dowodu, ale właśnie zamierzam go zdobyć. Chciałbym, żebyście byli pod ręką. Jeśli możecie poświęcić trochę czasu.

Po minionych trzydziestu godzinach nie byli zdolni do gwałtownych reakcji, obyło się więc bez wyrzucania rąk w górę, dwuznacznych spojrzeń czy innych typowych oznak niedowierzania. Swanson w zamyśleniu popatrzył na Hansena, wstał od stolika, złożył mapę, którą studiował, i sucho oznajmił:

■ Sądzę, że możemy poświęcić trochę czasu, doktorze Carpenter. Nigdy dotąd nie spotkałem mordercy. ■ Jego głos brzmiał bezosobowo, nawet beztrosko, tylko w jasnych szarych oczach czaił się chłód. ■ To nie lada przeżycie spotkać faceta z ośmioma ludźmi na sumieniu. ■ Może się pan

uważać za szczęśliwca, że skończyło się tylko na ośmiu ■ stwierdziłem. ■ Wczoraj o mały włos nie podwyższył tej liczby do stu.

Tym razem ich zamurowało. Swanson wpatrywał się we mnie przez chwilę, po czym spytał łagodnie:

■ Co pan ma na myśli?

■ Nasz przyjaciel z bronią nosi także pudełko zapalek ■ oświadczyłem. ■ Wczoraj bladym świtem bawił się nimi w maszynowni.

■ Ktoś rozmyślnie próbował podpalić okręt? ■ Hansen popatrzył na mnie z jawnym niedowierzaniem. ■ Nie kupuję, doktorze.

■ A ja tak ■ powiedział Swanson. ■ Kupuję wszystko, co mówi doktor Carpenter. Mamy do czynienia z wariatem. Tylko wariat ryzykowałby własne życie i życie stu innych.

■ Przeliczył się ■ stwierdziłem. ■ Chodźmy. Czekali na nas w kwaterze oficerskiej, tak jak to sobie obmyśliłem, cała jedenastka: Rawlings, Zabrinky, kapitan Folsom, doktor Jolly, bracia Harringtonowie, na tyle zdrowi, by opuścić łóżka, Naseby, Hewson, Hassard, Kinnaird i Jeremy. Z wyjątkiem Rawlingsa, który otworzył nam drzwi, i Zabrinky'ego, który ■ wciąż z nogą w gipsie ■ siedział na krześle w kącie pokoju i przeglądał gazetkę pokładową "Oszołomienie", wszyscy usadowili się przy stole. Na widok Swansona część wstała, ale komandor ruchem ręki kazał im usiąść. Nikt słowem się nie odezwał, nikt prócz doktora Jolly, który zagrzmiął tubalnie:

■ Dzień dobry, dowódco! Tak, tak, to intrygujące zebranko. Bardzo intrygujące. Po co chciał pan nas widzieć, komandorze?

Odchrząknąłem.

■ Wybaczcie mi małe oszustwo. To ja chciałem was widzieć, nie komandor.

■ Pan? ■ Jolly ściągnął wargi i popatrzył na mnie podejrzliwie. ■ Nie chwytam, stary druhu. Dlaczego pan?

■ Dopuszczałem się jeszcze jednego małego oszustwa. Nie jestem, jak dałem wam to do zrozumienia, urzędnikiem Ministerstwa Zaopatrzenia. Jestem agentem rządu brytyjskiego, oficerem kontrwywiadu M. I. 6.

Zatkało ich. Wpatrywali się we mnie z rozdziawionymi ustami niczym wyciągnięte na brzeg ryby. Doktor Jolly, zawsze szybko dostosowujący się do sytuacji, oprzytomniał pierwszy.

■ Na Jowisza, kontrwywiad! Kontrwywiad! Szpiedzy, płaszczki i szpady, urodziwe blondynki schowane w szafach, a ściślej ■ w kwaterze oficerskiej. Ale dlaczego... dlaczego pan jest tutaj? Co pan... po co pan chciał nas widzieć, doktorze Carpenter? ■ W drobnej sprawie morderstwa ■ odpowiedziałem.

■ Morderstwa?! ■ po raz pierwszy od chwili pojawienia się na pokładzie przemówił kapitan Folsom.

Głos, wydobywający się z jego okrutnie poparzonej twarzy, przypominał zdławione krakanie. ■ Morderstwo?

■ Dwaj mężczyźni, którzy zostali w laboratorium arktycznym, nie żyli przed wybuchem pożaru. Zlikwidowano ich strzałem w głowę, trzeciego pchnięto nożem. Nazwałbym to morderstwem, a pan?

Jolly po omacku odszukał stół i chwiejnie opadł na krzesło. Inni wyglądali na zadowolonych, że już siedzą.

■ Nie muszę chyba dodawać ■ podjąłem, dodając mimo wszystko ■ że morderca jest w tym pokoju.

Gdy się tak patrzyło na nich, to było nie do pomyślenia. Żaden z owych szlachetnych obywateli absolutnie nie może być zabójcą. Wszyscy co do jednego wyglądali niewinnie jak baranki, czyści niczym świeżo spadły śnieg.

## Rozdział 12

Eufemizmem byłoby stwierdzenie, że udało mi się pozyskać zainteresowanie audytorium. Może gdybym był dwugłowym przybyszem z kosmosu albo facetem mającym właśnie ogłosić wyniki wielomilionowej wygranej w totka, którego kupony trzymali w garści, albo gdyby musieli ciągnąć zapalki, który z nich stanie przed plutonem egzekucyjnym ■ poświęciliby mi jeszcze więcej uwagi. Chociaż wątpię.

■ Jeśli wysłuchacie mnie cierpliwie ■ powiedziałem ■ zacznę od krótkiego wykładu z optyki aparatów fotograficznych, tylko nie pytajcie, co to ma za związek z morderstwem, bo jak się niedługo przekonacie, ma i to zasadniczy. Kiedy jakoś emulsji fotograficznej dorównuje jakości soczewki obiektywu, wyrazistość szczegółu na zdjęciu zależy od odległości ogniskowej, czyli odległości między soczewką a błoną. Zaledwie piętnaście lat temu maksymalna ogniskowa wynosiła około półtora metra. Takie aparaty wykorzystywały samoloty zwiadowcze w późniejszej fazie II wojny światowej. Na zdjęciu zrobionym z wysokości szesnastu kilometrów była widoczna mała walizka, co jak na owe czasy należało do niezłych osiągnięć. Ale amerykańska armia i lotnictwo wojskowe domagały się aparatów większych i lepszych, osiągalnych dzięki wydłużeniu ogniskowej. Oczywiście istniały pewne ograniczenia. Zainstalowane urządzenia o ogniskowej, powiedzmy, sześciu metrów w samolocie albo małym satelicie, jak chcieli Amerykanie, byłoby niemożliwe, bo aparat musiałby mieć sześć metrów i celować pionowo w dół. Tymczasem naukowcy wystartowali z nowym typem aparatu, wykorzystując zasadę składanych soczewek. światło nie biegnie już po prostej wzdłuż cylindra, tylko odbija się w szeregu ustawionych pod kątem lusterek, co pozwala na znaczne wydłużenie ogniskowej bez konieczności powiększania aparatu. W roku 1950 skonstruowano soczewkę o ogniskowej równej dwustu pięćdziesięciu czterem centymetrom. Było to niemałe ulepszenie aparatów z II wojny światowej, które, przypomnę, z szesnastu kilometrów ledwie fotografowały walizkę. Nowy aparat z tej samej wysokości rejestrował paczkę papierosów. Dziesięć lat później pojawiło się coś o nazwie Perkin-Elmer Roti, satelita wyposażony w aparat o ogniskowej dwunastu metrów, czyli odpowiednik aparatu cylindrycznego długości dwunastu metrów, który z szesnastu kilometrów wychwytywał kostkę cukru.

Wnikliwie popatrzyłem na słuchaczy, czy przypadkiem nie zmogła ich nuda. Nie zmogła. Żaden wykładowca nie miał bardziej zapalonego audytorium niż ja.

■ Trzy lata później ■ kontynuowałem ■ inna firma amerykańska usprawniła go wprost fantastycznie i aparat można było montować nawet na małych satelitach. Trzy lata nieprzerwanej pracy okazały się warte zachodu. Nie znamy odległości ogniskowej, ponieważ jej nie ujawniono, wiemy jednak, że w dobrych warunkach atmosferycznych z niemal pięć tysięcy kilometrów nad ziemią można sfotografować biały spodek na ciemnym tle. I to na względnie małym negatywie, który daje się powiększać prawie w nieskończoność, bo naukowcy wynaleźli też całkowicie nową emulsję (skład ściśle tajny) sto razy czulszą od najdoskonalszych błon dostępnych na rynkach komercyjnych. Zamierzano ją przystosować do dwutonowego satelity, nazwanego przez Amerykanów SAMOS III. Nigdy jednak do tego nie doszło. Jedyne tego typu urządzenie zniknęło. Ukradzione w biały dzień i, jak się dowiedzieliśmy później, zdemontowane, poleciał z Nowego Jorku do Hawany polskim samolotem pasażerskim, który startując z Miami, uniknął kontroli celnej. Przed czterema miesiącami aparat wystrzelono na orbitę polarną w radzieckim satelicie, siedem razy dziennie przecinającym środkowy zachód Ameryki. Takie satelity mogą krążyć bez końca, ale już w trzy dni, dzięki wspaniałym warunkom pogodowym, Rosjanie mieli to, czego chcieli, a mianowicie zdjęcia wszystkich amerykańskich wyrzutni pocisków z bazy na zachód od Missisipi. Ilekroć fotografowano mały wycinek Stanów Zjednoczonych, inny mniejszy aparat skierowany pionowo w górę rejestrował położenie gwiazd. Potem wystarczyło tylko sprawdzić współrzędne na mapie i ustawić radziecki pocisk interkontynentalny na dowolną wyrzutnię w Ameryce. Ale najpierw musieli dostać te zdjęcia. Radiokomunikacja nie jest tu najlepsza, zdecydowanie za dużo traci się na jakości i szczegółach, a pamiętajcie, że negatyw był stosunkowo mały. Dlatego musieli zdobyć filmy. Istnieją na to dwa sposoby: sprowadzenie satelity na ziemię albo zrzucenie kapsuły z filmami. Amerykanie, testując "Discoverer", doprowadzili do perfekcji umiejętność przechwytywania kapsuł z samolotu. Rosjanie nie, wiemy jednak, że opanowali technikę ich zrzucania ■ jeśli satelicie coś się przytrafi, musieli więc ściągnąć satelitę. Zamierzali to przeprowadzić około trzydziestu kilometrów na wschód od Morza Kaspijskiego, ale operacja wzięła w łeb. Nie bardzo wiemy, dlaczego, nasi eksperci uważają, że na dany sygnał radiowy mogły nie odpalić hamujące silniki rakietowe z boku kapsuły. Zaczynacie rozumieć, panowie?

■ Zaczynamy, a jakże ■ bardzo cicho powiedział Jeremy. ■ Satelita zmienił orbitę.

■ Otóż to. Odpalenie silników tylko z jednej strony zamiast wyhamować szybkość satelity, o co w tym wypadku chodziło, zniosło go z kursu. Nowa orbita biegła nad Alaską, południowym Pacyfikiem, Ziemią Grahama na Antarktydzie, nad południowym rejonem Ameryki Południowej, dalej nad Afryką i Europą Zachodnią, a potem łagodnym łukiem na Północ w odległości jakichś trzydziestu kilometrów od bieguna północnego. Teraz jedynym sposobem odzyskania filmów było zrzucenie kapsuły, ponieważ odpalając silniki rakietowe z drugiej strony, nawet gdyby im się udało tak wyhamować satelitę, żeby zszedł z orbity, nie wiedzieliby, dokąd poleci. Ale rzeczą dla Rosjan wręcz fatalną było to, że satelita nigdzie nie przecinał ani Związku Radzieckiego, ani strefy ich komunistycznych wpływów. Co gorsza, dziewięćdziesiąt procent trasy biegło nad otwartym morzem i gdyby tam zdecydowali się na zrzut, nie zobaczyliby już filmów, bo kapsuła obficie powleczone aluminium i piroceramem, żeby wytrzymać wysoką temperaturę podczas ponownego wejścia w atmosferę, jest znacznie cięższa od wody. A, jak mówiłem, nie odkryli amerykańskiej tajemnicy przechwytywania

kapsuł z powietrza i chyba się ze mną zgodzicie, że nie mogli poprosić Amerykanów o przysługę. Tak więc postanowili sprowadzić filmy w jedyne bezpieczne i dostępne im miejsce: na arktyczne lody Północy albo na Antarktydę. Przypomina pan sobie, kapitanie, że wchodząc na pokład "Delfina" wspominałem o mojej bytności na Antarktydzie. Rosjanie mają tam kilka stacji geofizycznych i jeszcze kilka dni temu sądziliśmy, na pięćdziesiąt procent, że tam właśnie zrzucą kapsułę. Myliliśmy się. Ich najbliższa stacja leży pięćset kilometrów od toru orbity, a z kraju nie wyruszyła ani jedna ekspedycja.

■ I postanowili to ściągnąć opodal stacji arktycznej "Zebra"? ■ spytał Jolly.

To, że nie nazwał mnie "starym druhem", świadczyło o jego poruszeniu.

■ Wtedy kiedy satelita sfiksował, "Zebra" jeszcze nie istniała, ale ukończono już prace przygotowawcze. Uzgodniliśmy z Kanadą, że do jej transportu wypożyczy nam lodołamacz "St. Lawrence", tymczasem Rosjanie w przypływie dobrej woli i w ramach międzynarodowej współpracy zaoferowali nam "Lenina", najwspanialszy lodołamacz świata o napędzie atomowym. Chcieli mieć pewność, że "Zebra" nie tylko stanie, ale że stanie we właściwym czasie. Wschodnio-zachodni dryf lodu był tego roku wyjątkowo ospały i od zmontowania Stacji do chwili przelotu nad nią satelity upłynęło przeszło siedem tygodni.

■ Znalście zakusy Rosjan? ■ spytał Hansen.

■ My tak, oni za to nie mieli bladego pojęcia, że depczemy im po piętach. Nie wiedzieli, że jednym z elementów wyposażenia, jakie przewieźli, był monitor satelitarny, dzięki któremu major Halliwell mógł odebrać sygnał przesłany na satelitę, uruchamiający zrzut kapsuły. Wolno rozejrzałem się po zebranych.

■ Idę o zakład, że prócz majora Halliwella i trzech ludzi z jego baraku, tam gdzie urządzenie było ulokowane, nikt o tym nie wiedział. Nie znaleźliśmy jedynie nazwiska członka ekipy "Zebry", którego przekupili Rosjanie. Byliśmy pewni, że ktoś taki musi być, ale kto? Mimo że wszystkim obdarzono pełnym zaufaniem, ktoś dał się przekupić i ten ktoś po powrocie do Wielkiej Brytanii opływałby w bogactwa do końca swoich dni. Wraz z obcym agentem Rosjanie umieścili w "Zebrze" przenośny monitor ■ urządzenie elektroniczne nastrojone na odbiór specjalnego sygnału radiowego, emitowanego przez kapsułę w chwili jej odłączenia się od satelity. Kapsułę można zrzucić z wysokości pięciuset kilometrów bardzo precyzyjnie. Zwykle ląduje w promieniu jednej mili od celu, ale ponieważ powierzchnia lodu jest nierówna i najczęściej ciemna, monitor miał dopomóc naszemu przyjacielowi w lokalizacji obiektu. Przypuszczam, że kapsuła wysłała sygnały co najmniej przez dwadzieścia cztery godziny od wylądowania. Nasz przyjaciel wyszedł z monitorem na poszukiwania, znalazł to, czego chciał, odczepił kotwicę i przyniósł swój skarb do stacji. Wciąż kojarzycie, panowie? A zwłaszcza jeden pan?

■ Sądzę, że kojarzymy, doktorze Carpenter ■ miękko powiedział komandor Swanson. ■ Wszyscy jak tu jesteśmy.

■ świetnie. No cóż, na nieszczęście major Halliwell i jego trzech towarzysze też wiedzieli o zrzucie. Kontrolowali satelitę całą dobę. Wiedzieli, że ktoś stosunkowo szybko wyruszy na poszukiwania, nie

mieli jednak pojęcia, kto. W każdym razie major Halliwell postawił na czatach swojego człowieka, który mimo wściekle mroźnej, sztormowej nocy miał oczy i uszy szeroko otwarte i wreszcie albo naszego przyjaciela zaatakował, gdy ten wracał z kapsułą, albo też, co bardziej prawdopodobne, zobaczył światło w jego kabinie, sprawdził, podpatrzył, jak usuwa film z kapsuły i zamiast cicho odejść, żeby o wszystkim zameldować majorowi Halliwellowi, wszedł do środka i naszego przyjaciela sprowokował. Jeśli tak to wyglądało, popełnił poważny i ostatni błąd w swoim życiu. Zarobił nożem między zębra.

Przyglądałem się kolejno wszystkim zebranych.

■ Ciekawe, który z was to zrobił. Kimkolwiek by był, marny z niego spec. Złamał nóż i ostrze zostało w piersi. Znalazłem je tam.

Spojrzałem na Swansona, nawet nie drgnął. Wiedział, że żadnego ostrza nie znalazłem, to on znalazł trzonek w baku paliwa. Było jednak dość czasu, by im o tym powiedzieć.

■ Kiedy zwiadowca nie wrócił, major Halliwell zaniepokoił się. Tak to mniej więcej musiało wyglądać. Zresztą mniejsza o szczegóły. Nasz przyjaciel miał się odtąd na baczności, wiedział, że ktoś depcze mu po piętach ■ co zapewne porządnie go zaskoczyło, bo uważał, że jest poza wszelkim podejrzeniem ■ i kiedy pojawił się drugi człowiek majora, był przygotowany. Musiał zabić, zważywszy, że w kabinie leżały zwłoki pierwszego. Prócz złamanego noża miał broń i użył jej. Obaj mężczyźni mieszkali w baraku Halliwella, zabójca więc skojarzył, kto ich nasłał i wiedząc, że jeśli drugi zwiadowca natychmiast się nie zamelduje z powrotem, major i jeszcze jeden człowiek będą u niego dwukrotnie szybciej. Postanowił nie czekać ■ i tak spalił za sobą mosty. Wszedł do baraku majora Halliwella i załatwił ich strzałem w głowę. Obaj leżeli w łóżkach. Kule weszły nisko z przodu, a wyszły wysoko z tyłu. Taki kąt jest możliwy wtedy, gdy zabójca wypala do leżącego, stojąc w nogach łóżka. Sądzę, że pora jest chyba równie dobra jak każda inna, żebym wyjawiał swoje prawdziwe nazwisko. Nie nazywam się Carpenter, tylko Halliwell. Major Halliwell był moim starszym bratem.

■ Dobry Boże ■ wyszeptał doktor Jolly. ■ Dobry Boże w niebiesiech!

■ Zabójca wiedział, że teraz należało przede wszystkim błyskawicznie usunąć ślady zbrodni. Wyjście było jedno: spalić ciała. Przyciągnął więc parę zbiorników oleju z magazynu, oblał nim ściany baraku majora Halliwella, dokąd zawczasu przeniósł ciała zamordowanych mężczyzn, i podpalił. Dla właściwych proporcji podpalił też magazyn. Pedantyczny typ, przyjaciele, człowiek, który nigdy nie robi czegoś połowicznie.

Siedzący wokół stołu w kwaterze osłupieli. To przekraczało zakres ich pojmowania i nie całkiem dawali temu wiarę, ogrom zbrodni po prostu ich przerastał. Ale nie wszystkich.

■ Mam dosyć szczególną mentalność ■ podjąłem. ■ Zastanowiło mnie to, dlaczego chorzy, poparzeni, wyczerpani mężczyźni tracili czas i wątle siły na taszczenie zwłok do laboratorium. Zapewne ktoś im zasugerował, że tak właśnie trzeba. W rzeczywistości chodziło o odstraszenie potencjalnych ciekawskich. Zajrzałem pod podłogę laboratorium i co znalazłem? Czterdzieści baterii w pierwszorzędnym stanie, zapasy żywności, radiosondę, balon i cylinder wodoru do jego napełnienia.



Baterie mnie nie zdziwiły. Kinnaird powiedział nam, że było dużo zapasowych, a tych baterii ogień nie trawi. Owszem, mógł je lekko zdeformować, ale nie zniszczyć. Nie spodziewałem się natomiast znaleźć innych elementów wyposażenia, ale dzięki nim wszystko stało się jasne. Zabójca miał pecha z dwóch powodów ─ wpadki i pogody. Pogoda poważnie pokrzyżowała mu plany. Jeżeli warunki byłyby sprzyjające, miał wypuścić filmy z radiosondą, które przechwyciłby samolot radziecki. O ile złapanie spadającej kapsuły jest naprawdę bardzo trudne, o tyle złowienie balonu na uwięzi to fraszka. Z pomocą względnie nowych baterii nasz przyjaciel drogą radiową miał dać cynk swoim koleżkom o poprawie pogody i terminie wypuszczenia balonu. Na falach eteru nie ma anonimowości, dlatego posługiwał się specjalnym kodem, który po wykorzystaniu zniszczył w jedynie na tych terenach bezpieczny sposób. Spalił. Na ścianie jednego z baraków znalazłem strzępki zwęglonego papieru, przygnane wiatrem ze stacji meteorologicznej. Nasz przyjaciel zadbał i o to, żeby do przesyłania SOS kontaktu z "Delfinem" używać kilku prawie wyczerpanych baterii. Częstymi przerwami w łączności i mętными przekazami starał się opóźnić nasze przybycie, bo czekał na lepszą pogodę i okazję do wypuszczenia balonu. Nawiasem mówiąc, może słyszeliście doniesienia radiowe ─ informację podały też wszystkie gazety brytyjskie ─ o przeczesywaniu tych terenów natychmiast po pożarze przez radzieckie, amerykańskie i brytyjskie samoloty. Brytyjczycy i Amerykanie szukali "Zebry", Rosjanie radiosondy. W tym też celu lodołamacz "Dźwina" parę dni temu próbował sobie tu utorować drogę. Ale więcej samolotów radzieckich już się nie pojawiło. Nasz przyjaciel powiadomił swoich przyjaciół, że nie ma nadziei na poprawę pogody, że przyplłynął "Delfin" i filmy trzeba niestety wziąć z sobą.

─ Chwileczkę, doktorze Carpenter ─ przerwał Swanson, starannie dobierając słowa. ─ Powiada pan, że filmy są teraz na pokładzie tego okrętu?

─ Bardzo bym się zdziwił, gdyby było inaczej, komandorze. Inny sposób powstrzymania nas ─ to oczywiście bezpośredni atak na łódź. Kiedy stało się jasne, że "Delfin" wybiera się do Stacji, do Szkocji przyszedł rozkaz jego unieruchomienia. Czerwone Clyde nie jest bardziej czerwone niż jakiś inny port w Wielkiej Brytanii, komunistów można praktycznie znaleźć w każdej stoczni, o czym ich koledzy najczęściej nie wiedzą. Naturalnie nie chodziło o spowodowanie groźnego wypadku, nie było zresztą potrzeby. Ten, kto zostawił klapę wyrzutni otwartą, wcale nie miał takiego zamiaru. W okresie pokoju wywiad międzynarodowy wystrzega się przemocy i dlatego nasz przyjaciel nie zyska uznania swoich szefów. Podobnie jak Wielka Brytania czy Ameryka, dla osiągnięcia celu zastosują każdą legalną i nielegalną taktykę, ale nie posuną się do morderstwa. Morderstwo nie było częścią radzieckiego planu.

─ Kto to jest, doktorze Carpenter ─ bardzo cicho spytał Jeremy. ─ Na Boga, kto to jest? Jest nas tutaj dziewięciu, czy pan wie, który to?

─ Wiem. I w grę wchodzi tylko sześciu, nie dziewięciu. Ci, którzy zmieniali się przy radiostacji po katastrofie. Sami potwierdziliście, że kapitan Folsom i bracia Harringtonowie byli unieruchomieni. Pozostają więc Jeremy, Kinnaird, doktor Jolly, Hassard, Naseby i Hewson. Morderstwo dla zysku i zdrada stanu. Proces zakończy się w dniu, w którym się rozpocznie. A trzy miesiące później będzie po wszystkim. Jesteś bardzo sprytny, przyjacielu. Powiem więcej, jesteś znakomity. Ale obawiam się, Jolly, że to już finał.

Nie zaskoczyli. Przez długie sekundy nie zaskoczyli. Byli zbyt wstrząśnięci, za bardzo oszołomieni.

Chociaż dobrze słyszeli moje słowa, nie od razu zarejestrowali ich sens. Wreszcie coś do nich dotarło i jak marionetki w rękach lalkarza wolno zwrócili głowy w kierunku Jolly'ego. Jolly podniósł się niespiesznie, podszedł do mnie dwa kroki, jego twarz ozdobił wyraz wzburzenia, wybałuszył oczy, i skrzywił usta.

■ Ja? ■ powiedział nisko, chrapliwie, z nutą niedowierzania. ■ Ja? Czy... czy pan zwariował, doktorze Carpenter? Na Boga, człowieku...

Uderzyłem go. Nie wiem, czemu. Jakaś purpurowa mgiełka zasnęła mi oczy, i dopiero kiedy Jolly runął na plecy przyciskając dłonie do rozkwaszonych warg i nosa, zdałem sobie sprawę, co zrobiłem. Myślę, że gdybym miał w ręku nóż albo broń, zabiłbym. Zatłukłbym go tak, jak bez namysłu, skrupułów i litości niszczy się wściekłą żmiję, czarną wdowę albo coś równie obrzydliwego, parszywego i jadowitego. Mgła stopniowo zeszła mi z oczu. Nikt się nie ruszył. Nikt nie drgnął ani o milimetr. Jolly z trudem dźwignął się na kolana, potem stanął i ciężko opadł na krzesło. Przy twarzy trzymał zakrwawioną chusteczkę. Panowała kompletna cisza.

■ Mój brat, Jolly ■ powiedziałem. ■ Mój brat i wszyscy zabici mężczyźni. Wiesz, na co liczę? Że z katowskim sznurem coś się pokręci i będziesz umierał przeraźliwie długo.

Odjął chusteczkę od ust.

■ Człowieku, tyś oszalał ■ wyszeptał rozkwaszonymi, obrzękłymi teraz wargami. ■ Sam pan nie wie, co mówi.

■ Przysięgli w Old Bailey będą najlepszymi sędziami. Nie spuszczam cię z oka od sześćdziesięciu godzin.

■ Co takiego? ■ zdziwił się Swanson. ■ Wie pan od sześćdziesięciu godzin?!

■ Zakładałem, że wcześniej czy później nie ominie mnie pański gniew, komandorze ■ skonstatowałem.

Nie wiem dlaczego, ogarnęła mnie nagle fala ogromnego zmęczenia, znudzenia i zniechęcenia całą sprawą.

■ Gdybym panu powiedział, natychmiast by go pan zamknął. Wielokrotnie pan to powtarzał. Chciałem sprawdzić, dokąd prowadzi trop w Wielkiej Brytanii, kim są jego wspólnicy i pośrednicy. Roilo mi się rozbicie całej siatki szpiegowskiej. Ale podejrzewam, że trop urywa się tutaj. Nie ma dalszego ciągu. Wysłuchajcie mnie jednak do końca. Powiedzcie, czy nikogo z was nie zastanowiło, dlaczego Jolly po wyjściu z płonącego baraku rozłożył się jak długi? Twierdził, że był na wpół uduszony. No cóż, w baraku się nie udusił, wygramolił się stamtąd o własnych siłach. Zasnęł dopiero potem. Ciekawe. świeże powietrze zwykło cucić ludzi. Ale nie Jolly'ego. On jest z innej gliny. Chciał, żeby dla każdego było jasne, że on nie ma z tym pożarem nic wspólnego. A żeby rozwiać wszelkie wątpliwości bezustannie podkreślał, że nie jest człowiekiem czynu. A jeśli tak, to ja jestem Marsjaninem. ■ Trudno to uznać za dowód winy ■ wtrącił Swanson.

■ Ja nie podaję dowodów ■ odparłem znużony. ■ Ja tylko przedstawiam poszlaki. Poszlaka numer

dwa. Pan, Naseby, miał wyrzuty sumienia, że nie udało mu się obudzić dwóch przyjaciół, Flandersa i Bryce'a. Mógł pan nimi potrząsać jeszcze przez godzinę z takim samym skutkiem. Jolly, po zabiciu majora Halliwella i trzech jego towarzyszy, unieszkodliwił ich eterem albo chloroformem. A przedtem bardzo był pochłonięty zapalnikami. Zdając sobie sprawę, że pomoc nie nadejdzie szybko, postanowił się odpowiednio zabezpieczyć. Gdyby reszta umarła z głodu, cóż, mieli pecha. Tymczasem Flanders i Bryce oddzielali go od zapasów żywności. Nie uderzyło pana, Naseby, że pańskie krzyki i szarpania nie przynosiły żadnych rezultatów? Przyczyna mogła być tylko jedna: zostali uspieni. A do leków miał dostęp tylko jeden człowiek. Powiedział pan też, że obaj z Hewsonem czuliście się jak odurzeni. Nic dziwnego. W niedużym baraku opary chloroformu albo czegoś w tym guście oddziaływały i na was. Normalnie odkryłby to pan zaraz po obudzeniu, ale zapaszek płonącej ropy skutecznie zabija wszystkie inne. I znów wiem, że to żaden dowód. Poszlaka trzecia. Dzisiaj rano spytałem kapitana Folsoma, kto wydał rozkaz umieszczenia zwłok w laboratorium. Powiedział, że on. Przypomniał sobie jednak, że sugestia wyszła od Jolly'ego, który coś tam uczenie wywodził o podtrzymaniu morale ocalonych przez usunięcie sprzed ich oczu widoku zwęglonych ciał. Poszlaka czwarta. Jolly stwierdził, że przyczyna pożaru nie jest istotna. Grubymi nićmi szyta próba wpuszczenia mnie w ślepią uliczkę. Wiedział równie dobrze jak ja, że to sprawa zasadnicza. A tak na marginesie: przypuszczam, że przed podłożeniem ognia pieczołowicie zablokował pan wszystkie gaśnice, Jolly. Co do ognia, kapitanie, pamiętam pańskie podejrzenia wobec Hewsona, ponieważ powiedział, że zbiorniki paliwa zaczęły eksplodować dopiero, kiedy szedł do głównego baraku. Mówił prawdę. W magazynie paliw nie wybuchły co najmniej cztery zbiorniki, te, których Jolly potrzebował do podpalenia baraku. No i jak mi idzie, doktoru?

■ To jakiś koszmar ■ wyszeptał. ■ Koszmar. Na Boga, ja o niczym nie wiem.

■ Poszlaka numer pięć. Z pewnych niejasnych dla mnie powodów Jolly chciał opóźnić powrót "Delfina". Najlepiej jego zdaniem mógł tego dokonać, wydając opinię, że stan Boltona i Brownella, dwóch ciężko poszkodowanych wciąż przebywających w Stacji, nie pozwala przenieść ich na pokład. Szkopuł w tym, że dwaj inni lekarze mogliby tę diagnozę storpedować. Więc postarał się, z niezłym rezultatem, nas wyeliminować. Najpierw Bena. Czy nie zdziwiło pana, komandorze, że prośba o udział w pogrzebie Granta i sierżanta Millsa wyszła od Naseby'ego i Kinnairda? Ponieważ kapitan Folsom był chwilowo niedysponowany, właśnie Jolly jako senior ekipy powinien z tym wystąpić. On jednak nie chciał ściągać na siebie uwagi. Zapewne zręcznie podsunął tę myśl innym i przekonał, żeby zrobili to za niego. A potem, kiedy zobaczył pioruńsko śliskie, oblodzone burty okrętu, dopilnował, by Benson wchodził przed nim. Nie zapominajcie, że panowały tam niemal egipskie ciemności, ale nie aż takie, żeby w smudze światła, omiatającego z mostka szczyt nadburcia, Jolly nie rozróżnił konturu głowy Bena. Gwałtowne szarpnięcie liną i Benson stracił równowagę. Wydawało się, że spadł na Jolly'ego. Ale tylko się tak wydawało. Głośny dźwięk, jaki przez ułamek sekundy słyszałem, nie powstał bynajmniej w wyniku uderzenia Bena o lód. To Jolly usiłował skopać z nóg jego głowę. Czy bardzo sobie poraniłeś palce stóp, Jolly?

■ Pan jest szalony ■ powiedział mechanicznie. ■ To czysty nonsens, a gdyby nawet tak było, nie udowodni pan ani słowa.

■ Jeszcze zobaczymy. Jolly oświadczył, że Benson zleciał prosto na niego. Tymczasem Jolly sam upadł na lód i uderzył się w głowę, żeby swoją opowieść nieco uprawdopodobnić. Nasz koleżka

niczego nie pominię. Na jego głowie wyczułem mały guz. Jolly nie był jednak nieprzytomny. Symulował. I wydobrażał ciut za szybko. Właśnie wtedy popełnił pierwszy błąd i ściągnął na siebie moje podejrzenia. Odtąd miałem się już na baczności przed jego ewentualnym atakiem. Był pan przy tym, komandorze.

■ Za każdym razem trafiałem kulą w płuć ■ z goryczą wyznał Swanson ■ a teraz chce pan, żebym trafił w dziesiątkę?

■ Kiedy Jolly wszedł do izby chorych, zobaczył Bensaona, a przecież mógł dostrzec jedynie koc i duży gazowy opatrunek przesłaniający tył głowy. Praktycznie zamiast Bensaona mógł tam leżeć ktokolwiek. Do wypadku doszło przecież w gęstych ciemnościach. A co powiedział Jolly? Pamiętam każde jego słowo. Powiedział: "Oczywiście, oczywiście. Otóż to. Spadł na mnie, prawda"? Nawet nie pomyślał, żeby spytać, kto ■ a w takich okolicznościach wydawałoby się to całkiem naturalne i oczywiste. Ale Jolly nie musiał pytać. On wiedział. ■ Wiedział ■ Swanson wpatrywał się w Jolly'ego lodowatymi oczami i już nie wątpił. ■ Ma pan rację, doktorze Carpenter. On wiedział.

■ A potem dobrał się do mnie. Teraz też nie mogę niczego udowodnić. Ale słyszał, jak pytałem pana o magazyn leków i zapewne przemknął za Henrym i za mną, żeby odbezpieczyć zapadkę. Tym razem nie odniósł pełnego sukcesu. Za to następnego ranka, w Stacji, wciąż obstawał przy zatrzymaniu Brownella i Boltona, mówiąc, że Bolton jest za słaby. Dopiero pan, komandorze, narzucił mu swoją wolę.

■ I nie pomyliłem się co do Boltona ■ zreplikował Jolly. Wydawał się teraz dziwnie spokojny. ■ Bolton umarł.

■ Umarł ■ przyznałem. ■ Umarł, bo go zamordowałeś i zapewniam, że za samego Boltona czeka cię stryczek. Z ciągle nie znanych mi przyczyn Jolly nie zrezygnował z zatrzymania okrętu. A w każdym razie z opóźnienia. Myślę, że potrzebował tylko godziny lub dwóch. Więc zaplanował drobny pożar, nic wielkiego, chodziło mu o wywołanie lekkiej paniki i czasowe wyłączenie reaktora. Do tego celu wybrał przestrzeń w maszynowni, miejsce, gdzie mógł przypadkowo coś zrzucić i gdzie by to coś leżało sobie godzinami dobrze ukryte w labiryncie rur. W izbie chorych sprokurował rodzaj chemicznego zapalnika o opóźnionym działaniu, który kopci jak piorun, ale daje mały płomień. Istnieje z tuzin takich kombinacji kwasów i chemikaliów, a nasz przyjaciel, wysoce wyspecjalizowany znawca, był w tym biegły. Pozostało tylko znaleźć pretekst do przejścia przez maszynownię, kiedy będzie tam spokojnie, cicho i pusto. Czyli w środku nocy. I znalazł. On wszystko potrafi. Nasz koleżka jest naprawdę bardzo sprytny, a jako wróg absolutnie bezlitosny. Wieczorem przed wybuchem pożaru ów dobry lekarz wyruszył na obchód w moim towarzystwie. Jeden z pacjentów, Bolton, leżał w laboratorium, gdzie można się dostać mijając maszynownię. W laboratorium Jolly uczulił podoficera pilnującego chorych, by w razie pogorszenia się stanu Boltona wezwać go niezwłocznie bez względu na porę. I został wezwany. Ustaliłem to z personelem maszynowni po pożarze. Oficer mechanik miał wtedy wachtę, dwie osoby były w manewrowni, ale około pierwszej trzydzięci mechanik, który robił rutynowe smarowanie, widział Jolly'ego w maszynowni. Spieszył do laboratorium, powiadomiony przez podoficera. W maszynowni nie omieszkał upuścić małego chemicznego zapalnika. Nie wiedział, że ten drobiażdżek wylądował na nasączonym olejem osłonie obudowy turbogeneratorskiej z prawej burty albo tuż obok i wytworzył dostatecznie dużo ciepła, żeby osłonę zapalić.

Swanson popatrzył na Jolly'ego, zimno i długo, po czym odwrócił się do mnie i potrząsnął głową:

■ Nie mogę tego zrozumieć, doktorze Carpenter. Ni stąd, ni zowąd telefon, że pacjentowi się pogorszyło. Jolly nie jest z tych, który zostawiałby cokolwiek przypadkowi.

■ Nie jest ■ przytaknąłem ■ i nie zostawił. W lodówce w ambulatorium przechowuję dowód rzeczowy dla Old Bailey. Pasek folii aluminiowej, hojnie poznaczonej odciskami palców Jolly'ego i reszkami maści. Tej nocy zaraz po zrobieniu cierpiącemu Boltonowi zastrzyku usmierającego Jolly opatrzył nią jego poparzone przedramię. Zanim jednak nasz doktor nasmarował folię maścią, pokrył ją chlorkiem sodu, czyli zwykłą solą kuchenną. Wiedział, że zastrzyk będzie działać od trzech do czterech godzin, wiedział też, że kiedy Bolton odzyska przytomność, sól po rozpuszczeniu się maści wejdzie w kontakt z raną i chory zacznie krzyczeć przeżywając katusze. Możecie to sobie wyobrazić? Całe przedramię, bryła surowego mięsa, pokryte solą? Wkrótce potem umarł, umarł w szoku. Nasz dobry lekarz. Obiecujący mały zuch, nieprawdaż? Cóż, taki jest Jolly. Nawiasem mówiąc, można śmiało zdyskontować znaczną część jego walecznego heroizmu podczas pożaru, mimo że, co zrozumiałe, niepokoił się jak każdy z nas, czy ujdziemy z życiem. Kiedy wszedł do maszynowni po raz pierwszy, było mu tam ciut za gorąco i nie najwygodniej, więc położył się na podłodze i łaskawie pozwolił zanieść na dziób, na świeże powietrze. Później...

■ Nie miał maski ■ zaproponował Hansen.

■ Bo ją zdjął. Skoro można wstrzymać oddech przez dziesięć, piętnaście sekund, nie sądzi pan, że Jolly tego nie umie? Później dokonywał w maszynowni bohaterских wyczynów, bo tam były lepsze warunki, bo w maszynowni miał prawo do aparatu tlenowego. Ostatniej nocy Jolly nawdychał się więcej czystego powietrza niż ktokolwiek z nas. Skazać kogoś na straszliwą śmierć w męczarniach, proszę bardzo, ale samemu znosić choćby krztę niewygodny? Nie, nie wtedy, kiedy można temu zapobiec. Czy nie jest tak, Jolly?

Milczał.

■ Gdzie filmy?

■ Nie wiem, o czym pan mówi ■ powiedział cichym, matowym głosem. ■ Klnę się przed Bogiem, że ręce mam czyste.

■ A co z odciskami palców na folii z solą?

■ Każdy lekarz może się pomylić.

■ Mój Boże! Pomylić! Gdzie filmy, Jolly? ■ Zostawcie mnie w spokoju ■ odparł znużony.

■ Zrobi się.

Spojrzałem na Swansona.

■ Mamy jakieś przytulne, bezpieczne gniazdko dla tego typka, komandorze?

▮ Jak najbardziej ▮ złowieszco powiedział Swanson. ▮ Osobiście go tam zaprowadzę.

▮ Nikt nikogo nigdzie nie zaprowadzi ▮ nie wytrzymał Kinnaird.

Sposób, w jaki na mnie patrzył, nieszczególnie mnie przejął. Nie przejąłem się też tym, co trzymał w ręku. Groźnie wyglądającym lugerem, który zdawał się wyrastać z jego łapska, mierzył mi prosto między oczy.

## Rozdział 13

▮ Sprytny, sprytnutki kontrwywiad, Carpenter ▮ mruknął Jolly. ▮ Szybko fortuna kołem się toczy, stary druhu. Nie powinieneś się jednak zanadto dziwić. Nie odkryłeś nic naprawdę ważnego, ale powinieneś przynajmniej dojść do tego, że nie jesteś asem w swoim fachu. I nie próbuj, proszę, żadnych sztuczek. Kinnaird to jeden z najlepszych strzelców, jakich znam. Zważ na to, jak strategicznie się ustawił; namierza każdego z was.

Delikatnie przytknął chusteczkę do krwawiących warg, wstał i szybko mnie od tyłu przeszukał.

▮ No proszę ▮ triumfował. ▮ Nawet nie nosi broni. Ty naprawdę jesteś nie przygotowany, Carpenter. Odwróć się plecami do Kinnairda, dobrze?

Odwróciłem się. Uśmiechnął się figlarnie i z całą siłą uderzył mnie w twarz, najpierw grzbietem prawej dłoni, potem lewej. Zachwiałem się, ale nie upadłem. W ustach poczułem słony smak krwi.

▮ Nie nazwałbym tego pożałowania godnym brakiem opanowania ▮ nie bez satysfakcji oznajmił Jolly. ▮ Zrobiłem to rozmyślnie, z premedytacją. I z przyjemnością.

▮ Więc to Kinnaird zabijał ▮ powiedziałem wolno i niewyraźnie. ▮ On był facetem z bronią.

▮ Nie chciałbym, bracie, zgarniać wszystkich zasług ▮ skromnie zauważył Kinnaird. ▮ Powiedzmy, że podzieliliśmy się nimi po połowie.

▮ To ty wyszedłeś z monitorem szukać kapsuły. ▮ Kiwnąłem głową. ▮ Dlatego tak paskudnie odmroziłeś sobie twarz.

▮ Zabłądziłem ▮ przyznał Kinnaird. ▮ Myślałem, że nigdy nie trafię do tej cholernej stacji.

▮ Jolly i Kinnaird ▮ zdumiał się Jeremy. ▮ Jolly i Kinnaird. Nasi kumple. Parszywi mordercy...

▮ Siedź cicho! ▮ przykazał Jolly. ▮ A ty, Kinnaird, nie fatyguj się udzielaniem odpowiedzi. W przeciwieństwie do Carpentera, nie znajduję przyjemności w ujawnianiu swoich modus operandi ani w wyjaśnianiu, jaki to ze mnie bystrzak. Jak słusznie zauważyłeś, jestem człowiekiem czynu, Carpenter. Komandorze Swanson, proszę podejść do telefonu, wywołać sterownię i wydać rozkaz wynurzenia się łodzi i kursu na północ.

■ Staje się pan cokolwiek za ambitny, Jolly ■ spokojnie powiedział Swanson. ■ Nie porwie pan łodzi podwodnej.

■ Kinnaird, wyceluj w żołądek Hansena. Jak doliczę do pięciu, naciśniesz spust. Raz, dwa, trzy...

Swanson uniósł rękę w geście rezygnacji, podszedł do wiszącego na ścianie telefonu, wydał niezbędne rozkazy, odwiesił słuchawkę i wrócił na swoje miejsce. Spojrzał na mnie bez respektu i cienia podziwu. Popatrzyłem po zebranych. Jolly, Hansen i Rawlings stali, reszta siedziała, Zabrinky osobno z numerem "Oszołomienia" na kolanach, inni wokół stołu. Kinnaird trzymał się w dobrej odległości od grupy, pewnie ściskając w garści swojego lugera. Bardzo pewnie. Nikt niczemu nie zamierzał przeszkodzić. Wszystko tutaj stanowiło zbyt wielki wstrząs.

■ Porwanie atomowej łodzi podwodnej to pomysł nader interesujący i niewątpliwie szalenie intratny, komandorze Swanson ■ powiedział Jolly. ■ Znam jednak swoje możliwości. Zamierzamy was po prostu pożegnać. Kilka kilometrów stąd czeka okręt ze śmigłowcem na rufie. Za chwilę na określonej częstotliwości przekaże pan wiadomość, poda pozycję łodzi i śmigłowiec nas zabierze. Nawet gdyby pański zdefektowany silnik wytrzymał, nie radzę ścigać tego okrętu, żeby go storpedować albo przedsięwziąć coś równie drastycznego. Pomijając fakt, że nie chciałby pan zapewne odpowiadać za rozpętanie wojny nuklearnej, i tak by go pan nie dogonił. W ogóle by go pan nie zobaczył, a jeśli nawet, nic wam po tym. Okręt nie ma oznaczeń państwowych.

■ Gdzie filmy? ■ spytałem.

■ Na pokładzie tego okrętu.

■ Są... gdzie?! ■ zachłysnął się Swanson. ■ Jak to, do licha, możliwe?

■ Przykro mi, stary druhu. Powtórzę, że w przeciwieństwie do Carpentera, nie strzępię języka po próżnicy. Zawodowiec, szanowny komandorze, nigdy nie informuje o swoich metodach.

■ Więc wyjdziecie z tego cało ■ zauważyłem cierpko.

Usta miałem spuchnięte i obrzmiałe.

■ Nie bardzo wiem, co mogłoby nam w tym przeszkodzić. Zbrodnie to nie oliwa, nie zawsze wpływają na wierzch.

■ Osiem ofiar ■ powiedziałem ze zdumieniem. ■ Osiem ofiar. Stoisz sobie tutaj i jakby nigdy nic radośnie przyznajesz się do spowodowania śmierci ośmiu mężczyzn.

■ Radośnie? ■ zakwestionował roztropnie. ■ Bynajmniej. Jestem zawodowcem, a zawodowiec nie zabija bez potrzeby. Tym razem było to konieczne. To wszystko.

■ Już po raz drugi użyłeś słowa "zawodowiec" ■ powiedziałem wolno. ■ Myliłem się co do jednego. Nie przekupili cię po skompletowaniu ekipy "Zebry". Bawiłeś się w to od dawna. Jesteś za dobry.

■ Od piętnastu lat, stary ■ ze spokojem wyznał Jolly. ■ Kinnaird i ja tworzyliśmy najlepszy team w

Brytanii. Nasza przydatność w tym kraju, niestety, się skończyła. Wyobrażam sobie, że nasze | hm | wyjątkowe talenty będzie można wykorzystać gdzie indziej.

| Przyznajesz się do wszystkich tych morderstw? | spytałem.

Popatrzył na mnie z chłodnym namysłem.

| Niebywale dowcipne pytanie, Carpenter. Oczywiście. Przecież powiedziałem. Dlaczego?

| A ty, Kinnaird?

Spojrzał na mnie z niejaką podejrzliwością.

| Po co pytasz?

| Ty odpowiesz na moje pytanie, ja odpowiem na twoje.

Kątem oka dostrzegłem, że Jolly przygląda mi się badawczo. Wyczulony na zmiany nastroju, domyślał się, że coś tu nie gra.

| Cholernie dobrze wiesz, co zrobiłem, brachu | lodowato odparował Kinnaird.

| Otóż to. W obecności nie mniej niż dwunastu świadków obaj przyznaliście się do zbrodni. Nie powinniście. Odpowiem na twoje pytanie, Kinnaird. Potrzebowałem waszego przyznania się, bo oprócz paska folii aluminiowej i czegoś, o czym za chwilę, nie mieliśmy przeciwko wam absolutnie żadnych dowodów. Teraz mamy. Obawiam się, że wasze talenty nie zostaną już nigdzie wykorzystane. Nie zobaczycie ani śmigłowca, ani okrętu. Obaj skonacie, dyndając na stryczku.

| A coż to za banialuki? | z podszytą niepokojem pogardą spytał Jolly. | Co za desperacki blef wykombinowałeś w ostatniej chwili, Carpenter?

Ignorując jego pytanie, stwierdziłem:

| Od około sześćdziesięciu godzin miałem też na oku Kinnairda. Musiałem to tak rozegrać. Gdybym ci nie pozwolił dopiąć swego, gdybym ci nie zapewnił pozornej przewagi, nigdy byś się nie przyznał.

| Nie daj się na to złapać, stary | rzucił Jolly do Kinnairda. | To zwyczajny blef desperata. Nie miał bladego pojęcia o twoim udziale.

| Wiedząc, Jolly, że jesteś jednym z morderców | powiedziałem | byłem prawie pewien, że Kinnaird jest drugim. Dzieliliście ten sam barak i jeśli Kinnaird nie został odurzony, to musiał w tym maczać palce. Nie został, więc maczał. Drzwi bynajmniej nie były zablokowane, kiedy Naseby pobiegł do radiostacji was ostrzec, po prostu się o nie zaparliście, żeby sprawić wrażenie, jakoby były zamknięte od wielu godzin i przymroził je lód. Na identycznej zasadzie wykluczyłem udział młodego Granta, pomocnika radiooperatora. Jeśli nie brał udziału, trzeba go było uciszyć. Nie brał. Odkąd wpadłem na wasz trop, przyjrzałem się Grantowi. Odkopaliśmy go z Rawlingsem i u nasady karku znalazłem niezgorszy siniak. Grant albo was na czymś zaskoczył, albo obudził się, kiedy zabijaliście



któregoś z ludzi majora Halliwella i dlatego musieliście go zlikwidować. Nie trudziliście się kolejnym morderstwem, wystarczyło podpalić barak razem z Grantem, zabijanie byłoby bezcelowe. Nie przewidzieliście jednak, że wyniesie go stamtąd kapitan Folsom. Żywego. Wyjątkowy pech, nieprawdaż, Jolly? Na wasze szczęście Grant stracił przytomność, ale po jej odzyskaniu mógł was wsypać. Tymczasem nie mieliście jak go załatwić. W baraku było pełno ludzi, przeważnie tak bardzo cierpiących, że przez cały czas oka nawet nie zmrużyli. Po naszym przybyciu wpadliście w panikę. Grant zaczął wracać do siebie, więc poszliście na całość, tyle że nie całkiem skutecznie. Pamiętasz moje zdumienie, kiedy odkryłem, że zużyłeś całą morfinę, którą ci dałem? Wtedy mnie to dziwiło, teraz nie. Wiem, gdzie się podziała. Zaaplikowałeś mu całą porcję, śmiertelną dawkę. Mam rację?

■ Jesteś sprytniejszy, niż myślałem ■ powiedział spokojnie. ■ Może cię trochę nie doceniłem. Ale to bez znaczenia, stary druhu.

■ Niezupełnie. Jeśli wiedziałem o Kinnairdzie od tak dawna, dlaczego, twoim zdaniem, pozwoliłem ci na pozorne zwycięstwo?

■ "Pozorne" to złe słowo. A odpowiedź jest prosta. Nie wiedziałeś, że Kinnaird ma broń.

■ Nie?

Popatrzyłem na Kinnairda.

■ Jesteś pewien, że działa?

■ Nie ze mną te numery, brachu ■ odburknął pogardliwie.

■ Pytam z czystej ciekawości ■ powiedziałem miękko. ■ Pomyślałem sobie, że benzyna w baku traktora mogła usunąć smar.

Jolly podszedł do mnie, jego zimną twarz ściągnął grymas.

■ Wiedziałeś o tym? W co ty grasz, Carpenter?

■ ściślej to komandor Swanson ją znalazł. Musieliście ją tam zostawić, bo na pokładzie czekała was porządna czystka i badania lekarskie, rzecz by się więc niechybnie wydała. Ale morderca, zawodowiec Jolly, jeśli nie musi, za nic nie rozstanie się z bronią. Byłem pewien, że przy pierwszej nadarzającej się okazji wrócisz po nią. I włożyłem ją do baku.

■ Do diabła! ■ Swanson wściekł się jak nigdy dotąd. ■ I naturalnie zapomniał mi pan o tym powiedzieć, co?!

■ Nie mogłem inaczej. Kiedy się już upewniłem co do ciebie, Jolly, nie byłem stuprocentowo przekonany, że masz współnika, wiedziałem jednak, że jeśli masz, to jest nim Kinnaird. Więc w środku nocy odłożyłem broń na miejsce, a potem dobrze sprawdziłem, że ani na moment nie zbliżyłeś się do garażu. Mimo to następnego dnia rano, kiedy wszyscy zażywali świeżego powietrza, broń zniknęła. Stąd wniosek, że miałeś współnika. Ale prawdziwym powodem, dla którego podrzuciłem pistolet, było oczywiście sprowokowanie was do mówienia. Teraz powiedzieliście, co trzeba, i po

sprawie. Rzuć broń, Kinnaird.

▮ Obawiam się, że twój blef skończony, bracie.

Wycelował pistolet prosto w moją twarz.

▮ Daję ci ostatnią szansę, Kinnaird. Bądź łaskaw mnie posłuchać. Jeśli w ciągu dwudziestu sekund nie odłożysz broni, będziesz potrzebował opieki lekarskiej.

Wymamrotał coś, krótko i niecenzuralnie.

▮ Twoje zmartwienie ▮ stwierdziłem. ▮ Rawlings, wiesz, co robić.

Wszystkie oczy zwróciły się ku Rawlingsowi, który stał niedbale oparty o ścianę z nonszalancko założonymi rękami. Kinnaird też spojrzał, odruchowo przesuwając lugera. Szczęknęła broń, gruchnął przytłumiony strzał mannlichera-schoenauera, Kinnaird zawył i pistolet wyskoczył z jego zgruchotanej dłoni. Zabirnsky z moim automatem w jednym ręku i numerem "Oszołomienia" ▮ teraz z kształtną osmaloną dziurą w środku ▮ w drugiej, z podziwem obejrzawszy swoje dzieło, zapytał:

▮ O to chodziło, doktorze?

▮ Dokładnie o to, Zabirnsky. Bardzo dziękuję. Pierwszorządna robota.

▮ Pierwszorządna robota ▮ pogardliwie prychnął Rawlings. Podniósł luger i wycelował w Jolly'ego. ▮ Z czterech kroków nie spudłuje nawet Zabirnsky.

Pogrzebał w kieszeni, wyłowił rolkę bandaża i rzucił Jolly'emu.

▮ Pomyśleliśmy, że się przyda, i przyszliśmy przygotowani. Doktor Carpenter powiedział, że twój koleżka będzie potrzebował lekarza. No i potrzebuje. A ty jesteś lekarz. Do roboty.

▮ Sam to sobie zrób ▮ warknął Jolly. Ani "stary druhu", ani nawet "stary". Jowialność zniknęła bez śladu.

Rawlings popatrzył na Swansona i powiedział służbiście:

▮ Proszę o pozwolenie zdzielenia doktora Jolly'ego w głowę tą małą starą pukawką, panie komandorze!

▮ Pozwolenia udziela się ▮ groźnie odparł Swanson.

Obyło się bez dalszych perswazji. Jolly zaklął i zaczął zrywać banderolę bandaża.

Na blisko minutę w pokoju zapadła cisza. Obserwowaliśmy, jak Jolly brutalnie, zdecydowanie mało delikatnie opatruje rękę Kinnairda. Potem Swanson powiedział wolno:

▮ Ciągle nie rozumiem, jakim cudem Jolly przekazał film.

■ To proste. Dziesięć minut i sam by pan na to wpadł. Oczekali, aż wypłyniemy spod lodu, wepchnęli filmy do wodoszczelnego worka, przyczepili żółty barwnik i wyrzucili kuchennym zsyphem na śmieci. Byli na wieżyczce łodzi i oglądali to, chociaż prawdopodobnie pomysł, przesłany drogą radiową, wyszedł od eksperta marynarki wojennej. Rawlings, którego postawiłem na czatach wczesnym rankiem, około wpół do piątej zauważył Kinnairda maszerującego do kuchni. Może miał chętkę na kanapkę z szynką, nie wiem, ale Rawlings mówi, że wszedł z workiem, a wyszedł z pustymi rękami. Worek wypłynął na powierzchnię i barwnik zażółcił dużą powierzchnię wody. Z bocianiego gniazda oszacowali naszą najkrótszą trasę z "Zebry" do Szkocji i stanęli w odległości paru mil od miejsca, skąd wydostaliśmy się spod paku. Prawdopodobnie zlokalizowaliby to i bez śmigłowca ■ ale ze śmigłowcem na mur. Nawiasem mówiąc, nie byłem zbyt precyzyjny, twierdząc, że nie znam powodu wysiłków Jolly'ego, by nas opóźnić. Znałem je od samego początku. Otóż poinformowano go, że okręt nie dotrze do miejsca naszego wyjścia spod paku wcześniej niż o określonej porze i trzeba nas do tego czasu zatrzymać. Jolly był nawet na tyle beczelny, żeby mnie podpytać, o której się wynurzymy.

Jolly wrogo spojrział znad ręki Kinnairda.

■ Wygrałeś, Carpenter. Wygrałeś na całej linii. Z malutkim ale. Przepuściłeś rzecz najważniejszą. Dostali swoje filmy, filmy z lokalizacją prawie wszystkich wyrzutni w Ameryce, tak jak powiedziałeś. I o to chodziło. Nie kupi się tego za żadne pieniądze. Ale nam się udało. ■ Obnażył zęby w dzikim uśmiechu. ■ Mogliśmy to spartaczyć, Carpenter, ale jesteśmy zawodowcami. Zrobiliśmy swoje.

■ Dostali filmy, owszem ■ przyznałem. ■ I oddałbym roczną pensję, żeby zobaczyć twarze ludzi, którzy je wywołają. Posłuchaj uważnie, Jolly. Próbowaleś unieszkodliwić Bensaona i mnie nie tylko po to, żeby sobie zapewnić wyłączność decyzji o stanie zdrowia Boltona i opóźnić nasz wyjazd. Za wszelką cenę chciałeś być jedynym sprawnym doktorem na pokładzie, żeby zrobić rentgen kostki Zabrinzky'ego i usunąć gips. Dosłownie wszystko od tego zależało, nic innego nie miało znaczenia. Dlatego kiedy następnego dnia rano usłyszałeś, że zamierzam prześwietlić kostkę Zabrinzky'ego, zdecydowałeś się na desperacki krok okaleczenia mnie. To twoje jedyne posunięcie, któremu zabrakło klasy i znamion zawodowstwa, ale sądzę, że byłeś wtedy bliski paniki. Miałeś szczęście. Dwa dni temu usunąłeś gips i owinięte w ceratę filmy, które tam schowałeś, gipsując Zabrinzky'ego w noc naszego przybycia do "Zebry". Doskonała skrytka. Mogłeś je oczywiście ukryć w bandażach, którymi opatrywałeś poparzenia kolegów, ale to zbyt ryzykowne. Gips nadawał się wręcz znakomicie. Na nieszczęście dla ciebie i twoich przyjaciół, ściągnąłem go poprzedniej nocy, wyjąłem filmy i zastąpiłem innymi. To, nawiasem mówiąc, drugi mój dowód przeciw tobie. Na rozbiegówce filmów z satelity widnieją dwa doskonałe zestawy odcisków palców, twoich i Kinnairda. Odciski, alufolia z warstwą soli i dobrowolne przyznanie się do winy w obecności świadków zapewni wam poranny spacer na szubienicę. Szubienica i fiasko, Jolly. Nawet nie byłeś zawodowcem. Twoi przyjaciele nigdy nie zobaczą tych filmów.

Nie zważając na wycelowaną broń, z twarzą w paroksyzmie furii, przeżuując jakieś słowa zmiażdżonymi ustami, ruszył na mnie. Zdążył zrobić dwa kroki, kiedy dosięgnął go pistolet Rawlingsa. Uderzony w głowę padł na ziemię, jakby runął na niego brookliński most. Rawlings przyglądał mu się obojętnie.

─ Nie pamiętam dnia, kiedy praca sprawiła mi większą satysfakcję ─ powiedział beztrąsko. ─ No, może wtedy, gdy pstryknąłem wszystkie te zdjęcia aparatem doktora Bena dla doktora Carpentera, trochę negatywów do zapakowania w ceratę.

─ Zdjęć czego? ─ zainteresował się Swanson.

Rawlings wyszczerzył się rozanielony.

─ Wszystkich tych gwiazd w ambulatorium doktora Bena. Misia Yogi, kaczora Dona, psa Pluto, Pixi i Dixi, królowy śnieżki i siedmiu krasnoludków. Pan o tym wspomniał. I zrobiłem, całe mnóstwo, wspaniałe technicolor. Cacka, że mucha nie siada. ─ Zachichotał radośnie. ─ Podobnie jak doktor Carpenter, oddałbym roczną pensję, żeby zobaczyć ich miny, kiedy dorwą się do oglądania tych negatywów.